

Elizabeth Wurtzel

Kraina Prozaca

Nienawidzę siebie i chcę umrzeć

Zaczynam podejrzewać, że coś jest ze mną mocno nie w porządku. Jakby wszystkie prochy — lit, prozac, dezypramina i desyrel, który biorę na sen — nie mogły już zwalczyć prawdziwej choroby. Czuję się jak wybrakowany towar, jakbym zesła z linii montażowej kompletnie schrzanią i rodzice musieli oddać mnie do naprawy zanim upłynie termin gwarancji. A przecież rozpadłam się już tak dawno temu!

Odnoszę wrażenie, że nie ma lekarstwa na depresję, że szczęście jest wieczną walką, i zastanawiam się, czy jest to przypadkiem walka, którą będę toczyła póki życia. Zastanawiam się, czy warto.

Boję się, że nie utrzymam fasady, odpadnie ze mnie tynk i zacznę prześwitywać. I chciałabym wiedzieć, co jest ze mną nie w porządku.

Może całe głupie życie? Nie wiem.

Moje marzenia są dotknięte paralizem. Śni mi się często, że moje nogi, choć przytwierdzone do tułowia, nie chcą się poruszać. Próbuję gdzieś pójść — do spożywczego albo do apteki, nic wielkiego, ot, rutynowe sprawy — i po prostu nie jestem w stanie. Nie mogę wspiąć się po schodach, nie mogę posuwać się po równej drodze. W tym śnie jestem wyczerpana i budzę się bardziej zmęczona niż w chwili, gdy się kładłam. Budzę się zdziwiona, że mam siły, by wstać z łóżka. Często nie mam. Śpię dziesięć godzin, ale zdarza się, że znacznie dłużej. Moje ciało stało się pułapką.

Raz śniło mi się, że jestem w łóżku, przygwożdżona do prześcieradła, przygnieciona kołdrą, niby insekt pod podeszwą czyjś buta. Po prostu nie mogę wstać z łóżka. Mam załamanie nerwowe i nie jestem w stanie się ruszyć. Matka stoi nade mną i twierdzi, że mogłabym, gdybym spróbowała.

Śni mi się, że jestem w strasznych kłopotach, całkowicie sparaliżowana, i nikt mi nie wierzy.

W życiu poza snem jestem niemal równie zmęczona. Ludzie mówią: „Może to Epstein-Barr”. Ale ja wiem, że to lit, cudowna sól, która zneutralizowała moje nastroje, ale wyniszcza moje ciało.

Chcę skończyć z życiem na prochach.

Jestem sparaliżowana we śnie i jestem sparaliżowana na jawie, ponieważ sen stał się rzeczywistością, mam załamanie nerwowe i nikogo, kto mógłby mi pomóc. Nikogo. Matka odpisała mnie na straty, uznała, że nie wie, jak poradzić sobie z tym problemem, z tą rockandrollową dziewczyną, która oszpeciła swe ciało tatuażem i przekłuła nos. I choć bardzo mnie kocha, nie chce być już dłużej osobą, do której zwracam się w kłopotcie. Ojciec odpadł w przed-biegach. Nie rozmawiałam z nim od paru lat. Nie wiem nawet, gdzie jest. Pozostają przyjaciele, ale oni mają własne życie. Lubią wszystko przedyskutować, przeanalizować i przeteoretyzować, ale ja nie potrzebuję słów. Potrzebuję miłości, muszę osiągnąć stan, kiedy umysł się wyłączy i do głosu dochodzi serce.

Wiem, że ta miłość jest gdzieś niedaleko, tylko nie potrafię jej odczuć.

Odczuwam za to strach przed dorosłością, przed samotnością w tym wielkim mieszkaniu, pośród tylu płyt kompaktowych, plastikowych reklamówek, kolorowych czasopism, podartych skarpetek i stosów brudnych talerzy pokrywających podłogę równą warstwą. Wiem, że nie mam dokąd uciec, nie mogę zrobić nawet dwóch kroków, żeby

się o coś nie potknąć, i wiem, że chcę z tym skończyć. Po prostu skończyć. Nikt mnie nie pokocha, będę żyła sama i sama umrę, donikąd nie dobiegnę i nikim nie zostanę. Nic się nie uda. Obietnica, że po drugiej stronie depresji czeka mnie wspaniałe życie, życie warte przetrwania prób samobójstwa, okaże się fałszywa. Wszystko będzie jednym wielkim oszustwem.

Sobotnia noc przechodzi właśnie w niedzielny ranek, a ja leżę zwinięta w kłębek na podłodze w łazience. Muszę wyglądać jak brudny, złażdaczony pudel w tej czarnej szyfonowej sukni na de śnieżnobiałych kafelków. Nie mogę przestać płakać. Dwuosobowy tłum w salonie wcale nie wydaje się zaniepokojony moim stanem, o ile w ogóle ktoś coś zauważył między łykiem czerwonego wina, kolejką skręta a jękami Jeffa Becka. Postanowiliśmy — mój współlokator Jason i ja — urządzić przyjęcie, ale nie sądzę, żebyśmy zaprosili dwieście osób. A może zaprosiliśmy? Nie wiem. Może nadal jesteśmy świrami, którymi byliśmy w szkole średniej, może perspektywa zdobycia popularności znęciła nas tak bardzo, że naprawdę ściągnęliśmy to sobie na głowę?

Nie! wiem.

Od początku wszystko szło na opak. Najpierw Jason otworzył drzwi na schody przeciwpożarowe, ponieważ zrobiło się potwornie gorąco od tych dwustu ciał, i mój kot postanowił zejść na podwórko, sześć pięter poniżej. Zgubił się i zaczął wściekle miauczeć. Nie miałam na nogach butów, więc zbiegłam boso, choć na dworze był mróz. I naprawdę wstrząsnęła mną konieczność powrotu do tych ludzi, którzy nie wiedzieli, że mam bzika na punkcie swojego kota. Przez jakiś czas kryliśmy się z Zapem w moim pokoju. Zap zwinął się w kłębek na poduszce i spoglądał na mnie tak, jakbym to ja była wszystkiemu winna. Widząc, jak bardzo boję się ludzi w salonie, mój przyjaciel Jethro zaproponował, że skoczy na 168 Street po kokainę. Powiedział, że koka powinna poprawić mi humor.

Jestem na lekach psychotropowych i unikam używek. Ale kiedy Jethro zaproponował, że przyniesie coś, co poprawi mi nastrój na tyle, że nie będę się chować pod kołdrą, pomyślałam:

— Jasne, czemu nie?

Jestem taka potulna po części dlatego, że przed paroma tygodniami odstawiłam lit. Nie dlatego, że tego bardzo pragnęła, i nie dlatego, że uszkodził męskość Axlowi Rose'owi (który odstawił lit, kiedy pierwsza żona powiedziała, że zmiękł mu kutas; nie posiadając kutasa, leję na to z góry). Ale miesiąc temu zrobiono mi badania krwi i okazało się, że mam niezwykle wysoki poziom tyotropiny

— mnie więcej dziesięciokrotnie wyższy od normy — co oznacza, że lit sieje spustoszenie w moich gruczołach, co z kolei oznacza, że mogę nabawić się prawdziwych kłopotów. Nadczynność tarczycy jest naszą chorobą rodzinną, a leczenie wywołuje otyłość, wytrzeszcz i rozmaite inne objawy, które wpędziłyby mnie w większą depresję niż przerwa w dostawie litu. Więc przestałam go zażywać. Psychofarmakolog (nazywam jego gabinet na Fifth Avenue Prochownia, ponieważ facet zajmuje się jedynie wypisywaniem recept i wydawaniem prochów) powiedział, że nie powinnam. Powiedział, że dalsze zażywanie litu da efekty odwrotne od symptomów choroby Gravesa (Co to znaczy? — zapytałam. — Czy moje oczy wyschną jak stare rodzynki?), ale ja mu nie ufam. Żyje z prochów i opychanie mnie nimi leży w jego interesie.

Ale miał rację. Bez litu gasnę w oczach. Zdarza się, że siedzę w salonie z Jasonem, który czyta „Timesa”, i ni stąd, ni zowąd rozpoczynam wywód na temat, powiedzmy, degeneracji amerykańskiej rodziny u schyłku dwudziestego wieku i wpływu tego zjawiska na rozpad społeczeństwa wiejskiego. W takich razach Jason wpatrzony w swoją gazetę zastanawia się, czy kiedyś zamknę dziób. Ale najczęściej jestem wyjałowiona, obojętna jak pierwotniak, nieudolna i otepiąta.

Naprawdę potrzebowałam litu, ale byłam zdecydowana kopnąć go w tyłek. Jeżeli kokaina nie pomoże, to trudno. Koka szkodzi w każdy możliwy sposób, ale przynajmniej nie przyprawi mnie o nadczynność tarczycy i nie zmieni w młodszą wersję mojej rozhisteryzowanej, wycieńczonej, znerwicowanej matki. Więc obciągnęłam z Jethro parę kolejek w ubikacji. Pięć minut później, kiedy koka dotarła do mózgu, poczułam się o wiele lepiej. Udałam się nawet do salonu zabawiać gości. Podchodziłam do zupełnie obcych mi ludzi i witałam się z nimi pocałunkiem w policzek, na europejską modłę. Proponowałam im piwo albo fikołki, oprowadzałam po mieszkaniu i pokazywałam, gdzie mogą rzucić płaszcze. Mówiłam: „Jest tu ktoś, kogo po prostu musisz poznać”. Albo chwyciłam Bogu ducha winną dziewczynę za rękę i ciągnąc za sobą, wołałam: „Mam tu dla ciebie wymarzonego chłopaka!” Byłam wielkoduszna, gościnna, wszystko jak trzeba.

Kilka godzin później rozpoczęłam lot w dół. Nie piję, więc alkohol nie mógł złagodzić ostrości doznań. Nagle wszystko stało się brzydkie, groteskowe. Przerazające hologramy pokryły ściany, niby płaskie obrazy z przeszłości, pozbawione koloru i życia. Poczułam panikę, jakbym miała mnóstwo do zrobienia i musiała to zrobić szybko, zanim odpłynę. Po pierwsze, rozprawić się z facetem, z którym spędziłam obrzydliwą noc, który powiedział, że zadzwoni. Nie zadzwonił, ale przyszedł na przyjęcie. Po drugie zadzwonić do tatusia, choćby po to, by przypomnieć mu, że nadal jest mi winien alimenty za cztery lata liceum, kiedy nie mogłam go znaleźć. I milion innych rzeczy, choć nie pamiętałam jakich. Wiedziałam tylko, że jeszcze przez chwilę chcę trwać w tym cudnym, zwariowanym stanie zachwycenia. Przez parę minut chcę się czuć wolna, beztroska i szczęśliwa. Chcę więcej koki. WIĘCEJ KOKI! NATYCHMIAST! Obeszłam na czworakach łazienkę w poszukiwaniu resztek proszku, który by mnie napędził.

A kiedy obmacywałam umywalkę i podłogę przyszło mi do głowy, że takie zachowanie byłoby na miejscu w latach osiemdziesiątych, wydaje się natomiast idiotyczne, naprawdę *pas*se w ascetycznych, dojrzałych latach dziewięćdziesiątych. A potem pomyślałam, że życie nie jest płodem mass mediów i nie wyrzeknę się siebie tylko ze względu na Lena Biasa i Richarda Pryora, czy kogoś tam jeszcze.

Mam więc zamiar poprosić Jethro, by wrócił do Harlemu po więcej koki. Układam plany, mam wzniosłe myśli, robię listę osób, do których zadzwonię, kiedy się znów naszprycuję i zbiorę dość odwagi. Postanawiam spędzić całą noc na pisaniu marksistowsko-feministycznej mono grafii na temat biblijnych łotrów, do której zabieram się od lat. A może znajdę całodobową księgarnię, kupię „Anatomie” Graya, wkuję ją przez noc, rano zdam na Akademię Medyczną, zostanę lekarzem i rozwiążę w ten sposób kłopoty swoje i cudze. Wszystko mam już dokładnie rozpracowane. Wszystko będzie cacy.

Ale zanim doszło co do czego, zwinęłam się na łóżku i zaczęłam chlipać.

Zjawia się Christine, moja najlepsza przyjaciółka, żeby zapytać, co się stało. Ludzie przychodzą po swoje płaszcze zwalone na kupę na moim łóżku. Rzucam się na nich z paznokciami, mówię, żeby poszli w cholerę. Krzyczę na Christine, że chcę odzyskać swój pokój, chcę odzyskać swoje życie. W tym momencie Zap zaczyna wymiotować na płaszcz kogoś, kto nazywa się Roland, i kto zostaje w ten sposób ukarany za to, że przyszedł na moje przyjęcie i uczestniczy w mojej strasznej nocy.

Mam niesamowite, niemal namacalne uczucie, że się rozpadam, choć nie istnieje po temu żaden powód, i — co gorsza — nic na to nie mogę poradzić. Jedna rzecz mnie naprawdę niepokoi: scena, którą odgrywam, coś mi przypomina. Przypomina mi całe moje życie.

Christine, Jason i parę innych osób — Larissa, Julian, Ron — naradzają się za oszklonymi drzwiami mojego pokoju. Słyszę ich przyciszone głosy, o wiele mniej zaniepokojone niż parę lat temu. Widywali mnie już w tym stanie

wiele razy. Wiedzą, że z tego wyjdę, przetrwam i będę żyła dalej. Może to być ostry syndrom przed-miesiączkowy, może to być — i prawdopodobnie jest — kokainowa chandra. Może to w ogóle nic nie jest.

Wyobrażam sobie, co mówi Jason. Mówi: „Znowu odnowiła jej się ta historia”. Wyobrażam sobie, co mówi Christine: „Ma nawrót.” Wyobrażam sobie, co myślą: Gdyby brała swój lit jak grzeczna dziewczynka, nic takiego nie miałyby prawa się wydarzyć.

Zatrząskuję za sobą drzwi łazienki i zwijam się w kłębek na podłodze. Zyskałam właśnie całkowitą pewność, że oni nigdy nie pojmą filozoficznego podłoża mojego stanu. Wiem, że kiedy jestem na licie, wszystko gra, radzę sobie z odpływami i przyptywami życia, znoszę niepowodzenia z zimną krwią, potrafię być dobrym kumplem. Ale kiedy odstawiam mnie od prochów, kiedy mam jasną głowę, rodzą się wątpliwości. Właściwie, dlaczego mam być osobą dojrzałą? Dlaczego mam akceptować przeciwności losu, znosić z wdziękiem upokorzenia młodości? Dlaczego godzić się na ten cały chłam?

Nie chcę sprawiać wrażenia rozpuszczonej dziewczuchy. Wiem, że nawet w najśnieźniejszym życiu deszcz musi popadać, ale w moim przypadku załamanie nerwowe jest zbyt często powracającym tematem. Głosy w mojej głowie, które miały być czymś przemijającym, zadomowiły się na dobre. Jestem na tych cholernych prochach od lat. Na początku chodziło o to, żeby mnie napędzić i przygotować do psychoterapii, teraz wszystko wskazuje na to, że mój stan jest chroniczny, że będę na prochach do końca życia, jeżeli mam w ogóle jakoś funkcjonować.

Sam prozac nie wystarcza. Nie biorę litu zaledwie od miesiąca, a już mi odbija. Czy nie jestem przypadkiem jedną z tych kobiet, jak Anne Sexton czy Sylvia Plath, dla których byłoby o wiele lepiej, gdyby umarły zaraz po urodzeniu? Kobiety te mogą przetrwać kilka czy kilkanaście lat żyjąc w ubogi, zminimalizowany sposób, mogą nawet wyjść za mąż i urodzić dzieci, mogą pozostawić po sobie dziedzictwo artystyczne, mogą być piękne i chwilami urocze, jak Sexton i Plath. Ale koniec końców żadne dobro, żadna wartość nie może zrównoważyć tego rozkosznego samobójczego bólu. Może ja też umrę młodo i w godny politowania sposób, jako tułów z głową w piecyku gazowym. Leżąc na podłodze i płacząc w tę sobotnią noc nie widzę innego wyjścia.

Nie znam wprawdzie statystyk, ale biorąc na logikę pytam: jak długo człowiek może żyć na lekach psychotropowych?! Ile czasu musi upłynąć, zanim mózg, nie wspominając o całej reszcie, zmieni się w papkę? Nie sądzę, żeby maniakalno-depresyjni byli częstymi pensjonariuszami domów starców na Florydzie. A może są? I co jest gorsze: żyć w takim stanie, czy umrzeć młodo i pięknie?

Wstaję, żeby wyjąć kontaktówki, które i tak wypadają, zmywane potokami łez. Założyłam dzisiaj zielone, tę zapasową parę, kupioną na przecenie „dwie pary za cenę jednej”. Noszę je, kiedy mam ochotę skryć się za dziwnymi, sztucznymi oczami. Nadają mi martwy wygląd, jakbym była przybyszem z innej planety, albo bezdusznym manekinem, który gotuje, sprząta i pieprzy się z błogim, idiotycznym uśmiechem. Kontaktówki ześlizgnęły się z tęczówek, mam teraz dwie pary oczu i wyglądam jak żywa lalka, robot z filmu grozy, któremu ślepia wypadły z oczodołów.

Wracam na podłogę.

Wchodzi Jason (goście już sobie poszli) i namawia mnie, żebym przeniosła się na łóżko, głądzi coś o zbawiennej mocy snu, mówi, że rano pocuję się lepiej. A ja mówię:

— Cholera, ty dupku! Nie chcę czuć się lepiej! Chcę rozprawić się z tym problemem albo umrzeć.

Jason siada przy mnie na podłodze, ale wiem, że wolałby być teraz ze swoją dziewczyną, z kimkolwiek, byle nie ze mną. Wolałby zmywać naczynia, zamiatać podłogę, zbierać puszkę i butelki. Wiem, jestem teraz przerażająco zdrowa na umyśle, że sprzątanie wydaje mu się rozrywką w porównaniu z siedzeniem przy mnie.

— Jason, jak długo my się znamy? — pytam. — Ile to lat? Przynajmniej pięć, od drugiego roku studiów.

Jason przytakuje ruchem głowy.

— A ile razy widziałeś mnie w takim stanie? Ile razy znajdowałeś mnie tarzającą się na jakiejś podłodze? Ile razy widziałeś, jak zatapiam sobie nóż do grapefruitów w nadgarstek i krzyczę, że chcę umrzeć?

Nie odpowiada. Nie chce powiedzieć: Zbyt często.

Jasne, to już dwadzieścia pięć lat! Całe moje życie. Od czasu do czasu zdarza się chwila wytchnienia, jak wtedy, gdy kochaliśmy się z Nathanem, jak wtedy, gdy zaczęłam pisać do „The New Yorkera”. Ale nuda codzienności dopada mnie prędzej czy później i wtedy wariuję.

Jason mówi, że kiedy jestem na licie, wszystko jest w porządku. Lit wszystko załatwia.

Zaczynam gwałtownie płakać, zachłystując się śliną, a potem mówię, że mam dość takiego życia.

Płacę dalej i Jason zostawia mnie na podłodze.

Następny wchodzi Julian, który najwyraźniej zostaje na noc, ponieważ zgubił klucze. Zupełnie jak Elizabeth Taylor w „Kleopatrze” — przyjmuję petentów na podłodze w łazience.

Julian wygłasza banały w rodzaju: szczęście jest wyborem, trzeba nad nim popracować. Mówi, że to jest stan wewnętrzny, czy coś takiego.

Mówi: Musisz wierzyć.

Mówi: Uszy do góry! Weź się w garść, dziewczyno! Trudno mi uwierzyć, że mogą być aż tak banalni. Przez chwilę mam ochotę wyjść z siebie i wbić im do głowy parę zasad godnego współżycia z drugim człowiekiem, nauczyć ich, jak okazywać więcej wrażliwości, więcej współczucia.

Ale nie mogę przestać płakać.

W końcu Julian podnosi mnie z podłogi. Mamrocze o jutrzejszym ranku, o tym, że ujrzę wszystko w pogodniejszym świetle, i że kiedy się obudzę, będą już mieli dla mnie lit. Nie rozumie, że ja nie chcę czuć się lepiej rano, że takie życie mnie załatwia. Nie chcę wydostawać się nieustannie z depresji, lecz w ogóle w nią nie popadać. Odpycham Juliana, żądając, żeby mnie puścił. Wrzeszczę i kopię. Biedny Julian! Wsadziłam mu palce w oczy, ponieważ nauczyłam się tego na kursie samoobrony dla kobiet i uznałam, że należy tę wiedzę wykorzystać. Jason słyszy moje wrzaski, przybiega i do spółki z Julianem pakują mnie do łóżka, a ja myślę, że jeżeli nie zastosuję się do ich życzeń, faceci w białych kitlach przyjdą z kaftanem bezpieczeństwa i mnie zabiorą. Myśl bardzo uspokajająca i zarazem, jak wszystko, przerażająca.

Po raz pierwszy przedawkowałam na obozie letnim. Musiało to być w 1979, kiedy skończyłam jedenaście lat, miałam chude uda, wielkie oczy, aksamitne piersi, poparzenia słoneczne i urok dorastającej panienki, urok, który kazał wierzyć, że nic tu nie ma prawa nawalić. Któregoś dnia, podczas godziny ciszy, usiadłam na dolnej pryczy, mając nad głową swoją przyjaciółkę Lisanne i zaczęłam czytać książkę z mottem z Heraklita: „Jak możesz ukryć się przed czymś, co jest w tobie?”

Nie pamiętam tytułu książki, jej charakteru i treści, ale cytat okazał się czymś trwałym, dosłownie wrył mi się w pamięć. Mimo tych wszystkich chemikaliów, których użyłam, by wyjałowić, wybielić swój umysł, wiem, że nigdy nie zdołam uciec od samej siebie.

Chyba że umrę. Oczywiście, nie chciałam się zabić tego lata na obozie. Właściwie nie wiem, co chciałam zrobić. Próbowalam dać wytchnienie umysłowi, czy coś w tym rodzaju. Pozbyć się siebie na krótką chwilę.

Więc połknęłam pięć, czy dziesięć kapsułek ataraksu, leku przeciwalergicznego, który stosowałam na katar sienny. Ataraks, podobnie jak większość leków przeciwhistaminowych, jest środkiem nasennym, więc usnęłam na bardzo długo, wystarczająco długo, by uniknąć lekcji pływania w jeziorze i porannych modlitw pod masztem z flagą, a o to mi przecież chodziło. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego w ogóle jestem zmuszana do podobnych czynności — do gry w siatkę, w kosza, w squash, do wszystkich tych regulaminowych zajęć, których jedynym celem jest zabicie czasu w oczekiwaniu na śmierć. Już wtedy mój prawie dwunastoletni umysł podpowiadał mi, że życie jest jedynie ucieczką przed tym, co nieuniknione.

Obserwowałam dziewczęta w mojej grupie, jak suszą włosy szykując się na wieczorne rozrywki, jak uczą się nakładać niebieski cień na powieki, słuchałam, jak omawiają problemy z chłopcami, problemy w rodzaju: Myślisz, że on mnie lubi? Patrzyłam, jak doskonałą serwy w tenisie i uczą się podstawowych technik ratowania życia, jak wbijają się w obcisłe dzinsy Sassona i wdziewają żakiety na różowych i czerwonych podszewkach, i zastanawiałam się, kogo próbują oszukać. Czy nie wiedziały, że to wszystko jest tylko procesem — procesem, procesem, procesem — unicestwienia?

Wszystko jest plastikowe, wszyscy umrzemy prędzej czy później, więc po co się wysilać?! To była moja dewiza życiowa.

Po ataraksie usnęłam błogo i nikt nawet nie zauważył, że coś jest nie w porządku. Bo i nie było. Jak w piosence Pink Floydów, których słuchałam tego roku na okrągło, czułam się przyjemnie ogłupiona. Myślę, że musiałam być na coś chora, może na grypę, bo mnóstwo czasu spędzałam w łóżku. Nie chciałam wrócić do izby chorych, gdzie syrop o smaku winogronowym był uniwersalnym środkiem na wszelkie dolegliwości. Leżałam więc sobie, a wszyscy uznali, że przychodzę do zdrowia po letniej grypie, czy innej chorobie. A może uznali, że mój stan jest zupełnie normalny. Szkolne koleżanki również zaakceptowały fakt, że zamiast iść z nimi na lunch, chowam się w szatni i tnę nogi żyłką, bawiąc się własną krwią. Przyzwyczyły się, jakby to była normalna czynność, której cała szkoła oddaje się między dwunastą piętnaście a pierwszą w południe. Za każdym razem, gdy któryś z opiekunów próbował wyrwać mnie z łóżka, patrzyłam nieprzytomnym wzrokiem, uznali więc, że lepiej zostawić mnie w spokoju. Nie byłam chyba niczyją ulubienicą.

Zdaje się, że to Lisanne zaniepokoiła się pierwsza. Ciało skulone pod wełnianymi pledami było już wtedy stałym elementem wystroju wnętrza. Po paru dniach przyszła kierowniczką obozu, żeby zachęcić mnie do wizyty u lekarza. Chciałam powiedzieć, że z wielką ochotą oddam się pod jego opiekę — pod czyjąkolwiek opiekę — ale nie byłam w stanie otworzyć ust.

— Więc jak się dzisiaj czujesz? — zapytała kierowniczką siadając w nogach pryczy. Tablicę z rozkładem zajęć sportowych położyła na kocu. Przez mgłę zasnuwającą mi oczy zobaczyłam jej nogi, całe w żyłakach. Nosila tenisówki, tak idealnie białe, jakby dopiero wyciągnęła je z szafy.

— Dobrze.

— Chciałabyś zagrać w siatkówkę ze swoją grupą?

— Nie! — Czy wyglądam na kogoś, kto chce grać w siatkówkę, przykryta po uszy wełnianymi kocami w środku lipca?

— No cóż...! — ciągnęła kierowniczką, jakby to było zupełnie naturalne. — Powinnaś chyba pójść do pielęgniarki, żebyśmy wiedzieli, co ci dolega. Masz gorączkę?

— Przytknęła dłoń do mojego czoła. Matka powiedziała mi kiedyś, że jest to pusta demonstracja matczynej mądrości, niczego bowiem w ten sposób nie da się zmierzyć. — Nie, nie — kierowniczką potrząsnęła głową.

— Temperaturę masz raczej zaniżoną. To pewnie dlatego, że nic nie jesz.

Zastanawiałam się, ile o mnie wie, czy została wtajemniczona w moje akta, czy w ogóle trzymają takie rzeczy na obozach letnich. Czy wiedziała, że w ogóle nie powinnam tu być? Czy rozumiała, że moja matka wysłała mnie na obóz letni, żeby wziąć ośmiotygodniowe wakacje od samotnego rodzicielstwa? Czy wiedziała, że nie mamy pieniędzy, że jestem tutaj z łaski opieki społecznej, ponieważ moja matka pracuje ciężko za marne grosze i nie wie, co ze mną zrobić, kiedy kończy się szkoła? Czy rozumiała, że to jest jedna wielka pomyłka?

— Wcale nie jestem chora — przyznałam. Miałam nadzieję, że kiedy powiem, co mi naprawdę dolega, wezwie matkę, każe mnie stąd zabrać. O to mi tylko chodziło.

— Po prostu mam alergię, poważną alergię. Łyknęłam lekarstwo, pewnie za dużo, bo nie mogę wstać.

— Jakie lekarstwo?

Sięgnęłam do szafki przy łóżku, gdzie trzymałam książki, kasety i lekarstwa. Podetknęłam jej prawie pustą buteleczkę pod nos, potrząsając nią jak grzechotką. — Ataraks. Lekarz mi to dał.

— Rozumiem. — Ponieważ nie miałam nawet dwunastu lat, nie mogła zrzucić winy na okres dojrzewania. Prawdę mówiąc, nie mogła zrzucić winy na nic i na nikogo. Zupełnie jak ja.

Nagle zapragnęłam wyjaśnić wszystko tej dojrzałej kobiecie, która co noc zakręcała włosy na wałki i nosiła imię Agnes albo Harriet, imię sprzed dwóch pokoleń. Chciałam otworzyć fiolkę i pokazać jej ataraks, udowodnić, że zakrętka z zabezpieczeniem przed dziećmi nie stanowi przeszkody dla tego oto dziecka. Chciałam wyjąć duże czarne kapsułki, żeby zobaczyła, jakie są ładne. Były takie kuszące, takie deprymujące, że nie mogłam ograniczyć się do łyknięcia jednej. Te małe czarne aniołki śmierci były tam po to, by cię zabić. Cóż z tego, że leki przeciwhistaminowe są niewiele silniejsze od medykamentów, które kupuje się w drogerii?! Cóż z tego, że lekarz przepisując je miał na myśli wyłącznie pyłek kwiatowy, od którego puchły mi oczy i zatykał się nos?! Cóż z tego?!

W żaden sposób nie potrafiłabym wyjaśnić kierowniczkce obozu letniego mojej chronicznej chandry, powiedzieć jej, że już zraziłam do siebie większość koleżanek z grupy

— były na etapie Donny Summer i Sister Sledge i kłóciły się o to, kto będzie Johnem Travoltą, a kto Olivia Newton-John w obozowej inscenizacji „Grease” — puszczając do późna w nocy „Velvet Underground” na moim małym magnetofonie. Nie były w stanie pojąć, dlaczego słuchanie muzyki disco i tańce wokół domku nie miały dla mnie sensu, skoro mogłam leżeć na betonowej podłodze łazienki, z żarówką nad głową, podczas gdy głos Lou Reeda wabił do nihilizmu?

Nikt nigdy nie pojmie, że nie chciałam być taka. Zazdrościłam dziewczętom, które szalały za chłopcami, były hałaśliwe i rozhasane. Tak bardzo chciałam zakręcać włosy, flirtować i chuliganić, ale jakoś nie mogłam — nie śmiałam — nawet próbować! Na myśl, że za parę tygodni urządzą mi tu urodziny z tortem, ogarniało mnie przeżalenie. Zaśpiewają mi sto lat, a ja zdmuchnę świece, wiedząc doskonale, że jest to tylko akt litości czy może ukłon w stronę konwenansów. Nikt, kto nie znał mnie przedtem, nie uwierzy, że nie zawsze taka byłam, że w pierwszej klasie przekonałam wszystkie koleżanki, że jestem szefem (wystarczyło zagrozić, że jeżeli nie uznają we mnie szefa, nikt spośród tych, których już przyjął do bandy, nie będzie się z nimi przyjaźnił), aż nauczyciel musiał poświęcić całą godzinę wychowawczą, by wyjaśnić, że wszyscy jesteśmy wolnymi ludźmi i nie istnieje coś takiego jak szef, i mimo to przyjaciele nie wypowiedzieli mi posłuszeństwa. Jak mogłam przekonać kierowniczkę, że byłam klasowym

bonzo, że byłam popularna, reklamowałam pampersy w wieku sześciu miesięcy, witaminizowane dropsy pół roku później, że jako sześciolatka napisałam serię książeczek o pielęgnacji psów, jako siedmiolatka przerobiłam „Morderstwa na Rue Morgue” na sztukę teatralną, jako ośmiolatka napisałam ilustrowaną książkę pod tytułem „Pingwinka Penny” i nikt przy zdrowych zmysłach nie przypuszczał wówczas, że skończę jako na wpół martwa jedenastolatka.

Matka przypisywała zmiany w mojej osobowości dojrzewaniu, jakby krew menstruacyjna mogła sprowadzać szaleństwo. Udawała sama przed sobą, że jest to przejściowe stadium i można mnie wysłać na obóz. Skoro moja własna matka nie dostrzegła, co się dzieje, jak mogłam zawierzyć kierownicze, która doszła, zdaje się, do bezpiecznej konkluzji, że przypadkiem wzięłam więcej tabletek niż powinnam?! Być może bezustanny deszcz przyprawił mnie o taki katar sienny, że troszeczkę przeholowałam.

— Zdajesz sobie sprawę, że leki wydawane na receptę powinny znajdować się u pielęgniarki? — powiedziała, jakby to miało jakieś znaczenie. — Należało oddać je pielęgniarce na początku lata. Zadbałyby o to, byś otrzymywała je w odpowiedniej dawce.

Powinnam powiedzieć: Czy wyglądam na kogoś, komu zależy na tym, żeby otrzymywać pieprzone pigułki w odpowiedniej dawce?

Niewiele wyniknęło z mojej pogawędki z kierowniczką. Widziałam, jak poszeptuje z moimi bezpośrednimi opiekunami. Pytała zapewne, dlaczego tak dużo śpię. Następnego dnia przyszedł mnie obejrzyć starszy stażem personel medyczny, po czym życie potoczyło się dawnym torem.

Rodzice nigdy nie przybyli zbrojnie do obozu w górach Pocono, by mnie uprowadzić. Sądząc ze sposobu, w jaki kierowniczka spojrzała na butelkę ataraksu, te tabletki były dla mnie największym zagrożeniem. Ale już wtedy wiedziałam, że w rzeczywistości największym zagrożeniem dla mnie jestem ja sama. Kiedy wróciłam do domu, matka nie wspomniała nawet o incydencie z ataraxsem. Ojciec, podczas cosobotniej popołudniowej wizyty, która w praktyce była wizytą comiesięczną, wydusił z siebie słowa mające wyrażać pewien niepokój. Moim zdaniem, wszyscy uważali, że nastąpił wypadek, pięciolatek bawi się zapalkami i opala sobie paluszki, dwunastolatka dysponuje większymi możliwościami wpakowania się w kłopoty, łyka za dużo tabletek, śpi odrobinę za długo. To się zdarza.

W poniedziałek rano, dwa dni po przyjęciu, jestem z powrotem w Prochowni na Fifth Avenue, czyli w gabinecie doktora Iry. Według zegarka jest trzecia po południu, dla mnie — rano.

Doktor Ira wymyśla mi, że odstawiłam lit bez skonsultowania z nim. Wyjaśniam, że spanikowałam, choroba Gravesa i w ogóle. Z kolei on wyjaśnia, że badania krwi, które przeprowadzam co parę miesięcy, pozwalają określić stan mojego zdrowia tak dokładnie, że wiedzielibyśmy o problemie zanim sytuacja wymknęłaby się spod kontroli i podjęlibyśmy natychmiastowe kroki mające zapobiec kryzysowi. Brzmi to rozsądnie. Nie protestuję. Poza tym doktor Ira twierdzi, że wyniki ostatnich badań krwi są w normie. Uważa, że pomyłka była wynikiem błędu komputera, który źle umieścił kropkę, zmienił 1.4 na 14. Obecnie poziom tyrotropiny w moim organizmie jest przeciętny — 13.8.

Nie wiem, rzecz jasna, co oznaczają te wszystkie cyfry i nie chcę pytać. Ale nie mogę pozbyć się dręczącego podejrzenia, że to wszystko nie jest aż tak proste. W wielkim skrócie chodzi o to, że: prozac ma minimalne efekty uboczne, lit ma ich trochę więcej, ale razem wzięte robią ze mnie normalną istotę ludzką. I nie mogę pozbyć się myśli, że coś, co działa tak skutecznie, musi wyrządzać mi jakąś szkodę innego rodzaju, szykuje zasadzkę na dalszym odcinku drogi.

W wyobraźni słyszę już słowa: „nieoperowalny rak mózgu”, które jakiś lekarz wyszeptał mi do ucha za dwadzieścia lat.

Podobno żadna materia czy energia nie ulegają zniszczeniu, lecz zostają przekształcone w coś innego. Ja jednak ciągle nie wiem, jakiej metamorfozie uległa moja depresja. Podejrzewam, że nadal tkwi w mojej głowie, niszcząc moją materię, albo, co gorsza, czeka, aż mój organizm wyczerpie zapasy prozacu i wtedy zaatakuję. Stanie się ze mną to, co z chorymi w filmie „Przebudzenie”. Po paru miesiącach na jawie wpadnę znów w śpiączkę.

Przy każdej wizycie na Fifth Avenue wyluszczam swoje wątpliwości doktorowi Irze. Mówię: Niech pan będzie ze mną szczery, coś, co tak działa, musi mieć nieznaną czarną stronę. Albo, obierając inną taktykę: Spójrzmy prawdzie w oczy, jestem jedną z pierwszych osób, którym zaaplikowano prozac. Kto mi zagwarantuje, że nie będę przypadkiem, który udowodni, że prozac powoduje, powiedzmy... nieoperowalnego raka mózgu?

Doktor Ira* wypowiada parę pocieszających kwestii, wyjaśnia po raz kolejny, pod jak ścisłą jestem obserwacją, przyznając jednocześnie, że psychofarmakologia jest dziedziną bardziej sztuki niż nauki, że on i jego koledzy po fachu ciągle jeszcze błędzą w mrokach niewiedzy. Słowem, zachowuje się tak, jakby lekarze nie mówili kobietom tego samego o wstrzykiwaniu silikonu w piersi, jakby nie twierdzili, że valium jest nieszkodliwym środkiem uspokajającym, a halcjon cudowną tabletką nasenną. Jakby procesy o odszkodowanie od firm farmaceutycznych nie były na porządku dziennym.

Ale jestem tak wyczerpana depresją, że przed opuszczeniem gabinetu doktora Iry łykam dwie małe tabletki prozacu, zieloną i białą, i przyrzekam solennie przyjmować lit dwa razy dziennie, a także połykać dwadzieścia miligramów inderalu — normalnie stosowanego na obniżenie ciśnienia — ponieważ muszę zneutralizować drżenie rąk i inne widoczne gołym okiem skutki uboczne litu. Następnym przyjmowaniem leków jest przyjmowanie dalszych leków.

I kiedy patrzę w lustro na młodą, pozornie zdrową dwudziestopięcioletką o różanej cerze i wyraźnie zarysowanych bicepsach, myślę, że nie ma siły, każdy człowiek przy zdrowych zmysłach musi przyznać, że jest tych pieprzonych pigułek trochę za wiele.

Rokująca nadzieję

Zdarzenia katastrofalne zazwyczaj są klarowne, zachodzą w ułamku sekundy: wybijasz ręką szybę — pojawia się krew, odłamki szkła zaplamione czerwienią; wpadasz przez okno — łamiesz to i owo, zdierasz trochę skórę. Szwy, gips, bandaże i środki antyseptyczne załatwiają sprawę. Depresja nie jest nagłą katastrofą. Przypomina raczej nowotwór. Początkowo obca, wroga masa jest niedostrzegalna nawet dla uważnego obserwatora, aż tu nagle — trach! — okazuje się, że masz wielką, siedmifuntową bulwę w mózgu, w brzuchu, w wątrobie i to coś, co twoje ciało wyprodukowało, naprawdę próbuje cię zabić. Taka właśnie jest depresja. Powoli, całymi latami w twoim sercu i

umyśle gromadzą się dane, komputerowy program totalnej negacji zostaje wpisany w twój organizm, sprawiając, że życie staje się nie do zniesienia. A ty nawet nie zauważasz zbliżania się wroga. Myślisz, że to kolejna faza dorastania, że ma to coś wspólnego z faktem, iż skończyłaś osiem lat albo dwanaście, albo piętnaście. Aż któregoś dnia pojmujesz nagle, że całe twoje życie jest ohydne, nie warto zachodu, jest horrorem, czarną plamą na białym polu ludzkiej egzystencji. Pewnego ranka budzisz się z lękiem, że będziesz żyć.

Myśl, że mogę żyć, u mnie akurat nie wywoływała przerażenia. Byłam pewna, absolutnie pewna, że już umarłam. Sam proces umierania, unicestwienia cielesnej powłoki, był czystą formalnością. Moja dusza, moja istota emocjonalna, czy jak zechcecie nazwać ten wewnętrzny świat, który nie ma nic wspólnego z fizyczną egzystencją, zniknęła już dawno, umarła i nawet ją pogrzebano. Został po niej jedynie cholerny, rozdzierający ból, zupełnie jakby rozgrzane do czerwoności szczypce zamknęły się wokół mojego kręgosłupa i rozgniatały nerwy. Mówiąc o depresji chciałabym zaznaczyć, że nie ma ona nic wspólnego z życiem. W życiu jest miejsce na smutek, ból i rozpacz, które to stany — w stosownym natężeniu i w stosownej fazie życia — są normalne, nieprzyjemne, ale normalne. Depresja jest zjawiskiem zupełnie odmiennym, wywołuje kompletną pustkę, pustkę bez uczuć, bez reakcji, bez zainteresowań. Ból, jaki odczuwasz, jest wynikiem prób podejmowanych przez naturę wypełnienia czarnej dziury. Tak czy owak, człowiek dotknięty głęboką depresją pozostaje żyjącym trupem.

Najbardziej przerażające jest to, że osobnik tkwiący w kleszczach depresji nie potrafi powiedzieć, w jaki sposób dał się pochwycić. Pamiętam taki znakomity dialog w „Słońce też wschodzi”; ktoś pyta Mike'a Cambella, jak to się stało, że zbankrutował, a on mówi: „Stopniowo, a potem nagle”.

Kiedy ktoś pyta, w jaki sposób straciłam rozum, tak właśnie odpowiadam.

Miałam około jedenastu lat, kiedy to się stało. Może dziesięć, a może dwanaście, w każdym razie było to przed okresem dojrzewania. Innymi słowy, nikt się tego nie spodziewał. Pamiętam dzień, 5 grudnia 1978 roku, kiedy zauważyłam suche, brązowe plamy, będące najwyraźniej śladami krwi na moich białych, bawełnianych majtkach. Tego wieczora byłam umówiona z matką w Bloomingdale na zakup zimowego płaszcza. Powiedziałam jej o plamach na majtkach, powiedziałam, że chyba dostałam okres (wiedziałam o menstruacji z książek „Cykl życia”, które czytałyśmy z Lisanne w szkole podstawowej, czyli w czasie, o jakim mowa), a matka zdołała tylko wykrztusić: „O, nie!” Potem powiedziała, zdaje się: „Boże dopomóż, zaczęły się kłopoty”, w każdym razie z jej słów wywnioskowałam, że nagle stanę się trudna i humorzasta, co w zasadzie już było prawdą.

Kiedy próbuję zrozumieć, w którym miejscu źle skręciłam, obrałam złą drogę na rozstajach życia, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że fakt przyjścia na świat w połowie Lata Miłości (31 lipiec 1967), podczas natłoku rozmaitych rewolucji — bezproblemowy rozwód i feminizm, wolna miłość i Wietnam — miał z tym coś wspólnego. Nie podoba mi się myśl, że taki, a nie inny rozwój osobowości wraz z całym zapisem idiosynkrazji można wyjaśnić za pomocą prostego stwierdzenia: „Takie to były czasy”, ale faktem jest, że kontrkultura lat sześćdziesiątych — wraz z jej alter ego: zachłannością lat osiemdziesiątych — wryła na mnie swoje piętno.

A jednak nie zostałam wychowana przez zbankowanych rodziców-hippisów, którzy paliliby hasz w Central Parku i nosili dzieciaka w koszulce bawełnianej z nadrukowanym krawatem, zawieźli niemowlę do Woodstock i poniesieni falą nieokrępej, nieodpowiedzialnej dorosłości spaczyli mu nieodwracalnie osobowość. Nic bardziej dalekiego od prawdy. Moja mama była zagorzałą republikanką, głosowała na Nixona trzy razy, chciała eskalacji wojny w Wiet-

namie i na początku lat sześćdziesiątych, jako studentka trzeciego roku w Cornell, poszła na wykład Williama F. Buckleya. Według jej słów, na wykład stawiła się nieliczna grupka studentów — uczelnia była jedną z bardziej liberalnych — rozłożyła więc płaszcz na kilku siedzeniach, żeby zapełnić krzesła (nawiasem mówiąc, mama jest jedyną znaną mi osobą, która nadal uważa Olivera Northa za bohatera). Tata był apolityczny, nie miał absolutnie żadnych aspiracji zawodowych i pracował jako niższej rangi urzędnik w dużym przedsiębiorstwie. Nosił krótkie włosy i rogowe okulary w stylu Buddy'ego Holly'ego, czytał Isaaca Asimova i słuchał Tony'ego Bennetta. Najbliżsi dyskusji politycznej byliśmy w chwili, gdy miałam osiem lat, a on powiedział, że to nieładnie ze strony prezydenta Forda, że wybaczył Nixonowi, ponieważ kłamać jest bardzo brzydko. W gruncie rzeczy moi rodzice nie wykazywali żadnych symptomów niekonwencjonalności, chociaż od czasu do czasu kupowali płyty Mary Travers.

Podobnie jak rodzice większości moich rówieśników, nie należeli do niczym nie skrępowanych i z nikim nie związanych wędrownych ptaków lat sześćdziesiątych. Byli na to odrobinę za starzy. Urodzili się w roku 1940 zamiast w 1944 albo 1945 (w epoce przyśpieszenia pięć lat stanowi ogromną różnicę). Rodzice moich kolegów pokończyli studia i z początkiem lat sześćdziesiątych dołączyli do rzesz pracujących, na dobrych parę lat przed tym, jak kraj opanowały zamieszki studenckie, manifestacje antywojenne, kultura seksu, narkotyków i rock and rolla. Zanim kultura ta osiągnęła apogeum, mieli już dzieci i byli rozdarci między starą wiarą w tradycyjny dom i tradycyjną rodzinę a nowym poglądem, że wszystko jest możliwe, że alternatywny styl życia czeka za rogiem. Oni tkwili już w małżeństwach, które kiedyś wydawały im się koniecznością, z dziećmi, których dorobili się niemal przez przypadek, w świecie, który nagle zaczął głosić: „Konieczność nie istnieje! Nie istnieje przypadek. Rzuć wszystko!” Byli odrobinę za starzy na to, by korzystać w pełni z rewolucji kulturowej i dostały im się z niej same resztki. Wolność przyszła do nich pokraczna, wynaturzona. Zamiast poczekać ze ślubem, nasi rodzice rozwodzili się, nasze matki, zamiast feministkami, stawały się gospoiami domowymi. Ich niezadowolenie, rozczarowanie, odbijało się na dzieciach. Mieć potomstwo z człowiekiem, którym się pogardza, to trochę tak, jak spowodować zderzenie samochodów, a potem przez resztę życia składać wizyty paralitykowi z tego drugiego auta. Nigdy nie uda ci się zapomnieć o popełnionym błędzie.

Moi rodzice byli doskonałym tego przykładem. Co im strzeliło do głowy, żeby się w ogóle pobierać?! Może miał z tym coś wspólnego fakt, że mama wychowała się ze stadkiem kuzynek, które wychodziły za mąż jak nakręcone. Dała się zasugerować. Zresztą z jej punktu widzenia małżeństwo było jedynym sposobem wydostania się z rodzinnego domu. Poszła do Cornell, żeby zostać architektem, ale ponieważ matka powiedziała jej, że w najlepszym wypadku zostanie sekretarką architekta, ukończyła historię sztuki mając na uwadze ten właśnie cel. Drugi rok studiów spędziła na Sorbonie i robiła wszystkie podniecające rzeczy, jakie porządna, żydowska dziewczyna z Long Island może robić w Paryżu: jeździła motorowerem, nosiła czarną pelerynę, chodziła na randki z młodymi arystokratami. Po studiach wróciła jednak do rodzinnego domu i miała w nim pozostać aż do wyjścia za mąż (Z pewnością istniało mnóstwo odważnych kobiet, które odrzuciły ten model życia, które wynajmowały mieszkanie do spółki z koleżankami, pracowały, chodziły na randki, premiery teatralne i prelekcje, ale moja mama nie była jedną z nich.) Zatrudniła się u Macy'ego i pewnego dnia spotkała w windzie mojego ojca. Pobrali się w niecały rok później.

Po ślubie moi rodzice robili dziwne rzeczy. Tata dostał pracę w IBM, przeprowadzili się więc do Poughkeepsie, gdzie mama wariowała z nudów, kupiła sobie małą Percy w charakterze domowego zwierzątka. Potem zaszła w ciążę i uznawszy, że dziecko jest lepsze od małpy, wróciła do Nowego Jorku. Nie była w stanie pozostać ani chwili dłużej w mieście, które składało się w połowie z Vassar College, w połowie z IBM. Ojciec pojechał za nią, urodziłam się ja, kłócili się, byli nieszczęśliwi, on odmówił zrobienia studiów, znów się kłócili, aż pewnego dnia okazało się, że

nie mogę przestać płakać. Mama zadzwoniła do taty do pracy i powiedziała, że jeżeli natychmiast nie przyjedzie i nie uciszy tej cholernej dziewczuchy, to poderżnie jej gardło. Ojciec dotarł na czas i jakoś to załatwił, ponieważ żyję, ale wydaje mi się, że w tym momencie skończyło się ich małżeństwo. Jakiś czas potem próbowali zawiesić obrazek na ścianie i mama stanowczo odmówiła trzymania gwoździa, jeżeli ojciec będzie go wbijał. Była pewna, że on nie trafi w cel, zmiażdży jej palec i ona skończy w bandażach. Po historii z gwoździem poszli do poradni małżeńskiej, gdzie kazano im się bawić kolejką dziecinną, co miało ujawnić rodzaj ich problemów. Ze sposobu, w jaki ustawiali wagoniki na szynach, doradca małżeński wysnuł wniosek, że sprawa jest beznadziejna. Mama wyrzuciła tatę z domu, wrócił więc do swojej matki i chorego na cukrzycę ojca-alkoholika, do mieszkania w bloku przy Brighton Beach i to był koniec.

Małżeństwo rodziców mogło umrzeć łagodnie śmiercią naturalną, przy obopólnym zrozumieniu. Cóż, popełnili błąd, byli dziećmi bawiącymi się w dom. Klops w tym, że mieli mnie i to ja stałam się polem bitwy, na którym toczyli swoje zmagania jeszcze wiele lat po rozwodzie.

Pamiętajmy, że był to Nowy Jork końca lat sześćdziesiątych: Harlem był spalony, Columbia University zamknięty? Central Park stał się międzynarodowym centrum wolnej miłości i narkotyków, a moja mama drętwiała na samą myśl zostania samotną matką obarczoną eksmężem pasożytem. Posłała mnie do przedszkola przy synagodze w nadziei, że to da mi poczucie przynależności i stabilności-Ojciec, który odwiedzał mnie raz w tygodniu, mówił o ateizmie i nalegał, żebym jadła homary, szynkę i inne zakazane potrawy. Był uzależniony od valium i większą część sobotnich wizyt przesypiał na kanapie, pozostawiając mnie własnemu losowi. Oglądałam telewizję, malowałam farbami albo biegłam do mamy powiadomić ją, że: „Tata się nie rusza. Chyba umarł” (Pewnego razu zabrał mnie do kina na „Ostatni walc” i odpłynął. Nie mogłam go dobudzić, więc przesiedzieliśmy trzy seanse. To chyba wyjaśnia, dlaczego czuję taką mięć do Robbiego Robertsona.)

Przez wiele lat mama wychodziła z siebie, żeby dać mi solidne, mieszczańskie, tradycyjne wychowanie, podczas gdy ojciec mówił, że powinnam zostać artystką, poetką, żyć z uprawy ziemi, albo czegoś w tym rodzaju. Jego pomysły mogły zalatywać wolnomyślicielstwem, ale światopogląd ojca i jego zmęczenie życiem nie było osadzone w żadnej studenckiej cygańskiej filozofii wyznającej zasadę: „Żyj i daj żyć”. Nie mógłby pochodzić z rodziny bardziej robotniczej i bardziej imigranckiej, nawet gdyby chciał. W dodatku zamiast na studia poszedł do wojska. Nie był tęp, ani wyjątkowo nieudaczny, był po prostu dekonikiem. Gdy mama — pracując na pół etatu i próbując mnie wychowywać — walczyła o to, by utrzymać się choćby w najdalszym ogonie burżuazji, ojciec robił wszystko (nie pracując w ogóle), żeby trzymać się od niej z daleka. Ciągnęło się tak latami, aż dla wszystkich stało się jasne, że wpadliśmy w krzyżowy ogień rewolucji i wojna domowa zniszczyła nawet te słabe podstawy, jakie rodzice mogli mi stworzyć.

Nie wątpię, że będąc dzieckiem pary zhipisiałych ćpunów czy politykierów, przechodzisz inny koszmar i masz własną listę życiowych klęsk. Rzecz przedstawia się jeszcze gorzej, kiedy dorastasz w rewolucyjnych czasach, w samym środku rozwibrowanego Nowego Jorku, a wychowują cię ludzie niezaangażowani w nową kulturę. Mama była zdecydowana uchronić mnie przed tym, co postrzegała jako czyste wariactwo, a tato — który wkrótce po rozwodzie zaczął faszerować się środkami uspokajającymi — był zobojętniały na wszystko. Jestem przekonana, że gdyby któreś z nich posiadało silne przekonania czy wartości warte przekazania, mój światopogląd byłby o wiele mniej

krwiożerczy. Ale oni potrafili ofiarować mi tylko swój strach. Mama bała się świata zewnętrznego, tata bał się mamy i mnie. Żyliśmy w paranoicznym domu, w którym każdy wybierał sobie wrogów, i każdy walczył z każdym.

Pewnego dnia — mogłam mieć wtedy dziesięć lat, nie więcej — ojciec powiedział mi, że nie chciał mieć dziecka z moją mamą. Ich małżeństwo było do kitu i on zawsze twierdził, że dziecko to nie najlepszy pomysł, ale kiedy mama zaszła w ciążę, był zachwycony. Powiedział, że matka chciała mnie usunąć, praktycznie zwałół ją siłą z ginekologicznego fotela. Kiedy powtórzyłam mamie rozmowę z ojcem, rozplakała się, powiedziała, że było akurat odwrotnie. Ona mnie chciała, a on nie. Zważywszy, że to ona była moją prawną opiekunką, troszczyła się o mnie, kochała mnie, podczas gdy on przespał większą część mojego dzieciństwa, a potem uciekł nie pozostawiając adresu, zakładam, że mama mówiła prawdę. Ale jakie to ma znaczenie? Samotne matki rodzą dzieci, i te dzieci wyrastają na normalnych ludzi. Nieważne, ilu rodziców posiada dziecko, dopóki ludzie oddziałują na nie w pozytywny sposób. Ja miałam rodziców, którzy byli w stanie nieustającej wojny ze sobą. Nie dali mi nic, prócz chwiejnych podstaw, na których musiałam budować swoje puste, udręczone „ja”.

Rozwiedli się zanim skończyłam dwa lata.

Oto moje jedyne wspomnienie o ojcu z czasów, gdy mieszkaliśmy w tym samym domu. Wchodzę do sypialni rodziców i widzę ojca w wielkim łóżku, okulary sterczą mu na nosie trochę krzywo, głowa opada na jedną stronę. Niby patrzy na mnie, ale niezupełnie. Jakby jego wzrok nie sięgał miejsca, w którym stoję. A może w ogóle nie patrzy. W buzi mam smoczek, jeden z trzydziestu, które nazwałam po imieniu, jeden z trzydziestu smoczków, którymi bawię się przez całą noc, leżąc w pościeli, z podkulonymi nogami. Tata walczy ze snem, ponieważ mama jest już na nogach i krząta się w kuchni, już robi omlety i cafe au lait. Pościel ma kolor kasztanowy, a poprzeczne pasy różnej szerokości, ostatni krzyk mody, mają przywołać na myśl obrazy Franka Stelli. Są proste i zdecydowane w rysunku, mój tata zaś jest pokręcony i galaretowaty.

Na ścianie wisi plakat, bardzo popularny u schyłku lat sześćdziesiątych — złamane serce zlepione plastrem Band-Aid. Jakby zreperowanie czegokolwiek było aż takie proste (a może jest to plakat szyderczy?!). Ojciec, wtedy jeszcze bez brody, podpira się na rękach i siada. Za sobą ma czarne, antyczne wezglowie z kutego żelaza.

We wszystkich moich wczesnych wspomnieniach ojciec śpi, właśnie się budzi lub szykuje do snu. Po rozwodzie z matką zabierał mnie często do chińskiej restauracji, potem zmykał do swojej kawalerki, włączał telewizor i zasypiał. W weekendowe popołudnia nie nadawano nic prócz transmisji z zawodów uniwersyteckich — pamiętam wiele meczów koszykówki — które mnie w ogóle nie interesowały i powtórki seriali, z których nic nie rozumiałam (ojciec przeciwnie, był beznadziejnym przypadkiem serialowicza, tyle tylko że większość odcinków przesypiał). Od czasu do czasu zdarzała się relacja z imprezy dobroczynnej lub innego makabrycznego wydarzenia historycznego. Czasem tata przynosił mi model samolotu lub samochodu do złożenia i pomalowania szarą farbą. Po złożeniu należało przylepić do pojazdów oznakowania aliantów i państw Osi. Nie znam drugiej dziewczynki, która sklejałaby modele samolotów, a ja sklejałam je tylko dlatego, że musiałam coś robić, kiedy on spał. Czasem szarpałam ojca, próbując nakłonić go, by mi pomógł przyczepić skrzydło albo pomalować szczelinę srebrną farbą, ale on spał jak zabity.

Nie miałam mu za złe, że przesypia spotkania. W końcu, ile można powiedzieć trzyletniemu dziecku?! To, co można, powiedział prawdopodobnie przy lunchu. Parę lat później, kiedy zaczęłam co nieco rozumieć, powiedziałam matce, że moim zdaniem on jest narkoleptykiem, a ona odparła, że wszyscy mężczyźni tacy są, że w wojsku uczą się spać byle gdzie, więc potem wykorzystują tę umiejętność. Kiedy byłam już na tyle duża, by sama zapytać go,

dlaczego przesypia te okruchy naszego wspólnego życia, ojciec opowiadał coś o nerwach — o nerwach i o valium, o librium, o miltown i tak dalej, i tak dalej.

Kiedy mam trzy lata, matka wyjeżdża na trzy tygodnie do Izraela pod pretekstem rozejrzenia się w tamtejszych warunkach. Nie jesteśmy szczególnie religijne, ale matka uważa, że Bliski Wschód, gdzie strefy wojny leżą zazwyczaj poza domem, nadaje się na wychowanie dziecka lepiej niż nasze mieszkanie. Ojciec powiedział mi, że matka wyjeżdża, ponieważ straciła rozum. Niezależnie od tego, jaki jest prawdziwy powód wyjazdu matki, tata wprowadza się do naszego mieszkania na czas jej nieobecności. Uznaję ten układ za wspaniały, wszystko to oznacza, że mogę się spóźniać do przedszkola. Ojciec przesypia ranki.

Śpi na zielonej kanapie w salonie (najwyraźniej nie ma ochoty wrócić do łóżka, które kiedyś dzielił z mamą). Każdego ranka wstaję o świcie, koloruję książeczki, czytam „Doktora Seussa”, jeżdżę na koniku na biegunach albo oglądam „Kapitana Kangura” i czekam, aż tata wstanie i da mi śniadanie. Mijają godziny. Kiedy zbliża się pora lunchu, wchodzę na palcach do salonu i wbijam wzrok w ojca licząc na to, że obudzi go siła mojego spojrzenia. Próżne nadzieje!

W końcu podchodzę do kanapy, staję w miejscu, gdzie spoczywa jego głowa, wyciągam rączkę i bardzo ostrożnie unoszę mu powiekę, zupełnie jak policjant badający ciało na miejscu zbrodni. Przez dłuższy czas widać samo białko, w końcu jednak w polu mojego widzenia ukazuje się źrenica, co oznacza, że w polu jego widzenia ukazuję się ja. Wygląda na oszołomionego, jakby nie takiego widoku się spodziewał, jakby jechał zbyt długo samochodem i zapomniał, że wziął autostopowicza. Kim jest ten obcy ktoś, pochylony nad jego twarzą?

Więc mówię: To ja, tato.

Równy przez trzy tygodnie przychodzę do przedszkola spóźniona przynajmniej o trzy godziny, a Patti, wychowawczyni, tylko się śmieje. Tato udaje przed dziećmi kaczora Donalda i wychodzi.

Za każdym razem, gdy idę do nowego psychiatry — a tych pierwszy raz jest całe mnóstwo — odpowiadam na serię rutynowych pytań. Najpierw następuje rozpoznanie natury medycznej: Czy jesteś uczulona na penicylinę? Z kim można się kontaktować w razie nagłego wypadku? Jakie leki zażywasz? Potem przychodzi kolej na rozpoznanie środowiskowe: nie od strony anegdotycznej, co jest przedmiotem samej terapii, lecz historycznej, a więc: Czy istnieją przypadki depresji w twojej rodzinie? Na początku zapomniałam o wszystkich moich zwariowanych krewnych, o kuzynkach, które próbowały się zabić, o prababce, która zmarła w domu wariatów, O dziadku alkoholiku i babci dotkniętej straszną melancholią, i o moim ojcu, który ma najwyraźniej wszystkiego dość. Zapominam o tych wszystkich ludziach i mówię: „Jestem tylko ja”. Naprawdę nie czuję, by ktoś z tych ludzi był ze mną spokrewniony, pewnie dlatego, że są ze strony ojca, a on nie wydaje się częścią mojej rodziny.

Pamela, moja kuzynka, próbowała się zabić podcinając sobie żyły, przynajmniej tak głosi rodzinna legenda. Dotarły do mnie opowieści o tym, jak zapaskudziła łazienkę, ale pełną relację usłyszałam dopiero po latach od ojca. Dodał, że brat Pameli również próbował, tyle że z narkotykami. Moja opinia o kuzynach jako dość przeciętnych, nijakich młodych ludziach była już tak mocno ugruntowana, że nie zmieniły jej nawet rewelacje tatusia. Zresztą brałam dużą poprawkę na to, co mówił. Byłam przekonana, że sam jest świrnięty.

Przypadek prababci, która umarła w domu wariatów, wydawał mi się równie mało znaczący. W tamtych czasach mogli zamknąć kobietę u czubków, ponieważ chciała zarabiać na życie, albo zażądała rozwodu. Poza tym mogła mieć gruźlicę albo tyfus. Co do dziadka, to trudno było ustalić, co mu dolega poza starością i słabym zdrowiem. Był stary i chory już w chwili, kiedy przyszedłem na świat. Dopiero kiedy umarł, a my nie poszliśmy na pogrzeb, tato powiedział mi, że dziadek był strasznym pijanicą i tłukł babcię. Pewnej nocy tato połamał mu żebra, próbując go zabić (kto wie, ile w tym prawdy). Dla mnie dziadek Saul był po prostu łagodnym starym człowiekiem. A babcia Dorothy, no cóż... Musiała mieć straszne życie, ja jednak znałam ją jako starszą panią, która gotowała dla mnie rosół z kury podczas tych rzadkich okazji, kiedy tato zabierał mnie w odwiedziny do dziadków (on sam, rzecz prosta, przespisał wizytę w fotelu klubowym przed telewizorem). Poza rosołem pamiętam jeszcze małe mieszkanko pełne podrabianych antyków, dywan ze strzyżonej wełny i impresjonistyczną tapetę przedstawiającą karuzelę na Coney Island. W moich oczach babka nie różniła się niczym od innych nadopiekuńczych, dziecięcych żydowskich babek.

A mój tata... Myślałam, że jest po prostu bardzo zmęczony

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że kuzynki, prababcia, dziadek mogą stanowić dla mnie jakieś obciążenie.

Ale teraz, po latach, dochodzę do wniosku, że nieszczęście jest w naszej rodzinie dziedziczne. W rodzinie ojca było go tyle, że naprawdę należałoby coś z tym zrobić, jakoś położyć temu kres, choć nie mam pojęcia, w jaki sposób. Nie rozumiem, dlaczego ktoś nie rozpostrze wielkiego, czarnego parasola nad naszymi głowami i nie osłoni nas przed deszczem.

Przytaczam więc historię rodzinnych depresji kolejnemu psychiatrze, a on czuje się zobowiązany podkreślić znaczenie genetycznego czynnika chorób psychicznych. Następnie opowiadam mu co nieco o mojej najbliższej rodzinie. W miarę jak narracja się rozwija, twarz lekarza poważnieje coraz bardziej. W końcu mówi: „Nic dziwnego, że czujesz się przygnębiona”, albo coś podobnego, jakby to była najbardziej oczywista odpowiedź, jakby moja sytuacja rodzinna była wyjątkowo alarmująca, choć, w czasach, o których mowa, była to rodzina zupełnie typowa. Myślę o swoim dzieciństwie i czuję się jak zespół danych statystycznych w biurze spisu ludności, jak przedmiot badań nad zmieniającą się naturą amerykańskiej rodziny pod koniec dwudziestego wieku. Moi rodzice są rozwiedzeni, wychowałam się w domu, który utrzymywała kobieta, bezrobotna, albo chwilowo zatrudniona, mężczyzna zaś był nieobecny lub chwilowo obecny. Zawsze brakowało pieniędzy, mama musiała procesować się z tatą o zaległe alimenty i nie zapłacone rachunki lekarskie, tato nieodmiennie znikał bez śladu. Ale wszystko to jest równie mało interesujące jak fabuła powieści Ann Beattie. A nawet mnie.

Pamiętam, jak na pierwszym roku studiów przesiadywałam z nowymi przyjaciółkami w sypialniach i kafeteriach do późna w noc, porównując rodzinne historie grozy. Rywalizowaliśmy ostro w konkursie na najmniej odpowiedzialnego ojca (Jordana zawsze narzekała, że jej tata ma dość pieniędzy na wytworne wina i apartament przy Park Avenue, ale nie stać go na postawienie córce przyzwoitego obiadu), lub na najbardziej roztrzęsioną, rozhisteryzowaną lub wyczerpaną obowiązkami rodzicielskimi matkę (ten konkurs zawsze wygrywałam). Z dużym zainteresowaniem próbowałyśmy dociec, kto dłużej nie ma kontaktu z „dochodzącym” rodzicem (z reguły ojcem), dlatego że a) ożenił się i przeprowadził do San Diego, b) jest dużej klasy dupkiem, który drapnął z miasta bez wyraźnego powodu.

Im więcej miałam do czynienia z ludźmi z rozbitych domów, tym bardziej banalna i zwyczajna wydawała mi się własna historia rodzinna. Czuję się cholernie głupio, siedząc u psychiatry i opowiadając o swoich problemach,

ponieważ nieodmiennie nasuwa mi się myśl: „Jezu Chryste, i co z tego?!” Nie mogę postawić znaku równości między natężeniem cierpienia, rozpacz i bólu, jakiego doznałam jako jednostka o

skłonnościach depresyjnych, a wydarzeniami z mojego życia. Wydają się tak zwyczajne. Moja reakcja na nie jest niewspółmiernie silna, ale, doprawdy, trudno zwalić całą winę na statystyczny fakt życia.

Kiedy człowiek uświadomi sobie powszechność depresji — zwłaszcza wśród nastolatków — doświadcza czegoś w rodzaju odrętwienia, jakby wymierzono mu zbyt dużo razy na zmarzniętą, odrętwiałą dłoń. Razy pozostawiają krwawe ślady, lecz nie boją. Szczegóły drogi, jaką ten czy ów przebył, zanim dotarł do fiołki z zoloftem, paxilem, prozakiem, przyczyny, dla których ten czy ów cierpi na ciężką depresję, wydają się mniej znaczące niż prosty fakt istnienia tej choroby. Pytając: „jak to się stało, że wpadłeś w depresję?”, jestem przygotowana na kolejną, milionową wersję historii rodzinnej. Do jej stałych elementów należą: rozwód, śmierć, alkoholizm, narkotyki, oraz liczne ich kombinacje. Czy istnieje ktoś na tym świecie, kto uważałby, że jego rodzina nie jest wynaturzona?

Z pewnością tato nie przespał wszystkich odwiedzin w naszym domu. Był przecież zapalonym fotografem, kochał swojego nikona, a ja byłam jego ulubionym obiektem. Ustrzec go przed zaśnięciem można było jedynie wręczając mu aparat fotograficzny. Zdjęcia, które zrobił mi we wczesnym dzieciństwie, są najlepsze: jako dwulatka gonię wiewiórkę w Central Parku, piję wodę z fontanny w zoo, siedzę na półce w biurze mamy — z zadartą sukienką i majtkami na wierzchu — chodzę po domu ubrana w buty mamy i jej okulary słoneczne, wyprowadzam psa. Jest również fotka, na której siedzę po turecku na ławce w parku, w rozciągniętych szortach i bawełnianej koszulce, z warkoczykami, indiańskimi paciorkami na szyi i tajemniczym wyrazem twarzy. Językiem wypycham policzek, jakbym była znudzona lub zdezorientowana. Zdjęcie jest tak zabawne, że zrobiono z niego pocztówkę z napisem: „Ludzie lubią mnie nie mniej niż ciebie”. Podobno sprzedawała się dobrze w Kalifornii.

Pewnego razu, kiedy tato robił mi zdjęcia w zoo w Central Parku (miałam wtedy dwa, trzy lata), zapytałam, kiedy wróci do domu.

— Kochanie, nie wrócę — powiedział. Musiałam patrzeć w ziemię, ponieważ pamiętam sześciokątną kostkę, którą wybrukowane było zoo.

— Ale mama mówi, że wrócisz — zaprotestowałam.

— Jestem pewien, że tego nie mówiła — powiedział tato i zamilkł. Wyglądał na wyczerpanego, jakby lada chwila miał zemdleć. — Mamusia i ja nie będziemy już razem mieszkać — odezwał się po chwili. — Próbowaliśmy ci to wytłumaczyć. — Po namyśle dodał: — Co nie oznacza, że mniej cię kocham.

— Ale, tatusiu! — nalegałam. — Mamusia kazała mi powiedzieć, że jeżeli chcesz wrócić do domu, to ona ci Pozwala.

— Jestem pewien, że to nieprawda.

Oczywiście miał rację.

W tym mniej więcej okresie — na początku ich separacji, kiedy jeszcze oboje wysilali się na grzeczność — ojciec opiekował się mną, kiedy mama wychodziła. Czasami przyprowadzał ze sobą Elinor, moją przyszłą macochę, a ja bawiłam się wielkimi jaskrawymi chustami od Pucciego, które Elinor nosiła do swetrów z półgolfem. Owijałam sobie nimi głowę, albo głąskałam miękki jedwab. Mieszkanie miało długi, wąski korytarz pełen szaf i moją ulubioną

zabawą było stawanie na butach taty, który trzymał mnie pod pachy, i maszerowanie z nim razem tym długim korytarzem. A kiedy zbliżała się pora snu, kazałam tacie stawiać znoszone, brązowe półbuty pod drzwiami mojego pokoju. Mogłam wychylić się z łóżka i zobaczyć je, a wtedy wiedziałam, że on nie odszedł. Zupełnie jakbym przeczuwała, że któregoś dnia zniknie bez śladu.

Przed położeniem się spać pytałam zawsze tatę i Elinor, kiedy się pobiorą. Czasem groziłam, że ich zastrzelę, jeżeli nie zrobią tego prędko. Nie mając bladego pojęcia, jak wygląda prawdziwa rodzina, cieszyłam się, że ojciec ożeni się powtórnie, a ja pójdę na prawdziwy ślub. Taki ślub musiał być zupełnie niepodobny do zaślubin Barbie z Ko-nem i moich z Markiem Cooperem, kiedy on powiedział, że mogę być Catwoman, jeżeli on będzie Batmanem, co w praktyce oznaczało, że nie naskarzę na niego pani przedszkolance, kiedy on złoł mi skórę. Po tych wszystkich ślubach na niby chciałam być prawdziwą dziewczynką do sypania kwiatków i dostać nową sukienkę. Chyba nigdy nie przyszło mi do głowy, że tata i Elinor mogą mnie po prostu nie zaprosić na ślub: na ceremonię, przyjęcie z szampanem i uroczystą kolacją. Kiedy to nastąpiło, mama powiedziała, że widocznie tatuś uznał zaproszenie mnie za nie najlepszy pomysł. Ale ja miałam dopiero pięć lat i rozumiałam tylko, że odbywa się przyjęcie, a ja nie zostałam zaproszona.

Myślę, że właśnie wtedy po raz pierwszy nabrałam podejrzeń, że ludzie mogą zniknąć.

Przeprowadziłyśmy się z matką do Upper West Side i stałam się członkiem zupełnie nowej rasy dzieci, która mniej więcej w tym czasie wyłoniła się z kolektywnej bazy genów. Ta część Manhattanu stała się później dzielnicą yuppies i absolwentów uniwersytetów, ale wtedy roilo się tam od samotnych matek, ortodoksyjnych Żydów, tancerek baletowych, intelektualistów wyjętych żywcem z filmów Woody Allena. Zdarzali się również artyści. Plac zabaw w Central Parku pełen był hippisek, które skończyły jako żony i siedziały teraz na ławkach ubrane w dżinsy i chodaki, i pilnowały dzieci. Dzieci te z reguły były mądre nad wiek, ubrane w skórzane spodnie i obwieszone paciorkami miłości. Sklecone naprędce hippisiątka, wygadane i sprytnie... nie wiedziały jeszcze, co to jest seks i skąd biorą się dzieci, ale używały słów „seksowny” i „pieprz się”. Były to dzieci, które stanowczo zbyt wiele czasu spędzały w towarzystwie dorosłych.

Ten typ dziecka reprezentuje córka w filmie „The Goodbye Girl”. Jest o wiele dojrzalsza i bardziej rozsądna od swojej mamy-tancerki, która traktuje miłość, komorne, karierę i bolące krzyże z niezmiennym poczuciem humoru, balansującym na granicy hysterii. Marsha Mason jest dobrą, odpowiedzialną matką, ma bzika na punkcie swojej córki i nie zdradza żadnych skłonności do zaniedbywania czy maltretowania dziecka, choć bez wątplenia jest lekko stuknięta. Taka właśnie jest moja matka. W końcu zawsze płaciła czynsz za mieszkanie, opłacała opiekunkę do dziecka, płaciła czesne w prywatnych szkołach, znajdowała jakąś dorywczą pracę, dzięki której miałyśmy co na grzbiet włożyć. Ale wszystko to było bardzo przypadkowe. Miałam takie dziwne wrażenie, że znajdujemy się o krok — o jeden rachunek, o jednego dłużnika, o jedną posadę — od opieki społecznej. Pamiętam, jak stałam z mamą w kolejce po zasiłek dla bezrobotnych i pamiętam, jak błagała ojca, by wysłał mnie do prawdziwego lekarza, bo w żadnym razie nie odda mnie do szpitala, nawet jeżeli on uważa, że jest dla mnie wystarczająco dobry. Pieniądze — a raczej ich brak — panowały niepodzielnie w naszym domu.

Podobnie jak matka i córka w „The Goodbye Girl”, mama i ja świetnie się bawiłyśmy w tym dziwnym i niestabilnym domu, byłyśmy o niebo lepsze jako kumpelki niż jako rodzic i dziecko. Chodziłam do żydowskiej szkoły, gdzie poziom rozwodów wśród rodziców był stosunkowo niski (główny powód, dla którego matka mnie tam posłała),

odwiedzałam domy przyjaciółek i dziwiłam się, że są takie nudne. Ojcowie byli z reguły starzy, sztywni i nieprzystępni. Nosili ciemne garnitury i pokazywali się w pokoju dziecinnym tylko po to, by dać reprimendę albo sprawdzić pracę domową. Byli łysawi i przy kości, i brzydko pachnieli. Matki, pozbawione wszelkiej klasy, zaniedbane i gderliwe, pachniały równie paskudnie. Nie wydawały się zabawne, nie należały do ludzi, do których można zwracać się po imieniu, niezależnie od ich wieku. Radość posiadania dzieci była im zupełnie nieznaną. Rodzice ci po prostu nie dotarli do sedna rodzicielstwa. Za to moja mama naprawdę bawiła się ze mną... kiedy była w domu. Pomagała mi kolorować obrazki, maczała herbatniki w mleku albo tańczyła po salonie do „Free to Be You and Me”.

Zaprzyjaźniałam się też z dziewczynami, które siedziały ze mną pod nieobecność mamy. Splatały w warkocze moje długie włosy i uczyły rysować węglem i akwarelami. Wypytywałam o ich chłopców i namawiałam, by przywiodły ich ze sobą. Jedna z nich miała ojca pijaka, który przez kilka godzin walił w drzwi mieszkania, grożąc, że zabije nas obie. Inna z kolei miała starszego brata, który uczył się na księdza. Po latach dowiedziałam się, że uzależniła się od heroiny i urodziła dwójkę nieślubnych dzieci.

Ale tak naprawdę było mi wszystko jedno, komu powierzono zadanie pilnowania mnie przez parę godzin dziennie od wyjścia ze szkoły do powrotu mamy z pracy. Byłam najszczęśliwsza, kiedy zostawiano mnie samą z moimi dziwnymi zajęciami: karmieniem koników polnych, które przywiozłam do domu z pikniku, pisaniem ilustrowanych książeczek o zwierzętach, czy po prostu zaliczaniem kolejnych rozdziałów podręcznika matematyki, podczas gdy reszta pierwszej klasy nadal tkwiła przy dodawaniu i odejmowaniu. Miałam tak ogromne zasoby wewnętrzne, że czasami nie wiedziałam, jak się bawić z innymi dziećmi. Wydawały mi się takie dziecinne, zwłaszcza w porównaniu z mamą, czy moimi opiekunkami: Nelsą, Kristiną i Cynthią, które chodziły już do ogólniaka i nosiły dzinsy--biodrówki malowane na udach w kwiaty.

Rzecz w tym, że aż do chwili pierwszego załamania nerwowego w wieku lat jedenastu, jawiłam się jako wzorowe dziecko. Prawda, moi rodzice okazali się z lekka zbiegowani i przez większą część czasu skakali sobie do oczu, ale potrafiłam zatrzeć złe wrażenie. Byłam cudowną, uroczą, przedwcześnie rozwiniętą małą dziewczynką, brylującą w szkole, byłam małym despotycznym, cholernym uparciuchem.

Chociaż nie prowadziłyśmy koszerne domy, udało mi się wygrać pięć razy z kolei szkolny konkurs żydowski, polegający na recytowaniu błogosławieństw związanych z potrawami. Wycofałam się z tej dziwacznej konkurencji po wygraniu konkursu krajowego, gdzie startowałam przeciwko chłopcom z pejsami i dziewczętom, które nosiły długie rękawy i grube rajstopy w połowie czerwca. Na lekcjach religii zbierałam plusy za znajomość cytatów hebrajskich, które deklamowałam z pamięci. Nauczyciele wiedzieli, że w domu nikt nie zna hebrajskiego i nie mogli się nadziwić, że uczę się sama (w końcu mama poczuła, że zostawiam ją w tyle i zapisała się na kurs hebrajskiego). Przepelniało mnie poczucie własnej niezwyciężoności. Nikt nie przypuszczał nawet, że byłam bezwzględnie przekonana, iż potrafię dokonać wszystkiego, czego zapragnę. W siódmej klasie utworzono dla mnie, dla mojej przyjaciółki Dinah i rosyjskiej imigrantki Violi specjalną klasę z rozszerzonym programem, żebyśmy mogły uczyć się we własnym tempie.

Odnosiłam sukcesy nie tylko w szkole. Sama nauczyłam się grać w tenisa odbijając przez parę godzin dziennie piłkę o ścianę naszego bloku. Dzielnica była wielorasowa, lecz wcale nie zintegrowana i plac zabaw na dachu Food City przed naszym blokiem wypełniony był białymi dziećmi

I ich mamami w ciągu dnia, wieczorem zaś przechodził pod panowanie czarnych nastolatków. Któregoś dnia o zmierzchu, kiedy dzielnica zmieniała tożsamość, zaprzyjaźniłam się z nastolatkiem o imieniu Paul. Grywałam z nim regularnie w naszą własną odmianę squasha. Kiedy mama dowiedziała się o Paulu — który był, jak zauważyła, czarnym nastolatkiem, a więc prawdopodobnie młodym narkomanem — wygrzebała skądś pieniądze na lekcje tenisa w szkole. Nie było mi przeznaczone żyć na ulicy. Dopiero kiedy pojechałam na obóz letni i po raz pierwszy zetknęłam się z dziewczętami z rodzin yuppich z Long Island, które brały prywatne lekcje, należały do klubów sportowych i miały korty na tyłach domów, zaczęłam wątpić w to, że wyrosnę na drugą Chris Evert.

Trudno mi przypomnieć sobie tamto życie, tak pozbawione zwątpienia, tak czyste w swej zarozumiałości. Jak to możliwe, aby cała ta życiowa energia obróciła się w pragnienie śmierci? Jak prędko moje dobrze rozwinięte superego zmieniło się w rozlazłą, galaretowatą podświadomość!

Zanim się naprawdę rozpadłam, w wieku dziesięciu, jedenastu, czy dwunastu lat, byłam postrzegana jako dziecko rokujące nadzieje. Określenie to kryje w sobie morze ironii, ponieważ wiem, jak zwodniczy jest ten pozór nadziei. Wiem, ile ukrytej rozpacz i cierpienia kryje się za tą desperacją. A przecież jestem pewna, że kiedyś miałam rumiane policzki i blask podniecenia w oczach, który sugerował tyle możliwości. Byłam astronautą, który wzięci wysoko, ponad słońce, ponad cały szeroki świat.

Nigdy nie musiałam się lękać katastrofy przy lądowaniu, ponieważ nigdy nie oderwałam się od ziemi.

II

Sekretne życie

Odwiedzam doktora Isaaka dwa razy w tygodniu, co, moim zdaniem, powinno być nieznośnym obciążeniem dla jedenastoletniego dziecka, dla mnie natomiast jest samą przyjemnością. Doktor Isaac zadaje mnóstwo pytań, a ponieważ uwielbiam mówić, zwłaszcza o własnych sprawach, uważam, że to świetna zabawa. Nie sądzę, żebyśmy dzięki tym sesjom osiągnęli jakieś wymierne rezultaty. Mielibyśmy szansę dotrzeć do źródła problemu, gdyby ono istniało, ale moja choroba ma charakter niekontrolowany, uderza na oślep. Doktor Isaac wygłasza od czasu do czasu orzeczenia, które wydają się sensowne. Mówi:

— Ponieważ twoi rodzice rozwiedli się kiedy byłaś mała, po czym żyli na tak różne sposoby, wyznając przeciwstawne systemy wartości, masz wątle podwaliny, poszatkowaną osobowość.

Albo:

— Jesteś nad wiek rozwinięta i bardzo wrażliwa, toteż przeżywałaś głęboko to wszystko, co się wokół ciebie działo, kiedy byłaś malutka, ale zniszczenia w twojej psychice ujawniają się dopiero teraz.

To, co mówi ma wszelkie pozory prawdopodobieństwa, mnie jednak nasuwa się nieodparcie jedno pytanie: I CO Z TEGO? Wszystko to już wiem. Problem, co z tym zrobić.

Doktora Issaka rekomendowała mamie szkolna pani psycholog, kiedy zaczęłam spędzać więcej czasu w jej gabinecie niż w klasie. Zarekomendowała po tym, jak pani Edelman, nauczycielka matematyki i trenerka drużyny koszykarek przyłapała mnie na rżnięciu nogi żyletką. Robiłam to przy dźwiękach „Horses” Patti Smith. Nie zadawszy sobie nawet trudu, by zapytać, co robię (choć zapytała, czego słucham), pani Edelman zawlokła mnie na piętro do gabinetu psycholożki — dosłownie przeciągnęła mnie po podłodze za ramię, aż do windy, tej zarezerwowanej dla nauczycieli, co sprawiło, że od razu poczułam się kimś ważnym — i wstawiła do gabinetu lekarskiego, pokazując palcem, jakby chciała powiedzieć: „Spójrz tylko na to”. Jakby była adwokatem, a ja dowodem rzeczowym A, całym materiałem, jakiego potrzebowała, żeby wygrać sprawę. Jej gest mówił: To sprawa dla zawodowca.

W zamian za uroczystą przysięgę, że już nigdy nie potnę sobie nóg wymogłam na psycholożce — którą tytułowano panią doktor Bender, choć miała tylko tytuł magistra — obietnicę, że nie powie nic mojej mamie. O żyletkach.

Na pomysł z żyletkami wypadłam w tym samym czasie, kiedy zaczęłam chować się przed ludźmi w damskiej szatni. Spędzałam tam wszystkie przerwy na lunch. Zabierałam czarnosrebrnego panasonica, przeznaczonego do nagrywania głosu, nie muzyki, i słuchałam z przejściem chropawych nagrań. Popularny hard rock, muzyczny chłam, brzmiał w moich uszach jak pieśń wyzwolenia. Siedziałam w szatni jedząc ser i ananasy z termosu (uważałam, że jestem gruba) i była to chwila wytchnienia od ludzi, nie tylko od nauczycieli, ale i przyjaciół.

Czasem siadywałam na podłodze w szatni, oparta plecami o betonową ścianę i wyobrażałam sobie, że wracam do dawnego życia, do osoby, którą kiedyś byłam. Transformacja odwrotna nie byłaby już takim wielkim szokiem. Mogłabym spróbować znów rozmawiać z ludźmi, mogłabym usunąć z twarzy ten wyraz zaskoczenia, jakbym właśnie przed chwilą ujrzała całą okropność świata. Mogłabym się znów śmiać.

Wyobrażałam sobie, że robię rzeczy, które robiłam kiedyś, na przykład gram w tenisa. Co jakiś czas podejmowałam decyzję, najczęściej wczesnym rankiem w drodze do szkoły, że tego dnia będę radosna i ożywiona, będę miła, będę się uśmiechać, podniosę rękę na lekcji matematyki. Pamiętam te dni i pamiętam wyraz ulgi, jaki pojawiał się na twarzach moich przyjaciół. Stali zbici w gromadkę na niebieskiej wykładzinie holu i czekali aż powiem: Wszystko jest plastikowe, wszyscy umrzecie..., albo coś w tym rodzaju. A ja podchodziłam i mówiłam: „Dzień dobry”. Odprężali się, rozluźniali ramiona, czasem któryś z nich mówił nawet: „O rany, jesteś znów dawną Lizzy”, niby ojciec, który pogodził się w końcu z myślą, że najstarszy syn został szytą i wyjeżdża do Iranu, gdy wtem dzieciak wraca do domu i oznajmia, że jednak pójdzie na studia prawnicze. Moi przyjaciele i moja matka, jeżeli już o to chodzi, byliby zachwyceni wiedząc, do jakiego stopnia jestem sobą.

Rzecz w tym, że stwarzając tę alternatywną osobę, sobowtóra, chciałam zwrócić na siebie uwagę, chciałam być inna. I być może na początku, kiedy zaczęłam snuć się po szkole, i mówić o plastiku i śmierci, był to rodzaj eksperymentu. Ale wkrótce alternatywna „ja” stałam się zwykłą, prawdziwą „ja”. Próby powrotu do dawnej Elizabeth, dziewczyny, którą powinnam być, zupełnie mnie wykończyły. Wracałam ze szkoły do domu i płakałam godzinami, ponieważ tylu ludzi spodziewało się po mnie tylu różnych zachowań. Był to dla mnie za duży stres, jakby ktoś przygwoździł mnie do ściany i przesłuchiwał godzinami, zadając pytania, na które nie mogłam odpowiadać.

Pamiętam panikę, jaka ogarnęła mnie któregoś dnia w szkole, kiedy uświadomiłam sobie, że nie mogę już nawet udawać dawnej Lizzie. Naprawdę przekształciłam się w nihilistyczną, nieszczęśliwą dziewczynę. Zupełnie jak Gregor

Samsa, który obudziwszy się, stwierdził, że zmienił się w półtorametrowego karalucha, z tą tylko różnicą, że to ja sama stworzyłam potwora, który mnie stopniowo opanował. Tym się stałam. Tym będę do końca życia. Jest źle, a w przyszłości będzie jeszcze gorzej. Naprawdę. Nie znałam słowa „depresja” i nie zapoznałam się z nim jeszcze przez jakiś czas, ale czułam, że dzieje się coś bardzo złego. Czułam, że ja jestem zła — moje włosy są złe, moja twarz jest zła, moja osobowość jest zła, mój Boże, nawet mój wybór gałek w lodziarni w drodze ze szkoły jest zły! Jak mogłam pokazywać się ludziom z taką mlecznobiałą cerą, takimi ciemnymi, smutnymi oczami, takimi prostymi, anemicznymi włosami, krągłymi biodrami i talią jak osa?! Jak mogłam pozwolić, by ktoś mnie taką oglądał? Jak mogłam narażać innych ludzi na kontakt z sobą, z zakałą ludzkości?! Byłam jedną wielką pomyłką.

Tak więc któregoś dnia siedziałam w szatni przerażona tym, że resztę życia spędzę chowając się przed ludźmi. Wyjęłam klucze z tornistra. Na kołku, oprócz klucza wisiały cążki do paznokci i pilniczek. Zrolowałam skarpetki (musiałyśmy chodzić do szkoły w spódnicach) i spojrzałam na swoje nagie, białe nogi. Nie zaczęłam ich jeszcze golić, ponieważ mama uważała, że jestem na to za młoda, patrzyłam więc na delikatny brzoskwiniowy puszek, miękki i dziewiczy. Idealna, nieskalana powierzchnia. Wzięłam pilnik i ostrą krawędzią przesunęłam po łydce, obserwując czerwoną linię krwi. Byłam zaskoczona, że cięcie jest tak proste, i że tak łatwo zdołałam się zranić. To było niemal przyjemne. Zawsze zdrapywałam strupy i ściągałam płatki skóry z poparzonych słońcem ramion, niepokoiłam swoje ciało. To był po prostu kolejny etap. Samodzielne torturowanie okazało się o wiele bardziej satysfakcjonujące, nie musiałam już liczyć na komary i ostre krzewy podczas spacerów po lesie. Zrobiłam jeszcze parę cięć między nogami, tym razem operując pilnikiem dużo sprawniej, mniej ostrożnie.

Wcale nie chciałam się zabić, wtedy jeszcze nie. Ale chciałam się upewnić, że jeżeli zajdzie taka potrzeba, jeżeli ogarnie mnie desperacja, potrafię wyrządzić sobie krzywdę. Najwyraźniej potrafiłam. Ta świadomość dała mi spokój i poczucie władzy, więc zaczęłam ciąć się po nogach systematycznie. Ukrywanie blizn przed matką było sportem samym w sobie. Kolekcjonowałam żyłki, kupiłam nóż myśliwski, byłam zafascynowana różnorodnością ostrych krawędzi i różnymi doznaniem, jakich dostarczały skórce. Wypróbowywałam narzędzia o różnych kształtach — kwadraty, trójkąty, pięcioboki, nawet jedno rozłupane serce z raną po nożu. Chciałam sprawdzić, czy będzie bolało tak samo, jak boli złamane serce. Ku swemu zdumieniu i zadowoleniu stwierdziłam, że nie.

Gabinet doktora Isaaka.

Znajduje się na skrzyżowaniu 40 Street i Second Avenue, kawał drogi autobusem M104, więc często zwalniam się wcześniej ze szkoły. Uważam to za wielki walor doktora Isaaka. Nienawidzę szkoły. Czasem wyznaczam wizytę w środku dnia, mówiąc mamie, że był to jedyny wolny termin, wychodzę ze szkoły i już nie wracam.

Doktor Isaac pyta:

— Czy nie opuszczasz ostatnio zbyt dużo lekcji, Elizabeth?

Czasem kłamię i mówię, że mam dzień wolny od zajęć, bo są urodziny piętnastowiecznego rabina, albo coś w tym rodzaju. Wkrótce dochodzę jednak do wniosku, że mogę mu powiedzieć prawdę. To znaczy, prawdę o urywaniu się ze szkoły.

Zaczyna się to odbijać na moich stopniach. Spadają poniżej czwórki. Kiedyś prawie się biczowałam za cokolwiek poniżej szóstki — szóstka z minusem była już sygnałem alarmowym — a teraz jest mi zwyczajnie wszystko jedno. Nauczyciele biorą mnie na stronę i pytają, co jest grane. Nagle stają się bardzo przystępni, mówią: „Jeżeli masz problem, zawsze możesz przyjść z nim do mnie”. Twierdzą, że stać mnie na więcej. Nauczyciel Talmudu, rabi Gold,

wyjmuje oprawiony w skórę egzemplarz „Through the Looking Glass”, który czytam pod ławką zamiast śledzić z uwagą zawity teologiczny spór o to, jak wielka musi być kropla mleka, żeby przekształcić całe naczynie mięsa w pokarm koszerny (sugeruje on jedną sześćdziesiątą objętości garnka, choć niektórzy polemisci upierają się przy jednej siedemdziesiątej). Po lekcji próbuje ze mną rozmawiać, ale słucham go z roztargnieniem. Słyszę, że mamrocze jakieś słowa tym swoim liturgicznym śpiewnym głosem:

— Kiedy widzę, że jedna z moich najlepszych uczennic nie potrafi mi nawet powiedzieć, którą sidrę omawiamy dzisiaj, wiem, że coś jest nie w porządku.

Nic mnie to nie obchodzi. Przykro mi, że obraziłam tego miłego człowieka swoją obojętnością, ale nie wiem, jak mogłabym temu zaradzić. Nie obchodzi mnie, że mnie to nie obchodzi, jednak trochę obchodzi mnie to, że nie obchodzi mnie, że mnie nie obchodzi (czy nadążasz za tokiem mojego rozumowania, czytelniku?) i trochę mi żal tych wszystkich miłych ludzi, którzy marnują na mnie swój czas. Wszystko to jest znakomitą pożywką dla mojej choroby. Nie dość, że czuję się smutna, to na dodatek winna.

Wszystkim, którzy chcą i nie chcą słuchać, mówię to samo;

— Życie jest bezsensowne w świetle faktu, że prędzej czy później umrzemy. Po co robić cokolwiek — myć włosy, czytać „Moby Dicka”, zakochać się, po co siedzieć sześć godzin w kinie na „Nicholasie Nickleby”, po co próbować dostać się do właściwej szkoły, po co tańczyć i słuchać muzyki, skoro wszyscy staczymy się ku nieuniknionemu końcowi? Krótkość życia — mówię — sprawia, że wszystko jest bezsensowne wobec nieukończoności śmierci. Kiedy patrzę w przyszłość widzę swoją śmierć.

A oni odpowiadają:

- Może dopiero za siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat? A ja mówię:

- Może wy, bo ja już umarłam.

Nikt jakoś nie kwapi się z pytaniem, co przez to rozumiem, i bardzo dobrze, ponieważ nie wiem, co przez to rozumiem. Nie to, żebym planowała wkrótce umrzeć, ale moja dusza już odeszła w nicłość, więc zastanawiam się: Hej, ile czasu pozostało mojemu ciału? Mówi się o duszach bez ciała, blakających się po świecie w poszukiwaniu stałego miejsca pobytu, a ja nie mogę pozbyć się myśli, że jestem pustym ciałem. Jestem pewna, że na świecie jest mnóstwo ludzkich skorup. W każdym razie, nie wyjaśniam, co mam na myśli mówiąc o śmierci, choć świetnie zdaję sobie sprawę z tego, że przerażam ludzi, bardziej niż trochę, i to jest moja ostatnia mała przyjemność: ta świadomość, że inni się boją, ten widok ich smutnych, niepewnych twarzy, jakby chcieli powiedzieć: „No dobra, przekonałaś nas, chcemy do psychiatry!” Czerpię przyjemność z zadawania bólu innym. Moje życie stało się wyciskaczem łez i cieszę się z wywieranego efektu.

Matka płacze na widok mojego świadectwa. Ellie, co się z tobą stało, pyta i płacze.

— Moje dziecko! Co się stało z moim dzieckiem?!

Dzwoni do doktora Isaaka i pyta, czy nie może leczyć mnie szybciej. Idzie z nim porozmawiać i wkrótce jest tak wyczerpana kontaktami ze mną, że sama zostaje jego pacjentką.

Mam teraz sekretne życie, o którym matka nie wie, albo nie chce wiedzieć. Parę razy w miesiącu wstaję rano, ubieram się jak do szkoły, biorę tornister, ale zamiast do szkoły idę do McDonalda, piję herbatę i jem omlet na śniadanie, czekam do dziewiątej, aż mama wyjdzie do pracy, po czym wracam do domu i kładę się do łóżka na resztę dnia. Czasem idę do biblioteki publicznej mieszczącej się na 42 Street i czytam na mikrofilmie stare artykuły o Bruce'u Springsteenie. Szczycę się zwłaszcza odkryciem artykułów z 5 października 1975 roku, kiedy zdjęcie Bruce'a

ukazało się jednocześnie na okładce „Time'a" i „Newsweeka". Ale zazwyczaj leżę błogo pod kocami w łóżku mamy i oglądam seriale na ABC, wszystko jak leci od „Ali My Children" przez „One Life", „Live" po „General Hospital".

Czasem leżę we własnym łóżku i godzinami słucham muzyki. Zawsze Bruce'a Springsteena, co jest dziwne, przynaję, zważywszy, że robi się ze mnie miejski pieszczoł, a on jest rzecznikiem wymiętoszonych, robotniczych przedmieść. Ale identyfikuję się z nim tak bardzo, że marzę o tym, aby być chłopcem z New Jersey. Próbuję przekonać mamę, że powinniśmy się tam przeprowadzić, że powinna pracować w fabryce, w przydrożnej restauracji jako kelnerka, jako sekretarka w biurze ubezpieczeń. Tak bardzo pragnę, by moje warunki życiowe harmonizowały z moją udręką duchową. Wszystko to zaczyna być śmieszne. W końcu Springsteen wyśpiewuje pragnienie rzucenia w cholerę nowojerseyowskiego bagna, a ja próbuję przekonać mamę, że powinniśmy się w nie wpakować.

Wykombinowałam sobie, że gdybym należała do młodej, białej biedoty, gdybym mogła zaznajomić się z robotniczą chandrą, miałaby powód, by czuć się nieszczęśliwa. Byłabym wkurwioną robotnicą o poglądach marksistowskich, oderwaną od owoców swojej pracy. Moje nieszczęście miałoby jakiś sens.

Tylko tyle chcę od życia: żeby ten ból nie był bezcelowy.

Wydaje mi się niemożliwe, żeby dziewczyna z prywatnej szkoły na Manhattanie borykała się z problemami tego rodzaju. Koncepcja białego, mieszczańskiego, wysublimowanego nieszczęścia jakoś do mnie nie dociera i jest mało prawdopodobne, bym ją odkryła słuchając całe dnie rock and rolla. Nie wiedziałam nic o Joni Mitchell, Djunie Arnes, Virginii Woolf i Fridzie Kahlo. Nie wiedziałam, że istnieje dziedzictwo kobiet, które przekształciły wszechogarniającą depresję w wielką sztukę. Dla mnie istniał tylko Bruce — i Clash, Who, Jam, Sex Pistols, wszystkie te zespoły rockowe ryczące o rozwaleniu systemu społecznego w Zjednoczonym Królestwie, co miało niewiele wspólnego z tym, że w USA człek jest tak samotny, że mógłby umrzeć.

Może chwyciłabym za gitarę i sama coś napisała, ale Upper West Side Manhattan jako metafora gorzkiej, zagubionej młodości nie wydawał mi się nawet w połowie tak prawdziwy jak ciemne alejki robotniczych przedmieść, przejażdżki karuzelą i kolejką wzdłuż wybrzeża Jersey. Nic nie było warte sztuki, literatury, czy choćby zwykłego przeżycia. Wszystko w moim życiu wydawało się zbyt głupie, dziewczynskie, zbyt mieszczańskie. Pozostawało mi tylko zamknąć się w sobie i pozostać w świecie Bruce'a Springsteena, muzyki o ludziach skądinąd, dla ludzi robiących co innego. To musi mi wystarczyć, ponieważ nie istnieje nic innego.

Myślę o sobie: Stałam się tak niemożliwa i gburowata, że w końcu będą musieli coś z tym zrobić. A potem uświadamiam sobie: oni uważają, że robią wszystko, co w ich mocy i to nie działa. Nie mają pojęcia, w jakiej otchłani rozpaczy się znajduję. Będą musieli robić więcej, coraz więcej, jeszcze więcej. Uważają, że psychiatra to dość, uważają, że wystarczą powierzchowne próby, jakie podejmuje każdy rodzic, kiedy dziecko wymyka mu się z rąk, ale nie wiedzą, jak ogromnych starań ja wymagam. Nie wiedzą, jak wiele od nich zażądam, zanim w ogóle pomyślę o wyzdrowieniu. Nie wiedzą, że nie jest to próbny alarm pożarowy, mający przygotować ich na prawdziwe piekło. Piekło jest teraz. Dzwony wybijają słowa: za późno, o wiele za późno, a ja wiem na pewno, że oni nadal nie słuchają. Nadal nie wiedzą, że muszą robić więcej, coraz więcej, jeszcze więcej, że muszą próbować dotrzeć do mnie nie śpiąc, nie jedząc, nie oglądając nieba. Będą musieli próbować, dopóki za mnie nie umrą. Będą musieli cierpieć, jak ja cierpię. A nawet wtedy nie będę miała dość. Będą musieli odwrócić bieg gwiazd, będą musieli skończyć zimną wojnę, będą musieli postępować jak kochający, dobrzy dorośli ludzie, którzy troszczą się o siebie nawzajem, będą musieli zlikwidować głód w Etiopii i zakończyć handel żywym towarem w Tajlandii, położyć kres torturom w Argentynie.

Będą musieli zrobić więcej niż im się kiedykolwiek wydawało możliwe. Jeżeli chcą, żebym pozostała przy życiu. Nie mają pojęcia, ile energii mam zamiar z nich wyssać zanim poczuje się lepiej. Wyszę ich do ostatniej kropli krwi, a wtedy dowiedzą się, jak niewiele ze mnie zostało, ponieważ nienawidzę ich za to, że nie wiedzą

Podczas gdy moje życie toczy się powoli, z trudem, niby poplątany, guzowaty kłębek wełny, przeżuty, poszarpany przez bandę złych kotów, matka odmawia przyjęcia do wiadomości, że dzieje się coś złego. Och, posyła mnie na terapię, ale nadal ciągnie mnie ze sobą na imprezy rodzinne, mecze baseballowe w Dniu Ojca, wysyła mnie na obóz letni (pojedzie, przedawkowała czy nie!), nadal wymaga, żebym zachowywała się kulturalnie przy stole, nadal traktuje mnie jak swoją podporę i pociechę. Dla wszystkich innych jest zupełnie jasne, że byłoby o wiele lepiej, gdyby zamknięto mnie w szpitalu, albo w jakimś innym miejscu, gdzie mogłabym spokojnie wyjść w połowie „Fast Times at Ridgemont High” i porznąć sobie nogi żyłką, gdzie mogłabym wybiec z pokoju wyjąc, w stanie histerii, a ludzie normalni nie udawaliby, że wszystko gra.

Oceniając to z perspektywy czasu myślę, że może matka postąpiła słusznie. Może traktując mnie jak normalne dziecko, jak jej cudowne normalne dziecko, uchroniła mnie przed osunięciem się w przepaść. Kto wie, czy zmuszając mnie do uczestniczenia w rzeczywistym życiu nie ustrzegła mnie przed popadnięciem w depresję jeszcze bardziej bezdenną i nieuchwytną. Nie sposób stwierdzić, co by się stało, gdyby spojrzała na sytuację z innej strony. Nigdy się tego nie dowiem. Należała do matek, które wierzą w błyskawiczne zrywanie plastra, hołdują zasadzie „chwila bólu i po bólu”, a jednak pozwoliła tej depresji rozwijać się latami, pozwoliła, bym zrywała ten plaster po trochu. Oczywiście, ona by się z tym nie zgodziła. Chciała, żeby i w tym przypadku ból trwał krótko, choć zdawała się sądzić, że problem zniknie, jeśli się go zignoruje (plastry czasem schodzą same). Pamiętam dręczące pragnienie, by pozwoliła mi staczać się w spokoju, aż na samo dno, by zachowała pozory mojej normalności dopóki choroba mnie nie wycieńczy i dopiero wtedy sprowadziła pomoc, jakiej doktor Isaac nie będzie w stanie udzielić. Miałam wrażenie, że moje sesje z doktorem Isaakiem są buforem bezpieczeństwa, środkiem uśmierzającym, który sprawi, że utrzymam się na powierzchni i nigdy nie spłynę na dno mojej rozpacz. A ja chciałam poznać najgorsze, chciałam poznać ten ból do końca.

Matka ze swej strony chciała ratować co się da. Zawsze byłyśmy kumpelkami, zawsze byłyśmy ze sobą blisko, zawsze towarzyszyłam jej na rozmaite imprezy, na które inne kobiety zabierały mężów, zawsze byłam jej najlepszą przyjaciółką. Miałam wrażenie, że załamując się psychicznie, sprawiłam jej zawód. Czułam się za nią odpowiedzialna — podobnie jak najstarszy syn czuje się odpowiedzialny za świeżo owdowiałą matkę, która nie potrafi, dajmy na to, zaprogramować swojego magnetowidu — a to drastycznie ograniczało zakres negatywnych doznań, jakie wolno mi było uzewnętrznić. Mogłam wagarować, przynosić złe stopnie, siedzieć godzinami w szatni, ale nie mogłam odpłynąć całkowicie, nie mogłam postradać rozumu, pozwolić zabrać się do domu wariatów czy młodocianych czubków, ponieważ moja matka nie przeżyłaby takiego trzęsienia ziemi. Ona nie chciała znać rozmiarów depresji, w jakiej się pograżam. Powinnaś powiedzieć o tym doktorowi Isaakowi, mówiła za każdym razem, gdy chciałam rozmawiać z nią o mojej depresji. Nie była nieczuła. Czasem próbowała dowiedzieć się, dlaczego jestem taka, jaka jestem. Po prostu nie mogła znieść, kiedy mówiłam:

— Nic mi nie jest, poza tym, że wszystko jest do chrzanu.

Chciała, żebym wyraziła się jaśniej.

— Czy to dlatego, że nie układa mi się z twoim ojcem?

Chciała, bym wskazała jej jakiś konkretny problem.

Traktowała mnie jak równanie drugiego stopnia. Niemożność rozprawienia się ze mną, jak z problemem matematycznym, doprowadzała ją do szału.

Kiedyś weszła do mojego pokoju późną nocą. Leżałam na włochatym dywanie twarzą do podłogi, z wielkimi słuchawkami na uszach. Słuchałam koncertowego nagrania Springsteena „The Promise” i wrzeszczałam, ponieważ te słowa o pustce były tak strasznie prawdziwe (ostatnia zwrotka szła jakoś tak: „Wszystko weźmiemy i wszystko odrzucimy w diabły”). Mama zaczęła krzyczeć, że nie zniesie dłużej tego szaleństwa, mam natychmiast powiedzieć, co mi jest. Co, co, co?! Siedzę na podłodze, płacząc, z pustką w głowie, niema, a ona domaga się, żebym jej coś powiedziała, cokolwiek! A potem idzie do swojego pokoju, pali papierosa, ogląda dziennik o jedenastej, zasypia przy niebieskawym świetle ekranu, kompletnie bezradna.

Teraz jest tak zawsze; ja leżę bezradna w swoim pokoju, ona bezradna w swoim, nie możemy zrobić nic, by sobie nawzajem pomóc i mieszkanie zdaje się pogrążone w strasznym zniechęceniu.

Czy to brzmi logicznie? Czy to możliwe, że nie załamalam się, nie zmieniłam się w kukłę, w bierny przypadek chorobowy z gatunku katatonii, ponieważ moja matka mi na to nie pozwoliła? Wiadomo, że ludzie rozpadają się na kawałki, rozmawiają z aniołami, albo śpią boso w parku w środku zimy, nie dlatego że ktoś Pozwolił im popaść w taki stan. Są tacy, ponieważ nic na to nie mogą poradzić. Ja też byłabym taka, gdybym posunęła się odrobinę dalej, no nie?!

Może tak, może nie. Miernikiem normalności, kryterium zdrowia psychicznego w naszym społeczeństwie jest poziom wydajności, stosunek do obowiązków, prosta zdolność zdobycia i utrzymania pracy. Jeżeli znajdujesz się w stanie, który pozwala na wykonywanie obowiązków — przychodzenie do roboty, płacenie rachunków — jesteś O.K. albo w miarę O.K. Pragnienie zanegowania depresji własnej i cudzej jest w naszym społeczeństwie tak silne, że wielu ludzi uzna, że masz problem dopiero w chwili, gdy fruniesz z okna dziesiątego piętra. Nikt nie bierze pod uwagę czynnika społeczno-ekonomicznego, istnienia poczucia winy, bezkompromisowego sumienia, a w moim przypadku, zrozumienia delikatnej, niestabilnej natury mojej matki. Poczucie odpowiedzialności wybitnie skracało sznur, na którym mogłam się powiesić. Tak często wymienialiśmy się z matką rolami — pomagałam jej dobierać facetów po rozwodzie, moczyłam papierosy, żeby nie paliła, a kiedy siedziała w kuchni i ryczała, ponieważ straciła pracę i bała się, że nie dostanie nowej, mówiłam, że z pewnością wszystko będzie dobrze — że teraz bałam się porzucić obowiązki rodzicielskie, do jakich się w stosunku do niej poczuwałam. Znałam granice wytrzymałości bliskich mi ludzi i nawet w najgorszej depresji byłam na nie wyczulona. Depresja dała mi niezwykłą przenikliwość. Czułam się tak, jakbym obleczona była powłóczką z gazy, a nie twardą skórą.

Moja depresja nie pojawiła się w próżni ani nie zabiła we mnie pragnienia powrotu do zdrowia za wszelką cenę. Chociaż mój umysł zdawał się wyciekać z czaszki kropla po kropli, nadal byłam w stanie ograniczać straty, wykorzystywać dyscyplinę celującej uczennicy, jaką kultywowałam od lat. Wszystkie moje przypadłości starałam się utrzymać w granicach dramatu normalnej dziewczyny, która jest nieszczęśliwa, ale nadal wciąga na pupę najmodniejsze dzinsy, przed wyjściem do szkoły maluje rzęsy czerwonym tuszem, a powieki turkusowym cieniem.

Robiłam się co rano na bóstwo, na wypadek gdyby mężczyzna moich marzeń czekał na chodniku przed drzwiami Manhattan Day School, gotowy porwać mnie w ramiona i wynieść z obszaru mojej depresji niby Sam Shepard, który wynosi Jessicę Lange na początku filmu „Frances”, i po trzydziestu latach kocha ją nadal, choć przeszła leukotomię czołową.

Tak więc coraz częściej lądowałam rano w McDonalddie nad omletem, zapatrzona w ciężkie przypadki pechowców na pomarańczowych i czerwonych krzeselkach, bełkoczących pod nosem, brudnych i cuchnących po nocy na parkowej ławce i butelce Colta 45. Kontemplowałam różnicę między nami, dzielący nas dystans. Ile mam do przejścia zanim znajdę się w tym stanie opuszczenia? Czy trzeba przeżyć Wietnam (tylu spośród żebraków w metrze wyglądało na weteranów), czy wystarczała bieda, uzależnienie od leków, choroba psychiczna i lata spędzone w stanowym wariatkowie? Nigdy się tego nie dowiem.

Chyba rozumiałam, że sama moja sytuacja życiowa chroni mnie przed upadkiem. Gdybym, dajmy na to, była dzieckiem z bogatego domu i miała silnych, samowystarczalnych rodziców, gdybym miała pewność, że zadbają o siebie i o mnie, pozwoliłabym sobie zapewne na to, by runąć w dół, pewna, że ktoś podsunie mi ochronną siatkę. Ale jedynym punktem oparcia, jaki znałam, byłam ja sama. Byłam zerem. I tylko ja mogłam się uratować.

Pan Grubman, bardzo dziwny nauczyciel biologii, który ubiera się niezmiennie w beret i czarny golf, zatrzymuje mnie po lekcjach, ponieważ uważa, że moje zachowanie uniemożliwia mu prowadzenie zajęć. Nie wyobrażam sobie, co może mieć na myśli: nie należę do dzieci, które wypuszczają ząby zanim on zdąży je pokroić. Zresztą naszym głównym zajęciem na lekcji biologii jest wyciskanie kwaśnego mleka przez gazę, co ma nam pomóc zrozumieć fenomen codzienności. Pan Grubman jest po prostu kolejnym nauczycielem biologii, zdaje się czwartym w tym roku, więc trudno brać go poważnie. Mało prawdopodobne, by wystawił mi stopień na koniec roku, ponieważ z pewnością zostanie zastąpiony przez kogoś nowego, a zresztą oceny nie mają już dla mnie znaczenia w obliczu faktu, że przyszłość nie istnieje.

W sumie pan Grubman niewiele ma mi do powiedzenia. Mówi:

— Wydajesz się jakby zbyt intensywna na ten świat. Zastanawiam się, skąd on to wie. Prawie mnie nie zna.

Jakby chciał zasugerować, że wkrótce się zabiję.

Trzyma mnie w laboratorium wiele godzin. Tracę parę lekcji i lunch, ser z ananasami z termosu zjadam u niego w klasie. Nie wiem już, czego on ode mnie chce, ale cieszę się, że nie muszę siedzieć na matmie i angielskim, ani grać w kosza na wuefie, ponieważ pan Grubman trzyma mnie w laboratorium za karę. Zadaje mi mnóstwo pytań, na które nie znam odpowiedzi. Pyta:

— Więc jesteś jedną z tych, co lubią prędkich chłopców i szybkie samochody?"

Nie mówię mu, co naprawdę myślę, mianowicie, że mam dopiero dwanaście lat i naprawdę nie wiem. Mówię:

— Tak, właśnie tak.

Wszystko wskazuje na to, że to poprawna odpowiedź.

Chłopcy są jedynym moim zainteresowaniem, które nie mija, choć niewielki z tego pożytek. Żaden chłopak ze szkoły nie zwraca na mnie uwagi. Nie jestem dla nich nawet rozwiązaniem alternatywnym, kiedy nie wypali randka z dziewczyną o imieniu Jennifer, Alison i Nicole. Nie chodzi o to, że jestem nieatrakcyjna — myślę że jestem ładna, ale podobam się zupełnie innej grupie demograficznej. Dopracowałam się pewnej trupiej bladeści, do tego mam

podkrążone oczy i skacowany wygląd Chrissie Hynde, więc interesują się mną starsi chłopcy, którzy przywykli do kobiet niespecjalnie radosnych i rumianych. Albo goście w typie rockersów, jak choćby ten facet z zespołu heavy metalowego, który pracuje w sklepie „World Import” na Bergen Mail, gdzie chodzę czasem na wagary. Albo mężczyzna, który dał mi swoją wizytówkę podczas zadymy na koncercie Clash, a teraz zabiera mnie czasem na lunch. Albo dwudziestotrzyletni syn właściciela Camp Tagola, który studiuje prawo, sam jest bardzo prawy i grzeczny, ale tak mną zafascynowany, że wywołuje to skandal na obozie i kierownik każe nam zaprzestać spacerów za rączkę i oglądania Stalagu 17. Do niczego nie dochodzi między mną a tymi mężczyznami. Co najwyżej spacer, lunch, rozmowa, ponieważ ja jestem za młoda, oni za starzy. Czują się głupio. Modlę się o to, aby Bóg obdarzył mnie tym czymś, co sprawia, że dziewczyna jest atrakcyjna dla chłopców w swoim wieku.

Pewnego dnia poznaję starszego brata koleżanki, który jest w ostatniej klasie liceum. Przez cały czas rozmawiamy o Springsteenie i on dziwi się, że nie jestem podobna do koleżanek siostry, które słuchają wyłącznie Shauna Cassidy'ego i Andy'ego Gibba. On mi się okropnie podoba — ma na imię Abel — i po jakimś czasie zaczynam odwiedzać koleżankę częściej i zostawać na noc, żeby dłużej z nim przebywać. Odczuwam dziwne przyciąganie, zupełnie jakby on mnie też lubił. Pewnego wieczora, kiedy owinięta afgańskim pledem oglądam wraz z całą rodziną telewizję — „Happy Days”, «Léveme i Shirley”, jest bowiem wtorek — czuję, że on sięga pod koc i do moich majtek. Nie próbuję go powstrzymać, ponieważ to jest przyjemne, to jest pierwsza przyjemna rzecz, jaka przydarzyła mi się od Bóg wie ilu miesięcy, może nawet lat. Nigdy niczego podobnego nie zaznałam, nie wiedziałam nawet, że może istnieć takie dziwne wrażenie naelektryzowania, które powstaje w brzuchu i schodzi coraz niżej, niżej i niżej. I nie wiem, co uczyniłam dobrego, by na to zasłużyć.

I czuję się obdarowana. Czuję, że musi istnieć nadzieja, skoro Bóg dał mi taką zdolność odczuwania przyjemności. Zakradam się więc do pokoju Abla ilekroć zostaję na noc u koleżanki, pragnę, by mi to robił przez cały czas, ponieważ nadal nie mogę uwierzyć, że moje ciało ma taką zdolność przeżywania rozkoszy. Uczę się również dotykać jego. Palcami, dłońmi, językiem. Ze zdziwieniem odkrywam, że pogrążona w smutku potrafię nie tylko odebrać, ale i dać odrobinę tej życiowej siły.

Kontakt fizyczny z Ablem daje mi tyle szczęścia, że chcę powiedzieć o tym całemu światu, chcę zaczepiać kobiety na ulicy i mówić im o swoim odkryciu, jakbym była jedyną wtajemniczoną. Chcę obciążać druta każdemu napotkanemu facetowi, żeby sprawdzić, czy zareaguję tak, jak Abel, czy jest to specyfika Abla. Chcę, żeby doktor Isaac poznał mój mały sekret, ale nie mogę powierzyć go żywej duszy. Wszyscy uznaliby, że to chore, że jestem molestowana seksualnie, ponieważ Abel ma siedemnaście lat, a ja dopiero dwanaście. Nikt nigdy nie uwierzy, że jest to jedyna dobra rzecz, jaka mnie w życiu spotkała.

Więc kiedy pan Grubman nęka mnie pytaniami — dziwnymi, lubieżnymi pytaniami — myślę sobie, że może powinnam powiedzieć mu o moim sekrecie. Ale nie robię tego, nie śmiem. Boję się, ponieważ jest tak dziwny, boję się, że mnie wyda, a wtedy zamkną mnie w zakładzie dla bezwstydných dziewcząt. Zamkną mnie nie dlatego, że jestem przygnębiona i potrzebuję pomocy, ale ponieważ jestem dziewczyną, porządną na swój sposób, zdolną odczuwać tak szaloną żądzę.

Tego lata — mojego trzynastego lata — wszystko jest do chrzanu, a ja tkwię na obozie i myślę o Olimpiadzie. Pewnego dnia po rannym sprzątaniu, kiedy poddano już inspekcji nasze zasłane łóżka i nasze szafki z komiksami

ułożonymi w kostkę, siedzę na werandzie i słucham pierwszego albumu Bruce'a Springsteena. Paris, koleżanka ze szkoły, przysiada obok mnie. Zdaje się, że Paris jest kimś, kogo można nazwać przyjaciółką. Zna mnie od przedszkola i jak każdy, kto tkwi w moim życiu od dłuższego czasu, czeka, aż otrząsnę się z tego lęku, czeka, aż będziemy mogły znów bawić się w randkę i malować paznokcie na różowo. Mieszka po drugiej stronie ulicy, więc jeszcze czasem wracamy razem ze szkoły, co nie może być dla niej przyjemne, zważywszy, że chcę mówić wyłącznie o zbliżającej się apokalipsie w moim mózgu.

Paris próbuje zrozumieć. Nie ułatwiam ludziom tego zadania. Po paru tygodniach nękania dziewcząt Bruce'em Springsteenem, kiedy w końcu przyznają, że zaczyna im się podobać, kiedy pytają, czy mogą pożyczyć kasety i proszą o „Born to Run”, krzyczę, że potrafią tylko małpować, banalne naśladowanie, krzyczę, że Bruce należy do mnie. Każę im przysiąc, że powołają się na mnie za każdym razem, gdy ktoś zapyta, czy lubią Bruce'a Springsteena. Dziewczęta wznoszą ręce do nieba i mówią:

„Słuchaj, chciałyśmy dobrze.” Tak więc Paris wychodzi i siada przy mnie. Wprawiam ją w lekkie zdenerwowanie mówiąc, że wysłucha teraz piosenki pod tytułem „For You”. Boi się, że będę niemą, jeżeli utwór jej się nie spodoba, lub, co gorsza, będę wściekła, jeżeli jej się spodoba. Wyjaśniam, że piosenka jest o dziewczynie takiej, jak ja, o dziewczynie, która się zabija. Słuchamy pierwszej zwrotki, tajemniczych słów o gasnącym życiu, o „oczach, w których czyha pustka”, o dziewczynie, która niknie tak prędko, że trzeba mocno wysilić wzrok, aby ją zobaczyć.

To o mnie, powiedziałam Paris. Ja jestem tą dziewczyną zagubioną w przestrzeni, dziewczyną, która znika, blednie i wtapia się coraz głębiej i głębiej w tło. Pewnego dnia nagle odejdę, jak kot, ale sztuczne ciepło mojego uśmiechu, błazeńskie wygięcie ust, jakie widuje się u bardzo smutnych ludzi lub złoczyńców w filmach Disneya, pozostanie, ironiczne memento. To ja jestem dziewczyną, która wydaje się tak roziskrzona i pełna życia, a która wkrótce odejdzie. Kiedy spojrzysz na to zdjęcie ponownie, już mnie na nim nie będzie, zapewniam cię. Zostanę wymazana z historii, jak zdrajca w Związku Radzieckim. Ponieważ z każdym dniem czuję się bardziej niewidzialna, z każdym dniem pokrywa mnie głębsza ciemność, płachty, płachty ciemności, które mnie duszą w zabójczym letnim słońcu. Już go nawet nie widzę, choć czuję, jak pali mi skórę.

Wyobraź sobie, zasugerowałam Paris, że słońce świeci tylko dzięki temu, że czujesz straszny piekący ból, a nie dlatego, że znasz radość jego światła. Wyobraź sobie, że jesteś zawsze w ciemnościach.

Byłabym zupełnie jak ta dziewczyna w piosence, gdyby nie jedna rzecz. Jedna rzecz. Mianowicie, on mówi, że ona jest wszystkim, czego w życiu pragnie. Tak bardzo ją kocha. Cała piosenka jest o tym, że przychodzi, by zabrać ją do szpitala i uratować przed samobójstwem.

W tym momencie zaczynam wreszcie płakać. Wzruszam się na myśl, że mnie nikt nie próbowałby ratować, gdybym podcięła sobie żyły, albo powiesiła się na krokwi bungalowu. Nie wierzę, bym obchodziła kogoś na tyle, żeby chciał utrzymać mnie przy życiu. A potem uświadamiam sobie, że owszem, ratowaliby mnie, ale tylko dlatego, że tak należałoby postąpić. Ratowanie nie miałyby nic wspólnego z miłością. Po prostu nikt nie chce żyć z poczuciem winy, z brzydką świadomością, że mógł uratować samobójcę, ale tego nie zrobił. Kiedy już podejmę próbę samobójstwa, wszyscy się zlecą, ponieważ w tym momencie moje problemy wykrócą poza sferę trudnych, monottonnych działań według schematu „porozmawiajmy o tym jak ludzie dorośli” i staną się nagłym wypadkiem medycznym. Wypompują mi zawartość żołądka, zszyją nadgarstki, przyłożą zimny okład do posiniaczonej szyi, zrobią wszystko, co trzeba, by utrzymać mnie przy życiu, a potem sprawę przejmą superspece od zdrowia psychicznego.

Zwykła, przewlekła depresja nie wymaga natychmiastowego leczenia szpitalnego, mogę więc spokojnie siedzieć na stopniach bungalowu na obozie letnim, jakbym była zupełnie normalna, i dzień po dniu dręczyć każdego, kto się do mnie zbliży. Moje zachowanie nie jest wystarczająco drastyczne, aby wiedzieli, co ze mną zrobić, choć jestem wystarczająco pokrecona, by doprowadzać wszystkich do szału.

Płaczę nadal i mówię, jak to musi być miło mieć kogoś, kto tak cię kocha, że śpiewa o dniu twojej śmierci. Paris otwiera usta, prawdopodobnie po to, by powiedzieć, że ludzie chcieliby pomóc, ludzie chcieliby pokazać mi, że ich obchodzę, nie wiedzą tylko, jak to zrobić, ale każę jej się zamknąć. Nie mam w tej chwili ochoty na truizmy.

— Gdyby ktoś kochał mnie tak, by napisać o mnie taką ładną piosenkę — mówię — nie zabiłabym się, wiesz?

W końcu dochodzę do wniosku, że dziewczyna z „For You” musi być kompletnie stuknięta. Postanawia umrzeć, choć jest tak bardzo kochana.

— Tak — mówi Paris tylko po to, by ofiarować mi pociechę ludzkiego głosu, a nie dlatego że ma do powiedzenia coś, co zmieni postać rzeczy. Rozumiem cię — mówi.

— Och, Paris! — wołam nie przestając płakać. — Nikt mnie nie będzie nigdy tak kochał, ponieważ jestem okropna, ciągle tylko płaczę i popadam w depresję. Gdybym była kimś innym — mówię dalej — nie chciałabym mieć z sobą nic do czynienia. Ja sama nie chcę mieć z sobą nic do czynienia. To takie beznadziejne! Chcę skończyć z życiem.

Naprawdę tego chcę. Czasem myślę, że gdybym potrafiła wziąć się w garść, wszystko byłoby znowu w porządku. Myślę, że sama wpędzam się w chorobę psychiczną, ale przysięgam, przysięgam na Boga, to jest silniejsze ode mnie. To straszne! To tak, jakby demony opanowały mój mózg. I nikt mi nie wierzy. Wszyscy uważają, że wyzdrowiałabym, gdybym tylko chciała. A ja nie mogę być już dawną Lizzy. Nie mogę być już sobą. To znaczy, właśnie teraz jestem naprawdę sobą i to właśnie jest tak przerażające.

Paris otacza mnie ramionami i przytula.

— Lizzy! — mówi. — Wszyscy lubią cię taką, jaka jesteś.

Ponieważ to właśnie ludzie mówią w podobnych okolicznościach.

Siedzę na schodach z twarzą w dłoniach, jakbym chciała złapać własną głowę, zanim zleci mi z ramion i potoczy się przez obóz letni dla dziewcząt, niby piłka, którą ktoś może kopnąć przez pomyłkę.

Miłość zabija

Zanim przeszłam do ósmej klasy, rodzice byli gotowi pozabijać się wzajemnie. Po raz pierwszy od czasu rozwodu musieli rozmawiać dość regularnie o tym, co ze mną zrobić. Były to beznadziejne, frustrujące dyskusje, a mój stan pogarszał każdy drobiazg. Byłam jak już przesolony gulasz, każda próba ratowania sosu sprawiała, że stawał się coraz bardziej mulisty, papkowaty i paskudny.

Współpraca układała im się fatalnie. Przez dziesięć lat prawie ze sobą nie rozmawiali, przekazując mnie sobie w rozmaitych korytarzach, a teraz nagle znaleźli się w stałym kontakcie. Kontakt ten polegał głównie na tym, że wrzeszczeli na siebie późną nocą przez telefon. Leżałam w swoim pokoju, nie próbując nawet zasnąć, i wsłuchiwałam się w podniesiony głos matki. Czasem odgłosy ich kłótni wdzierały się w moje sny jak wroga armia. Kwestie matki dobiegały głośno i wyraźnie, ojca pozostawały w sferze domysłów. Kłócili się o to, czy doktor Isaac jest dla mnie odpowiednim lekarzem, kto za niego zapłaci, a przede wszystkim o to, czyja to wina, że jestem taka pokręcona. Odnawiali stare zatargi i wkrótce stało się dla mnie jasne, że nawet jeżeli pogrzebali kiedyś swoje problemy, to w bardzo płytkim grobie. Ich drobiazgowość była przerażająca. Ojciec narzekał, że kiedy potrzebowałam aparatu na zęby, matka wybrała najdroższego, najbardziej snobistycznego konowała-partacza spośród ortodontów. Matka odpowiadała, że jej ubezpieczalnia pokryła dziewięćdziesiąt procent kosztów, więc czego ojciec się czepia. Ojciec oskarżał ją o to, że zawsze wydawała więcej niż miała, posyłała mnie do prywatnych szkół i stroiła jak lalkę. Ona krzyczała, że on najchętniej wysłałby mnie do jakiejś potwornej szkoły publicznej w Queens, gdzie akurat mieszkał, skazałby na towarzystwo dzieci, które mają złą dykcję i nigdy nie chodzą na koncerty Bacha i wystawy w Metropolitan Hall. Kończąc dodawała, że na szczęście ona jest moim prawnym opiekunem. On twierdził, że ona żyje złudzeniami, ona twierdziła, że on żyje w świecie iluzji.

Nieodmiennie oskarżał ją o to, że jest złą matką, co wywoływało nową serię krzyków po jej stronie linii. Tego rodzaju zarzut był równoznaczny ze stwierdzeniem, że zmarnowała całe życie, że schrzaniła tę jedną rzecz, którą powinna zrobić dobrze. Jej reakcja była zawsze taka sama: Donald! wrzeszczała, musiałam wychować naszą córkę bez żadnej pomocy z twojej strony. Jestem święta. Nigdy nie zabierasz jej na wakacje. Nigdy nie zabierasz jej na weekendy. Wszystko to spadło na mnie i uważam, że odwaliałam kawał dobrej roboty i nie ma w tym żadnej twojej zasługi.

Potem następował trzask słuchawki, chwila ciszy i wycie. Jej płacz był tak przerażający, jakby chciała sprawdzić, czy nadaje się do roli głównej żałobnicy w chórze greckim. Myślałam: „Więcej ze mną kłopotu niż jestem tego warta”.

Ich wrogość przysła z dziesięcioletnim opóźnieniem. Separacja i rozwód odbyły się stosunkowo spokojnie: posiadali zbyt mało pieniędzy i dobytku, nie licząc paru sztuk dobrej porcelany i paru złych płyt Jose Feliciano, by się o coś procesować. Nie opłacało im się nawet zatrudniać oddzielnych adwokatów, poprosili o przygotowanie papierów kuzyna mojej matki. Matka otrzymała opiekę nad dzieckiem, ojciec nie wykorzystywał nawet przysługujących mu praw do odwiedzin, a łączna suma alimentów została określona na siedemdziesiąt pięć dolarów tygodniowo. Przez tyle lat ich stosunki były tak spokojne i nieskomplikowane, przynajmniej z pozoru, że teraz patrzyłam ze zgrozą, jak moja depresja staje się katalizatorem ich wzajemnej nienawiści.

Kiedy zaczęli staczać batalie regularnie co noc, pomyślałam, że coś tu jest nie w porządku, że przecież to ja jestem osobą z problemami. Kłócili się ostentacyjnie o najskuteczniejszą metodę leczenia dla mnie, podczas gdy ja uciekałam do swojego pokoju, żeby pławić się w chandrze. Od czasu do czasu, chcąc zdenerwować matkę, ojciec odmawiał pokrycia kosztów leczenia psychiatrycznego ze swojego ubezpieczenia. Zapominał, że nie ona ucierpi z braku terapii, lecz ja. Powoli zaczynałam tracić rozeznanie. Nie czułam się już jak dziecko, którego rodzice się rozwiedli, lecz jak dziecko, którego rodzice powinni się rozwieść.

Coś, co zwie się depresją, co nie daje się zdefiniować (Czy jest większe od pojemnika na chleb? Mniejsze od szafy? Czy ma naturę zwierzęcą, roślinną, czy mineralną?) zawładnęło moim umysłem — wizja, ułuda, halucynacja — a jednocześnie wkradło się w życie moich bliskich, niszcząc ich tak jak niszczyło mnie. Gdyby to był szkodnik, dajmy na to karaluchy, które spacerowały po naszej kuchni, użyłybyśmy środka na robactwo, gdyby okazało się ogniem

— sięgnęłybyśmy po gaśnicę, mój Boże, gdyby to były równania drugiego stopnia, wzięłybyśmy korepetytora, który nauczyłby mnie, co zrobić z ab czy 5 do kwadratu i jak wymieszać liczby i litery, żeby wszystko grało. Ale to był zwykły obłąd. Nie popadłam w alkoholizm, nie cierpiałam na anoreksję ani na bulimie, nie pogrzyłam się w narkomanii. Nie mogłyśmy winić za to wódki, jedzenia, wymiotów, wycieńczenia organizmu, igieł. Rodzice kłócili się długo w noc, co zrobić z tym czymś — tą rzeczą — nie zdając sobie sprawy, że drą koty o coś, co w kategoriach wymiernych w ogóle nie istnieje.

Wkrótce zapragnęłam całkowitego wyalienowania, zatęskniłam za tym, by zostać ćpunem — czymś rzeczywistym. Wszystko byłoby o wiele prostsze, gdyby chodziło tylko o wykorzenie złych nawyków. Wiem oczywiście, że alkohol i narkotyki również maskują depresję, która nie różni się tak bardzo od mojej, ale uzyskanie pomocy dla nałogowca sprowadza się do złudnie prostego manewru odcięcia ofiary od ulubionej substancji. A co to oznacza w przypadku depresji? Oderwanie gościa od jego umysłu? Czyż nie prościej pozbyć się Johna Walkera niż Elizabeth Wurtzel?

Mniej więcej w tym samym czasie John i Mackenzie Phillipsowie przeszli kokainowy odwyk i zmonopolizowali okładki „People”: Mackenzie, ponieważ straciła pracę w telewizyjnym serialu „One Day at a Time” i poślubiła producenta płyt Petera Ashera, a John, ponieważ teraz, gdy był trzeźwy, planował rekonstrukcję Mamas and Papas. Przeczytałam uważnie historię życia tych dwojga narkomanów, którzy cholernie dużo wycisnęli z tego, że trafiła im się taka depresja jak mnie. Zrozumiałam, że ludzie, którzy popełniają czyny samodestrukcyjne, na przykład wjeżdżają BMW w drzewo, otrzymują — po pierwsze — mnóstwo uwagi, -po drugie — są ratowani.

Ratowani! Sprawa była jasna. Narkomani mają konkretny problem — trzeba ich odstawić od prochów — zostają więc odesłani do instytucji zawodowo udzielających pomocy. Mogą iść na odwyk do Hazelden, St. Mary i Betty Ford Center lub gdziekolwiek w stanie Minnesota. Wbiłam sobie do głowy, że odwyk to coś w rodzaju taśmy, na której jeździ się przez dwadzieścia osiem dni albo dwadzieścia miesięcy, albo jak długo trzeba, by dokonać odnowy. Potem schodzi się z taśmy montażowej, całkowita nówka gotowa zacząć wszystko od początku.

Oczywiście jest to wyimaginowany obraz ratowania nałogowca. Ludzie wielokrotnie przechodzą odwyk i nie uwalniają się od nałogu, ale prawdą jest, że osobnik z paskudnym problemem narkotykowym może pozwolić sobie na wiele alarmujących zachowań. Ja zrobiłam małe przedawkowanie i pocięłam sobie nogi żyłką, ale nikt mnie jakoś nie ratował. Ponieważ nie miałam konkretnego problemu. Założę się, że gdybym była narkomanką, moi rodzice odstawiliby mnie na odwyk szybciej niż ćpun ładuje sobie igłę w żyłę. Gdybym była na prochach, wpakowaliby mnie do szpitala, gdzie moje zachowanie byłoby monitorowane bez przerwy przez opiekunów i lekarzy, gdzie spotkałabym innych stygnących narkomanów i nie czułabym się samotna. Po odwyku mogłabym spędzić resztę życia chodząc na spotkania Anonimowych Alkoholików, albo Anonimowych Narkomanów i mieszkać z innymi byłymi ćpunami.

Wszystkie te historyjki o znakomitościach zażywających prochy miały na celu wywołać sprzeciw młodych Amerykanów, powinny nas nauczyć mówić NIE narkotykom. Ale ja byłam przekonana, że gdyby udało mi się przypiąć do prochów, wszystko stałoby się możliwe. Znalazłabym nowych przyjaciół. Miałabym rzeczywisty problem. Mogłabym wejść do kościelnej piwnicy, pełnej towarzyszy niedoli, którzy zawołałoby na mój widok: „Witaj w naszym koszarze! My rozumiemy! Oto nasze numery telefonów, dzwoń o każdej porze, kiedy czujesz, że spadasz. Jesteśmy tu dla ciebie.”

Tu! Dla ciebie! Nie wyobrażam sobie, by ktoś mógł być dla mnie.

Depresja była najbardziej upierdliwą rzeczą na ziemi. Nie istniały schroniska dla depresyjnych, nie było Anonimowych Depresyjnych. Tak, oczywiście, były szpitale psychiatryczne, McLean, Bellevue, Payne Whitney czy Menninger Clinic, ale nie miałam szans tam trafić, dopóki nie podejmę próby samobójczej na tyle poważnej, by wymagała założenia maski tlenowej, szwów, czy pompy do żołądka. Do tego czasu pozostanę pod wątpliwą opieką manhattanowskich psychiatrów, którzy zapewni mi niewielkie wsparcie pośród chaosu mojego życia domowego. Marzyłam, modliłam się o to, by mieć odwagę nie zdrowieć, lecz podciąć sobie żyły i naprawdę zachorować, wylądować w jakimś zakładzie dla obłąkanych, gdzie mogłabym liczyć na prawdziwą pomoc.

Jeśli chodzi o indywidualną terapię, trudno mi ocenić umiejętności doktora Isaaka, ponieważ spędzał zbyt wiele czasu w neutralnym narożniku, próbując rozdzielić moich rodziców. Po nim miałam wielu psychiatrów — dziewięciu, jeżeli chodzi o ścisłość — których mogę ocenić rzetelniej. Najpierw była Diana Sterling, doktor medycyny, która przez długi czas stała między mną a samobójstwem, później idioci, jak Peter Eichman, psychiatra, do którego chodziłam na pierwszym roku studiów. Zamiast o moich problemach chciał rozmawiać o porach, w jakich zjawiam się na wyznaczoną wizytę. Natomiast działalność doktora Isaaka opierała się tak mocno na umiejętnym żonglowaniu moimi kryzysami emocjonalnymi, że trudno mi ocenić rezultaty naszych wspólnych wysiłków. Był dziwnym człowiekiem, oto czonym aurą wystudiowanego niechlujstwa. Nosił cieknięce buty do garniturów i krawat. Ale pośród tej pozy dobrodusznego wujaszka-gogusia, doktor Isaac był jednym z tych typowych, autoreklamujących się psychiatrów nowojorskich, którzy rozprawiali radośnie o swoich sławnych klientach. Podczas moich bełkotliwych monologów na temat Bruce'a Springsteena, rocka jako drogi zbawienia, wtrącał uwagi o tym, że leczył Patti Smith, piosenkarkę będącą moim idolem. Czy wiem że to on badał Marka Davida Chapmana, kiedy przyjęto go do domu wariatów po

zabójstwie Johna Lennona? Czy wiem, że usunięty właśnie ze stanowiska dyrektor NBC był jego pacjentem? A ja mówiłam sobie w duchu, że muszę być naprawdę stuknięta, skoro chodzę do tego samego psychiatry co Patti Smith, która mieszkała z Samem Shepardem i pozowała Robertowi Mapplethorpe'owi do zdjęć na okładki albumów. Ale wątpliwości pozostały: Co mi po tym? Co to jest terapia czy obiad „U Elaine”?

Co dotyczy terapii rodzinnej, jeżeli istniał jakiś terapeutyczny potencjał tych posiedzeń, to został zniweczony przez manipulacje naszej rodziny, próbującej wymóc na doktorze, by dopasował boki naszego ułomnego trójkąta, zmienił go w trójkąt równoboczny, a najlepiej, w szczęśliwe kółko rodzinne. Było to niewykonalne zadanie. Bez świadomego, zgodnego wysiłku ze strony rodziców wyalienowane dziecko nie ma szans powrotu do równowagi psychicznej (choć to tak, jakby się mówiło: lubiłabym deszcz, gdyby nie był mokry; nieszczęśliwe dzieci są zwykle rezultatem rozbitego domu). Po jakimś czasie doktor Isaac pogodził się z myślą, że mnie nie uleczy, że może tylko powstrzymać moje dalsze spadanie. Nasze cotygodniowe spotkania, jak wszystko w moim życiu, pełniły rolę plastra. Jego gabinet stał się małą strefą buforową, gdzie można poplotkować i usłyszeć parę praktycznych rad. Dokopywanie się do dna, do szpiku kości i umysłu nie było przewidziane w programie.

Tymczasem mama zrobiła z doktora Isaaka swojego guru i nie mogłam już dzielić się z nią swoimi wątpliwościami co do jego osoby. Tata był niezwykle podekscytowany szansą wypełnienia próżni pozostawionej przez matkę, która nie zdołała zapobiec kryzysowi. Ojciec lubił, by nie rzec — uwielbiał czytać

moją złą, przygnębiającą, młodzieńczą poezję, na którą składały się rozmaite mutacje zdania: „Okrażyła mnie noc i zasłona ciemności wplotła mnie w swe zwoje...”. Mama nie interesowała się moimi okropnymi utworami, nie mogła patrzeć na nie bez przygnębienia. Zachowała kompetencje działania na zwykłych materialnych frontach — karmiła mnie, zapewniła mi łóżko do spania i teoretycznie posyłała do szkoły — ale nie miała pojęcia o moim życiu uczuciowym. Nie chciała nic o nim wiedzieć, szybko uznała, że to zadanie dla profesjonalistów. Natomiast ojciec uwielbiał gawędzić ze mną o tym, jak potworny jest świat, ponieważ w gruncie rzeczy podzielał moje zdanie. Skończyło się na tym, że tylko z nim rozmawiałam, a ponieważ byłam gotowa uwierzyć w każdą wariacką teorię, własną czy cudzą, ojcu niemal udało się przekonać mnie, że winę za wszystkie moje nieszczęścia ponosi matka. Mówił, że posyłała mnie do konserwatywnych szkół żydowskich, pozbawiła go wpływu na moje wychowanie, a ja w swoim rozpaczliwym pragnieniu znalezienia ogniska winy za moje cierpienie, czasami przyznawałam mu rację.

Matka skarżyła się, że spiskujemy przeciwko niej. Jak wtedy, gdy ojciec zapisał mnie na lekcje gry na gitarze, a potem kazał jej za to zapłacić z alimentów. Albo jak wtedy, gdy zaprowadził mnie na konsultację z ewentualnym następcą doktora Isaaka, nie mówiąc jej o tym. Matka krzyczała na mnie, awanturowała się, wołała: „Gdzie był przez te wszystkie lata? Przespał twoje dzieciństwo, a teraz próbuje mi cię odebrać. Robi ci pranie mózgu”. Potem dzwoniła do swojej siostry i płakała godzinami w telefon. Ciotka zabierała mnie na parę dni do swojego domu na Long Island, żebyśmy mogły z matką trochę ochłonąć. Czasem przyznawałam się ciotce, że w głębi duszy wiem, iż tata wykorzystuje tylko moje niezadowolenie, aby się odegrać na matce, ale z radością przyjmowałam każdą ulgę w cierpieniu. Nie miałam skrupułów: zrobiłabym wszystko, żeby tylko poczuć się lepiej, nawet unieszczęśliwiłabym matkę.

Najbardziej irytowało ją to, że nagle ojcowskie zainteresowanie moją osobą sprowadzało się do czczych gestów. Dobrze było z nim czasem porozmawiać, ale wysiłki, jakie podejmował dla mojego dobra, składały się na jedno wielkie zero. Za każdym razem, gdy uświadamiałam sobie, jak niewiele naprawdę dla mnie robi, z jaką obojętnością traktuje podstawowe obowiązki rodzicielskie, jak choćby kupienie mi ciuchów, odstawienie do szkoły na czas, odwiezienie na lekcję tańca, czułam się podle. Uświadamiałam sobie, że być może rozumie mnie lepiej niż mama, ale nie kocha mnie ani w połowie tak jak ona. Po prostu lubił mnie bardziej w tym okresie, ponieważ razem ze swoją rozpaczą stałam się dla niego interesująca. Choć przespał, przedrzemał, prze-chrapał moje dzieciństwo, choć nie ekscytował się postępami werbalnymi sześciolatki i nie roztkliwiał nad rozbijającą głupotą dziewięciolatki, był wyraźnie zainteresowany przygnębioną nastolatką o skłonnościach samobójczych.

Matce wcale nie wydawało się to interesujące. Cierpiała patrząc na zbolałą, smutną nieznajomą sypiającą w łóżku, które kiedyś zajmowało jej dziecko. Pewnej nocy, w samym środku tej rodzinnej batalii, poszłam do sypialni matki, by pocałować ją na dobranoc. Leżała pod wiśniową kołdrą, ubrana w swoją połyskliwą różową koszulę z nylonu, a z ekranu telewizyjnego błyskały wieczorne wiadomości. Podeszłam do łóżka i spojrzałam na nią, taką drobną i delikatną. Czarne włosy owinięte miała wokół głowy, ciemne oczy zapuchnięte, twarz błyszcząca od olejku dzieciennego, którym zmywała makijaż. Oliwkowa skóra, napięta mocno na wystających kościach policzkowych i ostrym nosie, wyglądała tak, jakby matka wróciła właśnie z francuskiej Riwiery. Dlaczego nie odziedziczyłam jej wyglądu, śródziemnomorskiego kolorytu, jej ostrych, rzeźbionych rysów, jej ciemnych, wielkich, marzących, lekko skośnych oczu? Dlaczego wyglądam jak wszyscy z rodziny ojca, blada, mięsista, z ciężkimi powiekami, które nadają nam rozleniwiony wygląd, z rysami twarzy, które stają się z czasem coraz bardziej wyblakłe, równie nieokreślone i nie-ukształtowane jak nasze osobowości? Pamiętam zdjęcie matki z czasów, gdy pracowała u Macy'ego i nosiła długie włosy z białą szeroką przepaską. Teraz wydała mi się równie piękna, choć twarz jej się wyostrzyła, stwardniała. Czas wymazał tę odrobinę frywolności, jaką posiadały kiedyś jej klasyczne rysy. Tego wieczoru jednak, w łóżku, była samą miękkością. Delikatną, szmacianą lalką.

Ale wiedziałam, że w każdej chwili może naskoczyć na mnie bez widocznego powodu, spojrzeć ze złością, bez miłości. Jej reakcje były nie do przewidzenia, zwłaszcza od czasu, gdy nie radziła sobie z moją depresją. Ale choćby była nie wiem jak zła, choćby nie wiem jak głośno wrzeszczała, zirytowana do łez, była człowiekiem, na którego mogłam liczyć. Nawet kiedy ze sobą nie rozmawialiśmy, pokłócone na śmierć, mogłam być pewna, że obiad zostanie ugotowany, chesne w szkole opłacone, ciuchy wyprasowane. Była matką i już. Ojca nigdy nie mogłam być pewna. Kiedy uciekłam od niej i nocowałam w domu w Wetchester, gdzie przeprowadził się ojciec z nową żoną, użycie przeze mnie mydła toaletowego bez pozwolenia — a chodzi tu o zwykłe mydło toaletowe, nic wykwintnego — wywoływało rodzinny kataklizm. Moja obecność była dla nich czymś aż tak obcym.

Nasze życie rodzinne przypominało biblijną opowieść o królu Salomonie i dwóch kobietach zgłaszających roszczenia do tego samego niemowlęcia. Jak prawdziwa matka, która zrzekła się swych praw, zanim król Salomon zdążył przepołowić dziecko, moja mama oddałaby wszystko, by zachować mnie w jednym kawałku. Ojca wcale nie byłam taka pewna. Jest jak ja, zawsze skłonny do kompromisu, złożenia broni, nie do końca pewny swych racji. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby zawołał ze znużeniem: „Rozewnijcie dziecko na dwoje!” Rozpadałam się, tak czy inaczej.

Moje życie tym się różni od przypowieści, że roszczenia zgłaszało oboje rodziców. Żeby pozostać całością, potrzebowałam ich obojga, a taka alternatywa po prostu nie istniała. Coś w moim wnętrzu rozpadało się z hukiem

i trzaskiem, targane między jednym rodzicem a drugim. Czasem pragnęłam wejść w okno wystawowe, pozwolić szkłu pociąć się na paseczki, żeby w końcu wyglądała tak, jak się czuję.

Czy rozwód może się udać, kiedy w grę wchodzi dziecko? Wiem, że istnieje cały przemysł doradztwa małżeńskiego, a psychologowie robią, co tylko w ich mocy, by pomóc dziecku przejść bez większych strat przez rozwód rodziców, i wiem, że wszyscy ci ludzie chcą po prostu pomóc, próbują ułożyć wszystko według zasady, że skoro już utknęliśmy na Alasce, warto mieć na grzbiecie porządny, ciepły płaszcz. Ale czy dziecko ma szansę wyjść z tego bez szwanku?

Każde zerwanie, nawet przelotnego romansu, rodzi najrozmaitsze gwałtowne emocje. Nie rozumiem, jak możemy być tak pragmatyczni, realistyczni, przerażająco, niesamowicie normalni, żeby wymagać od rozwodzących się ludzi, by kontrolowali swoje uczucia, zachowywali się kulturalnie, współpracowali ze sobą i byli sympatyczni dla dobra dzieci?! Spośród wszystkich dziwacznych wymagań, jakie stawia nam współczesność, najbardziej absurdalne wydaje się chyba żądanie, byśmy spędzili dorosłe życie przechodząc płynnie od jednego układu monogamicznego do drugiego, byśmy pozostali w przyjaźni, dzielili się obowiązkami rodzicielskimi, a nawet uczestniczyli w drugich i trzecich ślubach naszych byłych małżonków. Mamy udawać, że ból serca jest drobną niedogodnością, która da się usunąć za pomocą odpowiedniej ilości formułek psychologicznych, parokrotną recytacją mantr dla dobra dzieci.

Od czasu do czasu zdarza mi się odczuwać szacunek dla moich rodziców za to, że nie wykazali podobnej uprzejmości, nie zachowali nawet pozorów przyjaźni dla dobra swojego dziecka, czyli mnie. Wiem, że byłoby dla mnie lepiej, gdyby im się to udało, ale kto wie, czy hipokryzja, sztuczne uśmiechy i udawana przyjaźń nie zaszkodziłyby mi bardziej.

W ciągu tych trzynastu lat często rozmawiałam z ojcem do późnej nocy, snując posępne i chaotyczne rozważania na temat beznadziejności świata, i czasem mówiłam, że nienawidzę matki, ponieważ czasem naprawdę myślałam, że jej nienawidzę. Przeciągałam przewód telefonu z sypialni matki wąskim korytarzem do mojego Pokoju i chrapliwym szeptem opowiadałam ojcu o moim ponurym życiu. Oczywiście doprowadzałam tym matkę do szału. Więc przerywałam rozmowę i aby podnieść ją na duchu mówiłam, że tak naprawdę to nic tatę nie obchodzi. Mówiłam mamie, że nienawidzę taty, co zadowalało ją na jakiś czas, aż do następnego razu, gdy znajdowała mnie ze słuchawką w ręku, szepczącą konspiracyjnie, że muszę uwolnić się od doktora Isaaka. Wtedy znów zaczynała płakać i twierdziła, że moja lojalność względem ojca, moja dwulicowość boli ją tak bardzo, że krwawi wewnątrz.

— Którego dnia — groziła — rozchoruję się tak bardzo, że będziesz musiała odwiedzić mnie na ostry dyżur. Będę krwawiła wewnątrz, ale ty będziesz zbyt zajęta wyrzekaniem na mnie przed ojcem i nawet tego nie zauważysz. Umrę, i jak się wtedy będziesz czuła?

Jak się wtedy będę czuła? Nigdy nie potrafiłam odpowiedzieć wprost na to pytanie, płakałam, obejmowałam mamę, kładłam głowę na jej ramieniu i mówiłam:

— Nie chcę tego, wcale tego nie chcę, dlaczego nie możemy normalnie żyć?

Jak na rozwiedzioną matkę przystało, w chwilach powrotu do zdrowych zmysłów mama twierdziła, że powinnam nawiązać zdrowy, trwały związek z ojcem. W końcu każdy potrzebuje mamusi i tatusia. W rzeczywistości nie życzyła sobie mojego zbliżenia z nim. Chciała mieć go w zasięgu ręki, ale wyłącznie w przypisanej mu prawnie, sobotnio-popołudniowej strefie. Czy można ją za to winić? Czy mogła powiedzieć mi — komuś, kogo kochała

najbardziej na świecie — że pragnie, abym miała dobre stosunki z ojcem — kimś, kogo nienawidziła najbardziej na świecie — i nie skłamać?! Z ojcem sprawa miała się identycznie.

Nic dziwnego, że pokolenie dzieci rozwodników weszło w świat przewlekłej młodości, w świat, w którym ludzie sypiają ze sobą i pozostają przyjaciółmi, odkładają problemy rozbitych związków na bok, wszystko w imię spójnego życia. Rozwód nauczył nas, jak sypiać z przyjaciółmi, jak sypiać z wrogami, i udawać, że jest to zupełnie naturalne. Czasem muszę podziwiać rodziców, że byli tak psychologicznie nieświadomi, że unikali poradników w rodzaju „Ja jestem O.K., ty jesteś O.K.”, za to, że pozostali wierni — zupełnie instynktownie — swojej nieokreślonej, nieskrępowanej, niezdecydowanej i niezgłębionej emocjonalnej niedojrzałości. Od czasu do czasu próbowali przyjąć jednolity front i mówili, że to, co do siebie czują, nie powinno oddziaływać na mnie, ale brzmiało to fałszywie, jakby ustawili słonia na środku naszego zagraconego, mrocznego salonu i próbowali mi wmówić, że należy go zignorować, że on będzie bardzo grzeczny, a my możemy żyć i pracować obchodząc go szerokim łukiem. Byłam dla nich pełna podziwu. Zamiast robić to, co słuszne w sytuacji tak ewidentnie niesłusznej, zrobili to, co przyszło im najłatwiej. Pojechaliśmy na Alaskę i zamarliśmy na śmierć.

Jeździłam na obozy letnie przez pięć lat z kolei, co roku na inny, do kolejnych prowincjonalnych miasteczek w Poconos albo Catskills albo gdziekolwiek, gdzie udało mi się otrzymać zniżkę. Najzabawniejsze jest to, że zamiast nienawidzić matki za wysyłanie mnie do tych miejsc, w których czułam się samotna i nieszczęśliwa, tęskniłam za nią przez całe lato. Całą energię życiową zużywałam na tęsknotę za moim mocno zminimalizowanym, niestabilnym domem. Poczynając od dnia przybycia na obóz aż do 24 sierpnia poświęcałam się bez reszty organizowaniu powrotu do domu, nie pozwalając sobie nawet na chwilę wytchnienia.

Parę godzin dziennie przeznaczałam na pisanie listów do mamy. Telefonowałam do niej, by się upewnić, że wie dokładnie, gdzie mnie odebrać, kiedy nadejdzie właściwa pora. Biegałam do administracji obozu, by sprawdzić, czy wysłali matce zawiadomienie o przyjeździe autobusu, żeby wiedziała, gdzie mnie szukać. Wyłudzałam obietnicę, że zgłosi się na dworcu autobusowym godzinę, dwie przed czasem. Dzwoniłam nawet do taty i kazałam mu przysiąc, że przyjdzie pół godziny przed planowym przyjazdem autobusu. Rozmawiałam z kierownikiem obozu i wyrażałam obawę, że zostanę umieszczona w autobusie do New Jersey albo Long Island, wyląduję w złym miejscu i nigdy już nie znajdę drogi do domu. Pytałam innych nowojorczyków z obozu, czy mogę wrócić z nimi do domu, gdyby moja matka nie zmaterializowała się na dworcu autobusowym. Obdzwaniałam dziadków, wujów, ciotki i opiekunki (zawsze na koszt rozmówcy) pytając, gdzie będą dwudziestego czwartego sierpnia, na wypadek gdyby rodzice się po mnie nie zgłosili. Zamiast cieszyć się urokami tenisa, siatkówki, wiązania węzłów marynarskich i wyszywania serwetek, spędzałam pełne osiem tygodni lata planując dwugodzinną podróż powrotną do domu.

Nawet teraz zdarza się, że kiedy pada w lecie deszcz — zimny, monotony deszcz, o jakim śpiewają w bluesach, deszcz, który sprawia, że z czerwca robi się listopad, a nawet grudzień — doświadczam déjà vu, czuję mgłę w głowie, napięcie w całym ciele. Przypominam sobie deszczowe dni na obozie, ponure, przygnębiające dni, kiedy deszcz siekł strumieniami, kiedy snułam się w swoim żółtym deszczowcu jak zbity pies i zastanawiałam się, co złego zrobiłam, że rodzice zesłali mnie na wygnanie. Co zrobiłam, żeby sobie na to zasłużyć i jak mogę to naprawić?

Byłam takim dobrym dzieckiem, naprawdę! Nie trzeba mnie było zabawiać, byłam taka pomysłowa. Pozostawiona sama sobie czytałabym prawdopodobnie dzieła zebrane Tolstoja, a przynajmniej Tolkiena. Rysowałabym w szkicowniku albo pisała kolejną książeczkę o zwierzątkach, co robiłam regularnie jako pięciolatka. Mój Boże,

byłam naprawdę szczęśliwa, kiedy byłam sama. Bez wątplenia dlatego właśnie wysyłano mnie na obozy, gdzie musiałam współżyć ze swoimi rówieśnikami. Była to kolejna próba zrobienia ze mnie normalnego człowieka.

Nie mogę uwolnić się od myśli, że wszystko po-chrzaniło się właśnie na obozie, że moja alienacja tam właśnie się rozpoczęła, że z każdym obozowym latem moja energia topniała coraz bardziej. Dla mnie wszystko skończyło się na obozie. Przestałam pisać książki, przestałam kolekcjonować koniki polne, przestałam czuć się ładna, przestałam chcieć wiedzieć, skąd biorą się błyskawice, tęcze i huragany, skoro nie tworzy ich Bóg, przestałam chcieć wiedzieć, czy istnieje Bóg, przestałam zadawać pytania, na które umęczeni dorośli i tak nie mieli sił odpowiadać, przestałam chcieć czegokolwiek, wiedząc z całą pewnością, że i tak tego nie dostanę, że zostałam wydalona z miejsca, gdzie taka możliwość jeszcze istniała.

Nieważne, ile lat upłynęło, ile sesji terapeutycznych zaliczyłam, jak bardzo się staram zdobyć to coś zwane perspektywą, coś, co pozwala zepchnąć wszelkie minione zło na należne mu, poślednie, wspaniałe miejsce, i gadać wyłącznie o wewnętrznym spokoju i naukach, które nie poszły w las. Nikt nigdy nie pojmie potęgi moich wspomnień, które są tak niewzruszone i żywe, że nie potrzebuję psychiatry, by mi powiedział, że doprowadzają mnie do szaleństwa. Moja podświadomość ich nie pogrzebała, moje superego ich nie zdławiło. Zajmują w moim umyśle poczesne miejsce i ciągle narastają. Mam bardzo brzydkie myśli, kiedy wspominam obozy letnie. Chcę zabić rodziców za to, co mi zrobili! Chcę ich posiekać na kawałki, ponieważ byłam najmilszym dzieckiem pod słońcem, a oni zamiast nagrodzić mnie za to, wysłali mnie z domu, do którego nigdy już nie odnalazłam drogi. Byłam kimś wyjątkowym! Rokowałam nadzieje! A oni wykopali mnie z domu i próbowali zmienić w kogoś zwyczajnego! Wsadzili mnie w gromadę normalnych dzieciaków, które uważały, że jestem dziwna i sprawiły, że czułam się dziwna, aż naprawdę stałam się dziwna. I po tych wszystkich latach nadal nienawidzę ich za to, co mi zrobili!

Łzy spadają, nie jak deszcz, lecz jak ciosy.

Tęsknota za domem jest naturalnym stanem mojego umysłu. Zawsze tęsknię za kimś lub za czymś. Zawsze usiłuję wrócić do jakiegoś wymyślanego miejsca. Moje życie jest jedną długą tęsknotą.

Kiedy wyjechałam do obozu nad Seneca Lake na moje piąte i ostatnie lato, w domu trwało już pandemonium. Wspomnienia ukazują się w ostrych mgnieniach światła. Dzwonię do ojca i płaczę w słuchawkę, matka płacze na łóżku w pokoju obok, pali papierosa, ojciec prosi, żebym poprosiła mamę do telefonu, matka odmawia, a potem zgadza się, płacze w słuchawkę, pyta go, dlaczego wtrąca się między nas. Płacze. Ja płaczę. Moja matka i ja, każda w swoim pokoju, płaczemy. I wrzeszczymy na siebie. I godzimy się. Ściskamy się, całujemy i płaczemy. Przysięgamy, że już nigdy nie pozwolimy, by ojciec wszedł między nas. A potem, rzecz prosta, tata wchodzi między nas, wykorzystując to, że mama akurat nie wchodzi między mnie a tatę.

Tak przedstawiała się sytuacja, kiedy wyjechałam do Lake Seneca. Zdradzałam jednego z nich z tym drugim. Jakby to był trójkąt miłosny! Oczywiście, że był to trójkąt miłosny!

Matka płacze albo piekli się o wszystko, co robię. Kiedy przekłuwam sobie uszy, wpada w szal i przez parę dni muszę mieszkać u jej siostry. Kiedy widzi, że rozmawiam z ojcem przez telefon tonem, który rozpoznaje tak dobrze nie słysząc nawet słowa z tego, co mówię, ucieka do swojego pokoju, do swojej paczki galuazów i wpada na przemian to w letarg, to w histerię. Często dzwoni do swojej siostry. Mówi mi, że denerwuje ją tak bardzo, że krwawienie wewnętrzne nasila się i wkrótce wpędzę ją do grobu. Mówię jej, że nie chcę, by była taka smutna, chcę po prostu

normalnego związku z ojcem, nie chcę związku z doktorem Isaakiem. Ona mówi, że doktor Isaac uratował mi życie i że tato zakłóca proces mojego leczenia.

Tato zapowiedział, że nie zapłaci rachunków za doktora Iassaka, choć jego ubezpieczenia pokrywa większość kosztów. Matka musi wygospodarować pieniądze z tych groszy, które zarabia redagując informator hotelowy. Kiedy pieniądze się kończą, doktor Isaac mówi mi, że jeżeli ktoś nie zmusi mojego ojca do wypełnienia pieprzonego formularza ubezpieczeniowego, to on, doktor Isaac pozwie go do sądu. Ponieważ boję się gniewu ojca, mówię mu, że nienawidzę doktora Isaaka, co tatę umacnia w przekonaniu, że nie należy płacić za leczenie. Mówię matce, że kocham doktora Isaaka, ale że tato nastawia mnie przeciwko niemu. Mówię każdemu z nich to, co moim zdaniem, chciałby usłyszeć, ponieważ jest to jedyny sposób zagwarantowania sobie ich miłości. Prawda, o ile istniała, była dla mnie czymś zmiennym. Zmieniała się w zależności od tego, czy chodziło o mamę czy tatę.

Chciałam mieć oboje rodziców i chciałam, żeby oboje mnie kochali.

Pośród tego domowego piekła wyjazd na obóz powinien być dla mnie ulgą. Ale nie był. Choćby dlatego, że latem miało nastąpić otwarcie Brendan Byrne Arena w Meadowlands w New Jersey i Springsteen dawał z tej okazji dziesięć koncertów. Miałam bilety na większość z nich, ale kierownik obozu powiedział matce, że mogę opuścić obóz z okazji ślubu albo bar mitzvah, na pewno nie z powodu Bruce'a Springsteena. Mowy nie ma!

Powiedziałam matce, że wobec tego po prostu nie pojadę na obóz. Mowy nie ma!

Kiedy zadzwoniłam do ojca i błagałam go, żeby pozwolił mi spędzić lato w swoim domu, wymamrotał, że całe dni spędza w pracy i nie będę miała co robić sama w domu. Przez chwilę mówiłam mu o tym, jaka będę niekłopotliwa, będę leżała na słońcu wysmarowana olejkami do opalania i czytała Dickensa i Daphne du Maurier, i nikt się nawet nie zorientuje, że tam jestem, ale w odpowiedzi usłyszałam stanowcze „nie”. Powiedział: „to niemożliwe”, koniec, kropka.

Kiedy odwiesiłam słuchawkę, zrozumiałam, że jestem zupełnie sama. Żadne z rodziców nie zdawało sobie sprawy z tego, że Seneca Lake będzie moim grobem, że ta resztką wiary, jaką jeszcze miałam, odejdzie w nicość i pociągnie mnie za sobą. Trudno było uwierzyć, że ludzie tak mi bliscy nie widzą mojej rozpacz, a jeżeli widzą, nie obchodzą ich na tyle, by coś z tym zrobić, a nawet jeżeli obchodzą ich na tyle, by coś z tym zrobić, to nie wierzą, by mogli mi pomóc, nie wiedzą — lub nie chcą wiedzieć — że ich wiara mogłaby mnie uratować.

Nigdy nie czułam się tak samotna jak w dniu, kiedy odłożyłam słuchawkę po rozmowie z ojcem, usłyszawszy jego zwykłe, odwieczne „nie”.

Bilety na Springsteena dostały się dzieciom faceta mojej mamy, a mnie wyekspediowano na obóz. Ale kiedy wsiadałam do autobusu tego lata, zamiast powiedzieć mamie, jak bardzo będę za nią tęskniła, powiedziałam, że jej za to odpłacę.

— Mamusiu, jak możesz mi to robić?! Jestem chora

i szalona, w niebezpiecznym stanie umysłu, i ty o tym wiesz! Nie mogę uwierzyć, że mimo to wysyłasz mnie z domu. Jak możesz mi to robić?!

— Ellie, wiesz, że nie mamy wyboru.

— Mamusiu, gdybyś tylko wiedziała, jak daleko już zaszłam, znalazłabyś inne rozwiązanie. Mówisz tak, jakbym nie potrafiła znaleźć sobie zajęcia na lato. Czy naprawdę byłoby tak źle, gdybym posiedziała w domu, czytała książki, oglądała filmy? Naprawdę tak źle?

— dusisz przebywać z dziećmi w twoim wieku — mówi ona, zmieniając front. — To dla ciebie niedobrze siedzieć w domu i babrać się we własnym umyśle. Zresztą, wszystko już opłaciłam. I doktor Isaac mówi, że to ci dobrze zrobi.

— Doktor Isaac jest idiotą! Fakt, że zrobiłaś sobie z niego guru dowodzi tylko, że przewyższasz go głupotą. Nienawidzę cię za to, co mi robisz, i Bóg mi świadkiem, zapłacisz za to.

Nie pocałowałam jej nawet przed wejściem do autobusu. Miała ze sobą aparat fotograficzny i próbowała namówić mnie na wspólne pozowanie. Fotka pod tytułem „Matka z córką objęte ramionami”. Poprosiła jednego z rodziców, by zrobił zdjęcie, jakby wszystko było w porządku, jakbym nie poprzysięgła zemsty. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego, u licha, wkłada tyle wysiłku w udawanie, że wszystko jest O.K. Gdyby z równą energią zabrała się za rozwiązanie moich problemów, mogłoby się okazać, że ich w ogóle nie ma.

Przed drzwiami autobusu odwróciłam się i powiedziałam:

— Wysyłając mnie na ten obóz, wysyłasz mnie na śmierć.

— Och, Ellie! Przestań udawać Sarę Bernhardt, przestań być taka melodramatyczna! Będziesz się dobrze bawić. Musisz tylko spróbować.

— Próbowałam na czterech obozach. Pożałujesz, że wysyłasz mnie na piąty. Przysięgam, że pożałujesz!

A kiedy zajęłam już miejsce w autobusie, pomyślałam: „Tyle lat. Zapłacisz mi za to.” Nie pamiętałam o tym, że ma ciężkie życie i kupę własnych problemów, że potrzebuje odpoczynku, że nie wiem, jak ciężko jest być mamą. Uważałam, że nic nie jest w stanie usprawiedliwić tego nieprzerwanego bólu, jaki odczuwam przez osiem tygodni. Nikt, kto nie doświadczył depresji, nie potrafi zrozumieć, że przy takim cierpieniu śmierć staje się wyzwoleniem, gwiazdką z nieba, wymarzonym spokojem. Wszystko było lepsze niż życie z takim zgiełkiem w głowie.

Jako dziecko zostawiano mnie w przeróżnych dziwnych miejscach, ponieważ matka musiała pracować, a taty nie było. Weekendy i wakacje spędzałam zazwyczaj u dziadków na Long Island, dni wolne od zajęć na szkolnych wycieczkach do wesołego miasteczka i muzeów. Po jakimś czasie zaczęłam utożsamiać obozy letnie z popołudniami spędzonymi w Schwartzy, świetlicy polekowej, do której posyłała mnie matka. Inne dzieci grały tam w monopol, siatkówkę lub trzy ognie, ja siedziałam w kącie, rozmyślałam, czytałam, jedyna dziewczyna w spódniczce. Inne dzieci biegały w dzinsach i tenisówkach. W Schwartzy rozmawiałam wyłącznie z kobietami, które prowadziły świetlicę. Były oczarowane moimi długimi do pasa włosami i tym, że tak siedzę grzecznie, stara malutka, z założonymi nogami, wyprostowana jak struna. Nie mogłam się doczekać przyjścia mamy. Ulga, jakiej doznawałam na jej widok, była obezwładniająca. Byłam jak astmatyk, któremu nagle podano inhalator. Kiedy zjawiała się mama, mogłam znów swobodnie oddychać.

A teraz znalazłam się na obozie, utknęłam w Schwartzy nie na parę godzin lecz na osiem tygodni, zatracona w samotności, która miała trwać wiecznie, w opuszczeniu, które nie miało się nigdy skończyć.

Już pierwszego dnia w Seneca Lake rozpoczęłam rytuał nękania kierownika obozu. Przychodziłam do jego biura i mówiłam, że jeżeli nie usunie mnie z obozu, przedawkuję leki. Wyjaśniłam Irwinowi, że nie bardzo chce mi się umierać, ale wiem, ile łyknąć, żeby wylądować w szpitalu, co gwarantowało wywózkę z obozu. Powiedziałam mu, że na poprzednim obozie przedawkowałam atarax, co wszyscy uznali za wypadek, Ja zaś nie wyprowadziłam ich z błędu,

ale jeżeli teraz łyknę fiołkę motrinu i aspiryny, i popiję to dla pewności butelką nyquil, będzie miał całkowitą pewność, że zrobiłam to celowo, w pełni władz umysłowych i cielesnych.

A on mi na to:

— Zrzuńujesz sobie opinię. Ludzie gadają. Plotki się rozchodzą. Dowiedzą się wszyscy na innych obozach i dowiedzą się ludzie, z którymi chodzisz do szkoły.

Do kogo ta mowa? Za kogo on mnie uważa?

Kiedy indziej zawiadomiłam Irvina, że zamiast zrobić sobie krzywdę tabletkami, zapakuję do plecaka trochę kaset, trochę książek, zmianę odzieży i tubkę clearasilu i pomaszeruję prosto na dworzec autobusowy. Powiedział mi, że farmerzy w tej rolniczej, zacofanej okolicy najprawdopodobniej zgwałcą mnie na drodze.

Po kilku tygodniach codziennych pogawędek między mną a Irvinem nawiązał się dziwny stosunek, który można by nazwać niemal czułym. Polubił mnie niechętnie, opornie, trochę jak gliniarz, który odkrywa w sobie niesmaczny afekt do podejrzanego o morderstwo. To naturalne, że po wielu godzinach wysłuchiwania zwierzeń pechowca, człowiek zaczyna współczuć biednemu głupcowi. Pewnego dnia Irvin powiedział mi wprost, a było to echo słów, które słyszałam tyle razy przedtem:

— Elizabeth, jesteś ładna i najwyraźniej inteligentna. Dlaczego nie spróbujesz być normalna? Dlaczego nie miałabyś cieszyć się tym, co jest w Seneca, zamiast tak zawzięcie z tym walczyć? Nie istnieje powód, dla którego nie miałabyś się przystosować.

Po tej uwadze stało się dla mnie jasne, że Irvin nie ma pojęcia jak strasznie jest być trzynastolatką. Nasze negocjacje utknęły w martwym punkcie.

Napisałam do doktora Isaaka: „Siedzę nad basenem i spoglądam w czyste niebo. Orzeł szybuje przez błękit i mógłby to być piękny widok, ale mnie przypomina tylko, jak bardzo pragnę uwolnić się od ludzkich członków, abym mogła fruwać jak ptak. Wiem, że po śmierci stanę się duchem bez ciała, więc modłę się o śmierć”. Napisał mi w odpowiedzi, jak bardzo współczuje mi w cierpieniu. Odpisałam: „Nie ma potrzeby, żeby pan ze mną cierpiał. Wystarczy, jak mnie pan stąd wyciągnie, do jasnej cholery!”

Tego lata byłam tak opętana myślą o ucieczce, że po jakimś czasie mój plan przedawkowania nabrał wszelkich cech zbrodni z premedytacją. Myślałam jak zawodowy morderca, który zabija bez emocji, a potem odtwarza w pamięci przebieg działań punkt po punkcie: najpierw to, potem tamto. W moich zapatrywaniach zaszła wyraźna zmiana. Ponieważ byłam wściekła na oboje rodziców, że trzymają mnie na tym zesłaniu, przestałam wybierać między nimi (też mi wybór, między krzesłem elektrycznym a szubienicą!) i moja depresja przerodziła się w szal bojowy. Depresję określa się często jako gniew skierowany do wewnątrz. Dzięki mojemu obecnemu położeniu mogłam sobie pozwolić na luksus skierowania złości na zewnątrz. Odnalazłam swą dawną siłę do życia, nienawidząc ich oboje jak cholera. Ulgę przyniosła mi świadomość, że nie mam nikogo i nic, że moje przekonanie, iż cały ten interes z życiem jest mocno szemrany, znalazło pełne potwierdzenie. Mogłam teraz spokojnie złożyć broń i oddać to, co mi jeszcze zostało, mogłam cieszyć się czasem wykradanym śmierci i przyjemnością staczania się w przepaść. A kiedy już postanowiłam, że popełnię akt samodestrukcji, jeżeli okaże się to konieczne, doznałam prawdziwej ulgi: znalazłam drogę ucieczki. Niech mnie licho, jeżeli nie dam im nauczki opuszczając teren obozu nie autobusem, nie samochodem, ale na noszach w karetce pogotowia!

Dopiero w jakiś czas po dniu odwiedzin mój ojciec

— w swoim pierwszym i ostatnim akcie ojcowskiej miłości

—przeprowadził akcję ratowniczą. Nie posunął się, oczywiście, tak daleko, by zaproponować mi przeprowadzkę do swojego domu. Załatwił mi po prostu pobyt u swojej siostry Trixie, która mieszkała z mężem i dwójką dzieci w Matawan, podupadającym miasteczku w New Jersey. Mieli tam połówkę bliźniaka z basenem i ogródkiem. Bob, mąż Trixie, był brygadzystą w fabryce, czy czymś takim i należał do mężczyzn, którzy wieczorem popijają z butelki Pabst Blue Ribbon i jedzą obiad przed telewizorem. Wszystkie meble miały plastikowe pokrowce, warzywa pochodziły z puszek, ketchup był główną przyprawą, a bita śmietana w sprayu i pudding z kubeczka głównymi składnikami deseru. Innymi słowy, ciotka Trixi i wuj Bob żyli ^w robotniczym koszmarze z moich romantycznych springsteenowskich snów.

— Masz w końcu to, czego chciałaś — powiedziała mama, kiedy opisałam jej scenierię przez telefon.

Faktycznie, nie było to zbyt zabawne. Prawdę mówiąc, było to jedno z tych doświadczeń, które pozwoliły mi zrozumieć Springsteena i rozpaczliwe pragnienie ucieczki. Tkwiłam w fotelu, paliłam trawkę i oglądałam opery mydlane z moją kuzynką Pamelą, która szła jesienią na studia i planowała zdobyć dyplom sekretarki. Ale przynajmniej nie musiałam uczestniczyć w zajęciach grupowych. Chodziłyśmy do domów towarowych i sklepów video nie prosząc nikogo o zgodę. W sierpniu wybrałam się na koncert Toma Petty'ego w Capital Theater bez błogosławieństwa Irvina. Czytywałam tyle zawiłych i głębokich książek, ile chciałam, i nikt nie zawracał mi głowy sprzątaniami, pływaniami i koszykówką. Słuchałam zespołu Derek and the Dominos i ich „Layli”. Spałam do obiadu. Nikt nie kwestionował niczego, co robiłam: ojciec dał ciotce Trixie wyraźnie do zrozumienia, że nie jestem w najlepszej formie i póki nikomu nie wadzę, lepiej zostawić mnie w spokoju.

Spędzałyśmy z Pamelą mnóstwo czasu w samochodzie, w drodze na lunch do Taco Villa albo Jack in the Box. Czasem szłam popatrzeć, jak gra z przyjaciółmi w baseball, a czasem zabierała mnie na nocne przyjęcia z „beczułką”, których uczestnicy pili wywar z kaktusa peyote, wymiotowali, ślizgali się na cudzych wymiotach, słuchali zespołu Black Sabbath (który nazywali po prostu Sabbath) i Motley'a Crue'a (którego nazywali po prostu Crue), i robili wiele innych rzeczy, które wyrafinowana młodzież nowojorskiej City uznałaby za szczyt złego smaku. Nawet lubiłam tę stronę podmiejskiego życia; nigdy nie byłam tak nieustannie nawalona, jak tego lata. Czasem pływałyśmy z Pamelą w basenie albo siedziałyśmy na słońcu — przeważnie ona pływała, ja siedziałam. Czasem odwiedzały ją znajome ze szkoły średniej. Wszystkie szły do szkoły sekretarek, jak Pamela. Trudno było nie wypaść na pyszałkowatą gówniarę w tym środowisku, więc aby nie zrażać do siebie wszystkich wokół, starałam się nie odzywać.

Na litość boską, czy kiedykolwiek znajdę swoje miejsce na ziemi?! — zastanawiałam się. Na obozie wszyscy byli tacy yuppy, tutaj w Matawan są nie dość yuppy.

Czy choć raz nie mogłabym znaleźć się w takim środowisku, gdzie miałabym coś wspólnego z ludźmi, z którymi dzielę los? Nie proszę o wiele. Nie musieliby od razu być fanami Springsteena. Bob Seger albo John Cougar wystarczyliby w zupełności. Prawda, byłam trochę dziwną trzynastolatką, ale chyba nie do tego stopnia, żeby należało przenieść mnie na inną planetę. Mogłabym się chyba zaaklimatyzować na Ziemi? A może nie? Zaczynałam mieć poważne wątpliwości.

Gdybym znała prawdę o Pameli, gdybym wiedziała, że naprawdę mamy ze sobą coś wspólnego...! Po wielu latach dowiedziałam się, że Pamela miewała nawroty depresji, wpadała w stan niemal katatonicznego otępienia, co przyprawiało wujka i ciotkę o taką frustrację, że wrzeszczeli i poszturchiwali córkę chcąc wywołać reakcję. Wszystko to wpędziło ją w chroniczne milczenie, a w okresie dojrzewania doprowadziło do prób samobójczych. Nigdy o tym

nie rozmawialiśmy, ponieważ nie przyszło nam nawet do głowy poruszać ten temat. Ja nie wiedziałam o niej, ona nie wiedziała o mnie, a rodzina, zasklepiiona w milczeniu i wstydzie, który wydaje się czymś spójnym z depresją, nie pofatygowała się, by nam o tym powiedzieć. Więc spędziłyśmy razem kilka tygodni w tej dusznej, niejasnej atmosferze, która otaczała „General Hospital”, sprawę Luke'a i Laury i naszą dziwną egzystencję.

Któregoś wieczoru zadzwonił ojciec i powiedział: — Mam nadzieję, że nie puszczasz tej swojej muzyki zbyt głośno i nie doprowadzasz ludzi do szału. — Powiedział także: — Mam nadzieję, że nie zasypiasz przed telewizorem. Ciotka Trixie mówi, że to ci się zdarza. Pamiętaj, ile kosztuje prąd.

A ja nie mogłam się pozbyć myśli, że przez dziesięć pieprzonych lat miejsce, które w moim życiu powinien zajmować ojciec, świeciło pustką, a teraz nagle, ni z gruchy, ni z pietruchy, on mówi mi, co mam robić. Nagle wydało mi się, że czas się zatrzymał dawno temu, mam trzy latka i jak współczesna Miss Havisham nadal czekam na mojego cudownego tatusia, który mnie ocali, tymczasem pajęczyny zarastają mi zęby, a śnieżnobiałe torty urodzinowe zmieniają się w kamień. Nie było we mnie nic prócz tęsknoty za tatą, normalnym, zwyczajnym tatą, jakiego miały wszystkie dzieci. Nauczyłam się żyć z tym okropnym uczuciem braku, a teraz, po tylu latach, on każe mi się zachowywać poprawnie, jakby naprawdę był moim ojcem. Myślałam: „Kim on, u diaska, jest, żeby mówić mi, co jest dobre, a co złe? Co on, do kurwy nędzy, wie o ojcostwie?!”

Po raz pierwszy naprawdę zrozumiałam, jak musiała cierpieć matka, kiedy ojciec wtrącał się do mojego wychowania. Zrozumiałam, jaki to gwałt, kiedy ktoś, kogo nie było całymi latami, nagle postanawia wziąć udział w twoim życiu, ba! przewrócić je do góry nogami, przy czym ogranicza się wyłącznie do słownych deklaracji. Jego miłość —

gdybym próbowała przeliczyć ją na pieniądze, nie wystarczyłaby mi nawet na zakup porannej gazety — była czymś tak nieuchwytnym, nie mającym nic wspólnego z codziennymi obowiązkami ojca.

Nigdy w czasie letnich miesięcy spędzonych na obozach, nigdy podczas tych samotnych, pustych dni tęsknoty za domem nie potrzebowałam mamy tak bardzo jak w tym momencie.

I czułam się osaczona: matka była najbliższą mi osobą, jedyną, której ufałam, tkwiłyśmy zaś w kalekim, wypaczonym związku, kompletnie od siebie uzależnione. Byłam przygwożdżona do kogoś, kto mnie w ogóle nie znał. Czułam się jak człowiek cierpiący na klaustrofobię, który, żeby zabić strach, postanawia zamieszkać w małej, ciemnej jaskini.

Rozbite szkło

Można myśleć o roku 1980 jako okresie, w którym demonstracja konserwatyzmu i wyciągnięcie zakładników z Iranu pozwoliło Ronaldowi Reaganowi zostać prezydentem albo o roku, w którym John Lennon został zastrzelony przed bramą własnego domu, tuż przy Central Park West. Zdarzyło się to tak blisko miejsca, gdzie leżałam w łóżku, że wmawiałam sobie później, iż słyszałam strzał, że przypadkowe wybuchy rac, anonimowa strzelanina i brzęk rozbijanych butelek w sąsiednim mieszkaniu były konkretne i celowe, wymierzone w rock and rolla w ogóle, a w Johna Lennona w szczególności. Dla mnie oznaczało to nadmiar tragedii. Był to rok rozbitych okien i rozbitych dziewcząt, rozbitej mnie. Mniej więcej w tym czasie ojciec odszedł na dobre.

Wywoływał takie zawirowania w naszym życiu, że przestało to być żalodne, a stało się patologiczne, przerażające. Wydawało się, że jedynym sposobem zatrzymania tego kołowrotu jest zniknięcie taty, żebyśmy mogły same wybrnąć z matni. Między matką a ojcem było tyle złej krwi — większość z niej przepływała przeze mnie — że jedno z nich musiało odejść. Ponieważ z nich dwojga ojciec opanował do perfekcji sztukę znikania, oddawał życie za valium i chłodną pociechę zamroczenia, padło na niego.

Na dobre zniknął dopiero pod koniec mojego pierwszego roku w liceum (zbliżały się moje piętnaste urodziny, uznałam więc, że jestem już dużą dziewczynką i wcale nie potrzebuję ojca), ale odchodzić zaczął znacznie wcześniej, na długo przed tym, jak matka wyrzuciła go z domu.

Pamiętam uroczystość zakończenia szkoły średniej, jedwabną czerwoną sukienkę, którą miałam na sobie, i chiński obiad złożony ze spring rolls i kurczaka w sosie cytrynowym, którego upiekła mama. Do kolacji zasiedli dziadkowie, wujowie, ciotki i kuzynowie. Mama dała mi wyraźnie do zrozumienia, że nie chce widzieć ojca na uroczystości szkolnej, nie ma prawa tam być i patrzeć, jak odbieram dyplom. Nie łożył na moją edukację, więc niech się trzyma z daleka.

Próbowałam mu to wyjaśnić, próbowałam powiedzieć, że nie może przyjść, bo mama się zdenerwuje. Nie potrafiłam powiedzieć wprost: „Gdybyś wybulił forszę, pewnie by się zgodziła” i bardzo pragnęłam nie mieć z tym nic do czynienia. Pomyślałam wtedy: „Chciałabym, żeby jedno z nich po prostu zniknęło”. Nie wiedziałam, że najgorszą rzeczą, jaka może się w życiu przytrafić, jest spełnienie niektórych życzeń.

Wiele się zmieniło w ciągu ostatniego roku przed jego odejściem. Przestał zupełnie płacić za moje wizyty u doktora Isaaka, więc kiedy mamie skończyły się pieniądze, leczenie odłożono na bliżej nieokreśloną przyszłość. Matka

zaskarżyła ojca do sądu, ponieważ zgodnie z porozumieniem rozwodowym on miał płacić rachunki za lekarzy. Poza tym wysokość naszych alimentów nie uległa zmianie od 1969 i matka chciała otrzymać rewaloryzację. Adwokaci! No, tak naprawdę było ich tylko dwóch, adwokat matki i adwokat ojca, ale tato zmieniał nieustannie reprezentującą go firmę, ponieważ żadna nie chciała uznać jego sprawy za słuszną. Więc adwokaci mnożyli się jak króliki i każdego dnia poczta przynosiła listy od Pana Takiego A Takiego, Bentona, Bowla, Beawisa, Buttheada, Ziutka-Smutka. Każdy z nich głośno mówił: „Elizabeth, nie musisz brać strony żadnego z rodziców, oboje cię kochają”, po czym dodawał na stronie: „Elizabeth, jak myślisz, czy mogłabyś napisać* do sędziego, jakiego parszywego masz ojca?” Albo: „Myślisz, że mogłabyś zeznawać?” A ja myślałam: „Gorzej już być nie może”. I czułam, jak ogarnia mnie otępienie, gorsze niż wszystko inne. To było jak zamarzanie w bardzo niskiej temperaturze, kiedy wydaje się, że lód zaraz pęknie lecz nie będzie pod nim wody, nie będzie pod nim nic płynnego tylko dalsze pokrywy lodu. Lód, lód, i znowu lód, kostki lodu, góry lodu, kry lodowe i lodowe posągi w miejscu, gdzie kiedyś była dziewczyna z krwi i kości.

Spełniałam już wtedy wszelkie wymogi świra. Był to rok szerokich minispódniczek a la cheerleaderka, które Norma Kamali i Netsey Johnson narzuciły elegantkom, a za takie uważały się wszystkie dziewczyny w moim liceum. Wydawało się, że cała szkoła z wyjątkiem mnie jest w drużynie cheerleaderek. Ja jedna utknęłam gdzieś w Stevie Nickslandzie i zjawiałam się w szkole w długich, przezroczystych szatach, które sięgały kostek w skórzanych butach do konnej jazdy, w romantycznych, luźnych wdziankach, które odsłaniały kark. Składałam się wyłącznie z pasków, węzłów, luźno wiszących płacht, zawsze przygnieciona tyloma rzeczami, a był to początek reaganowskiej ery optymizmu lat osiemdziesiątych, czasy beztroski, pogody i żywych barw. Podczas gdy inne dziewczęta nosiły plastikowe kolczyki, turkusowe, żółte, ogniście różowe dodatki, ja występowałam w czerniach i brązach, a srebrne kolczyki dyndały mi w uszach niby relikty lat sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych, a może tych nieszczęsnych czasów i miejsc, o których wszyscy już zapomnieli, albo w których w ogóle nigdy nie byli.

Próbowałam się dopasować do otoczenia. Kupiłam nawet balową sukienkę od Betsey Johnson, z obcisłą górą z lykry i falbaniastą spódniczkę, ale czułam się w niej idiotycznie, jak cyrkówka, która znalazła się przypadkiem w filmie Felliniego, choć jej miejsce było w dramacie nordyckim, powiedzmy, w „Siódmej pieczęci” Bergmana. Uświadomiłam sobie z bólem, że dziewczyna, którą kiedyś byłam, dziewczyna, która rozstawiała wszystkich po kątach, która potrafiła poradzić sobie w każdej sytuacji, nigdy nie wróci. Nawet jeżeli ujdę z tej depresji z życiem, nie będzie miało to żadnego Raczenia, ponieważ choroba zmieniła mnie do gruntu. Nastąpiły trwałe odkształcenia. Posępność nigdy mnie nie opuści, ponieważ depresja zagarnęła mnie całą. Zabarwiła każdy aspekt mojej osobowości i w końcu się z tym pogodziłam.

Co dziwne, rezygnacja ta pozwoliła mi osiągnąć pewną równowagę duchową. Nadal zdarzało mi się uciekać do damskiej toalety z płaczem, nadal kuliłam się z bólu po kątach podczas wolnych godzin w szkole, ale zaczęło mi świtać w głowie, że ten ból jest po prostu faktem życia — przynajmniej mojego życia. Zrozumiałam, że mogę pozostać w tym stanie do śmierci. Ze mogę robić rozmaite rzeczy — odrabiać lekcje, uczyć się do egzaminów, pisać prace z historii i prawidłowo opracowywać bibliografię i odnośniki. Mogę nawet spotykać się z ludźmi, którzy nie będą mieli dwa razy tyle lat co ja i połowę mojej inteligencji. Mogę prowadzić życie normalnej nastolatki, mogę

nawet wstąpić do drużyny cheerleaderek, ale to nie zmieni faktu, że coś jest ze mną nie w porządku. Nie zmieni to faktu, że jestem wynaturzona.

Byłam jak alkoholik po odwyku, który przestał pić, ale nadal codziennie, jeżeli nie co godzinę, tęskni za jednym łykiem glenfiddich, mogena davida albo muscadeta. Byłam jednostką o skłonnościach depresyjnych, która nie jest aktywnie w depresji. Przypadek bezobjawowego braku celu w życiu? Otóż, nie! Mam cel! Jest nim przetrwanie, wykucie sobie nowej tożsamości, kiedyś, w niesprecyzowanej przyszłości, kiedy to okaże się realne. Może mogłabym się gdzieś ukryć, nie poddać się chorobie dopóki nie wydostanę się z tej koleiny parszywego życia i nie znajdę prawdziwej pomocy, należytej pomocy, a nie pomocy doktora Isaaka, czy rodziców. Na parę lat mogąc stać się maszyną produkującą w zapamiętaniu kolejne szóstki i sprawiającą wrażenie absolutnie doskonałej. Na papierze.

Porzuciłam myśl, że przyszłość nie istnieje, i dla odmiany zaczęłam ją planować, traktując teraźniejszość wraz ze wszystkimi udrękami jako długi, męczący wstęp do prawdziwego życia, które czeka na mnie gdzieś, z pewnością nie tutaj. Nadal będę dziewczyną, która poświęca osiem tygodni na przygotowanie się do dwugodzinnej drogi z obozu letniego do domu, tylko że teraz moją ucieczką stanie się dorosłe życie i na nie będę czekała, wierząc, tak jak zaczynałam wierzyć, że gdyby udało mi się wydostać z domu i poza zasięg moich rodziców, miałabym szansę przeżycia.

I wtedy zjawił się Zachary, i nie był to jakiś tam, pierwszy lepszy facet, lecz zadziwiająco przystojny szesnastolatek z dobrej rodziny. Był kapitanem drużyny tenisowej i po sprawiedliwości powinien chodzić z jedną z tych długonogich dziewczyn w minispódniczkach. Wiem, że w oślepiającym błysku pierwszej miłości człowiek nie może wyjść ze zdumienia, że mu się tak pofarciło, ale ja byłam naprawdę zdumiona. Jako para byliśmy równie niedobrani jak Lyle Loretta i Julia Roberts.

Był naprawdę wspaniałym, towarzyskim, uroczym, rozrywkowym facetem, który zajmował tak wysoką pozycję na matczynych listach kandydatów na męża, że powinien mieć wytatuowane na czole: „Dobra partia”. Mógł mieć każdą dziewczynę. A jest, no cóż, ze mną. I wszyscy myślą: jak to możliwe? Słyszałam, co mówiły o nas dziewczęta w szkolnej toalecie. I zgadzam się z nimi całkowicie. Gdybym była jedną z nich, robiłabym te same zgryźliwe uwagi, uważałabym, że ta jędzowata dziewięcioklasistka z długimi włosami i spódnicami do kostek złapała Zachary'ego tylko dlatego, że dobrze obciąga druta. Ja natomiast myślałam: „Rany boskie! Trafiło mi się jak ślepej kurze ziarno. Mając Zachary'ego nagle poczułam się taka bezpieczna, taka dopieszczona i rozpieszczona, otulona w tyle pokładów ochronnych, że to, co działo się między rodzicami przestało mnie obchodzić. Ciągle jednak zastanawiałam się, kiedy wyskoczy diabeł z pudełka i powie: »Czas minął“.

Moje całkowite zaabsorbowanie Zacharym sprawiło, że nawet nie zauważyłam, kiedy straciłam ojca. Chodzenie na randki było czasochłonnym zajęciem. Wybraliśmy się² jeszcze jedną parą na koncert Police (za pomocą sprayu zrobiłam sobie na głowie wściekle różowy kołtun); poszliśmy na ślub brata Zachary'ego (przedtem odbyło się oczywiste przyjęcie zaręczynowe); uciekaliśmy ze szkoły na całe Popołudnia, żeby pojeździć nowym 280ZX Zachary'ego, zupełnie jak para podmiejskich nastolatków; kryliśmy się w jego pokoju i pieściliśmy się przy spuszczonej roletach i zgaszonych światłach. Wyglądało na to, że wreszcie odniosły skutek lata wytrwałych modłów do Boga o to, by sprawił, że zniknę lub zniknie ta część mnie, która sprawia, że jestem sobą, aby przekształcił mnie w kogoś innego, kogoś, kto nie tłucze się niby oszalały, mglisty cień. Pan zesłał mi Zachary'ego i pozwolił mi zaznać

nadprzyrodzonej radości istnienia przy boku idealnego chłopaka. W końcu zniknęłam i moje miejsce zajęła ta nowa dziewczyna wyjęta żywcem u romansów Harlequina.

Zauroczona spełnieniem marzenia, nie mogłam pozwolić, aby chandry mojego tatusia wszystko zepsuły. Nie chciałam go widzieć, nie chciałam słyszeć o procesach sądowych i kłopotach pieniężnych. Urywałam ile się dało z tych paru godzin tygodniowo, które spędzaliśmy razem, nie chciałam tracić czasu w przegrzonym samochodzie z nim i jego żoną — nałogową palaczką, nie chciałam jechać Throgs Neck Bridge przy zamkniętych oknach, w okropnej atmosferze zaccadzenia, raka płuc i przedwczesnej śmierci, którą przesycony był oldsmobile. Mdlilo mnie na samą myśl o moim nienaturalnym, dziwacznym związku z ojcem, który nie zmienił się przez te wszystkie lata po rozwodzie. Nie dość, że nie miałam trwałego kontaktu z obojgiem rodziców, to jeszcze musiałam krążyć między odrębnymi, wzajemnie się wykluczającymi światami, żeby spędzić z nimi trochę czasu. Brak ciągłości w tych kontaktach doprowadzał mnie do szału.

I nagle okazało się, że robię — bardzo subtelnie, niemal nieświadomie — coś, czego, według zapewnień rodziców, nigdy nie miałam robić (choć zachowywali się tak, jakby właśnie tego pragnęli): wybierać między nimi. Rzecz prosta, nie jestem idiotką. To chyba zrozumiałe, że wybrałam osobę, która ma mieszkanie, a w tym mieszkaniu pokój wyłącznie dla mnie, i której wszystko jedno, jakiego mydła użyję w łazience. Jesteśmy z matką przedłużeniem jedna drugiej, jesteśmy dwiema połówkami tej samej istoty, na dobre i na złe.

Od czasu do czasu odfajkowywałam spotkanie z ojcem. Dawałam się zawieść do jego rodzinnego domu w mrówkowcu w Brighton Beach, jadłam chińskie potrawy i dzieliłam się przepowiedniami z chińskich ciasteczek. Chodziłam na wystawy w Cooper-Hewitt albo oglądałam obrazy Rembrandta w Frick Collection. Ale nie w każdą sobotę. Czasem nie było to nawet w co drugą sobotę. Czasem zdarzało się to raz w miesiącu, czasem znów był to szybki obiad w środku tygodnia. Czasem kontakt urywał się na parę tygodni i kiedy w końcu któreś z nas brało za słuchawkę telefonu, nie mówiliśmy nawet przepraszam, nie mówiliśmy: „Dzwoniłam/dzwoniłem do ciebie wczoraj, ale nikt nie odbierał”. Nie było potrzeby udawać, skoro obie strony rozumiały i milcząco akceptowały fakt, że tak jest o wiele łatwiej. O wiele łatwiej jest nie rozdzierać się na dwoje.

Związek z Zacharym poprawił moje stosunki z matką bardziej niż pięć lat wizyt u doradcy rodzinnego pięć razy w tygodniu. Mama uwielbiała Zachary'ego i praktycznie zaplanowała uroczystość ślubną. Gotowała wymyślne spaghetti, kiedy sądziła, że przyprowadzę Zachary'ego na kolację i doszła do wniosku, że nie mogę być tak bardzo pokręcona, skoro udało mi się złapać takiego chłopaka. Nie powiedziała wprawdzie: „Słuchaj, przez parę lat trudno się było z tobą porozumieć, Ellie, przez parę lat bałam się, że nic z ciebie nie będzie, ale teraz, kiedy masz tego wspaniałego faceta, wszystko jest super.” Nie musiała tego mówić, ponieważ było to takie oczywiste, a ja nie miałam serca powiedzieć jej, że w głębi duszy czuję się tak samo rozchwiana i zagubiona, jak zawsze.

Chcę wymazać wszystko, co było przed Zacharym i odrzucam myśl, że może być coś po nim. Świta mi nadzieja: może naprawdę będziemy z Zacharym zawsze razem i wszystko świetnie się ułoży. Może naprawdę za niego wyjdę. Może naprawdę jestem Kopciuszkiem na balu. Może czternastoletnia dziewczynka nie jest za młoda, by wiedzieć, co dla niej dobre, zwłaszcza wobec faktu, że przed Zacharym nic nie wydawało się dobre. Poświęcam całą energię rozważaniom, jak uchronić ten związek przed rozpadem. Myślę o tym tak dużo, że wkrótce nie ma w tym związku już nic poza moimi planami, by trwał. Dla większości ludzi randki, rozmowy telefoniczne, cały program, jaki tworzy

sobie para zakochanych, jest tylko środkiem prowadzącym do celu, sposobem zorganizowania dnia, by zmaksymalizować przyjemność przebywania razem. Dla mnie jest sensem życia. Cały czas, który spędzam z Zacharym, poświęcam zabiegom służącym przedłużaniu tego czasu. Każda randka sprowadza się do planowania następnej, a potem jeszcze następnej, każda rozmowa telefoniczna zmierza do ustalenia, kiedy znowu do mnie zadzwoni, o której godzinie, w której minucie. Wszystko jest poświęcone temu, by utrzymać stan idealny, uchronić się przed powrotem do małego samotnego świata, w którym żyłam kiedyś.

Jest wieczór, siedzę u sąsiadów z dołu i opiekuję się ich dzieckiem. Dzwoni ojciec. Mama musiała powiedzieć mu, gdzie jestem, co jest zdumiewającym objawem dojrzałości ich obojga. Normalnie nie mogą zamienić dwóch słów, żeby nie zacząć na siebie warczeć. Nie rozmawiałam z tatą od trzech tygodni i może nawet mamie wydało się to za długo. Więc gawędzimy. Opowiadam mu o Zacharym, z jakiegoś powodu mówię mu nawet, że poszłam do Centrum Świadomego Rodzicielstwa po tabletki antykoncepcyjne.

— Cieszę się, że jesteś odpowiedzialna — mówi mój ojciec, ten tolerancyjny rodzic, który nie prawi morałów. — Tylko uważaj.

— Uważaj? — pytam.

— Uważaj na swoje serce.

— A, to! — mówię, pewna, że nie mam powodu do obaw. — Wiesz, Zachary to porządny facet.

— Wiem. Ale uważaj.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu ogarnia mnie żal, że tak rzadko widuję się z ojcem. Z matką nie mogę rozmawiać o seksie. Moja matka nadaje się do tylu rzeczy, do których nie nadaje się mój ojciec, a ojciec nadaje się do tylu rzeczy, do których nie nadaje się matka! Gdyby potrafili dojść do porozumienia, albo przynajmniej ograniczyli kłótnie do minimum, miałabym dwoje całych rodziców.

— Posłuchaj, maleńka! — mówi ojciec. — Maleńka, wiesz, jak bardzo cię kocham.

— No, chyba tak — mówię niezobowiązująco, ponieważ mam wątpliwości. I myślę, co on chrzani, do ciężkiej cholery? Co znaczy słowo „kocham” w tej sytuacji? Jaką ma wartość?

_ Elizabeth, może zdarzyć się coś, czego nie zrozumiesz, co może wydać ci się złe. Pamiętaj wtedy, że cię kocham i zawsze o tobie myślę.

— W porządku! — Nie mówię: „No dobra, tato, powiedz, o co ci chodzi? Co się zdarzy”, ponieważ chcę jak najszybciej odłożyć słuchawkę i zadzwonić do Zachary'ego. Tata miał skłonność do tajemniczości i zaciemniania spraw zupełnie jasnych. Uznałam, że to jedna z jego chwil słabości.

Śni mi się, że mam dwa albo trzy lata, ojciec siedzi ze mną pod nieobecność matki i jak zwykle proszę go, żeby zostawił swoje buty na progu mojego pokoju. Budzę się w środku nocy, butów nie ma, a mama jeszcze nie wróciła. Jestem sama w domu, w ciemności, nie mogę zapalić światła, objam się o meble, jestem sama w ciemności, jestem sama na świecie. Zaczynam krzyczeć.

Miesiąc później ojciec zniknął z Nowego Jorku, tragedia przyćmiona jedynie przez fakt, że Zachary zniknął również. I również bez śladu, jeżeli nie liczyć pięknego złotego naszyjnika, który kupił mi w prezencie i nalegał, bym go zatrzymała. Powiedział, że chce znów grać w kosza z chłopakami bez lęku, że zacznę płakać. Powiedziałam:

„Nigdy nie przyszło mi do głowy, że wolisz ładować kosze niż być ze mną w łóżku, a on powiedział, że owszem, czasem wolałby pograć w kosza, że jeżeli miałyby wartościować te sprawy, to seks i sport są dla niego równie mało znaczące, są. po prostu dwoma różnymi sposobami miłego spędzania czasu.

— Więc byłam dla ciebie tylko sposobem miłego spędzania czasu? — zapytałam.

— Zgadza się — odpowiedział. I to wszystko.

Uważaj na swoje serce.

Po zerwaniu z Zacharym pozostał ze mnie wrak człowieka. Pierwszy raz w moim życiu ból miał swoje ognisko, oddałam mu się bez walki. Nie obchodziło mnie, co myślą inni, nie obchodziło mnie, że dziewczyny w szkole mówią: „Widzicie, w końcu poszedł po rozum do głowy”, nie obchodziło mnie, że głupio wyglądam ze łzawym* smugami tuszu na policzkach, czerwona, zapuchnięta, rozhisteryzowana. Nie obchodziło mnie nic z wyjątkiem mojego cierpienia. Kiedyś narzekałam, że nie mam nic do stracenia, teraz byłam oślepią strata, którą mogłam zdefiniować z taką precyzją. Czułam, że mam prawo cierpieć i nie mogłam znieść, że Zachary zdawał się być wszędzie. Każde schody, na których się obejmowaliśmy, i każde krzesło na szkolnym korytarzu zdawało się promieniować wspomnieniami. Mój Boże, nawet meszek, który przyczepił się do jakiegoś ciucha i ni szedł w praniu, przypominał mi Zachary'ego. Wybuchalam płaczem w klasie i nawet nie raczyłam się wytłumaczyć. Płakałam w metrze. Któregoś dnia została okradziona w drodze do szkoły i uznałam, że jest pretekst nie gorszy od innych, by wrócić do domu i ta pozostać. Zdarzały się dni, kiedy byłam tak pogrążona w smutku, że najdrobniejszy wysiłek, przejście przez ulicę, zrobienie sobie śniadania, był ponad moje siły Ręce mi opadały, kiedy myłam naczynia albo malowałam usta. Zasyślałam odrabiając lekcje. Jeździłam wszędzie taksówkami, ponieważ nie byłam w stanie rozpracować trasy autobusów. Matka współczuła mi do tego stopnia, że płaciła za taksówki. Popołudniami przychodziłam często do jej biura i płakałam. Przerzywałam jej konferencje, a kiedy mówiła, że nie może rozmawiać, płakałam jeszcze bardziej. Moja kuzynka Alison, która spędzała wtedy u nas weekendy, wysłuchiwała moich relacji z rozstania z Zacharym i planów odzyskania jego miłości. Mówiła mi, że się powtarzam i okaz, wała zdziwienie, kiedy ciągnęła swoją opowieść niezrażona. Pojechaliśmy z matką na dwudniowy rejs na Bermudy, a ponieważ na statku nie było telefonów, trzymałam całą wycieczkę w porcie tak długo, aż zebrałam dość drobnych, by obdzwonić wszystkich znajomych Zachary'ego w ich domach na plaży i zapyta' czy jest z nimi.

— Elizabeth, wpadłaś w obsesję, to szaleństwo! Ma tego dość! Zupełnie dość! — krzyczała moja matka, kiedy w końcu wróciłam do kabiny. — On nie był twoim

mężem ani narzeczonym. Był tylko twoim chłopakiem. Będą inni.-

Nie potrafiłam jej przekonać, że to po prostu nieprawda, że Zachary był moją ostatnią szansą i teraz wszystko przepadło.

Nie ma takiego numeru. Nie ma takiego numeru... Abonent nieosiągalny...

Kiedy ojciec zniknął, wyprowadził się gdzieś daleko i nie powiedział mi dokąd, kiedy dowiedziałam się o tym wykręcając jego numer telefonu, kiedy moja własna babka odmówiła podania jego adresu, kiedy moje koszmary okazały się rzeczywistością, odczułam niemal ulgę. Najgorsze obawy potwierdziły się, czyli nie istniały wyłącznie w mojej głowie, lata zamartwiania się, że wszyscy znikną, nie poszły na marne.

Miałam przecucie, i proszę, sprawdziło się.

Jakby to mogło złagodzić ból.

Nie ma takiego numeru.

Żal przychodzi później, po latach, wraz z litanią wyjaśnień, kiedy obarcza się winą okoliczności albo pociesza myślą, że wszystko obróciło się na dobre. Odszedłem, ponieważ nie mogłem patrzeć jak miotasz się między mną a matką. Odszedłem, ponieważ chciałem otworzyć na południu własny interes, zrobić pieniądze i zadbać o twoje potrzeby finansowe. Odszedłem, żeby ułatwić ci życie.

Mam dziwne wrażenie, że to wszystko nie przydarza się mnie, że oglądam film i mogę w każdej chwili przestać. Zaczynam myśleć w trzeciej osobie: ojciec opuszcza córkę. Myślę o różnych dziwnych zdarzeniach i staram się opisać je tak, jakby przytrafiły się innym ludziom: mąż bije żonę, mówi stara wersja Elizabeth Wurtzel. Chłopak za dużo wypił i tłucze dziewczynę po twarzy, donosi głos z przyszłości. Każde osobiste nieszczęście, które już na mnie spadło lub spadnie w przyszłości, potrafię opisać za pomocą prostego zdania oznajmującego.

Tego lata, kiedy odszedł ojciec, pojechałam na wycieczkę po kraju. Podczas mojej nieobecności matka otworzyła szufladę mojego biurka, choć wie, że jest to moje sekretne miejsce, ale chciała tylko wrzucić linijkę, która płatała się po domu. Przysięgała potem, że intencje miała czyste. Nie spodziewała się znaleźć opakowania z napisem Ortho--Novum, a następnie, po krótkim badaniu zawartości szuflady, zielonych, białych i pomarańczowych tabletek antykoncepcyjnych.

Po moim powrocie matka powiedziała, że myślała o samobójstwie, kiedy znalazła Pigułkę w moich rzeczach . Czy nie wiem, że nie powinnam mieć stosunku przed wyjściem za mąż? Nic dziwnego, że historia z Zacharym tak się skończyła, skoro prowadziliśmy się niemoralni Staralam się jej wytłumaczyć, że właściwie nie odbyliśmy stosunku, że w pewnym momencie uznaliśmy oboje, byłby to błąd, ale ona nie słuchała.

— Jak mogłaś mi to zrobić? — zapytała.

Aby zademonstrować, jaka jest wzburzona, otworzyła okno sypialni i powiedziała, że wyskoczy, jeżeli nie osiągnę poprawy. Nigdy, przenigdy nie wolno mi zrobić tego ponownie. Dostała ataku furii. Domagała się, żebym poszła na jedną wizytę do doktora Isaaka i omówiła z nim swoje postępowanie.

Cały czas powtarzała: Jak mogłaś mi to zrobić?

A ja chciałam zawołać: Tobie? Dlaczego tobie? Czy nie pochrzaniły ci się przypadkiem zaimki? Właściwe pytanie brzmi: Jak mogłam zrobić to sobie?!

Była rozhisteryzowana, a mnie wydawało się, że świat oszalał. Opuścił mnie chłopak, opuścił mnie ojciec, a ja siedziałam przy biurku próbując odwieść własną matkę od samobójstwa.

Coś tu się nie zgadza, prawda?

Czarna fala

Nie wiem, czy uciekam dlatego, że się boję, czy boję się, ponieważ uciekam. Zadaję sobie to pytanie od chwili, gdy przybyłam do Harvardu, czyli od września, i nie znajduję odpowiedzi. Czy jeżeli zatrzymam się na minutę w swoim biegu od przyjęcia do przyjęcia, przestanę się upijać i faszerować narkotykami, przestanę gonić za jednym facetem i uciekać przed drugim, jeżeli powiem sobie „dość”, usiądę i przeczytam parę lektur z któregoś z moich czterech przedmiotów, dam szansę „Iliadzie” albo „Poza dobrem i złem”, czy spłynie na mnie spokój? Czy też otrzymam kolejną dawkę pustki, którą napotykam wszędzie w swoim życiu, a której nie powinnam napotkać tutaj, w tej zaczarowanej krainie, amerykańskiej ziemi obiecanej, na uniwersytecie o nazwie, która rezonuje tak daleko, że czasem zastanawiam się, czy echo nie dolatuje do Australii. Nie mogę uwierzyć, że nawet tutaj, nawet w instytucji tak wielkiej i, na Boga, wspaniałej, istnieję tylko i wyłącznie jako ja. Niech to wszyscy diabli!

Nie miałam być sobą. Miałam być egzotyczną amerykańską księżniczką, piękną studentką literatury w okularach, czytającą Foucaulta i Faulknera przy zamkniętym na żaluzje biurku, w pokoju o dębowych podłogach, pełnym cudacznym kwiatów, plakatów z gwiazdami z lat czterdziestych i zespołami muzycznymi z lat sześćdziesiątych na lekko oblażonych z beżowej farby ścianach. Miało być mnóstwo ziołowej herbaty i pięknych śródziemnomorskich nargili, wyszywanych poduszek i wschodnich dywanów, żebym mogła prowadzić własny salon artystyczny. Chciałam mieć tapczan z grubą szkarłatną narzutą, gdzie mogłabym się kochać przez całe noce i senne poranki z moim chłopakiem, facetem, który wyrósł w Connecticut, umie grać w hokeja, na gitarze i na mnie, i który kocha mnie do szaleństwa, pożąda i szanuje.

Gdzie jest ta dziewczyna, której miało się to wszystko przydarzyć? Dlaczego jest taka przygluszona? Dlaczego spędzam tyle czasu wyglądając przez okno mojego pokoju na dziedziniec Harvardu, obserwując chłopców w dżinsach opuszczonych nisko na biodra? Rzucają dyskiem frisbee jakby wszystko było w porządku, jakby wcale nie byli skazańcami. Nie potrafię się przedostać do życia, które toczy się po drugiej stronie szyby, gdzie świat jest miękki jak muł i ludzie nie boją się w nim tarzać. Co bym dała, żeby zwyczajnie rzucać krążkiem, chodzić po korytarzach trzymając kogoś za rękę i śmiejąc się, być czyjąś dziewczyną, być Ali MacGraw w „Love Story” albo Ali MacGraw w «Goodbye, Columbus”, albo kimkolwiek w czymkolwiek. Mój Boże, gdzie muszę pójść, żeby uwolnić się od siebie?

I nie przestaję uciekać. Uciekam przed czarną falą. Czarna fala goni mnie po całym Cambridge. Sunie za mną przez długie popołudnia, kiedy spaceruję po Harvard Square, zachodzę do egzotycznych sklepików na Mass Avenue i przymierzam długie kolczyki. I kiedy zachwyam się kompozycją ze srebrnego drutu i szklanych paciorków, tworzącą tybetańskie symbole płodności, widzę, jak słońce chyli się ku zachodowi, strasznie wcześnie, widzę niebo wiecznie szare i pochmurne, widzę, jak szybko zbliża się noc, jak krótko żyje światło, jakby się w ogóle nie narodziło. Ogarnia mnie przygnębienie, choć nie robię nic nadzwyczajnego, spoglądam tylko na kolczyki w lustrze. Próbuje

skoncentrować się na biżuterii, próbuję myśleć tylko o bambusie i lazulicie, próbuję wyobrazić sobie, że jest to rodzaj buddyjskiego ćwiczenia w głębokiej medytacji, ale nie mogę, ponieważ to coś podchodzi do mnie, najpierw od tyłu, potem od przodu, z boków, zewsząd i jestem pewna, że za chwilę zagarnie mnie czarna fala. Wiem, że za chwilę moje nogi ugrzęzną w mokrym piasku cofającej się fali i muszę uciekać, póki nie jest za późno.

Wybiegam ze sklepu, wracam do swojego pokoju, odnajduję ślady własnych stóp na wybrukowanych alejkach, uciekam przed ciemnością. Dochodzę do budynku, w którym mieszkam, nerwowo bawię się kluczami, przebiegam westybul, parę kondygnacji schodów, uparcie wkładam zły klucz w zamek, w końcu wdzieram się do pokoju, do łóżka, wskakuję pod kołdrę i modlę się, by nie zatopiła mnie ta czarna fala. Może mnie ominie, jeżeli będę leżała cicho. Może, jeśli za jakiś czas wstanę i pójdę na kolację do Union, jeżeli będę próbowała normalnie żyć, udawała, że tego rodzaju odczucia są zupełnie naturalne, może czarna fala zwali się na kogoś innego.

Ale kiedy rozprostowuję ciało, zwinięte w pozycji embrionalnej, i wyczołguję się z łóżka, ocean nadal huczy mi w mózgu. Przelotna ulga, jakiej doznaję na widok innych ludzi, zmienia się prawie natychmiast w rozpaczliwe pragnienie samotności, a samotność wywołuje lęk, że nie będę miała przyjaciół, że zostanę sama na świecie, w życiu. Czarna fala doprowadzi mnie do tego, że pewnego dnia po prostu się zabiję, nie z jakichś wielkich, egzystencjalnych powodów, ale dlatego że nie zniosę jej obecności w mojej głowie, że będę chciała, aby ta straszna, mulista ściana zniknęła, natychmiast!

Jechałyśmy do Harvardu w deszczu, białą wynajętą furgonetką, pełną rzeczy, które chciałam zabrać i rzeczy, które zdaniem mamy pragnęłam zabrać. Wśród tych ostatnich był włochaty dywan z czasów, kiedy jaskrawa zieleń i rozmyty błękit były w modzie. Ogarnęło nas miłe podniecenie. Zatrzymałyśmy się w przydrożnej knajpie Howarda Johnsona na małże z grilla i rozmawiałyśmy z ożywieniem, jakie to wszystko jest ekscytujące. Mówiłyśmy o tym, że w końcu znajdę się w „swoim żywiole”, choć nie bardzo wiedziałyśmy, co przez to rozumieć. Mówiłyśmy, że w końcu będę szczęśliwa.

Ale deszcz był złowieszczy. Doprawdy, trudno zaprzeczyć! Był to deszcz, o jakim Dylan śpiewa w „A Hard Rain's A-Gonna Fall”. „Gdzie czerń jedynym jest kolorem, gdzie liczbą jest zero” i tak dalej, i tak dalej. Nie lubię dopatrywać się we wszystkim znaków boskich, ale lało tak, że szosa I-95 zmieniła się w potok. Widoczność była zerowa, zatrzymałyśmy się więc na środku drogi, ponieważ wszystkie inne samochody zatrzymały się również. Spojrzałam na matkę i powiedziałam: „Nie wróży to nic dobrego”, czy coś w tym tonie.

A ona powiedziała chyba: Och, Elle, nie bądź niemądra.

Ale kiedy dotarłyśmy do Matthews Hall w sobotnie popołudnie i okazało się, że mieszkam na piątym piętrze w

budynku bez windy, matka straciła trochę ze swego optymizmu. Nawet ona nie wiedziała, jak dwie kobiety mogą wnieść na piąte piętro zawartość furgonetki, zwłaszcza we wrześniowym upale. Matce zrzęda mina i chyba właśnie wtedy zrozumiłyśmy obie, że jeżeli nawet istnieje zbawienie, jest w nim zawsze jakiś haczyk.

Kiedy zaczęłam uciekać? Wiele lat temu, na długo przed przyjazdem do Harvardu. Pamiętam licealne czasy, kiedy chodziłam po Central Parku w mroźne dni i chrzęst zmarzłych liści pod butami przywodził mi na myśl skrzyp rozpadającej się czaszki. I naprawdę się bałam, że głowa mi pęknie, a jeszcze bardziej bałam się, że nie pęknie, że to przewlekłe życie w strachu przed śmiercią będzie wiecznie trwało. I biegłam do domu. Biegłam, żeby się schronić. Myślałam, że to się skończy wraz z wyjazdem do Harvardu. Myślałam, że jest to kwestia wyrwania się z konkretnego miejsca. Ale zamiast zniknąć, czarna fala ogarniała wszystko. Ścigała mnie jak pociąg-widmo, czepiała się jak pijawka. A ja nie uciekałam jedynie w sensie metaforycznym, ja dosłownie nie przestawałam się ruszać, bałam się zwolnić, żeby pomyśleć. Bałam się, że wtedy" zobaczę, co naprawdę mnie ściga.

Pierwszego listopada gnałam przez Harvard Yard. a moja najlepsza przyjaciółka (przynajmniej do tej chwili biegła za mną z nożem w ręku, grożąc, że mnie zabije Wrzeszczała: Ty suko, zabiję cię! Zatakowała mnie, ponieważ odbiłam jej chłopaka, Sama, a ona właśnie się o tym dowiedziała. Znalazła dowody: moje notatki w jego pokoju, kolczyk ze słomki w jego biurku. Niespodziewanie spotkałyśmy się na niebezpiecznie stromych schodach, które okazały się za wąskie dla nas obu. Zaczęłam marzyć, by barierka była trochę wyższa i o wiele mocniejsza. Ruby zsiniała ze złości, zaczęła mnie gonić, nazywając dziwką, zdrajczynią sprawy kobiecej i wariatką na dokładkę.

Zabawne jest to, że wcale nie chciałam Sama, Ruby nie chciała go również, a on najprawdopodobniej nie chciał żadnej z nas. Obgadałyśmy go wyczerpująco przy siedemnastu filiżankach kawy w Union i wiedziałam, że Ruby ma poważne zastrzeżenia do tego mięczakowatego gościa, który czyta Milтона Friedmana w wolnych chwilach, a ramiona ma zbyt słabe nawet na to, by grać w sęasha, co dopiero, by dać dziewczynie poczucie bezpieczeństwa. Ale zgodnie z zasadami psychologicznej gry, w której wszyscy zdawali się brać udział, chciałam Sama, ponieważ należał do Ruby, a ona chciała go z powrotem, ponieważ on już jej nie chciał.

Teraz wiem, że gdybyśmy po prostu odrabiali lekcje, kładli się spać przed dwunastą i wstawali na poranne zajęcia — gdybyśmy żyli jak normalni ludzie — uniknęlibyśmy z powodzeniem wielu niedorzeczności. Bylibyśmy zbyt zajęci pogonią za celowym życiem, by uczestniczyć w drugorzędnych melodramatach. Ale nie należeliśmy do normalnych ludzi. Byliśmy zdesperowani i stuknięci, wszyscy, co do jednego. Musieliśmy stworzyć ten trójkąt miłosny z otaczającej nas próżni, żeby uciec przed szaleństwem, smutkiem, pustką.

Rzecz w tym, że nie byłam już sama. Harvard był pełen przypadków chorobowych. Potrafiliśmy odnaleźć się w tłumie, jakbyśmy byli namagnetyzowani. Jednak niczyjej desperacji nie dawało się nawet porównać z moją. Ludzie tutaj byli wystarczająco ekscentryczni, by stanowić interesujące pole dla mojej nerwicy, stać się jej nową pożywką. Ale koniec końców, kiedy kurtyna opadała i dramacik się kończył, inni wracali do swoich pokoi, do swojego życia. Potrafili zrozumieć, że zabawa się skończyła, że była brutalna i wyczerpująca, ale teraz basta. Zostawałam tylko ja, płacząc i wrzeszcząc o więcej, o odrobinę zaspokojenia, o jakiegokolwiek doznania. Byłam jedynym człowiekiem szukającym prawdziwej miłości w burdelu. I choć spotykały mnie wyłącznie rozczarowania, byłam zawsze gotowa do następnej rundy, zupełnie jak narkoman, który bierze drugą dawkę w nadziei, że da mu takiego samego kopa co pierwsza. Tylko że ja nigdy nie zaznałam nawet tej wstępnej euforii, która sprawia, że ćpun wraca po więcej. Zawsze szukałam ukojenia tam, gdzie, wiedziałam z absolutną pewnością, go nie ma.

I kiedy Ruby goniła mnie przez dziedziniec w stronę Centrum Nauk Ścisłych, rozumiałam, że w końcu przekroczyłam pewną granicę. Stało się to dla mnie zupełnie jasne. Wkroczyłam na teren obłądu. Obłąd jest to świadomość, że robisz coś kompletnie idiotycznego, ale nie możesz przestać.

Byłam przerażona tym, co czuję, kiedy tak biegłam, wiedząc, że jeżeli się zatrzymam, poznam powód, dla którego zawsze uciekam i przyznam, że takiego powodu nie ma. Lepiej biec, biec, biec... Czy biegłam ku czemuś, czy uciekałam przed czymś? Bezsensowność tej demonstracji była zbyt denerwująca, by się nad tym zastanawiać. Podobnie jak moje poprzednie zabiegi, by uciec przed demonami w mojej głowie, tak i ta ostatnia próba poniosła fiasko. Sam nie był dla mnie jedynie facetem, lecz kolejną szansą ratunku. Jego ojciec był prezesem wielkiej wytwórni filmowej i kiedy Sam podszedł do mnie w kafeterii i powiedział, że zabierze mnie do Los Angeles, zabierze mnie z mojego życia i z mojego umysłu, kiedy powiedział, że będziemy pisali scenariusze, kiedy powiedział: „Hej, mała, zrobię z ciebie gwiazdę”, kiedy powiedział to wszystko, wiedziałam, że to kłamstwa, ale kupiłam je wszystkie. Powiedział, że na wakacje zimowe pojedziemy do jego domu na Bahamach. Powiedział, że pojedziemy do Cannes na festiwal. Powiedział, powiedział, powiedział... A ja mu uwierzyłam. Wyobraziłam sobie zamknięty wszechświat słońca i bezpieczeństwa. Marzyłam, że pojedę do nibyliandii, gdzie złe nastroje, brzydkie myśli i czarne fale po prostu nie istnieją. Przez parę dni, planując swoją podróż, via Sam, do miejsca, gdzie złe rzeczy się nie przytrafiają, byłam niemal w dobrym nastroju. Potrafiłam skoncentrować się na Heglu dłużej niż minutę za jednym podejściem.

Nie mogłam znieść myśli, że Ruby przekona Sama, by z niej wrócił i tym samym zniweczy moje marzenia o ucieczce. Nie potrafiłam znieść chłodu, który przeniknął nie do szpiku kości na myśl, że kolejna próba ujęcia z mojego życia z życiem skończy się niepowodzeniem. Czas stał się dotykalny i lepki. Każda minuta, każda sekunda, każdy ułamek sekundy oblepiał się wokół kręgosłupa gniotąc nerwy. Wpadłam w odrętwienie. Samoczynna narkoza stworzyła bolesną dziurę w miejscu, gdzie przedtem miałam mózg. Ruby spojrzała mi w twarz i dopiero wtedy przestała wrzeszczeć, zobaczyła, że stanowią większe zagrożenie dla siebie niż dla niej, dla kogokolwiek.

— Co z tobą? Powiedz coś! Powiedz, jak mogłaś mi to zrobić! — zawołała.

A ja powiedziałam, do nikogo w szczególności:

— Proszę mnie nie zostawiać, nie zostawiać mnie na śmierć, nie odchodzić, nie odchodzić...

— Co z tobą, Elizabeth? Mów do mnie! Powiedz coś na swoją obronę!

Chciałam powiedzieć: Nie mogę, spadłam w otchłań, jestem zgubiona. Chciałam powiedzieć wiele rzeczy, ale nie mogłam.

— Jesteś szurnięta — stwierdziła Ruby. — Powinnaś pójść do lekarza.

Chciałam powiedzieć: Wiesz co, masz rację.

Ale odwracam się od niej, zostawiam ją osłupiałą na chodniku. Dziedziniec wydaje się nierealny. Przemierzam go w plastikowej bańce, oddzielającej mnie od rzeczywistości. Jest mroczno i szaro, i martwe liście chrzęszczą pod tenisówkami, przywołując dawne wrażenie pęknięcia głowy. Mijam znajomych, którzy mówią: „cześć”. Prawie ich nie widzę, nie słyszę. Ich głosy zdają się dobiegać z jakiegoś innego miejsca, jak na filmie, w którym dźwięk nie jest zsynchronizowany z obrazem. Kolejne klatki błyskają mi przed oczami, a w głowie buczy projektor. Idę szybko, przed siebie, automat działający zgodnie z programem.

Idę w stronę budynku medycznego. Przez szklane drzwi. Przez drzwi obrotowe. Jeszcze oddycham. W drzwi windy. Wsiadam na trzecim piętrze. Strzałki do Zdrowia Psychicznego. Zachodnie skrzydło. Pytam o psychiatrę. Recepcjonistka mówi, że w tej chwili przyjmuje psycholog. Po paru minutach wchodzę do gabinetu doktora Kin. Mówię, że potrzebuję pomocy. Bardzo potrzebuję. Mówię, że się boję. Mówię, że ziemia ucieka mi spod nóg, że sufit

zaraz wyląduje mi na głowie. Mówię mu, że czuję się jak wieżowiec w stylu art deco, jak Chrysler Building, ale moja konstrukcja się wali, szkło sypie się na chodniki wokół moich nóg. Stąpam boso po szkłe, a wokół je ciemna noc. Składam się z okruszków szkła i jestem tym kimś ranionym przez szkło. Zabijam się. Przypominam sobie, jak odszedł ojciec. Przypominam sobie, jak zerwaliśmy z Zacharym w dziewiątej klasie. Przypominam sobie jak płakałam, kiedy mama zostawiała mnie w przedszkolu. Płacę rozpaczliwie, łapiąc powietrze i bełkocząc bez związku.

Doktor King odesłał mnie do kliniki Stillmana n parę dni, żebym sobie odpoczęła, ochłonęła trochę i wróciła do głupich obowiązków na Harvardzie. Uważał, że oderwanie się od codziennych zajęć pozwoli mi nabrać perspektywy. Niestety, ja wiem swoje. To oderwanie się jest tylko krótkim wychnieniem (upadek na deski, liczenie, powrót na ring). Leżąc w łóżku przez parę dni nie dokonam gruntownego remontu osobowości, po którym nie będę szukała dróg ucieczki, czepiała się ich jak winorośl, a potem patrzyła, jak te martwe moce nagle ożywają, odpychają mnie, choć ja ciągle do nich lgnę. Wiedziałałam, że znajdę następnego Sama, wiedziałałam, że znajdę sposób, by udawać, choćby przez krótki czas, że nie czuję się tak parszywie. W międzyczasie ludzie u Stillmana zbroili mnie na następną rundę nie-szczęść, karmiąc gotowanym kurczakiem na styropianowych talerzach i podając mi co wieczór dalmane, żebym się dobrze wyspała. Kiedy upewnili się, że nie zrobię sobie krzywdy, pozwolili mi odejść, pod warunkiem, że poddam się terapii, bez terapii nie można mi było ufać. A ja nie wiedziałam, jak im uzmysłwić ogrom moich kłopotów ubezpieczeniowych. Nie zdawali sobie sprawy, jak trudno przychodzi mi mówić z rodzicami o pieniądzach, nie wiedzieli, że zamieszanie, jakie wywoła próba namówienia któregoś z nich na opłacenie mojego leczenia, wyrządzi mi więcej szkody niż życie bez terapii. Ku mojemu zdumieniu doktor King zgodził się załatwić wszystko z moim ojcem, tak, by rachunki wędrowały do biura ubezpieczeniowego IBM bez mojego pośrednictwa.

Myślę, że to najmiłsza rzecz, jaką ktoś dla mnie zrobił.

Chłopcy byli wystarczająco kłopotliwi, narkotyki gmatwały sytuację do końca. Komisja do spraw Narkotyków nie wciągnęła jeszcze ekstazy na listę zabronionych medykamentów i małe, białe ampuleczki, które wyglądały jak zestaw witamin, a wywierały efekt nitroglicerynowej bomby wybuchającej w twojej korze mózgowej, były całkowicie legalne. Nie lubiłam kompotu, nie lubiłam kokainy, nie lubiłam alkoholu (co nie przeszkadzało mi palić, pić i wciągać), za to ekstaza była moją słodką pociechą. Dzięki niej mogłam być przez chwilę z dala od samej siebie. Zawsze trwało to zbyt krótko, zawsze chciałam więcej, zawsze pragnęłam, by narkotyk działał dłużej, ale na tę chwilę ekstatycznego haju mój mózg zgadzał się na zawieszenie broni.

Dopóki sprawa nie wymknęła się spod kontroli. Brałyśmy tak dużo i tak często, że ludzie na kampusie ochrzcili Ruby, Jordanę i mnie Boginiami Ekstazy. Na przyjęciach podchodziłyśmy do kompletnie obcych ludzi i mówiłyśmy im, jak bardzo się kochamy. Na prochach byłyśmy przyjaciółkami całego Harvardu, nie czułyśmy już harwardzkich podziałów klasowych, nie czułyśmy się już biedne i brzydkie. Mogłyśmy przeskoczyć szeroką przepaść warunków życiowych, jaka dzieliła naszą trójkę — razem z naszymi przepracowanymi, samotnymi matkami, pożyczkami studentkami i stypendiami — od chłopaków, z którymi chodziłyśmy, chłopaków o nazwiskach takich jak Cabot, Lowell, Greenough, Nobles. Wszyscy ci chłopcy chodzili do Andover i Hotchkiss i przebywali na Harvardzie^w charakterze legatów, jako „przypadki rozwojowe” (zakodowana nazwa, jakiej sekretariat uniwersytecki używa na określenie dzieci głównych donatorów). Wszyscy oni byli studentami mniej niż marnymi, którym szkoły doradziły, by poczekali

roczek przed podjęciem studiów. Dlaczego my, miejskie, sprytne żydowskie dziewczęta, wybrałyśmy akurat tych chłopców, przekracza moje pojęcie. Było oczywiste, że oni wybierają nas, ponieważ chcą odpocząć od blondynek grających w hokeja na trawie, dziewcząt, które znają z wakacji w Maine i z kursów przygotowawczych. Ale czemu my dałyśmy się omotać ich pieniądzom i ich kokainie pozostaje tajemnicą. Może myślałam, że jest to część harwardzkiego doświadczenia. Może uważałam, że tak trzeba. Może wydawało mi się to logicznym następstwem rozczarowania, jakim okazał się Harvard. W liceum poświęciłam wszystkie siły na zdobywanie dobrych ocen, wydawanie gazetki i czasopisma literackiego, chodzenie na lekcje tańca, wszystko po to, by dostać się na wspaniałą uczelnię taką jak Harvard i przejść metamorfozę. Ale kiedy tam w końcu dotarłam, kiedy odkryłam, że powietrze w Cambridge nie drży, że jest to miejsce jak każde inne, o ile nie bardziej przeciętne, kiedy zrozumiałam, że moje koleżanki nie są kobietami uświadomionymi lecz zlepkiem hormonów na dwóch nogach, jak wszystkie nastolatki w kraju, uznałam, że równie dobrze mogę odbyć te studia na haju. Z takiego czy innego powodu nagle okazało się, że ja, dziewczyna, która bała się narkotyków, ponieważ zmarnować umysł to straszna rzecz, zapragnęła go zmarnować i to możliwie prędko.

Na trzy dni przed przerwą zimową zrozumiałam, że sięgnęłam dna. Była to niedziela i obudziłam się w pokoju Noaha Biddle'go po nocy spędzonej na ekstazie. Noah jest dziedzicem fortuny bankowej, absolwentem Andover, chłopakiem z filadelfijskiej Main Line. Jest prawdziwą grubą rybą i kiedy w Harvardzie powiedzieli mu, że musi odczekać rok zanim się zapisze, najął konsultanta, aby mu ten rok zaplanował. Pakuje w siebie tyle koki, że zaczynam się zastanawiać, jak będzie wyglądał z trzecią dziurką od nosa. Nie lubię go specjalnie, ale z niewiadomego powodu zrobię wszystko, by on polubił mnie, zadanie z góry skazane na niepowodzenie, ponieważ nie lubi i już. Nie mogę pozbyć się myśli, że gdybym zdobyła miłość Noaha, nareszcie poczułabym, że jestem w Harvardzie. Gdybym mogła podwiesić się pod kogoś tak integralnie związanego z tym miejscem, tak zadomowionego w Harvardzie, zadomowionego na świecie i we własnej skórze, pola minowe w mojej głowie przestałyby w końcu eksplodować.

Leżę więc na wpeł goła na podłodze w salonie jego apartamentu, z głową w kałuży piwa. Noah leży obok, jesteśmy spowici jedno w drugie, niby przywiędłe, umęczone kwiaty po tygodniu spędzonym w wazonie. Udręczona kacem wlepiam wzrok w pobojuwisko po nocnej balandze. Goście palili i żuli gumę z ekstazą, kupki popiołu i małe różowe kulki są więc wszędzie, poprzyklepane do stolika i podłogi. Ponieważ ekstaza daje złudzenie niezwyklej zręczności, choć tak naprawdę człowiek rusza się jak słoń, na podłodze poniewierają się butelki i plastikowe kubeczki. Gdziekolwiek spojrzeć, leżą części garderoby, głównie mojej. Ale nie widzę zegarka przez zamglone szkła kontaktowe, a muszę się dowiedzieć, która godzina, ponieważ przyjeżdżają dziadkowie z wizytą. Umówiłam się z nimi w moim pokoju przed dwunastą. Kiedy w końcu dostrzegam wskazówki, okazuje się, że jest po szesnastej, że dziadkowie najprawdopodobniej byli i pojechali, poza tym mam na jutro esej, o którym nie zaczęłam nawet myśleć, czuję jak panika narasta we mnie, choć nie wybucha z uwagi na ostatki ekstazy. Ale w głębi duszy, pod pokładem narkotycznego znieczulenia, wiem, że schrzaniłam sprawę. Wiem, że nic nie jest tak, jak być powinno, nic nie jest tak, jak bym tego pragnęła. Przespałam wizytę dziadków, mogę równie dobrze przespać resztę życia. Ogarnia mnie takie przerażenie, że zaczynam wrzeszczeć.

Noam podrywa się z podłogi, przerażony moim strachem, próbuje mnie uciszyć, mówi, co ludzie pomyślą, że mnie gwałcą, albo mordują, ale ja nie mogę przestać wrzeszczeć. Próbuję, ale nie mogę. Noah jest przerażony, żałuje, że się w ogóle ze mną zadał, patrzy na mnie jakbym była trąbą powietrzną, burzą piaskową szalejącą za oknem, poza jego kontrolą i modli się, aby szkody nie były wielkie. Wrzeszczę jak najęta. Jako zaprawiony w bojach ćpun Noah jest

przyzwyczajony do rozmaitych wybryków na Wielkim Haju i wie, jak sobie w takich przypadkach radzić, wie, jak przejść na awaryjny tryb działania. Naciąga ciuchy, udaje mu się naciągnąć je również na mnie, zakrywa mi usta dłonią, stawia na nogi i wyprowadza za drzwi, prosto do izby przyjęć uniwersyteckiej służby zdrowia, a ja wrzeszczę przez całą drogę przez dziedziniec, przez śnieg i ścinający krew w żyłach chłód.

Tam mnie zostawia, zostawia mnie z pielęgniarką, która zaciąga mnie do gabinetu lekarskiego. Jestem pewna, że nigdy już Noaha nie zobaczę. Zaczynam rozumieć, że to, iż go już nigdy nie zobaczę jest gorsze niż przespanie wizyty dziadków. Pielęgniarka dzwoni p dyżurnego psychiatrę. Nie pozwala mi odejść, choć powtarzam:

— Muszę zobaczyć się z dziadkami, czekają na mnie mamy pójść coś zjeść, są po osiemdziesiątce i przyjechali rano aż z Nowego Jorku.

Pielęgniarka mówi, że już za późno, że jest piąta po południu. Ale ja upieram się przy swoim, muszę odnaleźć dziadków. Zupełnie jak Dorotka, która stuka obcasami swoich czerwonych pantofelków i powtarza: Nie ma jak w domu. Ach, gdybym mogła znaleźć się w krainie Oz!

Pytają mnie, czy brałam narkotyki w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, a ja mówię „nie”. Potem mówię: No, może wypilałam trochę kompotu i wciągnęłam trochę koki, ale tylko po to, by przedłużyć działanie ekstazy. Przyznaję się również do paru piw, do paru „morskich tchnień” gdzieś po drodze. Wtedy lekarz pyta, czy nadużywam, a ja zaczynam się śmiać. Wyję jak hiena na myśl, jakby to było pięknie, gdyby moim problemem były narkotyki, a nie moje spieprzone życie. Śmieję się i śmieję, kompletny świr! W końcu lekarz postanawia dać mi valium i każe mi leżeć plackiem na lecarskiej kanapie dopóki się nie uspokoję. Mija godzina. W swój cichy, łagodny sposób valium zmienia histerię w bezmyślność i po wielu zapewnieniach, że nic mi nie będzie, naprawdę nic, lekarz wyprawia mnie z gabinetu. Na pożegnanie radzi, żebym odpoczęła sobie przez wakacje zimowe.

W pokoju znajduję osiem wiadomości od dziadków, z różnych miejsc w Cambridge, ostatnią o tym, że wracają do domu. Koleżanki z piętra mówią, że próbowały się dodzwonić do Noaha przez całe przedpołudnie, ale nikt nie odbierał. Teraz patrzą na mnie jakbym była naprawdę złym człowiekiem. Patrzą na mnie jak na kogoś, kto przespał wizytę swoich osiemdziesięcioletnich dziadków, którzy przejechali pięćset mil w jeden dzień tylko po to, by go zobaczyć — i właśnie taką osobą jestem. Brittany mówi:

— Może powinnaś zrobić sobie fajrant? Jennifer mówi:

— Co się z tobą dzieje? Każdemu odbija od czasu do czasu, ale jak mogłaś zrobić coś takiego swoim dziadkom?! Są tacy starzy, tak się o ciebie martwili!

A mnie stać tylko na to, by zamknąć się w pokoju i wczołgać do łóżka.

Kiedy się budzę z narkotycznego snu, który sprowadza myśl, że zmieniam się w sennego pełzacza jak mój ojciec, dzwonię do szefa wydziału filozofii politycznej i mówię, że nie oddam jutro eseju, ponieważ poślizgnęłam się na lodzie i zwichnęłam nogę. Dziewczyna, której nie zdarzyło się nie oddać pracy na czas, dziewczyna, która zachowywała resztkę zdrowych zmysłów dotrzymując terminów, uznała chyba, że to już nie ma znaczenia. Tamta dziewczyna zniknęła. Pojechała na wakacje zimowe i nigdy nie miała powrócić.

Rzecz w tym, że w używaniu i nadużywaniu narkotyków nigdy nie znajdowałam przyjemności. Ćpałam w żaloszny, psychodeliczny sposób. Ładowałam w siebie każdy produkt, który wpadł mi w ręce, byle choć na chwilę uciszyć myśli. Noah, szczęśliwe dziecko szczęśliwego domu, traktował kokę i ekstazę jedynie jako atrybuty dobrej zabawy (pamiętam jego głupią radość, kiedy uczył mnie wciągać kokę nie zdmuchując jej z lusterka, co przytrafiło się

Woody Allenowi w „Annie Hall”). Ja szukałam w nich szansy przetrwania. Nie zażywałam narkotyków w celach rekreacyjnych. Przeszukiwałam apteczki we wszystkich domach, w jakich się znalazłam, wykradając xanax i ativan, marząc o zdobyciu narkotyków takich jak percodan i kodeina, przepisywanych zazwyczaj po usunięciu zęba mądrości lub innej drobnej operacji. Na percodanie, przeciwbólowej petardzie, prawie nie czułam cierpienia. Gromadziłam te tabletki, chowałam je na czarną godzinę i jadłam jak dropsy, do chwili, gdy było mi już wszystko jedno.

Nie miałam jednak dość pieniędzy, ani odpowiednich kontaktów z dostawcami, by wpaść w nałóg. Polegałam na przypadkowych zakupach i darowiznach. Ale zawiodły mnie nawet narkotyki. Ulga, jaką przynosiły, trwała zawsze zbyt krótko. I nie byłam dobrym narkomanem. Wpadałam w panikę, lądowałam na pogotowiu, a znajomi obiecywali sobie solennie zerwać ze mną kontakty. Nie byłam warta kłopotów, które powodowałam. Zaledwie dwa dni po ataku paniki u Noaha zjawiłam się ponownie na ostrym dyżurze. Tym razem szukałam thorazyny. Wypaliłam górę haszu i byłam przekonana, że moja noga żyje własnym życiem. Podobne problemy mają, zdaje się, ludzie z rozdwojeniem jaźni, ich ręce piszą coś, co czym nie wiedzą ich głowy. Poza tym byłam przekonana, że ściany zwierają się wokół mnie, że kiedy leżę w łóżku, wisi nade mną miecz Damoklesa, a jeżeli zasnę, obudzę się martwa.

W gruncie rzeczy narkotyki nie stanowiły dla mnie rozwiązania. Byłam tak nieporadna w dziedzinie chemicznej samodestrukcji, że często przypominałam sobie historię Spinozy, który próbował się utopić, ale sto ugrzęzła mu między deskami pomostu. Mój Boże, ja bardzo chciałam być normalna i spokojna! Niczego nie pragnęłam bardziej niż spotkać się z dziadkami, oprowadzić ich po Cambridge, pokazać Harvard Yard, Bibliotekę Widenera, bramę Adams House z pięknym mozaikowym sufitem. Z przyjemnością zabrałabym ich do Pamplony, Algiers, Paradiso, czy innej kawiarni gdzie spędzałam długie, spokojne godziny na czytaniu ploteczek i picciu czarnej kawy, która miała postawić mnie na nogi. Pragnęłam pokazać im, że ze mną wszystko w porządku, że ich mała wnuczka, zawsze pograżona w książkach, zawsze samotna i posępna, wyszła jedna na ludzi.

Byłam w ostatniej klasie liceum, kiedy moja kuzynka (a ich druga wnuczka) poślubiła z wielką pompą potentata giełdowego i cała rodzina pęczniała z dumy, że dziewczynie udało się zrobić tak świetną partię. Wiedziałam, że na to mnie nie stać, wiedziałam, że jestem skazana na beznadziejnych hippisów i inne zabłąkane dusze, ale chciałam pokazać dziadkom, że ja też coś potrafię: potrafię pisać, uczyć się, dostać do Harvardu. Czekałam na ich wizytę z taką samą radością, z jaką była grubaska, która wyrosła na cudowną kobietę, cieszy się na imprezę klasową z okazji dziesiątej rocznicy ukończenia szkoły. Noah poszedłby z nami na lunch — przynajmniej w moich marzeniach - i choć nie-Żyd, był jednak uroczym Jankesem z Pensylwanii, a towarzyskie debiuty jego sióstr odbywały się na całym Północnym Zachodzie. Dziadkowie wróciliby do domu na Long Island przekonani, że odniosłam w Harvardzie wspaniały sukces.

A tak wrócili zdezorientowani, zmartwiali ze strachu, zastanawiając się, co, u licha, stało się z ich najmłodszą wnuczką, która przyjeżdżała do nich kiedyś w każdy weekend i w każde wakacje, ponieważ jej matka pracowała, ojciec spał, i nie miał się kto nią zająć. W istocie wychowali mnie, a teraz zastanawiają się, co poszło nie tak. Nie mogłam powiedzieć im, że cierpię na ostrą depresję, tak ostrą, że nawet kiedy chcę uciec od siebie i zająć się potrzebami innych ludzi — jak chciałam tego dnia — po prostu nie jestem w stanie. Zżera mnie depresja i leki, które biorę, by ją zwalczyć. Nic już ze mnie nie pozostało, żadne szczątki, którymi mogliby się cieszyć choćby przez parę godzin. Jestem do niczego.

Wakacje zimowe spędziłam na ukrywaniu się w moim pokoju. Zamknęłam się w sobie. Ten semestr był taki burzliwy! Wiem, że każdy przechodzi w bólach okres adaptacji po wstąpieniu na uczelnię i jest to zupełnie normalne, ale mój stan z pewnością normalny nie był. Nie mogę nawet udawać, że inni mają takie same problemy, nie znam nikogo, za kim najlepsza przyjaciółka goniłaby z nożem po kampusie (choć z pewnością znaleźliby się i tacy), i nikogo, kto przeprowadziłby się z akademika w Matthews Hall do kawalerki w Hurlbut, bo nie mógł znieść obecności innych ludzi. To prawda, że wszyscy na uczelni mieli jakieś problemy, ale radzili sobie z nimi i osiągnęli mniej lub bardziej doskonałą formę spokoju, która sprawiała, że życie stawało się znośne. Ale nie ja. Co to, to nie! Ja zawsze będę uciekała. Zawsze będę oglądała się przez ramię, lub, napotkawszy kogoś, kto próbuje ze mną rozmawiać, przez jego ramię, wypatrując następnej szansy, następnego koła ratunkowego. Tylko tutaj, w domu, jestem w bezpiecznej przystani.

Jest wieczór. Matka wraca do domu z pracy, wchodzi w czarną otchłań mojego pokoju, gdzie leżę od chwili powrotu z Harvardu, w tej samej koszuli z czerwonej flaneli. Przeważnie czytam lektury z historii prawa, zdumiona tym, jakie są pochłaniające, ile można się nauczyć z „Podstaw metafizyki moralności” Kanta, „O wolności” Milla, czy „Teorii Sprawiedliwości” Johna Rawlsa. Może, gdybym poświęciła więcej czasu książkom, pierwszy semestr byłby mniej destabilizujący? Może, gdybym przypomniawszy sobie od czasu do czasu, że Harvard jest, wbrew mitom, zwykłą szkołą, nie zaś schroniskiem dla wykołejonej młodzieży, może wyniosłabym z tego miejsca coś pożytecznego? Przecież zawsze znajdowałam schronienie we „wspaniałej izolacji” moich studiów.

Matka siada na drugim łóżku, opatulona w swój przyciasny płaszcz na futrzanej podpince, jakby czuła jeszcze chłód z dworu. Zapala boczne światło, górne, zimowy mrok o szóstej po południu to dla niej zbyt wiele, pewnie nie rozumie, że mała lampka nocna daje dokładnie tyle światła, ile mogę znieść. Nie wiem, czy ona rozumie, że się ukrywam.

— Istny chlew! — mówi. — Elizabeth albo tu posprzątasz, albo będziesz musiała się wyprowadzić. Nie mogę żyć w takim bałaganie.

Nie mogę się ruszyć, chcę powiedzieć, ale nie robię tego.

— Mamo, czy nie widzisz, że jestem zbyt przygnębiona, by robić cokolwiek? Zresztą, to mój pokój. Co cię obchodzi, że mam bałagan?

— To mój dom, a ja nie będę żyć w ten sposób! Bawi się włosami, wyciąga pasemka i nawija je na palec. Nie może znieść, kiedy jestem taka, nie może się pogodzić z faktem, że bałagan w moim pokoju to pryszcz wobec reszty moich problemów.

— Posłuchaj, Elizabeth! Przyszedł rachunek z Harvardu za następny semestr. Nawet z twoimi stypendiami i pożyczkami jest to ciągle mnóstwo pieniędzy.

— Wiem.

— Czyżby? A niby skąd to wiesz? To ja płaciłam zawsze twoje rachunki, zawsze pilnowałam, żebyś miała wszystko, co ci potrzeba, nawet gdy nie miałam na swoje potrzeby. Wydaje mi się, że nie znasz wartości pieniądza. To moja wina, tak cię wychowałam. — Potrząsa głową.

Widzę, że zaczyna płakać i myślę: Tylko nie to!

— Gdybyś znała wartość pieniądza, nie zaprzepaszczalabyś w ten sposób szansy na wykształcenie, chodząc na imprezy i Bóg wie co jeszcze! — ciągnie, cała we łzach. Chcę jej przerwać, powiedzieć, że to nie jest wcale takie zabawne, jak się zdaje, ale ona zbywa mnie machnięciem ręki. — Słuchaj, nie wiem, co tam robisz i chyba nie chcę

wiedzieć. Ale szlag mnie trafia na myśl, że świetnie się bawisz, podczas gdy ja haruję jak wół, dzień w dzień, muszę się liczyć z każdym centem, żebyś ty mogła siedzieć w Harvardzie. Wysyłam cię tam, ty wracasz załamana. Chcę wiedzieć, co się dzieje. Chcę wiedzieć, albo nie zapłacę za drugi semestr.

— Powiedziałaś przed chwilą, że nie chcesz wiedzieć.

— Bo nie chcę. — Zaczyna naprawdę płakać. — Ale widzisz, pracowałam tak ciężko, żeby cię wychować, zrobiłam to zupełnie sama, nigdy nie miałam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić i tak się starałam być dobrą matką, a teraz ty jesteś w Harvardzie, ale wygląda na to, że wszystko czego cię nauczyłam, nie ma dla ciebie znaczenia. Nie obchodzi cię, czy chłopcy, z którymi się umawiasz są Żydami i... — Zaczyna zawodzić, a jej twarz kurczy się dziwnie, jak przed atakiem apopleksji. — I zażywasz te wszystkie... te wszystkie... te wszystkie...

— Co, mamó? — Podbiegam do niej i tulę ją do siebie, żeby przestała płakać. Choćbym miała nie wiadomo jakie kłopoty, jej zawsze wydają mi się gorsze.

— Narkotyki! — wykrztusza. — O Boże, Ellie, nie zniosę tego! Moje dziecko...! Nie mogę patrzeć jak się krzywdzisz. Tak się martwię. Wpędzisz mnie do grobu.

— Mamó, skąd pomyśł, że zażywam narkotyki?

— Ponieważ, gdybyś nie była na narkotykach, nie Przegapiłabyś wizyty dziadków. Jesteś potworną egoistką i myślisz wyłącznie o sobie, ale nawet ty nie pozwoliłabyś dziadkom jechać taki kawał drogi na darmo. — Płacze dalej.

— Ale mamó, mówiłam ci już, że byłam w lecznicy, Ponieważ upadłam i skręciłam nogę.

Czy ktokolwiek w to uwierzył?

— Tak po prostu upadłaś? Oczekujesz, że w to uwierzę? Prawdę mówiąc, nie.

— Poślizgnęłam się na lodzie. W Cambridge jest zimno, o wiele zimniej niż w Nowym Jorku.

— Och, Elizabeth, przestań kłamać! Nawet jeżeli upadłaś, to dlatego, że zażywałaś narkotyki. — Urywa, łapiąc oddech. Na jej twarzy maluje się wysiłek, jakby miała przed sobą jeden z tych problemów matematycznych, tak zawiłych, że zanim człowiek znajdzie odpowiedź, zapomina jak brzmiało pytanie. — Przecież ja nawet nie wiem, co się tam dzieje! Może to nie narkotyki. Nie mam pojęcia. Nie mam pojęcia.

Oddycham z ulgą, kiedy odrzuca hipotezę narkotyków, ponieważ nie potrafiłabym jej tego wyjaśnić w żaden ludzki sposób. Jednak po chwili wraca do tematu.

— Spójrz na siebie — mówi. — Wyglądasz strasznie. Inni jadą na studia, i przybierają na wadze, a ty jesteś chudsza niż kiedykolwiek, pewnie od narkotyków. Zresztą widzę to teraz. Prawie nie jesz.

Trafia w sedno. Opuściłam dom ważąc sto dwadzieścia funtów, wróciłam o dwadzieścia funtów lżejsza, tak lekka, że mogłabym zapisać się do baletu, gdzie wszystkie dziewczęta muszą być szczupłe i wiotkie, a większość ma bzika na punkcie odchudzania i narkotyków. Nigdy nie chciałam mieć świra, jak tancerka. Nigdy nie chciałam mieć świra, jak ja.

— Może po prostu jestem przygnębiona — zasugerowałam w nadziei, że prawda wyzwoli nas od tej koszmarnej rozmowy. — Po co szukać czynników zewnętrznych takich jak narkotyki? Zawsze mówisz: „To wina taty, zostawił cię”, albo „To dlatego, że wychowałaś się w City”. Teraz mówisz, że jestem taka z powodu Harvardu. Dlaczego nie chcesz przyjąć do wiadomości, że jestem w depresji, przygnębiona do szpiku kości? Może taka po prostu jestem. Może urodziłam się pod złą gwiazdą. Może naprawdę potrzebuję prochów, takich, jakie przepisuje lekarz.

— Może! — Matka wzdycha. Wiem, co myśli: dlaczego to musi być takie trudne? Trochę się uspokoiła, głośny, histeryczny płacz przeszedł w bezradne pochlipywanie. — Lekarze zawsze mówili, że nic ci nie dolega w sensie fizycznym, że masz problemy emocjonalne. Ze potrafią cię naprostować. — Znowu zaczyna zawodzić. — Słuchaj

Elizabeth, każdy ma jakieś kłopoty, ale nie wszyscy podkradają chłopców przyjaciółkom i zmieniają mieszkania jak rękawiczki. I nikt nie zapomina tak kompletnie o zapowiedzianej wizycie dziadków. — Ryczy w głos. — O czym myślałaś tego dnia? To starzy ludzie, po osiemdziesiątce. Nie rozumieją, co się stało. Nie rozumieją, gdzie mogłaś być. To prości ludzie i może nie są doskonali, może wolałbyś mieć kogoś innego za swoich dziadków, może wolałabyś rodzinę bardziej podobną do siebie, ale oni cię kochają. Naprawdę kochają. Co się z tobą dzieje? Odpowiedz mi!

Co mogę powiedzieć? Jestem do chrzanu, tak bardzo do chrzanu, że chciałabym być kimkolwiek, byle nie sobą. Chciałabym nie żyć. Szukam w myślach jakiegoś wyjaśnienia mojej depresji, które wydałoby się matce zrozumiałe, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Nie potrafię wyjaśnić tego nawet sobie. Nie mogę nawet spojrzeć jej w oczy i powiedzieć, no wiesz, miałam trudne dzieciństwo, ponieważ zabrzmiałoby to jak frazes, jak wymówka. Tonowy głąz, który włożyłam sobie na ramiona, żeby usprawiedliwić wszystkie nieszczęścia. Nie byłam bita, nie zostałam wychowana przez wilki, nie jestem przypadkiem wyjątkowym: jestem dzieckiem, którego rodzice nie załatwili najlepiej swoich spraw osobistych i które wyrosło ułomne. Czy rodzinna dynamika może być odpowiedzialna za całe to zło? Czy przyczynił się do tego taki, a nie inny skład chemiczny mojego mózgu? Zresztą, jakie to ma znaczenie, dlaczego mnie tak spaczyło?! Ważne, że spaczyło! Nie mogłam wstać z łóżka, nie mogłam jeść, nie mogłam zmienić ubrania, nie mogłam nawet wytłumaczyć się przed matką.

— Mamusiu... — mówię i zaczynam płakać. — Mamusiu, nie wiesz nawet jak mi ciężko, gdy widzę, jak ciężko jest tobie. Wszystko dlatego, że jestem jedynaczką, byłam tak bardzo uzależniona od ciebie, z braku ojca, ^a ty byłaś uzależniona ode mnie. Nigdy nie mogłam być małym dzieckiem. Nigdy nie mogłam zwyczajnie się bawić. A ty nigdy nie mogłaś cieszyć się macierzyństwem. Byłam dla ciebie tak wielkim obciążeniem! Byłaś Pod presją. Zawsze próbowałaś mnie zadowolić, a ja Próbowałam zadowolić ciebie. Chciałam być lepsza niż wszyscy inni w twojej rodzinie, lepsza od kuzynek w moim wieku, ponieważ zawsze czułam się gorsza. Nie miałam ojca, jak one wszystkie. — Jeszcze więcej łez, moich i jej. — A nie byłam gorsza. Wcale nie. Byłam najlepszym dzieckiem na całym świecie. Nie pamięta tego? Nie pamiętasz mnie? Widzisz, ja pamiętam siebie nawet jeżeli wszyscy inni zapomnieli. Pamiętam, ja się starałam, i pamiętam, że nikt mi nigdy nie powiedział, że nie jestem gorsza! Chciałam tylko być szczęśliwym, małym dzieckiem, a byłam małym dorosłym i nikt mi nawet nie powiedział, że jestem dobrym dzieckiem!

Zaczynam bełkotać i stwierdzam ze wstydem, że przeholowałam. Chciałam przybliżyć tylko matce naturę moje cierpienia, a dałam się ponieść patosowi własnych słów. To, co mówię, brzmi jak dialog jednego z tych filmów z Tomem Cruisem, osadzonych na wielkich tragediach — rewolucji kulturalnej w Chinach, wojnie w Wietnamie, eksterminacji Żydów, zamachach bombowych IRA w Londynie — gdzie nawet w obliczu prawdziwego cierpienia wszystkie kłopoty protagonisty wynikają tylko i wyłącznie z braku pewności siebie. Filmy te dowodzą, że klęski ogólnoswiatowe mogą być spowodowane przez matki, które kochają za bardzo lub zbyt mało, przez ojców, którzy znikają, albo są nałogowymi alkoholikami o skłonnościach sadystycznych. Wiem, aż za dobrze, że wszystko, co mówiąc, brzmi jak hollywoodzki banał, choć z drugiej strony, filmowe charaktery tworzone są przecież na podstawie

jakichś prawd. Wiem, że ludzie, którzy mogliby naprawić świat, czasami przyczyniają się do jego destrukcji, ponieważ coś im się popieprzyło w środku, pochodzą z rozbitych domów. Więc mówię dalej.

— Myślałam, że dostając się do Harvardu udowodnię tobie i wszystkim innym, że nie jestem gorsza. Myślałam, że jeżeli dostanę się do Harvardu, wszyscy w końcu przyznają, że jestem w porządku, jestem dobrym dzieckiem-A teraz ty krzyczysz na mnie, a za chwilę zadzwoni twoja siostra i też zacznie krzyczeć na mnie za to, co zrobiłam babci i dziadkowi, i cała rodzina powie, że jestem okropnym dzieckiem, a ja przecież tak bardzo się staram. Tak bardzo się staram. Tak bardzo się...

Wpadłyśmy obie w histerię, siedzimy obejmując się ramionami, ona ciągle w swoim ciężkim płaszczu, ja nadal we flanelowej koszuli, która stała się moją drugą skórą.

— Chciałam tylko, żebyście kochali mnie taką, jaka jestem — szepczę w futrzany kołnierz i nie obchodzi mnie czy ona słyszy, w gruncie rzeczy nie wiem już, po co dalej mówię. — A teraz wszystkich nienawidzę. Nikt mnie już nie obchodzi, ponieważ wszystkich nienawidzę.

— Och, Ellie, wiem — mówi moja matka. — Wiem. I tak mi przykro.

V

Pigułki szczęścia

Harvard, w swej nieskończonej mądrości przewidział po dwóch tygodniach wakacji tydzień nauki i trzy tygodnie egzaminów, co oznaczało, że nie ma potrzeby uczyć się systematycznie. Przyjemność tę można było sobie odłożyć na sześć tygodni umysłowej harówki, zakładając, że coś pozostało z umysłu po tylu miesiącach uniwersyteckiej nicości przerywanej od czasu do czasu przez wykład. Po wakacjach, które w moim przekonaniu były aresztem domowy, wróciłam na uczelnię. Ta sama, nic nie zmieniona Elizabeth Wurtzel. Nawet w najgorszych chwilach mojej sypialnianej chandry wiedziałam bez cienia wątpliwości, że wrócę do szkoły, przystąpię do egzaminów, zdam i przebrnę przez drugi semestr. W głębi duszy zawsze byłam twarda, kryłam swoje rany przed ludźmi i całymi tygodniami skrzętnie gromadziłam zapas zdarzeń depresogennych, czekając aż będę sobie mogła pozwolić na całkowite załamanie nerwowe. Ale w końcu dźwigałam się, gotowa żyć dalej, gotowa wykonać to minimum, które pozwalało przemknąć się przez oka sieci.

Pewnego wieczoru, w czasie mojej pierwszej sesji na Harvardzie, siedziałam po kolacji w pokoju próbując bez powodzenia skoncentrować się na „Odysei”. Teoretycznie była to lektura przyjemna, włóczęgowska epepeja pełna

syren i zjadaczy lotosów, wyspiarski romans z nieszczęsną Penelopą przy warsztacie tkackim, oganiającą się od wielbicieli, czekającą, czekającą, czekającą — uosobienie cnót kobiecych — aż jej drogi, zbłąkany

Odyseusz powróci do domu. „Odyseja” jest typowym czytadłem, jest o niebo lepsza od „Iliady”, w której roi się od żołnierzy, pół bitewnych i facetów czubiących się o władzę, ale ja nie mogłam wykrzesać z siebie nawet iskierki zainteresowania dla całej tej starożytnej turystyki. Myślami byłam gdzie indziej. To zadziwiające; mogłam siedzieć w domu i spokojnie czytać przez parę tygodni — a nawet ustrzec się przed chandrą i brzydkimi myślami — a teraz, w szkole, straciłam znów równowagę duchową. Wszystko we mnie dygotało, bolała mnie głowa, wybiegałam myślami poza pokój, do miejsc, gdzie moi przyjaciele z pewnością świetnie się bawili, szczęśliwi, że nie ma mnie wśród nich.

Męczyłam ludzi i to nie tylko dlatego, że po każdym ćpaniu ładowałam na ostrym dyżurze, przeważnie w towarzystwie bezradnej, otumanionej świty. Byłam męcząca nawet kiedy byłam trzeźwa. Wytwarzałam napięcie, które zakłócało łagodne wibracje narkotycznych bibek. Nie wystarczało mi pójść zwyczajnie na imprezę i cieszyć się towarzystwem innych, nie wystarczała mi zabawa w butelkę czy inną pijacką grę. Potrzebowałam czegoś więcej, sensu, górnolotnej obietnicy odkupienia i nie obchodziło mnie, po kim przemaszeruję, żeby ją zdobyć. Moje zachowanie było destrukcyjne i w końcu Noah powiedział, że wprawdzie kocha mnie szczerze, ale pozwoli mi przebywać w swoim pokoju tylko wtedy, gdy obiecuję siedzieć cicho, słuchać muzyki i nie ćpać. Ale pokój Noaha był prawdziwą palarnią opium. Nie było sensu tkwić tam na trzeźwo.

Więc próbowałam siedzieć we własnym pokoju i przykładowo czytać. Ale nie byłam w stanie przebrnąć przez kolejną stronę „Odysei”. Wątek zaginionego ojca podziałal widocznie na moją podświadomość, bo ujęłam słuchawkę telefonu i wykręciłam numer taty na Florydzie. Mieszkał tam w małej, fikuśnej hacjendzie — terakota na podłodze, kilimy na ścianach, wiklinowe meble, poduchy w różnych odcieniach pomarańczy, basen w kształcie nerki z widokiem na Intercoast, te rzeczy. Nie żyło mu się źle od czasu, gdy uciekł. Prawdę mówiąc, nie sposób było nie zauważyć, że przez ostatnie cztery lata, odkąd pozbył się mnie i mamy, żyło mu się świetnie. Pogardzałam nim jak diabli za ten jego spokój, za umiejętność urzeczywistnienia tego o czym marzymy wszyscy: że wystarczy zignorować kłopoty, by rozplynęły się w powietrzu. Mimo iż w przestrzeni lat próbował usilnie wmówić mi, że moje pochłania zawsze część jego umysłu, że moja osoba jest trwałym elementem jego życia, nie wierzyła-mu. Zapominał o mnie z chwilą, gdy schodziłam nr z oczu.

Urządzaliśmy sobie co pół roku spotkania, zupełni jak domy towarowe urządzą wielkie wyprzedaże: tłum pchają się przepelnione miłym oczekiwaniem, by pi chwili stwierdzić, że dostały im się resztki, śmiecie Organizowaliśmy nasze spotkania w najlepszej wierze. J obiecywałam sobie, że wybaczę mu jego ucieczkę, o obiecywał sobie, że zdławi poczucie winy, pogawędzimy sobie miło i spotkamy się znowu za pół roku. Po czym wszystkie postanowienia szły w ką, a my rozpoczynaliśmy na nowo nasz bój. Ja mówiłam, że jest okropnym ojcem on, że moja matka uniemożliwiła mu pozostanie przy mym boku.

Upłynął rok od jego przeprowadzki na Florydę, za nim do mnie zadzwonił. Przyjechał po coś do Nowego Jorku, wpadł na mamę w Bloomingdale, po czym za dzwonił. Byłam wstrząśnięta tym telefonem, ponieważ nikt — nawet babcia — nie chciał mi powiedzieć, dokąd zwiął. Wmówiłam sobie, że pewnie na Kajmany, d Argentyny, lub w jakieś inne miejsce, gdzie zazwyczaj trafiają źli ludzie. Wyobrażałam sobie, że gra w pokera z Josefem Mengele'em. Fakt, że jest nadal na amerykańskiej ziemi, w mieście, do którego lata Delta i Unite z którym mogę uzyskać bezpośrednie połączenie telefoniczne, umniejszył rangę jego przestępstwa, jego winy. Ni wiem, dlaczego uczyniłam podobnie trywialne rozróżnienie, może dlatego, że było mi tak wygodniej, a może dlatego, że chciałam mu wybaczyć.

Oczywiście, że chciałam mu wybaczyć! Był moim ojcem. Posiadanie oboje rodziców nadal wydawało mi się niezaprzeczalnym prawem dziecka. Przyszedł więc po mnie do szkoły któregoś popołudnia i zabrał na obiad. Pogodziliśmy się, wycalowali i wyściskali, a potem on powrócił do swojej szczęśliwej hacjendy i przepadł.

Pojechałam do niego w odwiedziny na dwa tygodnie przed rozpoczęciem studiów. Spędziłam długi weekend pławiąc się w słońcu przy basenie, robiąc wycieczki do Coconut Grove i Calle Ocho, robiąc wszystko to, co według mnie powinna robić córka z ojcem. Wiodłam nawet długie rozmowy z macochą, powiedziałam jej, jak bardzo mnie zraniła w dzieciństwie ignorując moje istnienie. Powiedziałam, jakie to było bolesne dla sześciolatniego dziecka siedzieć z nią na jednej kanapie, oglądać ten sam odcinek „Star Trek” i nie móc z nią porozmawiać, ponieważ ona zwracała się tylko do ojca, jakbym w ogóle nie istniała. Ona przyznała, że mierzyła ją moja obecność, wyznała wszystkie swe winy, przeprosiła, że pomieszała mnie z moją matką. Po prostu skręcało ją na myśl, że mój tata miał już rodzinę przed nią. Naprawdę wierzyłam, że poczyniliśmy ogromny krok naprzód ku powszechnemu przebaczeniu. Spędziliśmy miło czas. Myślałam, że w moich stosunkach z ojcem dokonały się wszystkie możliwe przełomy i znów będziemy sobie bliscy. Napisałam nawet optymistyczny artykuł do „Seventeen” o tym, jak się zjednoczyliśmy po wielu latach nieporozumień i gniewów. Myślałam, że wszystko będzie wspaniale.

Jesienią przyjechali z macochą do Harvardu. Ojciec przywiózł nikona i fotografował mnie przed Matthews Hall, przed pomnikiem Johna Harvarda, przed biblioteką Widenera. Poszedł ze mną na zajęcia z historii prawa i udawał, że interesuje go neokantowski wykład profesora Sandela dowodzący, dlaczego należy przymknąć oczy na Pierwszą Poprawkę i pozwolić pewnemu miasteczku w Minnesocie zakazać pornografii, skoro miasteczku na tym zależy. Wypił ze mną cappuccino i zjadł kanapki w Pamplonie, pozwolił przedstawić sobie moich przyjaciół i znajomych przewijających się przez knajpkę. Zachowywał się jak dumny ojciec, odwiedzający uroczą córkę na uczelni. Zachowywał się jakbyśmy byli normalni: dać nam odpowiednie ciuchy i możemy pozować dla J. Crewa.

A ja przez cały czas myślałam: Za kogo on się, kurwa, uważa?! Znika z mojego życia na cztery lata — cztery Pieprzone, straszne lata obłędu i depresji — wraca, gdy jestem już w Harvardzie i co?! I wszystko ma być cacy?! Myśli, że może tu przyjechać, zrobić parę fotek swojej cudownej córeczce z Ivy League jakby nigdy nic? G był, kiedy go potrzebowałam?

Przysięgam, że już nigdy się do niego nie odezwę. Oświadczam, że pomyśl, by mu wybaczyć i znów być z ni blisko, był kolejną mrzonką, jeszcze głębszą niż to, że kiedy dostanę się do Harvardu, wszystko będzie pięknie. Ogarnęła mnie nienawiść. Tak bardzo chciałam pozbyć się przeszłości, a ona nie chciała odejść, paprała się ja zabrudzona rana. Na zajęciach fizyki w szkole średni uczyłam się o efekcie Dopplera, o paradoksalnej reakcji między dźwiękiem i przestrzenią, która sprawia, że dźwięk natęża się im bardziej oddalasz się od jego źródła. Praw to odnosiło się również do mnie: czułam większy gniew na ojca teraz, kiedy nasze problemy powinny odpłynąć w przeszłość.

W moim życiu nic nigdy nie zbladło z czasem i nie zajęło pośledniego miejsca w katalogu osiemnastoletnich doświadczeń. Wspomnienia trwały przy mnie mój mózg zawałaty żywe obrazy, posegregowane jak fotografie i stare suknie w komodzie babci. Nie była jedynie szaloną kobietą na strychu — byłam równie tym strychem. Przeszłość otaczała mnie ze wszystkie* stron.

Moje odczucia — za każdym razem, gdy myślała o ojcu, za każdym razem, gdy padało jego imię — był bardzo nieskomplikowane: Chcę cię zabić! Chciałaby być bardziej dojrzała, rozsądniejsza, pragnęła mieć wielkie, grubaśne, przebaczące serce, które pomieściłoby całą tę nienawiść i jeszcze znalazło siły na dobroczynną miłość, ale nie miałam go w sobie. Po prostu ni miałam.

A jednak wybrałam jego numer tamtego wieczoru podczas sesji, wystukałam cyferki jakbym chciała je wcisnąć w aparat, i czułam się niby bumerang, który zawsze wraca. Był to dziwny nałóg, któremu oddawała się w chwilach samotności i przygnębienia, kiedy czuł że wyczerpałam wszystkie zasoby — to znaczy, kiedy nie miałam na widoku nowego faceta, który mógłby stać się moją obsesją. Dzwoniłam do ojca w nadziei że to poprawi mi samopoczucie. Siedziałam na zimnej drewnianej podłodze, wsłuchana w sygnał i drżała z podniecenia, ledwo trzymając nerwy na wodzy z nienawiścią w duszy. Nienawidziłam swojego życia, ojca i pragnęłam powiedzieć mu, raz na zawsze, jak bardzo go nienawidzę.

Zamówiłam rozmowę na jego koszt.

— Cześć, Elizabeth! Co słychać? — zapytał.

— Egzaminy, wiesz, nauka. Nic specjalnego. A co u ciebie?

— Stara bieda. Idę do pracy, pracuję cały dzień, wracam do domu, oglądam telewizję, czytam, jakoś leci.

— No właśnie. — Napięta cisza. Nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym powiedzieć, więc postanowiłam napomknąć o sprawach finansowych. — Słuchaj, tato, tak się zastanawiam, czy dostałeś te rachunki od lekarza, które ci wysłałam? Wiesz, za leczenie psychiatryczne, którego potrzebowałam na jesieni, kiedy miałam takie problemy z ludźmi i w ogóle, pamiętasz?

— Aha, dostałem je.

— Bo widzisz, przysyłają mi upomnienia, bo zdaje się, że ich nie zapłaciłeś, no i rozumiesz. Wtedy powiedziałeś, że zapłacisz. To znaczy, wydaje mi się, że nawet ustaliliśmy coś przez doktora Kinga. Ze zanieziesz je zaraz do tych ludzi od ubezpieczeń. Pamiętasz, że mi to obiecałeś?

— Tak, ale zmieniłem zdanie.

— Przecież obiecałeś, tato! — Myślę: O Boże, wiem, że zadzwoniłam, żeby się pokłócić, ale nie sądziłam, że zaczniemy od razu. Sądziłam, że sobie przez chwilę porozmawiamy.

Dlaczego on jest taki nieużyty w sprawie, która nie przedstawia dla niego żadnych trudności? Złożyłby podpis na paru formularzach i nie byłoby tej całej rozmowy. Dlaczego przy nim każda najdrobniejsza kwestia urasta do rangi problemu? Był jak niski rangą urzędnicyzna, przydający sobie znaczenia mówiąc „Nie” ludziom, którzy do niego przychodzą, stoją w kolejce godzinami, ludziom, którzy nie przyczynili się do tego, że jest taki mały i słaby, którzy sami są mali i słabi. Jezu, tato potrafił zrealizować się jako ojciec tylko w jeden sposób — odmawiając zaspokojenia moich potrzeb.

Pieprzyć to! Pieprzyć go! Nie mogę uwierzyć, że muszę dalej prowadzić tę rozmowę.

— Tato, pamiętam wyraźnie, powiedziałeś, że ponieważ twoje ubezpieczenie pokrywa dziewięćdziesiąt proce bierzesz to na siebie. — Zaczęłam chodzić jesienią terapię tylko dlatego, że tata, przez doktora Kinga, zgodził się za nią zapłacić. Inaczej w ogóle nie zaczęłabym leczenia a teraz koszty narosły do tysiący dolarów, których nie miałam. — Tato — jęknęłam. — Powiedziałeś, że zapłacisz. Poszłam na terapię tylko dlatego, że obiecałeś za nią zapłacić. Inaczej bym tego nie zrobiła.

— Faktycznie obiecałem. Ale ty nie wypełniłaś warunków umowy — powiedział. — Od czasu naszej wiz jesteś dla mnie zimna i nieprzyjemna.

Poczułam jak powoli ogarnia mnie wściekłość, j rozlewa się we mnie niby herbata po białym obrusie.

— Do kogo ta mowa, tato?! — krzyknęłam. — Myśli-że jestem skończoną idiotką? Jak śmiesz mówić mi, byłam zimna i nieprzyjemna, kiedy to ty zniknąłeś bez śladu na cztery lata?! Co ty chrzanisz?

— Elizabeth, posłuchaj...

— Nie, nie, nie! Pierdol się! Choć raz w życiu słuchasz, co ja mam do powiedzenia. Zniknąłeś na cztery lata jak kamfora, potem pojawiłeś się ze swoimi przeprosinami i wymówkami. A to, że adwokaci kazali odejść, a to, że mama cię wypędziła, a to, że nie miałeś wyboru. Teraz ty mnie posłuchaj. Za każdym razem, gdy wracałeś, byłem dla ciebie miła, ponieważ jesteś moim ojcem i kocham cię, i chciałam mieć tatę jak wszystkie dzieci...

Zaczęłam płakać. Zupełnie nagle, bez uprzedzenia, bez znaków ostrzegawczych. Poczułam, że twarz mam mokrą, a mój głos przechodzi od krzyku w szloch.

— Chciałam mieć tatę jak wszyscy. Chciałam być normalna. Chciałam odzyskać swojego tatę. Nigdy się z tobą nie kłóciłam. Nigdy nie powiedziałam ci, że czuję gniew za to, że odszedłeś. Nigdy nie byłam zimna i nieprzyjemna, ponieważ nie chciałam, żebyś znowu odszedł. Nigdy nie miałam odwagi. Ale ty i tak odchodziłeś. A ja miałam ciągle nadzieję, że znowu wrócisz, ponieważ wszystkie moje koleżanki miały ojców, mogły powiedzieć, że ich ojcowie są prawnikami, biznesmenami, producentami odzieży. Ja nie wiedziałam, gdzie jesteś, ani co robisz, ale nie byłam na ciebie zła, chciałam po prostu, żebyś był znowu moim tatą.

Elizabeth, posłuchaj...

_ Nie będę słuchać. Powiem ci tylko, jakim byłeś

beznadziejnym ojcem! Choć raz usłyszysz prawdę. Choć jaz przestaniesz oskarżać wszystkich wokół, przestaniesz zwać winę na mnie i usłyszysz prawdę. Ze jesteś egoistycznym, niedobrym ojcem i odszedłeś, ponieważ jesteś nieodpowiedzialny. Zaczął płakać.

— Elizabeth, myślisz, że o tym nie wiem? Myślisz, że nie cierpiałem przez te wszystkie lata, kiedy nie mogłem z tobą mieszkać, ponieważ rozwiedliśmy się z twoją matką, a potem nie mogłem się z tobą widywać, ponieważ byłem tak daleko? Myślisz, że nie było mi ciężko? Zapłaciłem za swoje błędy. Straciłem dziewczynkę, która była kiedyś moją córką i którą kochałem.

— Słowa! — powiedziałam. — Puste słowa. Do cholery! Powinieneś wiedzieć, że czyny przemawiają mocniej niż słowa. Ale zdaje się, że komuś tak przegrane jak ty zostały tylko słowa.

— Elizabeth, nie wiem, co powiedzieć — łkał. — Nie rozumiesz, że to mnie też zniszczyło.

— Może... — ciągnęłam. — Ale miałeś wybór. Jeżeli nie byłeś gotowy na dziecko, nie powinieneś go mieć. Nie prosiłam się na świat. To wy sobie mnie zafundowaliście. — Wiedziałam, że to nieczyste zagranie, ale było mi wszystko jedno.

— Elizabeth, martwię się o ciebie — powiedział, jakby to stwierdzenie mogło rozładować mój gniew. W życiu jeszcze tak nie płakałam. — Elizabeth, wszystko z tobą dobrze? Nic ci nie będzie?

— Pieprz się! Nie próbuj zmieniać tematu. I przestań się o mnie martwić. Czy ze mną wszystko dobrze? Raczej nie. Ale kiedy odchodziłeś, też nie było dobrze. Nie martwiłeś się tym wtedy, więc dlaczego martwisz się teraz? Wyświadczenie mi tej jednej przysługi i opłacanie terapii nie kosztowałoby cię centa. Potrzebowałam pomocy jesienią i potrzebuję jej teraz. Terapia jest jedyną szansą na to, że ułożymy jakoś nasze sprawy. A ty mówisz, że nie opłacisz leczenia, choć nic by cię to nie kosztowało. Czy tak postępuje dobry ojciec?

— Elizabeth, przykro mi.

— To nic nowego — krzyknęłam. — Odkąd pamiętam, przepraszasz, że jesteś parszywcem.

— Nie zapłacę tych rachunków. Zgodnie z umową rozwodową, to obowiązek twojej matki.

— Jezu, tato! — Nowy atak płaczu. — Mogłabym umierać, wariować, zabić się, a ty siedziałbyś na tyłku i mówił, że pomoc powinna mi matka, choć tylko ty masz realną możliwość. Mama jest zarżnięta opłatami za szkołę. Ale to nic nowego. To okropne!

— Elizabeth, nie wiem co powiedzieć. — Ojciec szloch na całego. — Oglądam się wstecz, widzę błędy, jakie popełniłem i czuję się taki bezradny. Nie wiem jak naprawić zło, które wyrządziłem.

— Mógłbyś zacząć od razu, płacąc za leczenie psychiatryczne, które odbyłam jesienią i które muszę odbyć teraz, jeżeli mam przezwyciężyć gniew, jaki do ciebie czuję.

— Tego nie zrobię. Już ci mówiłem, że to spraw-twojej matki.

— Jezu, tato, poddaję się. Nie mogę tego dłużej wy słuchiwać.

— Co mam powiedzieć?

— Może: życzę ci miłego życia? Bo ja z tobą skończyłam.

Wiele lat później, myśląc o tej rozmowie, przypominałam sobie zdanie, które ktoś wypowiedział podczas procesu braci Menendez: za każdym razem, gdy twoje dziecko cię zabija, jesteś za to przynajmniej częściowo odpowiedzialny.

Pewnej sobotniej nocy w maju urządziliśmy sobie z Ruby esktażową balangę, żeby uczcić jakiś większy czy mniejszy sukces. Postanowiłyśmy brać ekstazę tylko wtedy, gdy potrafimy wymyślić po temu lepszy pretekst niż to, że jesteśmy przygnębione, czy znudzone. Tym razem wylądowałyśmy pod stołem na imprezie w Advocate, gdzie związywałyśmy ludziom sznurowadła i patrzyłyśmy jak drobią nóżkami. Byłyśmy zdania, że to szalenie zabawne, aż do chwili, gdy zrobiło nam się gorąco, duszno i klaustrofobicznie, i musiałyśmy wyjść spod stołu. Był to normalny efekt ekstazy. Każdy impuls stawał się natychmiast imperatywem, wszystko, co mogło wyciszyć szum w głowie, musiało zostać zniszczone, odcięte, wyrwane z korzeniami. Poszłyśmy więc na basen do Adams House. Był to twór artystycznej dekadencji, pełny chimer, błyszczących kafelków i witraży, który w tym stanie jawił się nam jako raj utracony, po każdej imprezie uciekałyśmy z Ruby nad kojącą toń basenu, siadałyśmy na ławce i robiłyśmy sekcję własny zwłok.

Tej nocy paplałyśmy jak najęte, bełkotałyśmy jedna przez drugą aż do chwili, gdy słońce zajrzało przez kolorowe szybki. I nagle upał zaczął mi przeszkadzać. Zaczął mi bardzo przeszkadzać. Byłam pewna, że zaraz się uduszę. Chciałam zapytać Ruby, czy zna kogoś, kto umarł od pary, potu, smrodu, tego czegoś, co sprawiało, że czułam się jak schwyтана w pieprzoną chmurę. Zielona wełniana suknia drażniła mi spoconą skórę do tego stopnia, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie mam pcheł albo innych insektów. Przypominałam sobie, że należy posmarować ciało bezbarwnym lakierem do paznokci, żeby je wydusić. Stojąc w parnej sali przypominałam sobie, że przecież to ja się duszę. Stałam i gapiłam się w niebieskawozieloną wodę, gładką i nieruchomą. Zdawało mi się, że stoję tak godzinami, choć w rzeczywistości trwało to parę minut. Pomyślałam, że może warto wpaść do wody i utonąć. Umrzeć jak jeden z Rolling Stonesów, jak Brian Jones. Umrzeć w basenie tak, by moje ciało wypłynęło na powierzchnię, jak zwłoki Wiliama Holdena w pierwszej scenie filmu „Bulwar Zachodzącego Słońca”. Utonąć przypadkiem jak Natalie Wood, albo utopić się celowo jak Virginia Woolf. Umrzeć młodo. Umrzeć pięknie.

Jezu Chryste! Bałam się uduszenia, czy liczyłam na nie?

Ile razy w ciągu dnia marzenia o śmierci zaprzętały mi myśli? Ile razy planowałam własny pogrzeb, wiedząc² całą pewnością, że śmierć w tak młodym wieku zostanie uznana za tragedię wartą omówienia w „Boston Phoenix”² albo „New York”, gdzie pracowałam jako stażystka^w ostatniej klasie liceum. Wiedziałam doskonale, co napiszą: miała

ogromny potencjał, Harvard, tancerka, Pisarka, itede, itepe. Potem dziennikarz będzie próbował oszkalować społeczeństwo, którego młoda, obiecująca przedstawicielka odbiera sobie życie w pełni sił twórczych. Moje życie stanie się nagle nafaszerowane symbolami i znaczeniem, którego nie miało póki byłam żywa. Dopóki będę żywa, będę gapiała się w baseny o świcie, obolała i pusta.

Oczywiście wiedziałam, że się nie zabiję. Wiedziałam że nawet jeżeli wskoczę do basenu, nie starczy mi odwagi, by się utopić, choć mówiono mi, że utonięcie jest najmniej bolesną formą umierania, trzeba tylko zwalczyć instynkt wypłynięcia na powierzchnię. Ale ja pójdę ścieżką samobójców przez resztę życia, nigdy nie podnosząc na siebie ręki. Czy istnieje jakieś określenie medyczne na ten stan ducha? Czy istnieje choroba, która przejawia się intensywnym pragnieniem śmierci i brakiem woli, by umrzeć? Czy myśl o samobójstwie nie stanowi choroby samej w sobie, podkategorii depresji, w której utrata woli życia nie została zastąpiona determinacją, by umrzeć? W broszurach rozdawanych w ośrodkach zdrowia psychicznego wymienia się około dziesięciu symptomów depresji. „Groźby samobójstwa”, a nawet „napomykanie o samobójstwie” uznawane jest za niepokojący sygnał. Pewnie z uwagi na to, że zwykle gadanie może pewnego dnia przerodzić się w czyn. Więc może i ja po latach hodowania zarodków samobójstwa, po latach mówienia, że chcę umrzeć, ulegnę pokusie śmierci. A tymczasem mogę uciec do swojego pokoju, mogę się ukryć i spać jak zabita.

Następne parę dni spędziłam w stanie półśpiączki, zamawiając jedzenie, gdy czułam się głodna. Ruby przyszła zobaczyć, co się dzieje, ponieważ nie odpowiedziałam na żaden z jej telefonów. Hadley, koleżanka z piętra, która powtarzała pierwszy rok po próbie samobójstwa i pobycie w zakładzie McLeana, zostawiła kartkę „Pół miliona uzależnionych od heroiny nie może się mylić”. Pośmiałam się, po raz pierwszy od dłuższego czasu. Trochę się wystraszyłam egzaminem, który miałam w środę, ale potem uświadomiłam sobie, że jestem w Harvardzie, uczelni o wysoko rozwiniętym systemie usprawnień, więc nie było powodu do niepokoju. Tego ranka poszłam do przychodni i wyłgałam się od zdawania, mówiąc, że mam problemy natury psychicznej. Wymagało to złożenia podpisu w wykropkowanym miejscu (rozpatrują pozytywnie wszystkie prośby o przełożenie egzaminu. Ostatnim razem, gdy tego nie zrobili, chłopak podciął sobie żyłę). Kiedy wyjaśniłam pielęgniarce, że chodziłam przez jakiś czas na terapię, ale skończyły mi się pieniądze i teraz mi znowu odbija, powiedziała, że powinnam pójść do radcy w sprawach nagłych, który pomoże mi rozwiązać najpilniejsze problemy-

— Zdrowie psychiczne jest na trzecim piętrze — powiedziała pielęgniarka.

— Wiem, gdzie to jest — przytaknęłam. — Proszę mi wierzyć, wiem.

Kiedy znalazłam się na trzecim piętrze, uderzyło mnie, jak swojskie stało się dla mnie to miejsce, jakie znajome czasopisma („The Saturday Evening Post”, „National Geographic” i inne periodyki, których nawet wariaci nie chcą czytać) i plastikowe krzeselka w poczekalni. Po chwili zostałam wezwana do gabinetu lekarki, która rozpoczęła właśnie dzień przyjęć. Na drzwiach napisane było DR. HANNAH SALTENS-TAHL. Siedziała na kręconym krześle przy wielkim drewnianym biurku, ja usadowiłam się na kanapce naprzeciwko. Pokój pełen był kwiatów, plakatów, obrazów i południowoamerykańskich tkanin, co miało uczynić go bardziej przytulnym, mniej antyseptycznym. Byłam przyzwyczajona do gabinetów psychiatrycznych, w końcu przewinęłam się przez niejednego. Wszystkie są kubek w kubek takie same. Wystrój mający wyrażać indywidualność i wygodę, w rzeczywistości nadaje wnętrzu uniwersalny wygląd gabinetu dobrze prosperującego psychiatry.

Zaczęłam od początku. Powiedziałam lekarce o matce i ojcu, powiedziałam, ile dla mnie znaczył przyjazd do Harvardu, powiedziałam o moim pisaniu. Powiedziałam jej, jaka jestem szczęśliwa, jakie piękne jest życie na

Papierze, powiedziałam, że wpadam w depresję bez powodu, w najmniej spodziewanych momentach, najczęściej wtedy, gdy powinnam czuć się szczęśliwa. Opowiedziałam jej o czarnej fali, o tym, że jest rzeczywista, niemal namacalna, goni mnie. Powiedziałam, że to na pewno prawa chemii. Chcę leków psychotropowych, chcę, żeby przepisała mi coś, co powstrzyma napady rozpacz. Chcę złamać czarną falę.

— Elizabeth! — powiedziała ona. — Nie ma takiego leku, który sprawiłby, że poczujesz się szczęśliwa. Medycyna nie zna sposobu, by sprawdzić, czy masz jakiś brak w organizmie. Diagnozujemy choroby psychiczne w sposób czysto anegdotyczny, po czym przepisujemy pacjentowi lek, który naszym zdaniem posłuży mu najlepiej. Jest to metoda prób i błędów. Ponieważ nie istnieje badanie krwi, które mogłoby wykryć depresję, czy schizofrenię, diagnozujemy na wycucie. Z twojej karty wynika, że byłeś tu już parę razy w tym roku — powiedziała spoglądając na zielone i niebieskie kartki. — Chciałabym ci pomóc. Ale z tego, co mówisz, i z tego, co tu czytamy, widać wyraźnie, że nie mamy do czynienia z problemem natury fizycznej.

— Ale czy jest jakiś lek, który sprawi, że przestanę się czuć nieszczęśliwa? — zapytałam. Chcę wrzasnąć: Dawaj lit! Lit albo śmierć! — Pani doktor, mam wszelkie dane po temu, by być szczęśliwa, a nie jestem. Muszę mieć jakiś niedobór fizyczny. To niemożliwe, żebym czuła się tak bez powodu. To nienormalne. Mam też gwałtowne skoki nastrojów. W jednej chwili szaleję z radości, w drugiej z rozpacz. Może mam depresję maniacką i potrzebuję litu. Tak sobie myślę. Myślę o tych wszystkich sławnych ludziach, którzy też to mieli. Choćby Anne Sexton. Rozpoznanie nastąpiło dopiero pod koniec jej życia, więc cierpiała zupełnie niepotrzebnie, bo lit mógł rozwiązać jej problemy dużo wcześniej. — Czekałam, żeby powiedziała: „Nie jesteś Anne Sexton”, czy coś w tym stylu, ale nie powiedziała, więc mówiłam dalej. — Doktor Saltenstahl, ja po prostu nie chcę źle skończyć, myślę, że ku temu idzie i potrzebuję pomocy.

— Posłuchaj, Elizabeth! — Jej ton mówi wyraźnie: „Moja cierpliwość jest praktycznie nieograniczona i niewyczerpana, ale nie należy jej nadużywać, więc lepiej słuchaj, co mam ci do powiedzenia i postaraj się zrozumieć.” — Twoje pokolenie ma skłonność do poszukiwania chemicznego panaceum na wszystko. Byłoby pięknie, gdybyśmy mogli zażyć pigułkę szczęścia i odegnąć zło. Żyjemy w kulturze leków, legalnych i nielegalnych. Ale nie będę ci

kłamać, mówiąc, że istnieje tabletkę, która ci pomoże, skoro wiem, że jej nie ma. Z tego, co mówiłaś o swoich rodzicach, zwłaszcza o ojcu, wynika, że wyrosłaś w oderwaniu od rzeczywistości, taki mechanizm obronny zastosowałaś. Nie potrzebujesz leków, Elizabeth. Potrzebujesz bliskich, trwałych związków z innymi ludźmi. Musisz komuś zaufać. Musisz przekonać się, że ludzie są O.K.

— Jak mam myśleć, że wszystko jest O.K, skoro wszystko jest do kitu? — Zaczęłam pociągać nosem.

_Potrzebuję pomocy! Leków! Proszę!

— Zgadzasz się z tobą — powiedziała, potrząsając głową. — Bez wątplenia masz poważne problemy i rozwiązanie ich będzie wymagało długiej terapii. — Głęboki wdech, jak przy wyczerpaniu. — To wymaga mnóstwa czasu i wysiłku. Trudno zmienić czyjeś modele życia. A ty umacniałaś swoje nawyki nawiązywania negatywnych związków przez długi czas. Twierdzisz, że cierpisz na depresję od jedenastego roku życia, mówisz o tym, jaki wpływ wywarło odejście ojca. Myślę, że korzenie twojej depresji tkwią głębiej, we wczesnym dzieciństwie. — Potrząsnęła głową z ubolewaniem, po czym uśmiechnęła się na pociechę. — Słuchaj, naprawdę przykro mi, że ludzie cię ranili i wpędzili cię w depresję, bo jak sama mówisz, masz wszelkie warunki po temu, by być szczęśliwą. Jestem pewna, że w

końcu będziesz szczęśliwa, ale obawiam się, że zanim to nastąpi, czekają cię ciężkie czasy. Będzie to wymagało od ciebie pracy, a ja nie mam dla ciebie żadnego cudownego leku. To będzie trudne.

— Wiem. — Zaczęłam płakać i ona podała mi chusteczkę higieniczną. — Wiem.

I co mi z tego, że wiem! Dzięki mojemu tatusiowi nie miałam pieniędzy na terapię — nadal spłacałam dług z jesieni — a doktor Saltenstahl, która podobała mi się bardzo, mimo że nie chciała przepisać mi prochów, była przeciążona pracą i nie dysponowała wolnymi terminami. Zresztą, jak zauważyła, zadaniem psychiatrów Przychodni uniwersyteckiej jest pomagać studentom^w rozwiązywaniu doraźnych problemów, lub kierować ich na leczenie, jeżeli okazywało się to konieczne. Tyle tylko mogła dla mnie zrobić. Namawiała mnie usilnie^{na} systematyczne leczenie u

lekarza. Po raz kolejny byłam zmuszona wyjaśnić, z okoliczności mi na to nie pozwolą, chyba że rzucę szkół i pójdę do pracy. Ona ze swej strony przypominała mi, że jeżeli poczuję przyływ samobójczej chęci, zawsze mogę zgłosić się do szpitala na ostry dyżur. Wyglądało na to, że nadal operujemy w ramach starych zasad. Jeżeli czujesz się wystarczająco przybita, zostaniesz hospitalizowana, otrzymasz pomoc, a koszty pokryje ubezpieczalnia, do tego czasu radź sobie sama, dziecino!

VII

Pijaństwo w Dallas

Lato 1987. Dallas, Teksas, a ściślej rzecz biorąc dzielnica Oak Lawn. Skończyłam drugi rok Harvardu. Gdzieś po drodze zdobyłam nagrodę dziennikarską pisma „Rolling Stone” za esej o Lou Reedzie, który napisałam dla „Harvard Crimson”, a teraz pracuję w dziale kulturalnym „Dallas Morning News”.

Jestem dokładnie tam, gdzie chciałam się znaleźć. Kocham Teksas od zawsze, a przynajmniej od czasu, gdy jako mała dziewczynka przyjechałam do Dallas w odwiedziny do kuzynek. Teksas kojarzy mi się z dużym, silnym mężczyzną w kowbojskich butach, z bezwzględny indywidualistą z utworu Thoreau'a, szukającym w ziemi ropy naftowej. Dallas jest wielkim ośrodkiem zbytu tego fantastycznego płynu, wielkim klubem wiejskim na rozległym

przedmieściu, gdzie chłopcy grają w piłkę, a dziewczyny marzą, by dorosnąć i zrobić sobie operację plastyczną. Dookoła sami krzepcy bracia i silikonowe siostry. Nie przepadam za kulturą pieniądza i dóbr materialnych, ale jadę do Dallas przekonana, że dobrze mi zrobi. Kapitałiści są zbyt zajęci zarabianiem i wydawaniem pieniędzy, by trapiła ich melancholia. Uważam, że w Dallas znajdę pełne życie, nowe, zgiełkliwe i miejsko-kowbojskie, różne od wszystkiego, co przywykłam kojarzyć z depresją, o wiele jaśniejsze i bardziej kolorowe od zszarzałego północnego wschodu.

Oczywiście na miejscu okazuje się, że rzeczywistość odbiega znacznie od moich wyobrażeń. Dallas jest naftową dziurą z przerostem budowlanym, gospodarka leży (choć nie jest jeszcze w tak złym stanie jak w Houston, co podkreślają wszyscy z dużą dozą optymizmu). Teksas jest stworzony do bogactwa, jego cała kultura opiera się na micie szybkiego szmalu, i teksańczycy, zwłaszcza ci z Dallas, nie umieją znieść biedy z wdziękiem. Nadal kupują kryształ Baccarata u Neimana Marcusa w sobotę, choć zwolnili dwustu robotników w piątek. Dallas jest jak dorosły mężczyzna, który rozpaczliwie połyka łyżę, zbyt dumny, by otwarcie płakać.

Niemal każdy dom, który mijam, jest wystawiony na sprzedaż, każdy blok mieszkalny ma na drzwiach wywieszkę: „Lokale do wynajęcia. Jeden miesiąc darmo!”. Wzdłuż autostrad leżą osiedla na wpół wykończonych wieżowców, twórców ze szkła i różowego granitu, poczętych w czasach prosperity. Wszędzie dźwigi i gruz. Kiedyś mawiano, że godłem Dallas jest dźwig wyciągający szyć ku bezchmurnemu niebu. Obecnie Dallas w niczym nie przypomina miasta z czasów konwencji republikańskiej w 1980, kiedy odwiedziłam rodzinę.

Dallas w roku 1987 jest przygnębione i przygnębiające.

A jednak czuję się tu dziwnie szczęśliwa, przynajmniej na początku. Mieszkam w niesamowicie pięknym mieszkaniu. Za jedyne trzysta dolarów miesięcznie (mniej niż moja tygodniowa pensja) podnajmuję je od reporterki z działu stołecznego, która przeprowadziła się do swojego chłopaka. Już w chwili, gdy otworzyłam drzwi pomyślałam, że jest to najpiękniejsze mieszkanie, jakie zdarzyło mi się widzieć. Ma rozsuwane drzwi, sufitowy wiatrak, małą werandkę pełną roślin i kwiatów, stolik śniadaniowy z kutego żelaza i szkła, i dużą, otwartą kuchnię wyłożoną białoniebieskimi kafelkami. Nagle zapragnęłam ustawić przy zlewie doniczki z ziołami i powiesić dzwoneczki przy oknie. Wanna w łazience stoi na małych nóżkach, a jej brzegi wyglądają jak piana cappuccino wylewająca się z filiżanki. >Po raz pierwszy miałam mieszkać sama i poczułam się jak osoba zupełnie dorosła. Cieszyła mnie myśl o wprowadzeniu się do tego mieszkania. Spacerowałam po pokojach i myślałam: „Będzie moje, będzie moje, całe moje”. Czułam się ja Audrey Hepburn w „Śniadaniu u Tiffany'ego”, niezależna dziewczyna w Nowym Jorku, uradowana myślą o samodzielności, idąca z uśmiechem Fifth Avenue. Albo jak Mary Tyler Moore, rzucającą kapeluszem na wiatr Minneapolis.

Kocham to mieszkanie tak bardzo, że czasem chcę się po prostu tarzać ze szczęścia na jego drewnianych podłogach.

Ku własnemu zaskoczeniu odkryłam, że istnieje w Dallas swego rodzaju kontrkultura. Nie jest to zjawisko „na dużą skalę, ale na jedno lato wystarczy. Spędzam więc dużo czasu w Deep Ellum, dzielnicy magazynów na obrzeżach centrum, gdzie artyści i malarze mieszkają w domach o pobielonych ścianach, gdzie kluby rockowe są urządzone po spartańsku i wielkie jak hangary lotnicze, gdzie pije się wyłącznie piwo z puszki, a zespoły „Edie Brickell” i „New Bohemians” grają dwa razy w tygodniu na ulicy przed Klubem Dada. Deep Ellum jest tak pełne życia, że niemal zajebiste. Młodzi ludzie próbują tu stworzyć własny krajobraz od zera i żyć w alternatywny sposób, jakby to było zupełnie coś nowego. Bo dla nich jest to coś nowego. Tutaj, w Deep Ellum, panuje atmosfera lat sześćdziesiątych, nie

dlatego, że młodzi ludzie idealizują tamtą erę i wskrzeszają ją za pomocą rekwizytów. Zabójstwo Kennedy'ego sparaliżowało miasta do tego stopnia, że lata sześćdziesiąte dotarły m dwie dekady później.

Mogłam być szczęśliwa w Dallas. Gdyby nie sprawa samochodu.

Jako wychowanka Nowego Jorku nie nauczyłam się prowadzić, a lekcje, które brałam w Cambridge nie na wiele się zdały w obliczu faktu, że przespałam egzamin. Bez prawa jazdy, bez wynajętego wozu i bez dostępu do samochodu znajomych, musiałam odbyć mnóstwo negocjacji transportowych tego lata. „The Morning News” zwracał mi za taksówki, kiedy jechałam na reportaż, w innych razach znajdowałam się na łasce zmotoryzowanych kolegów. Musiałam dostosować rozkład dnia do zajęć innych ludzi. Wychodziłam zbyt wcześnie z interesujących imprez, tkwiłam bez końca u nudziarzy, ponieważ mój kierowca miał akurat odmienny gust. Nie mogłam wpaść do domu na pięć minut, by się przebrać i coś przekąsić, musiałam planować swoje dni bardzo starannie i z dużym wyprzedzeniem.

Wydaje się to drobną niedogodnością, ale tego lata zrozumiałam, dlaczego nastolatki w całej Ameryce utożsamiają prawo jazdy z wolnością. Zrozumiałam, że bez samochodu jestem w Dallas w pułapce. A kiedy nadeszły potworne chandry, co było w sumie do przewidzenia, okazało się, że jestem zamknięta w mieszkaniu, śmiertelnie przerażona i sama.

Przez cały czerwiec i większość lipca byłam przekonana, że po raz pierwszy w moim życiu wszystko jest w najlepszym porządku. Zaczęłam podejrzewać, że pozbyłam się depresji, że potrzeba mi było tylko satysfakcjonującej pracy, zajęcia, że całe to siedzenie, myślenie, analizowanie, hipotetyzowanie, kontemplowanie, wyjaśnianie, prognozowanie było źródłem moich problemów. Zabijała mnie semiotyka, nie fizjologia. Należało po prostu przestać myśleć i wziąć się do roboty.

Pisałam jak szalona, przynajmniej dwa, trzy reportaże tygodniowo, czasem więcej. Pisałam, jakby od tego zależało moje życie, co po części było prawdą. Edytorzy byli zadziwieni moją wydajnością, podejrzewali chyba, że próbuję zmonopolizować gazetę. W nagrodę pozwalali mi pisać dziwaczne, niekonwencjonalne kawałki o sztuce, feminizmie, Madonnie i Ediem Sedgwicku, o czym chciałam, i puszczali je na pierwszej stronie niedzielного wydania. Nominowali mnie do nagrody Teksasńskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy i Klubu Prasowego w Dallas. Płacili mi za nadgodziny, co narosło do takiej sumy, że praktycznie podwoiłam swoją pensję (kosztowałam ich tyle, że zastępca naczelnego zasugerował, żebym brała wolne dni). Szefowie byli zadowoleni z mojej pracy, a ja byłam niezwykle płodna i obowiązkowa. Toteż kiedy zaczęłam się rozpadać, zbagatelizowali problem.

Rozpadać powolutku, nieznacznie. Przychodziłam do redakcji o trzeciej po południu tłumacząc się tym, że musiałam poczytać w domu. Albo, że do późna w noc oglądałam zespoły w Theatre Gallery i musiałam złapać trochę snu. Wszystko to było zupełnie naturalne i zrozumiałe, nie ma problemu, mówił mój redaktor, o ile nie jesteś potrzebna w dziale to możesz pracować w domu. Ale nawet kiedy byłam obecna w dziale, zajmowałam się głównie obdzwanianiem znajomych i opowiadaniem innym reporterom o najnowszym mężczyźnie w moim życiu, kolejnym kowboju, restauratorze, muzyku, studencie. Zaliczałam mężczyzn z tak alarmującą skwapliwością, że po pewnym czasie chodziłam na randki z braćmi, kuzynami, z całymi rodzinami. Wydawało mi się to wszystko szalenie śmieszne. Paplałam i paplałam. Niektórzy przyjmowali to z lekkim rozbawieniem, inni wyglądali na zdumionych, jakby chcieli zapytać: po co ona nam to wszystko mówi. To jest redakcja, tu się pracuje!

Ale tak naprawdę mieli to gdzieś. Dotrzymywałam terminów, moje reportaże były na poziomie, szybko doszli do wniosku, że jestem młoda, jestem z północy, a wiadomo, tam ludziom się usta nie zamykają, ostatecznie, cóż to komu szkodzi?! Kończyli pracę o szóstej, a ja siedziałam, pisząc artykuły do późnego wieczora. Przystępowałam do roboty dopiero wtedy, gdy wokół nie było ludzi, do których mogłam mówić. Zajęta pisaniem i gadaniem, nie zastanawiałam się nad sobą i swoim stanem emocjonalnym. Dostrzegałam jedynie przelotne napady znużenia.

Ale w weekendy, kiedy wymogi dnia codziennego przestawały nękać mój umysł, czułam, że jestem sama w wielkim stanie Teksas, sama na świecie. Nawet krótkie, dwudniowe okresy beczynności wystarczyły, by stara brzydka znajoma, czarna fala, narosła za moimi plecami. Ktoś mógłby pomyśleć, że skoro nie sypiałam od poniedziałku do piątku, wykorzystam wolne dni, żeby nadrobić zaległości, ale ja nie mogłam spać. Byłam nieustannie zmęczona i nie potrafiłam odpocząć. Czułam się jak na kokainowym kacu, kiedy człowiek, dręczony niepokojem, gapi się w sufit przez całą noc. Niestety, nie był to efekt narkotyku — to byłam po prostu ja. Więc wypełniałam te godziny najlepiej jak potrafiłam — pracą. Brałam każdą robotę, jaka nawinęła mi się pod rękę. Nikt nie chciał poświęcić soboty na reportaż o maratonie heavy metalowym, tak zwanym Texas Jamm, więc wyraziłam chęć opisanego Posion, Tesla i reszty pstrokatego asortymentu zespołów grających na boisku piłkarskim. Nikt nie chciał spędzić Czwartego Lipca w Waxahachie na pikniku u Willie Nelsona, więc spełniłam swój obywatelski obowiązek i wzięłam temat. Zalażłam im niezłe za skórę, fakt, ale czy mogli potępić kogoś, kto ratował ich przed koniecznością pisania o krzykliwych i żenujących odpryskach teksańskiej kultury, które podobać się mogą tylko Jankesce?

Na dobrą sprawę każdy, kto znalazł się na zupełnie nowym terytorium, wykazuje ogromną ruchliwość, więc początkowo myślałam, że moja szalona energia wynika ze zwykłej ciekawości. Ale trudno mnie było uznać za samotną osobę w nowym mieście. Spędziłam w Teksasie mnóstwo czasu jako dziecko, przemierzyłam go wzdłuż i wszerz, miałam rodzinę w Dallas, znałam miasto na wylot i mogłam spokojnie spędzać weekendy w towarzystwie krewnych, zajadając mięcho z grilla i spacerując po promenadzie. Czasem to robiłam. Ale nigdy nie sprawiło mi to przyjemności. Przez cały czas byłam zdenerwowana, miałam wrażenie, że zapomniałam o czymś ważnym. Czułam się na łasce tego czegoś w mojej głowie, co przypominało rój rozszalałych pszczoł.

Któregoś dnia obudziłam się o trzeciej nad ranem, ale bez okularów wzięłam trzecią za ósmą. Przerazona, że się spóźnię na... — na coś przecież mogłabym się spóźnić! — wyprysnęłam z łóżka, wskoczyłam pod prysznic, ubrałam się, umalowałam, wypiłam kawę, zjadłam czekoladowe płatki owsiane i dopiero kiedy chwyciłam torebkę i ruszyłam do drzwi, uświadomiłam sobie, że niebo jest czarne, jest środek nocy, nie muszę się nigdzie śpieszyć. Wróciłam do łóżka, pośmiałam się chwilę z własnej głupoty, a potem pomyślałam: to obłąd. Co się ze mną dzieje? Mam w sobie kopalnię energii, nie takiej radosnej, ożywczej, lecz podszytej niepokojem, i nie wiem, co z nią począć. Nawet gdyby naczelny postanowił nagle, że mam napisać całą gazetę sama, nie zaspokoiłoby to mojej niezdrowej potrzeby działania. Zawsze będę czuła, że wlecze się za mną resztki ślamazarnej, słabej Elizabeth Wurtzel, która domaga się uwagi siedemdziesięciu dwóch pracowników „Dallas Morning News”. Co bym dała, żeby stać się Alicją i przejść na drugą stronę lustra, wziąć pigułkę, która czyni cię małą, taką małą! Co bym dała, żeby było mnie mniej!

Wtedy pomyślałam: cholera, potrzebuję lekarstwa.

Potrzebuję czegoś, co uwolni mnie od tych myśli, bo inaczej oszaleję. Miałam już prawie dwadzieścia lat, wiek, w którym maniakalno-depresyjnymi doświadczają nasilenia choroby. Kiedy nie pracowałam, balowałam, chodziłam z szesnastoma mężczyznami na raz, w ogóle nie spałam, piłam wzmocnioną colę i łykałam przyspieszacze na śniadanie,

żeby przebrnąć przez kolejny dzień. Wykombinowałam sobie, że potrafię opanować nastroje przy rygorystycznej diecie złożonej z wina na kolację, środków dopingujących na śniadanie.

Picie w Dallas było o wiele zabawniejsze niż gdzie indziej, choć nie potrafiłabym powiedzieć czemu. Może dlatego, że spiknęłam się z reporterami kryminalnymi a ci nie wylewali za kołnierz. Rozmawiając z nimi odnosiło się wrażenie, że alkoholizm jest oznaką dobrej pracy dziennikarskiej, sygnałem, że ktoś, kto napatrzył się na krew, kredowe obrysy ciał, plastikowe torby na zwłoki, pije, żeby wypluć z głowy brzydkie obrazy, które był zmuszony oglądać. Ale ekscytowała mnie również różnorodność pijackich doznań. W owym czasie piwo Corona dostępne było jedynie na Południowym Zachodzie i w połączeniu z cytryną dostarczyło mi wielu nieznanych radości, taka genialna kombinacja drinka z napojem orzeźwiającym. Mieszanka bourbona, najlepiej Maker's Mark i piwa była kolejnym odkryciem. Zaopatrzenie się w przyspieszacze — metamfetaminę, deksedrynę, benzedrynę — nie przedstawiało absolutnie żadnych trudności, ponieważ rynek narkotykowy w Dallas był dobrze ukształtowany. Wyglądało na to, że każdy miał za sąsiada miłego dealera, który w każdej chwili mógł go zaopatrzyć w listki, ampułki i proszki, lub przynajmniej znał kogoś, kto mógłby to zrobić. Zazwyczaj wystarczała mi kofeina i cukier zawarty w Jolt coli, środkiem i legalnym.

Pewnego wieczora wybrałam się na wywiad z „Butthole Surfers”, po ich koncercie w Deep Ellum. Wczesnym rankiem chłopcy wyjeżdżali na tournée do Europy i postanowili w ogóle się nie kłaść. Zostałam z nimi Pałac trawkę, wysączając kolejne corony z cytryną, Wysłuchując opowieści o ich terierach, o tym, jak odbyli Pośredni stosunek seksualny z Amy Carter, ocierając intymne części garderoby o jej walizkę, i o tym, że jeden z ich byłych perkusistów jest teraz bezdomnym w Golden Gate Park w San Francisco. Kiedy opowiedzieli mi, jak otrzymali nazwę „Butthole Surfers”, uświadomiłam sobie, że ci faceci są żywcem wyjęci z filmu „Spinal Tap”. Kiedyś nazywali się Winston-Salemy, a obecnie grali dorywczo w barach rozrywkowych jako „Jack Officers”.

Byłam tak ubawiona, że z tej radości ćpałam coraz więcej i coraz więcej piłam, i pamiętam tylko, że zanim w końcu dotarłam do domu, żeby się wykąpać, przebrać i pójść do pracy, stałam w alejce na tyłach klubu i rozmawiałam z gitarzystą, który w owym momencie wydawał mi się najzabawniejszym facetem pod słońcem, głównie z uwagi na brązowe oczy i ujmujący uśmiech. Kombinacja tych oczu z tym uśmiechem, kiedy popatrzył na mnie tak poważnie i przytomnie, choć wypalił znacznie więcej trawki niż ja, sprawiła, że zapragnęłam zrobić dla niego absolutnie wszystko. Byłam nawalona i napalona, i umierałam z chęci zrzucenia ubrania tam, gdzie stałam, przy gruzowisku z pobliskiej budowy, osłonięta jedynie przez noc. Zaczęliśmy się całować, jego koszula zniknęła i wkrótce trzymał już ręce pod moją bluzką, zataczając palcami kręgi wokół brodawek. Sięgnęłam do jego spodni, dotknęłam go, dotknęłam na w pół sflaczały penis, który stwardniał mi w rękę i nagle zrozumiałam, że nie chcę tego robić.

Nie upłynął nawet rok odkąd utraciłam dziewictwo z absolwentem Yale, którego spotkałam na lunchu z okazji wręczenia nagrody dziennikarskiej „Rolling Stone”. Nie upłynął nawet rok od czasu, gdy uznałam, że usta pękają mi i pierzchną od ssania kutasów i najwyższy czas rozpocząć życie płciowe jak normalna dziewiętnastolatka. Nie upłynął nawet rok od mojej inicjacji seksualnej i nie byłam gotowa pieprzyć się z nieznajomym — z którym, mogłabym dodać, nie powinnam się zadawać z punktu widzenia etyki zawodowej — w ciemnej alejce w Dallas. Doznałam momentu objawienia i zrozumiałam, że tego nie chcę, nie chcę prowadzić takiego życia, muszę porzucić je i to natychmiast. Więc wyrwałam ręce z jego rozporka, naciągnęłam bluzkę i zaczęłam uciekać — szkopałam w tym, że nie bardzo miałam dokąd. Musiałam najpierw zadzwonić po taksówkę. I pomyślałam: wiesz co, Elizabeth? dajesz plamę! Nie potrafisz nawet zorganizować sobie odwrotu.

I czułam, że coś jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku. Czego ja w ogóle chciałam od tego faceta? Dlaczego wyciągnęłam go z klubu? Wyglądało na to, że moją specjalnością jest inicjowanie zbliżeń seksualnych i przerywanie ich w sposób gwałtowny, poprzez paniczną ucieczkę, jakby w obliczu niebezpieczeństwa, osaczenia. Tak bardzo pragnęłam zatracić się w seksie, zeszmacić się i pieprzyć na okrągło! Chciałam być dzika i nieujarzmiona, a nie potrafiłam się puścić choćby raz, ponieważ bycie łatwą dupą nie sprawiało mi przyjemności. Szybki, tani seks nie wydawał mi się zabawny. Moje ciało i rozum są na to zbyt złożone. Widziałam film „9 i 1/2 tygodnia” i zazdrościłam Kim Basinger charakteru i sposobu, w jaki osiąga pełny — ba, wielokrotny! — orgazm stojąc w deszczu, oparta o ceglana ścianę przejścia podziemnego — zaraz po incydencie z ulicznymi chuliganami — podczas gdy obok defiluje bezpieczni kocur z martwym szczurem w zębach. Jakże pragnęłam być jedną z tych kobiet, które podniecają podobne sytuacje! Ja na miejscu Kim Basinger chciałabym dostać się pod parasolkę, pod dach, chciałabym wysuszyć przemoczone nogi. Seks byłby niemal nie do pomyslenia.

Przez tyle lat próbowałam przekształcić swoją depresję w seksualne rozpasanie, chciałam przestać być sobą i stać się dla odmiany zabawką erotyczną, ale, zwyczajnie, nie potrafiłam. Te pierwsze zbliżenia z Ablem, kiedy miałam dwanaście lat, są jak dotąd moimi najlepszymi doświadczeniami w tej dziedzinie. Abel był dla mnie taki miły, nauczył mnie tylu sposobów otrzymywania i dawania przyjemności, tyle mi pokazał i uczynił mnie tak szczęśliwą! Będąc z Ablem, czułam się jak tort lodowy w czarce, topniałam, wiedziałam, że wkrótce zniknę, ale nie dbałam o to, dopóki dawaliśmy sobie rozkosz. Ani przedtem, ani potem nie zaznałam tego uczucia.

Mój Boże, myślałam, czekając w Deep Ellum na taksówkę. Mój Boże, muszę się napić!

Kiedy odpływam, czas przestaje istnieć. Nie parni tam, czy wywiad z „Butthole Surfers” był wczoraj, czy przedwczoraj, czy reportaż o Suzannie Vega napisała w zeszłym tygodniu, miesiącu, roku czy wczoraj, i kiedy do cholery, byłam na koncercie rapowym. Zdaje -się, że wieki temu. Czy jutro jest sobota czy poniedziałek? Czy muszę wstać rano, czy mogę sobie pospać Czy komuś robi to różnicę? Mogę być tak zjebana jak mi się podoba, dopóki dotrzymuję terminów, a ponieważ ich dotrzymuję, całą resztę należy zwalić na hormony.

Tak naprawdę nikogo w Dallas nie obchodzi. Jestem obca w tym mieście, obca na świecie. Mogę sobie wmawiać, że czuję się tu swojsko, ale to kłamstwo. Jestem obca dokądkolwiek pójde, ponieważ jestem obca sobie. M umysł robi to, co mu się podoba, nie pytając mnie o zdanie. Stoję obok i przyglądam się sobie, widzę ja mówię, robię coś, czego wcale nie chcę, i nie mogę naw interweniować. Najłatwiej radzę sobie z sobą po pijaku. P odpowiedniej dawce wina mogę nawet spać w noc. Zastanawiam się, co będę musiała zrobić, aby przekonać jakiegoś lekarza, że jestem autentycznie niezrównoważona że nie istnieje inne wytłumaczenie procesów, jakie za chodzą w mojej głowie. Czuję się jak te pamiątkowe bryły z plastiku, wypełnione czymś srebrzystym, które śnież" kiedy odwrócić je do góry nogami. W mojej głowie też śnieży, bez przerwy, pogoda zmienia się jak za dotknięciem różdżki — mam tam zamiecie i cyklony. Jestem pieprzonym Czarnoksiężnikiem z krainy Oz. Długo ta nie pociągnę. Dlaczego żaden lekarz nie chce mi pomóc?! Byłam już u tak wielu, a wszyscy mówią: potrzeba c miłości. Albo: musisz to z siebie wyrzucić. Czy ni rozumieją, że podczas gdy oni udzielają dobrych rad, j spadam? Wiem, że spadam.

Kiedy matka przyjechała w odwiedziny, było już mnie zupełnie oczywiste, że popijam przez cały tydzień a w weekendy trzeźwieję na basenie kuzynki. Zapomniałam, że powinnam pamiętać o jedzeniu. Matka był zaszokowana moją chudością, a ja odkryciem, że jestem chuda.

Moje zdumienie wzrosło, kiedy dowiedziałam się, że ma zamiar wyprawić dla mnie przyjęcie urodzinowe W domu kuzynki. Uznałam, że to wcale niezły pomysł, gdybym się przez chwilę zastanowiła, zrozumiałabym zapewne, że popełniam poważny błąd. Powinnam wiedzieć, że moja matka, matka-cierpiętница, nie ograniczy się do skromnej imprezy. Bez wątpienia poświęci wiele godzin na przygotowanie marynaty do kurczaka z rusztu i sosu musztardowego własnego przepisu, idealnych babeczek z gruszką, ciastek z jabłkiem i tortu urodzinowego na deser.

Innymi słowy zada sobie wiele trudu, podczas gdy ja wolałabym spędzić wieczór ze znajomymi, którzy mieszkają w centrum i nigdy, ale to nigdy nie bywają w północnym Dallas. Miałam tyle kłopotu z objaśnieniem im drogi do kuzynki, że w końcu postanowiłam rozdzielić towarzystwo i przyjęcie dla znajomych wyprawić w innym terminie.

Urodziny przypadały w piątek i mój szef zdecydował, że cały dzień wybierze się po pracy na drinka. To był straszny dzień. W redakcji bardzo niewiele osób wiedziało o moich urodzinach, co nie byłoby alarmujące, gdyby nie fakt, że zabrałam tym ludziom wiele czasu zdając szczegółową, brutalną relację z mojego życia. Wydawało mi się, że znają mnie lepiej niż to naprawdę miało miejsce. Ofiarowałam im przecież jedynie fałszywą intymność. Poznaliby mnie lepiej, gdybym siedziała w kącie i nie otwierała ust. Otrzymałam telefony z życzeniami od ludzi z Cambrigde, Berkeley i Nowego Jorku (mój eks-chłopak, Stone, zapomniał o moich urodzinach i zadzwonił z informacją, że przespał się po pijanemu z Ruby, ale chyba mu wybaczę). Jediną osobą, która przyjechała z tej okazji do Dallas była moja matka. Los jakby się zawziął, by mi udowodnić, że ona jedna mnie kocha.

Siedziałam przygnębiona za biurkiem przez cały dzień i nie mogłam się nadziwić, że choć zalewam się łzami, nikt nawet nie zapyta, co mi jest. Czyżby uznali, że to nie ich interes?

Pod koniec dnia, kiedy koledzy z działu przyszli zabrać mnie do Louie'ego na drinka, doznałam pewnej ulgi. Pędziłam parę godzin w barze pijąc piwo z bourbonem, dzin z tonikiem, tequile, cinzano i lemoniadę, a czas sączy się równie niezauważalnie jak alkohol. Kiedy w końcu dotarło do mnie, że muszę jechać do kuzynki na swoje własne przyjęcie, że już jestem spóźniona, nikomu ni chciało się mnie odwiedzić.

Znowu problem samochodowy, pomyślałam. Ale zamiast wstać i zadzwonić po taksówkę, zamówiłam następnego drinka. Podwójnego glenliveta, żeby zaoszczędzić kelnerowi chodzenia. Nie zdawałam sobie sprawy, ile wypiłam, dopóki nie wstałam z krzesła. Poczulałam, że się chwieję, jakbym stanęła na pokładzie kajaka pędzącego w dół rzeki. Chwyciłam się najbliższej ściany, pozbierałam członki i ruszyłam do budki telefonicznej w celu powiadomienia kuzyna Bruce'a, że utknęłam, nie mam jak wrócić do domu, czy mógłby po mnie przyjechać? W końcu był moim rówieśnikiem. Z pewnością rozumie, co to znaczy zalać się w trupa, pomoże mi z tego wybrnąć. Ale on z miejsca zaczął wrzeszczeć:

— Gdzie ty się podziewasz, do kurwy nędzy?! Twoja matka haruje przez cały tydzień w kuchni, żeby wyprawić ci urodziny, a ty co?!

— Och, Bruce! — mówię. — Och, Bruce, utknęłam: Jestem taka pijana, że nie mogę ustać na nogach. Tak mi przykro. Ona nie powinna tego robić. Bruce, proszę przyjedź po mnie. Proszę.

— Wypchaj się! Wpakowałaś się w tarapaty, to teraz się ratuj. Zadzwonź po taksówkę i dostarcz tu swoje dupsko. Proponowałem, że cię przywiozę, teraz już za późno, radź sobie sama.

— Bruce, chyba nie mam dość pieniędzy...

— Pożycz od kogoś, zrób co chcesz, ale przyjedź tu, zanim twoja mama się naprawdę wścieknie.

Wtoczyłam się do domu kuzynostwa o 9:30, spóźniona

Otrzy godziny i pierwsze, co zrobiłam, to pobiegłam do łazienki i zwymiotowałam. Widzieli to wszyscy znajomi

I przyjaciele mamy z północnego Dallas, i mama płonęła ze wstydu.

Były kotlety z kurczaka, tort urodzinowy ze świeczkami, prezenty i toasty za zdrowie solenizantki, wszystko na raz, ponieważ zrobiło się cholernie późno. Marzyłam o tym, by wyjść, żałowałam, że przyszłam tak późno. Matka wyglądała smutno i żałośnie przez cały wieczór. Podchodziłam do niej, próbując ją przytulić, podziękować, wyjaśnić, że byłam przygnębiona, co w połączeniu z alkoholem pozbawiło mnie zupełnie kontroli nad sobą, ale bezskutecznie. Odpychała mnie, mówiąc, że ma mnie dość, że nie sądziła, że mogę być takim złym dzieckiem.

— Mamo, mamo! — powtarzałam. — Jestem w psychicznym dołku. Tracę rozum, proszę, nie odpychaj mnie!

— Nic na to nie poradzę, to ty mnie od siebie odepchnęłaś — odpowiadała.

Półowa moich szarych komórek uznała, że tym razem naprawdę schrzaniłam sprawę, druga połowa była trochę zła na matkę za to, że zadała sobie tyle nieproszonego trudu, a zarazem postawiła mnie w sytuacji, która z góry skazuje mnie na pozycję niewdzięcznego dziecka. Kiedy goście w końcu wyszli, matka płakała na leżaku przy basenie, ja na kanapie w salonie. Mój kuzyn Bruce usiadł obok i objął mnie ramieniem, a ja powiedziałam:

—Niezła z nas para, mama i ja, no nie?

— Słuchaj, jestem dla ciebie na wpół miły tylko dlatego, że są twoje urodziny, a ona faktycznie nie powinna tak się dla ciebie trudzić, ale uważam, że jesteś prawdziwą debilką.

—Wiem.

Zawsze tak było. Przez pół życia robiłam wszystko, by zadowolić matkę, a udawało mi się ją tylko rozczarować.

Bruce odwiózł mnie do Oak Lawn. Jechaliśmy w milczeniu porchem jego ojca. Dopiero kiedy podeszłam do drzwi frontowych, wychylił się z okna i krzyknął.

—Hej, kuzynko, z tobą wszystko O.K.? Zapewniłam go o tym energicznym kiwnięciem głowy,

weszłam do holu i sprawdziłam zawartość skrzynki pocztowej. Były w niej — razem z katalogiem L.L. Beana i rachunkiem ze stacji benzynowej — trzy kartki urodzinowe, wszystkie od ojca. Od ojca, z którym nie miałam kontaktu od ponad roku.

Skąd, u diaska, miał mój adres, chciałabym to wiedzieć?! Skąd wiedział, że jestem w Teksasie? I dlaczego zmarnował mi moje nieudane urodziny?

Przeczytałam kartki dopiero na gorze. Były ponumerowane, więc otwierałam je chronologicznie. Na każdej z nich donosił mi o swojej miłości, która po... staje niewzruszona mimo naszego rozdzielenia. W każdej znajdował się fragment miłosnego wiersza.

Pomyślałam: To chore!

Może w dzisiejszych czasach rozdarcie rodzin nie jest już czymś tak potwornym jak mi się zdawało, może wszyscy ojcowie znikają i po latach przysyłają córko sentymentalne kartki, zatytułowane: Moja maleńka. Al jeźli tak właśnie sprawy się mają, ja odmawiam dalszego istnienia. I choćby każda rodzina na świecie była rozdarta, choćby rozwód był nagminny, a bitwy o opiekę na dziećmi czynnością rutynową, choćby każda matka pozywała do sądu ojca i na odwrót, nie uczyni to mojej rodzin ani o jotę mniej pokręconą. I nie sprawi, że poczuję si lepiej patrząc na pięciocentymetrową gąsienicę, która pełźnie po ścianie mojego salonu, tłusta i wstrętna. Ni chcę się zbliżyć do niej nawet na tyle, by ją zabić, ma tylko nadzieję, że zachowa swoją przestrzeń życiową i mnie pozwoli zachować moją, ponieważ myślę, że si rozpadam.

Jestem zbyt niespokojna, by usiąść, zbyt pijana, by pić dalej i bardzo nieszczęśliwa z tego powodu, więc wychodzę z mieszkania, z bloku i ruszam Oak La Avenue, szybko i stanowczo, maszeruję w dżinsach i kowbojskich

butach, niby kobieta obarczona misją. Nie ma dokąd pójść. Idę w mieście, gdzie chodzą jedynie biedni i wariaci, ale idę, ponieważ myśl o ruchu, świadomość, mogę pójść dokąd chcę, że jestem wolna w granicach swojego ciała, przynosi ulgę. Sprawia, że czuję się mniej jak kupa gówna.

Ruszyłam w stronę domu krytyka muzycznego „Morning New”. Podkochiwałam się w Rustym, dobrze z nim rozmawiało, więc pomyślałam, że złożę mu ter wizytę. Dotarłam do jego śmiesznego małego domku przypominającego solniczkę — tuż obok stacji benzynowej, naprzeciwko Sound Warehouse — i stwierdziłam że okna są ciemne, a terenowy Suzuki zniknął. Mim to zadzwoniłam do drzwi i załomotałam pięściami, waliłam w te drzwi, waliłam i waliłam, jakby odgłos moich pięści uderzających w drewno mógł sprowadzić Rusty'ego do domu. W końcu były moje urodziny, to znaczy, były jeszcze przed godziną. Rusty powinien czekać tu na mnie na wypadek, gdybym go potrzebowała, do ciężkiej cholery!

Grzmociłam w drzwi co najmniej dziesięć minut, nie zdając sobie sprawy, a może nie dbając o hałas, jaki czyni?— Facet z obsługi stacji benzynowej przyszedł sprawdzić, co się dzieje. Spojrzałam na jego prostoduszną twarz, na której wypisane było pytanie: „Co taka dziewczyna jak ty robi ucepiiona drzwi?” i zapłakałam w odpowiedzi.

Było w tym facecie coś bardzo ujmującego.

— Och, Boże! Boże! — zawołałam. Jest niedobrze, jest bardzo niedobrze.

Zupełnie nie wiedział, co ze mną zrobić Odwiózł mnie do domu, a ja płakałam przez całą drogę i mówiłam, że chyba będę miała załamanie nerwowe. Milczał i przez chwilę bałam się, że może zechce wejść ze mną na górę, że mnie zgwałci. Pomyślałam, że nie wiem, kim jest, jak się nazywa, ale wypłakuję się przed nim, co stwarza pozor intymności, której w tym momencie wcale nie pragnę. A potem zrozumiałam, jaka jestem niemądra: kobieta zawodząca na pogrzebie może się wydać interesująca, kobieta płacząca na ślubie może się wydać interesująca, ale przecież nie rozhisteryzowana dziewczyna wijąca się w samochodzie, z twarzą nabrzmiałą od płaczu, z włosami sterczącymi na wszystkie strony. Żaden facet nie chciałby wskoczyć do majtek takiej dziewczyny.

I rzeczywiście dojechałam do domu cała i zdrowa, wypijałam jeszcze jedną butelkę chardonnaya i zapadłam w niespokojny sen.

Otworzywszy rano oczy, ujrzałam matkę stojącą nad łóżkiem — musiałam zostawić otwarte drzwi — z kawałkiem papieru, który podsuwała mi do podpisu. Było tam napisane, że pokryje koszty moich studiów, ponieważ jest to jej obowiązkiem, ale nic ponadto. Dowiedziałam się o treści dokumentu dzięki temu, że mi go przeczytała. Nie widziałam na oczy, ale kiedy usłyszałam, co mówi, wtoczyłam się do łazienki i zwymiotowałam. Byłam okropnie Przepita. Wróciłam do sypialni, pacnęłam z powrotem na łóżko i bąknęłam: przepraszam. Tylko tyle mogłam powiedzieć. Spojrzałam na matkę i pomyślałam, że lepiej podpiszę ten papier, że najprawdopodobniej zapomni o nim do przyszłego tygodnia.

— Posłuchaj Elizabeth! — odezwała się surowo. — Przebrała się miarka. Zawsze cię kochałam; urządziłam dla ciebie przyjęcie urodzinowe, bo chciałam, żebyś była szczęśliwa, a ty traktujesz mnie tak podle. — Zaczęła płakać. — Jak możesz mnie tak traktować?! Co ja ci złego zrobiłam?

— Och, mamó! — Wstałam z łóżka, żeby ją przytulić, ale mnie odepchnęła.

— Nie — powiedziała. — Już ci się nie dam omotać. Udzielę ci tylko jednej rady, ponieważ cię kocham i nadal jesteś moim dzieckiem. Myślę, że masz mocno zachwianą równowagę psychiczną, od bardzo dawna, i z jakiegoś powodu mnie nienawidzisz. Na twoim miejscu zostałabym tu, w Dallas, nie wracałabym do szkoły, lecz zaczęła zarabiać i płacić za terapię. Lubisz swoją pracę i ludzie tutaj zdają się lubić ciebie, więc zostań tu, przerwij studia.

Ponieważ... — Łkała tak, że ledwo mogła mówić. — Ponieważ nie stać mnie jednocześnie na Harvard i twoją terapię, a widzę, że wszystkie te lata, kiedy się nie leczylaś teraz każą za siebie płacić. Patrzę na ciebie i widzę, że masz poważne kłopoty.

Ruszyła w stronę drzwi, chciałam ją zatrzymać, ale byłam zbyt słaba i miałam dość, jak na jeden, wczesny poranek. Już w progu powiedziała:

— Chcę, żebyś wiedziała, że jeśli postanowisz wyjechać z Dallas, sama zapłacisz za swój bilet do domu. Musisz być przygotowana również na to, że będą cię w nim obowiązywały zupełnie nowe zasady postępowania.

Pod koniec tego tygodnia zadzwoniła autorka „Oprah!”, żeby zapytać, czy nie wystąpiłabym w programie o ojcach, którzy porzucili swe dzieci. Wygrzebała artykuł, który napisałam kiedyś dla „Seventeen”. Sprawdziła w „The Readers' Guide to Periodical Literature” pod hasłem „rozwód”. Artykuł był utrzymany w umiarkowanie optymistycznym tonie. Sugerowałam w nim, „unormowaliśmy z ojcem nasze stosunki. Z dalsze, materiału dowodowego wynika jasno, że od tamtego czasu robiliśmy wszystko, żeby nie mieć w ogóle żadnych stosunków. Po co opowiadać na antenie o tym przykładzie brzydoty świata? Ale dziennikarka nalegała, pomyślałam, że może być z tego kupa śmiechu, więc odwiesiłam na kolek zdrowy rozsądek i powiedziałam: „Jasne, czemu nie?”

Cieszyłam się głównie na wyjazd do Chicago i wyrwanie się z Dallas na parę dni. Moja szefowa uznała, że to świetny pomysł, powiedziała, że da mi wolny dzień, że wszyscy obejrzą wspólnie program, kiedy już zostanie wyemitowany. Koledzy w redakcji uważali, że postępuję słusznie, a mój przyjaciel Tom, reporter z działu stołecznego, uznał za wysoce prawdopodobne, że ktoś odpowiedni zobaczy mnie na ekranie i zrobi o mnie film, albo coś w tym rodzaju.

To mnie ostatecznie przekonało. Pomyślałam, że gdyby zrobili ze mnie film, gdybym została przerobiona na celluloid, przestałabym być sobą. Oddałabym wszystko, by nie być Elizabeth. Jak dotąd, nic nie pomogło: wyjazd do Harvardu, pisanie artykułów, praca w redakcji — robiłam to wszystko i nadal byłam sobą. Zaczęłam podejrzewać, że może jednak nie mam ochoty na występ w „Oprah!” Za bardzo przypominał mój zwykły przepis na życie: weź żalną sprawę osobistą, rozłóż ją na części pierwsze, przedstaw w kolorze, z wszystkimi detalami zupełnie obcym ludziom i w ten sposób uwolnij się od samej siebie. Potem czułabym się tania i pusta, głęboko sfrustrowana, jak duchowa ekshibicjonistka, która odkrywa się przed pierwszym lepszym nikim. Może zapragnę odzyskać swoje życie, uczynić je czymś prywatnym, własnym. Może, tylko może, gdybym wyzbyła się nałogu opowiadania wszystkim o wszystkim, czego szczęśliwy człowiek nie robi, stałabym się człowiekiem szczęśliwym?

Kluczem do szczęścia, uznałam, jest odmowa udziału w „Oprah!”.

Byłam przecież dziewczyną, która straciła dziewictwo i pozwoliła znajomym urządzić z tej okazji przyjęcie. Wtedy wydawało mi się to zabawne, Bóg mi świadkiem, czekałam z inicjacją dość długo. Rozesłano drukowane zaproszenia o treści: „Proszę o przybycie na brzemienną w skutki, wstrząsającą imprezę na cześć Elizabeth Wurtzel”. W środku był narysowany kwiatek, który zleciał z łodyżki. Choć prawdziwy powód przyjęcia miał by zawołowany, wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Wiele dziewcząt podchodziło do mnie i mówiło, że to odjazd — absolutny odjazd! — zrobić coś takiego, żalują, że sam nie urządziły przyjęcia z tej okazji, ale o wiele więcej osób uważało, że jestem stuknięta.

Nie wyłączając faceta, z którym wtedy sypiałam. Biedak nie mógł zrozumieć, dlaczego sprawa tak intymna, jak jego życie płciowe, stała się publicznym spektaklem. Nie potrafiłam mu tego wyjaśnić. Wiedziała tylko

— a nie mogłam mu tego powiedzieć w rozmowie telefonicznej między moim pokojem w Cambridge a jego apartamentem w Waszyngtonie — że kiedyś miałam coś bardzo cennego. Chowałam to na prawdziwą miłość albo na lepsze czasy, kiedy nie będę w depresji, kiedy moje związki z mężczyznami nie będą przypadkowym rozpaczliwym poszukiwaniem formy egzystencji mnie bolesnej niż obecne życie. A jednak oddałam to, zaprzepaściłam.

Oddałam moje dziewictwo facetowi, któremu wcale na mnie nie zależało, który pyta mnie teraz, dlaczego roztrąbiłam całemu światu o naszych prywatnych sprawach, choć one prywatne nigdy nie były. On mnie wcale nie znał, ten mężczyzna, nie znał mojego wnętrza, miękkiego środka gdzieś głęboko, gdzie nikt nie zagłąda. Jeżeli o mnie chodzi, dokonano inwazji mojego ciała było to miłe i interesujące, ale nie próbowałam nawet wmówić sobie, że prywatne. I naprawdę niewiele warte. Czekałam bardzo długo, by seks przydarzył mi się z właściwą osobą, we właściwym czasie i we właściwym miejscu, aż któregoś dnia, na drugim roku studiów, zrozumiałam, że mogę tak czekać do usranej śmierci. Właściwe osoby, miejsca i chwile istniały zapewne, ale ni w moim życiu. Więc postanowiłam kochać się z pierwszym lepszym.

Oddałam siebie.

Z ojcem było inaczej. W parę godzin po przyjęciu zaproszenia do „Oprah!”, zdecydowałam, że nie wystąpi w telewizji. Mój ojciec i to, co zostało z naszego związku, było nadal moje. Tego nie mogłam oddać. Kiedy zadzwoniłam do Diany, autorki „Oprah!”, okazało się, że już zdążyła zmienić koncepcję programu. Teraz chciała

i czyż to nie byłoby wspaniałe? — żeby wystąpiła w „Oprah!” razem z ojcem, żebyśmy mogli ukazać nasze punkty widzenia i „naświetlić zagadnienie, osiągnąć lepsze zrozumienie powodów, które skłaniają mężczyzn do porzucania swoich dzieci”. Ona rozwijała przede mną swoją twórczą wizję, a ja powtarzałam, że nawet nie rozmawiałam z ojcem, nie mam pojęcia, gdzie mieszka, choć sądząc ze stempla pocztowego na kartkach urodzinowych, musi to być gdzieś w Wirginii.

— Żaden problem — powiedziała Diana. — Nasi ludzie go znajdą i urządzimy wam spotkanie na wizji. Mówisz, że jak długo z nim nie rozmawiałaś?

Najwyraźniej nie łąpała. A może łąpała, tylko postanowiła drażyć temat. W końcu to była jej praca — wyciąganie ludzi na publiczne zwierzenia. O jednym nie wiedziała, że za żadne skarby świata nie dopuszczę do tego, by moje pierwsze po latach spotkanie z ojcem odbyło się w telewizji publicznej.

— Uważam, że to koszmarny pomysł! — powiedziałam.

Początkowo byłam zaszokowana samą propozycją Diany, potem zrozumiałam, że na takich zasadach opiera się świat, a przynajmniej Ameryka. Sfilmują nie tylko następną rewolucję, ale każde widowiskowe barachło. Wszystko to już było: telewizyjne pojednania adoptowanych dzieci z naturalnymi rodzicami; spotkania między mężem, kochanką i żoną; dyskusje na temat kary śmierci między mordercami — przez kraty, via satelita — a rodzinami ofiar; konfrontacje między maltretowanymi dziećmi a ich rodzicami; spotkanie skorumpowanego chirurga plastycznego z pacjentką, której twarz zdeformował wstrzykując toksyczny silikon; rozmowy między księdzem, rabinem i zakonnikiem (Nie! Nie jest to początek marnego dowcipu!), którzy spali z członkami swoich kongregacji. Wszystko to można sobie obejrzeć jednego popołudnia w starej, dobrej telewizji.

Dla wielu ludzi, a przynajmniej dla gości tych programów, nie ma rzeczy świętych, które należałoby osłonić przed okiem kamery. Istnieje komputerowa baza danych dotycząca ludzi, którzy zgłaszają się do talk shows, opisują swoje odchylenia, ekscentryzmy czy upośledzenia. Twierdzą, że opowiadając przed milionową widownią o s jej niedoli chcą pocieszyć inne ofiary, pobudzić świadomość społeczną, znaleźć ujście dla swojego cierpienia. Nikt z nich nie przyzna,

że chodzi tu o wskaźnik oglądalności i niezdrową, groteskową ciekawość. Nikt z tych ludzi nie widzi mnie i moich koleżanek w akademiku, kiedy oglądamy talk showy i wyśmiewamy i kiczowatość. Oni wierzą, że to, co robimy, jest dobre. Dianę próbowała nakłonić mnie do występu w „Oprah”!, twierdząc, że będzie to z pożytkiem dla społeczeństwa. Prawie dałam się nabrać, dopóki chodziło o mnie, ale kiedy zaczęła napomynać o sprowadzeniu mojego ojca, zrozumiałam, że chodzi tu o tani efekt i zachciało mi się rzygać.

Dianę dzwoniła do mnie dzień w dzień. Nie miała automatycznej sekretarki, więc na weekend przeniosłam się do kuzynki. Musiałam uciec od potwornego dźwięku telefonu, bo to nie matka dzwoniła, żeby powiedzieć: „jeszcze cię Kocham”, i nie ukochany, żeby wyznać: „jeszcze mi na tobie zależy”. Dzwoniła kobieta, której nigdy nie widziałam i nie chcę zobaczyć, jeżeli ma to oznaczać publiczne analizowanie mojego życia dla jej prywatnych celów.

Reszta lata, co za gehenna! Związałam się z Jackiem, reporterem kryminalnym, który pracuje od czwartej po południu do północy, a to oznacza, że piję z nim od północy do rana. Jesteśmy tak zalani, że już się nawet nie pieprzymy. Spędzam mnóstwo czasu z głową w klozecie. Zużywam tubkę pasty do zębów tygodniowo. Mim usilnych prób nigdy nie zostanę alkoholikiem. Narkomanem, może. Alkohol działa na mnie jak środek n wymioty.

Co wieczór siedzę w moim mieszkaniu i czekam, aż zegar wybijie dwunastą, śmiertelnie przerażona, że Jack nie zadzwoni, że się ze mną nie spotka, że znajdzie sobie kogoś innego. Jeżeli to kiedyś nastąpi, nie będę miała innego wyjścia, jak wczłgać się do staroświeckiej wanny i krwią z własnych nadgarstków zafarbować wodę na kolor burgunda. Do takiej desperacji doprowadza mnie Jack. Doprowadza mnie do samobójstwa! Prawie go nie znam, romans trwa zaledwie parę tygodni, ale od samego początku stał się moją obsesją.

Czasem, kiedy leżę przy telefonie, czekając aż zadzwoni, próbuję zrozumieć, co, u licha, we mnie wstąpiło. Dlaczego tak się boję, że Jack nie zadzwoni? Nie byłoby to takie złe. Mogłabym się wyspać dla odmiany. Mogłabym przeczytać jeden z opasłych tomów, które przy targałam z Cambridge z myślą o trzecim roku studiów. Mogłabym zacząć od „Drugiej płci”, mogłabym przekopać się przez „Obronę praw kobiet”, mogłabym pomyśleć, jak się pozbyć uzależnienia od mężczyzn. Wprawdzie Simone de Beauvoir miała kompletnego bzika na punkcie Sartre'a, i czytałam gdzieś, że Mary Wollstonecraft była po uszy zakochana... — w kim? — zdaje się, w Johnie Stuarcie Millu. Ale Jack nie jest Jean-Paulem. Gdyby ta myśl nie była tak druzgocąca, przyznałabym prawdopodobnie, że Jack jest po prostu nikim. Weźmy pierwszego z brzegu faceta. Każdy mężczyzna, w którym się zakochuję, zmienia się w Jezusa Chrystusa w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin znajomości. Wiem o tym, widzę, jak to się odbywa, czasem czuję nawet, że stoję na rozdrożu, przez sekundę, dwie, mogę się cofnąć, pójść w drugą stronę, powiedzieć po prostu „nie”, ale nigdy tego nie robię. Chwytam wszystko, co się nawinie. Kończę z niczym i czuję się ograbiona. Rozpaczam po utracie czegoś, czego nigdy nie miałam. Jestem chora. Chora!

Boże, jak bardzo potrzebuję mamy. Ale mama nie rozmawia ze mną. Jestem tylko ja, Jack i butelka.

Pewnej soboty umówiłam się z Jackiem na poranny seans „The Big Easy”. Powinien zadzwonić, a nie zadzwonił. Mijają godziny, nie mogę wyjść z domu, jego telefon nie odpowiada, zbliża się rozpacz, jakiej obawiałam się każdej nocy. Mogłabym wynaleźć milion różnych zajęć, ale czuję się osaczona, boję się, jestem zbyt niespokojna, by czytać czy robić coś pożytecznego, więc biorę jedyny alkohol, jaki znajduję w domu, paskudnie cuchnący rum i stwierdzam, że pić nigdy za wcześnie. A potem przypomniałam sobie, że Globe, facet, który gra w zespole rapowym i chodzi z córką komisarza policji, zostawił u mnie całą torbę narkotycznych grzybków. Zjadam je. Dziesięć gramów, więcej. Po chwili jest mi już wszystko jedno.

Dzwonię do wszystkim ludzi, których znam i mawiam z automatycznymi sekretarkami. Idę do Sound Warehouse i kupuję — Boże, zmiłuj się! — cztery płyty Grateful Death. Odnajduję Rusty'ego i ćpam z nim do upadłego, choć grzyby jeszcze szumią mi w głowie. Potem postanawiam, że muszę chodzić, poruszać nogami. Chodzę godzinami, przemierzam mile, aż do slumsów Południowego Dallas. Przemierzam Deep Ellum i choć nie mogę przestać się śmiać, wszystkie twarze wyglądają jak gliniane maski, udaje mi się zjeść stek z kurczaka i ciastko z kremem w jakimś bistro. Chodzę dalej.

Trafiam na koncert New Bohemians w klubie w pobliżu Grant Parku. Słyszę głos Edie, miękki głos, śpiewający o kołach wirujących w innych kołach. Odpywam przy dźwiękach gitar, mandoliny i perkusji. Odpywam i staję się tysiącem strun. Jest to najszcześniejsza chwila tego lata, najlepsze dla mnie miejsce. Gdyby moje życie mogło się zmienić w słowa i melodię. Gdyby cała reszta mogła zniknąć. Żadnego Jacka, żadnej matki, żadnej pracy, nic. Dlaczego każda najdrobniejsza rzecz, nawet szczęśliwa i dobra, zmienia się nieuchronnie w brzemię? Gdyby wszystko mogło być tak czyste, jak ta chwila. Gdybym mogła wtopić się w to miejsce na zawsze.

I wtedy Edie zaczyna śpiewać „Mama Help Me”, ten kawałek o ludziach szalonych, ludziach złych, ludziach z ulicy i jej głos staje się nagle ostry, wyrywa mnie z błęgiego otępienia. Przypominam sobie, kim jestem: jestem dziewczyną, która przed paroma godzinami przedawkowała narkotyczne grzybki, ponieważ jakiś facet, prawie jej obcy, nie zadzwonił, choć obiecał, że to zrobi. Jestem dziewczyną, która zawiodła swoją matkę. Jestem dziewczyną z beznadziejnymi perspektywami. Jestem dziewczyną, która musi iść do domu. „Dokąd pójde, jeśli nie mogę pójść do siebie” — śpiewa Edie. „Mamo, mamo, m-m-mamo pomóż mi, mamo, mamo, mamo powiedz mi co zrobić”.

Boże, potrzebuję pomocy i to na gwałt, myślę wychodząc z klubu, tej hippisowskiej odmiany teatru objazdowego. Wsiadam do taksówki — choć raz nie trzeba jej łapać, może Bóg jednak istnieje — *i*

Central Park, czuję wilgoć na twarzy. Skąd? Uświadamiam sobie, że płaczę, że moje kanaliki łzowe wytwarzają mnóstwo wody i soli, a ja jestem taka naćpana, że tego nie czuję. Mogę tylko patrzeć na siebie z boku, siedzieć przy swoim pustym korpusie i obserwować potoki łez, które nie przynoszą ulgi, ponieważ nikogo nie ma w środku. Odeszłam- Puk-puk? Nikogo nie ma!

David, krytyk muzyczny z „Dallas Times Herald” czeka na mnie na schodach. Zdaje się, że przed paroma godzinami mieliśmy pójść na Billy'ego Squiera. Nagrałam mu się na automatyczną sekretarkę, donosząc, że „wymię-kam” i „tracę grunt”, więc zaczął mnie szukać, porządnie wystraszony. Zadzwonił nawet do Rusty'ego. W końcu poszedł na przedstawienie sam, ale dzwonił w przerwach, a kiedy oddał recenzje, pojechał szukać mnie do Deep Ellum. Natykał się na ludzi, którzy widzieli mnie to tu, to tam, mnie oczywiście nie znalazł. Postanowił więc czekać przed domem.

— Wszystko w porządku? — zapytał. Stoję przed nim i płaczę.

— Czy wyglądam w porządku? — odpowiadam pytaniem.

— Niespecjalnie, ale z tobą nigdy nie wiadomo.

— Pieprz się! — krzyczę. — Pieprzcie się wszyscy! Co to znaczy: „z tobą nigdy nie wiadomo”? Płaczę z tych samych powodów, co inni ludzie. Kiedy cierpię. Do cholery, David! Naprawdę cierpię! Ja cierpię.

— Czy to ma coś wspólnego z Jackiem?

— Nie! Pieprz się! Nigdy nie cierpiałabym przez mężczyznę — wrzeszczę jeszcze głośniej.

Siadam koło niego na schodach, a David obejmuje mnie ramieniem.

— Naprawdę chcę być twoim przyjacielem — mówi. — Ale bardzo mi to utrudniasz. Wystawiasz mnie do wiatru, choć umówiliśmy się na początku tygodnia. Twoja reakcja na każdą nieprzyjemną sytuację sprowadza się do zażycia prochów. Spójrz na siebie. Zobacz, co² sobie zrobiłaś. Obaj z Clayem jesteśmy zdania, że masz problem z narkotykami i potrzebujesz pomocy lekarskiej. — Clay był edytorem muzycznym tygodni „Dallas Observer”. Spoglądałam na niego wstrząśnięta. Dlaczego, u diaska wszyscy zawsze myślą, że mam problem z narkotykami?

— David, co ja bym dała za to, żeby być nałogów

— mówię. — Co bym dała, żeby to było takie proste. Byłabym zachwycona, gdybym mogła pójść na odwyk.

— Mówię to każdemu, kto jeszcze chce słuchać. Podobni jak większość banałów, i ten frazes opiera się na prawdzie. Brałam za dużo narkotyków, brałam za dużo wszystkiego ale istnieje próg, którego nigdy nie przekroczyłam, pewne nieuchwytna granica, która oddziela nałogowców — ludzi którzy muszą brać, żeby żyć — od całej reszty, która t lubi, ale brakuje jej bakcyła, skłonności do uzależnieni Moim problemem była zawsze depresja w czystej postaci Alkohol, narkotyki okazały się tylko akcesoriami przestępstwa. Pierwszy rok w Harvardzie, długie gorące lat w Dallas — to były przerywniki, mijały bez śladu i b dalszego ciągu. A depresja trwała choćby nie wiem co.

— To nie narkotyki — mówię Davidowi. — Chód o to, że wszystko... że wszystko jest takie straszne.

O siódmej rano, kiedy David w końcu poszedł, słuchawszy pod przymusem czterech podwójnych płyt „Grateful Death”, postanowiłam zadzwonić do matki.

— Mamusiu! — zaskomlałam, kiedy podniosła słuchawkę. — Mamusiu, w przyszłym tygodniu wyjeżdża z Dallas. Chcę wrócić do domu. Tutaj wszystko j straszne, nie mogę tu zostać. Tęsknię za tobą. Mus wrócić do domu.

— Och, Ellie!

Na razie mówi tylko tyle, a ja nie wiem, czy ma oznaczać współczucie, gniew, obojętność, czy jeszcze co innego. Wiem, że jest zdumiona tym, że tak wcześnie wstałam, a ja nie mam odwagi przyznać, że jeszcze s nie położyłam, że teraz nigdy nie kładę się przed siódmą rano.

— Słuchaj, kochanie! — odezwała się znowu. Postanowiłam, że obojętnie, gdzie będziesz, musisz znowu zacząć się leczyć. Bez tego nie idzie ci najlepiej.

— Wiem.

,— Więc musimy, nie wiem jak, zebrać pieniądze na lekarza.

— Mamusiu, nie chcę, żebyś mnie nienawidziła.

— Nie nienawidzę cię. Nie bądź śmieszna. Kocham cię. Ale czasem robisz straszne rzeczy.

— To niechcący.

— Rozumiem. I rozumiem, że chowasz jakąś złość, „nie wiem, skierowaną przeciwko mnie, ojcu, czy całemu światu, ale uważam, że gdybyś zaczęła się wcześniej leczyć, gdybyśmy mogły trzymać się doktora Isaaka, byłabyś teraz inna. Uważam, że to moja wina, i teraz powinnam ci pomóc. Żebyś wyzdrowiała zanim skończysz Harvard.

— Myślisz, że to możliwe?

— Nie wiem — mówi. — Mam nadzieję.

Przestrzeń, czas i ruch

Drugi rok będzie wspaniały. Czas powrotu do zdrowia. Potraktuję Cambridge jako sanatorium psychiatryczne, intensywny kurs współczesnej literatury, centrum terapeutyczne. Żadnych facetów, alkoholu, narkotyków nic, co mogłoby mnie rozpraszać, w sposób przyjemny czy nieprzyjemny, nic, co mogłoby zepchnąć mnie z drogi prowadzącej do zdrowia psychicznego. Nie będę miał życia osobistego dopóki nie nauczę się żyć. Oczywiście od czasu do czasu zdarzy się przyjęcie, będą przyjaciele i ploteczki — przyjaciele i ploteczki to dobra rzecz — ale żadnych powikłań. Żadnych obsesyjnych związków, które są tak absorbujące, że wkrótce nie jesteś w stanie przejrzeć rozkładówki mody w „Vogue”, przeczytać siedmiu tysięcy słów o Demi Moore w „Vanity Fair”, nie mówiąc o osiągnięciu tej kryształowej koncentracji, jakie wymaga ostra terapia i wykurzenie depresji raz na zawsze. Pierwszym moim zadaniem po przyjeździe do Cambridge i zagospodarowaniu się w mieszkaniu na Kirklanc Street, było znalezienie dobrego psychiatry. Mama obiecała za niego zapłacić. Była przerażona, uważała, że jestem kompletnie stuknięta i nie pomoże mi nikt z wyjątkiem profesora nauk medycznych. Natomiast ojciec mojej współlokatorki, Samantha, jedyny psychoanalityk -amator przyjęty do jakiegoś bardzo ważnego freudowskiego towarzystwa w Europie, doradził mi, bym po stawiła na pracowników społecznych. Postanowiłam, że sprawdzę ich wszystkich, sprawdzę każde nazwisko zasłyszane od doktor Saltenstahl w przychodni lub od moich szurniętych przyjaciół. Odbyłam rozmowy z tyloma specjalistami, że życie wydało mi się pasmem wizytówek, plaketek na drzwiach, alfabetyczną miksturą tytułów: Ed.D. (magister sztuk pedagogicznych), Ph.D. (doktor filozofii), M.D. (doktor medycyny). Uznałam za przewrotność losu, że ktoś tak źle predestynowany do podejmowania decyzji życiowych musi decydować o tym, kto pomoże mu zmienić ten stan rzeczy.

Wybrałam w końcu psychiatrę poleconą przez doktor Saltenstahl, kobietę, która pracowała swego czasu w Har-yardzie, a teraz prowadzi prywatną praktykę w swoim pięknym kolonialnym domu na Mt. Auburn Street. Nazywała się Diana Sterling. Spodobała mi się, ponieważ na początku lat siedemdziesiątych studiowała na Harvardzie, wyszła za mąż za kolegę z roku, a teraz miała dwoje dzieci o cywilizowanych imionach Emma i Matthew, które posłała do prywatnej szkoły wraz z pociechami profesorów i zhipisiałych córek Rewolucji Amerykańskiej. Widać było, że prowadzi szacowne, spokojne życie, w przeciwieństwie do wielu psychiatrów, którzy wykorzystują zawód do egzorcyzmowania własnych demonów. Podobało mi się, że nie jest Żydówką, że moja skłonność do nadopiekuńczości, obwiniania się i krytykanctwa, którą uznawałam zawsze za dziedzictwo kulturowe, zostanie potraktowana przez doktor Sterling tak, jak na to zasługuje, jako destrukcyjne, dysfunkcyjne zachowanie. Potrzebowałam psychiatry, który stałby się wzorem do naśladowania.

Odwiedzałam doktor Sterling w jej piwnicznym gabinecie dwa razy w tygodniu. Opowiadałam jej o byłych psychiatrach i byłych złych doświadczeniach. Opowiadałam o rodzicach, żydowskim wykształceniu i nowojorskim dzieciństwie. Od czasu do czasu zadawała jakieś pytanie, ale na ogół gawędziłyśmy sobie przyjaźnie i niezobowiązu-

jąco. Spodziewałam się łez, wstrząsających emocji, oczyszczenia, dramatu, rewelacyjnych odkryć. Spodziewałam się, że psychoterapia mną wstrząśnie, sprawi, że powiem: „O, już rozumiem! Na tym polega problem, że też nie połapałam się wcześniej”.

A tymczasem moje życie w Cambridge zrobiło się takie spokojne i jednostajne, że zaczęło mi brakować nowych epizodów chorobowych, które mogłabym poddać analizie, a nie chciało mi się rozgrzebywać starych. Wsiadałam do autobusu mającego zawieźć mnie do gabinetu doktor Sterling i zastanawiałam się, co jej dzisiaj opowiem. Czułam się jak dziewczyna, która jedzie na pierwszą randkę z wymarzoną chłopakiem i układa w głowie listę potencjalnych tematów, na wypadek gdyby, co nie daj Bóg, nastąpiła towarzyska zapaść. Martwiłam się, że nie dość zabawiam doktor Sterling, że wpisze mnie na listę nieciekawych przypadków, o których opowiada wieczorem mężowi, zaliczy do pacjentów, którzy nie potrafią udramatyzować swego życia nawet na tyle, by przetrzymać czterdziestopięciminutową wizytę u psychiatry. Martwiłam się, że moja decyzja odstąpienia od samodestrukcji zmienia mnie w nudziarza. Uznałam, że w obecnym stanie jestem zbyt normalna na leczenie. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie zużytkowałabym mojego czasu i moich pieniędzy lepiej, gdybym siedziała, czytała, pisała i miała nadzieję, że problemy rozwiążą się same.

Wtedy dostałam pracę nocnego portiera w harwardzkim biurze ochrony. Wielu studentów decydowało się na tę robotę, ponieważ zapewniała mnóstwo czasu na czytanie. Pracowałam od jedenastej wieczorem do siódmej rano w Adams House, gdzie mieszkała większość moich znajomych. Spędzałam czas w ich pokojach wypijając półlitrowe kubasy kawy i wypełniając arkusze sprawozdawcze pod koniec zmiany. Praca miała walory towarzyskie, ale nocne dyżury zaczęły działać mi na nerwy. Znowu odczuwałam brak światła. Nawet gdybym wstawała codziennie o świcie, Cambridge i tak pozostałoby szarym, chmurnym, mrocznym miejscem, gdzie dni robią się krótsze, a noce dłuższe, bardziej czarne i coraz mroźniejsze wraz ze zbliżaniem się zimy. Brak słońca dwa dni w tygodniu pogarszał mój nastrój, ponieważ mam wyjątkowe zapotrzebowanie na światło. Każdej zimy zastanawiałam się, czy nie pójść do solarium po to tylko, by wchłonąć trochę promieni ultrafioletowych. Życie w ciemności już od września było nie do pomyślenia.

Do tego dochodziły dwie nieprzespane noce, które rozbijały rozkład całego tygodnia. Zaczęłam urywać się z zajęć. Wszystkie moje postanowienia wzięły w łeb pod naporem ciągłej potrzeby snu. Czy można myśleć o lunchu, kolacji, czy choćby kawie, kiedy nie jest się w stanie ruszyć ręką? Na domiar złego, w jednym z moich ataków głupoty postanowiłam zamieszkać poza kampusem. Rzadko kto decyduje się na ten krok w Harvardzie, gdzie akademiki są bardzo przyjemne i o wiele tańsze niż mieszkania w mieście. W rezultacie wypadłam z głównego nurtu życia.

Żyłam między moim mieszkaniem a moją pracą poza przestrzenią i poza czasem.

I znowu dopadła mnie depresja. Obudziłam się pewnego popołudnia, po nocnej zmianie, nie wiedząc, jaki to dzień, jakie zajęcia opuściłam. Miałam dziwne wrażenie zawieszenia w półmroku, nie potrafiłam nawet ustalić czy znajduję się we własnym łóżku, we własnym pokoju, z własną głową na karku. Jakbym miała kaca bez nadużycia alkoholu. Czułam się zagrożona i nagle nabrałam pewności, że moje mieszkanie wcale nie jest moim domem, jest tylko miejscem, w którym chwilowo przebywam, że jak zwykle jestem gdzieś tylko przelotem. Wstałam z łóżka, powlokłam się długim korytarzem do łazienki, obmyłam twarz zimną wodą i poczułam, że się duszę. Ocknęłam się na podłodze z głową w muszli klozetowej. Nie jadłam od tak dawna, że wyrzucałam z siebie jedynie żółć i soki trawienne. Kiedy w końcu przestałam wymiotować, mięśnie brzucha, przełyk i gardło bolały mnie jakby zostały przenicowane. Czułam gorycz w ustach, ale nie miałam siły wstać, żeby umyć zęby. Wtedy zadzwonił telefon.

Z łazienki słyszałam, jak mój przyjaciel Eben mówi do automatycznej sekretarki, że jest piąta, czas wybrać się na koncert Pink Floyd, na który nieopacznie zgodziłam się pójść. Podbiegłam do telefonu, chwyciłam słuchawkę i starałam się wyjaśnić Ebenowi, że jestem niewypowiedzianie chora, że właśnie wymiotowałam, że czuję się jakbym miała grypę.

— To przez to, że pracowałaś całą noc, Liz — powiedział. — Poczujesz się o wiele lepiej, kiedy wstaniesz z łóżka i wyjdiesz.

Wiedziałam, że prawdopodobnie ma rację. Ale było mi wszystko jedno. Czułam tylko, że nie jestem w stanie się poruszyć.

— Eben, nie mogę pójść z tobą na Pink Floyd.

— Zaczęłam płakać. — Eben — siąknęłam nosem. — Przepraszam cię. Zapłacę za swój bilet. Za twój też. Tylko proszę, nie męcz mnie teraz. Jestem taka słaba, nie wiem, co się ze mną dzieje. Boli mnie głowa, wszystko mnie boli, boję się i nie wiem dlaczego. — Nie przestaję płakać.

— W porządku, Liz. Nie ma sprawy. Następnego dnia oznajmiłam doktor Sterling, że czuję się jakbym przechodziła załamanie nerwowe, choć nie wiem z jakiego powodu. Może to przez te ciemności, albo brak snu. A może jest to rezultat tego, że okres zapału minął i dopadła mnie rzeczywistość, rutyna i depresja. Nie mogłam obwiniać za tę chandrę ani mężczyzn, ani alkoholu, tym razem winę ponosiłam ja sama. Na cokolwiek cierpiałam, wrażenie było bardzo fizyczne. Była to dolegliwość psychiczna, która wywołała malarię. Moje ciało przypuściło atak na mój umysł. Opisałam doktor Sterling dreszcze, ataki gorąca, mdłości, wyczerpanie.

Coś jest ze mną nie w porządku — wyjęczałam.

— Wszystko mnie boli, nie tylko głowa, ale wszystko, jakbym miała straszną grypę.

Oczekiwałam, że doktor Sterling uzna sprawę za bardzo nagłą. Przecież zaledwie przed paroma dniami wychwalałam swój zadziwiająco błogi stan, ale ona chyba zdawała sobie sprawę, że ludzie załamują się zupełnie niespodziewanie.

— Wszystko to może być wynikiem depresji — powiedziała kiedy wymieniałam symptomy. — Leczysz się od miesiąca, może wreszcie doczekałyśmy się efektów. Prawdopodobnie przechodzisz pierwsze załamanie. Ale nie martw się. To się zdarza. To jest częścią procesu psychoterapii. Częścią procesu powrotu do zdrowia.

A parę dni później obudziłam się we krwi. Krew na prześcieradle, na kołdrze, na koszuli nocnej, więc pomyślałam, że umieram. Prawdę mówiąc, myślałam, że już nie żyję.

A potem poczułam protoplazmatyczne grudki we krwi między udami, zobaczyłam lepkie strużki burgunda, które biegły w dół moich nóg, jak oczka w pończosze. I pomyślałam: och, nie!

Wymiotowałam przez cały tydzień, ale myślałam, że jestem chora jak zwykle. Historia mojego życia! Byłam taka pusta, że wymiotowałam dalej, chyba po to, by stać się jeszcze bardziej pusta. Ale podczas weekendu zaczęły się dziać zwariowane rzeczy. Głowa bolała mnie tak, że dostawałam halucynacji. Postanowiłam zadzwonić do Stone'a, mojego eks-chłopaka i poprosić, żeby przyszedł, wypił ze mną butelkę węgierskiego wina — to a propos mojej abstynencji — i pomógł mi oderwać się od własnych myśli. Stone trzymał mnie w ramionach sześć godzin, ponieważ bałam się, że wyskoczę oknem, jeżeli mnie puści. Moja głowa zachowywała się jak samolot na chwilę przed

awaryjnym lądowaniem. Prawdę mówiąc, to właśnie ta moja lekkość, brak zakotwiczenia przerażały mnie najbardziej. Byłam pewna, że jeżeli Stone mnie puści uleczę na Marsa.

Więc kiedy obudziłam się w poniedziałek rano w kałuży własnej krwi, byłam pewna, że opuszczam moją cielesną powłokę na dobre. Stoczyłam się z tapczanu, oparłam o ścianę i dopęzłam do telefonu w korytarzu. Skuliłam się przy aparacie, ponieważ miałam straszne skurcze, a plecy w żelaznym imadle, i wykręciłam numer Stone'a.

Obejrzałam się i zobaczyłam tor krwi, kropki i rozbryzgi na podłodze, smugi na ścianie, wypisz, wymaluj dzieło Jacksona Pollocka.

— Stone, umieram — powiedziałam, kiedy podniósł słuchawkę.

— Znowu?!

— Stone, umarłam. Wiem, że mówiłam to samo w sobotę i przykro mi, że cię obudziłam, ale tu jest mnóstwo krwi, trzęsę się, i okropnie mnie boli, i naprawdę myślę, że umieram, i chyba powinna pójść do lekarza.

— Może masz okres.

— Może umieram. Jeżeli nie przyjedziesz i nie odstawisz mnie do szpitala, będziesz winien mojej śmierci.

Stone nie należał do osób, które próbowałyby podważyć podobnie pokrętną argumentację. Był dziewiętnasty października 1987 roku. Pojechałam na pogotowie taksówką, ubrana tylko w koszulę nocną i sweter. Krew była wszędzie, zarzygałam całą podłogę. Wyglądałam tak że ludzie w poczekalni musieli się zastanawiać, czy nie zabrać swoich przypadłości gdzie indziej. Tymczasem giełda spadła na łeb o 508 punktów. Stwierdziłam później, że giełda i ja załamałyśmy się w tym samym momencie.

Leżałam na stole sali pogotowia i krzyczałam:

— Umieram! Umieram!

Brzuch przeszywał mi straszny ból, jakby ktoś wbijał we mnie lodowe sople i w końcu pielęgniarka powiedziała:

— Złotko, nie umierasz. Jeżeli już ktoś tu umiera, to twoje dziecko.

— Moje dziecko?! — zaczęłam płakać. Płakałam i płakałam. Myślałam, że będę tak płakać przez pełnych dziewięć miesięcy. Stone zmył się dawno temu, leżałam więc sama w antyseptycznej sali pełnej jarzeniówek i obcy ludzie mówili mi, że byłam w ciąży, prawdopodobnie parę miesięcy. Nie wiedziałam nawet, że mam w sobie dziecko, dopóki go nie straciłam.

Tracę wszystko.

Jakim cudem w ogóle zaszłam w ciążę?! Jack! — pomyślałam. Nikogo innego nie było. No, był Stone zeszłej nocy — uważał, że seks pozwoli mi się lepiej zakotwiczyć — ale poza tym nikt. A nawet z Jackiem nie pamiętam, kiedy i gdzie to się stało, a nawet, że to się w ogóle stało. Niemniej musiało. Była tylko jedna dziewczica Maria w historii, ale ona nie poroniła.

— Szczęściara z niej. — Usłyszałam głos lekarki przygotowującej narzędzia w drugiej sali. — Nie będzie musiała robić skrobanki.

Skrobanki?! Nie mogłam w to uwierzyć. Ta lekarka po prostu zakładała, że usunęłabym dziecko. Może bym i usunęła, a może oddałabym je do adopcji. Może zostałabym samotną matką, odwożącą dziecko do złobka, żeby pójść

na zajęcia, karmiącą piersią w parku, szukającą mężczyzn, którzy lubią dzieci. A może zrobiłabym skrobankę. Ale czy kobieta, mająca tak mało miłości w życiu, może zabić miłość zrodzoną w jej wnętrzu? Prędzej zabiłabym siebie. Prędzej zabiłabym tę lekarkę stojącą nade mną z wszystkowiedzącym uśmiechem, choć nie miała o niczym pojęcia. Najchętniej zabiłabym nas obie. Chciałam ryknąć płaczem z tego całego zabijania.

I zrobiłam to. Płakałam tak bardzo, że dali mi xanax na uspokojenie. Kiedy to nie pomogło, dali mu valium. Kiedy nadeszła noc, a ja nadal płakałam, dali mi thorazynę i powiedzieli, że zatrzymają mnie parę dni w szpitalu.

Nikt jej nie powiedział, co jest z nią nie w porządku. Po prostu leżała w łóżku, wpatrując się w różowe ściany, łykając różowe pigułki, które dawała jej pielęgniarka w białym kitlu. W przerwach między pigułkami zielonymi i żółtymi. I morzem niebieskich.

Zostałam w szpitalu tylko przez jedną noc, ale ta noc zdawała się trwać w nieskończoność. Byłam oszołomiona prochami, nie wiedziałam, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, wymarzony stan, kiedy alternatywą jest histeria. Dyżurny psycholog przyszedł ze mną porozmawiać, pobrano mi krew z ręki, wsadzono termometr w usta, zaserwowano parę posiłków, ale poza tym mój kontakt z ludźmi był ograniczony. Przyszła moja współlokatorka Samantha i zapytała, co tu dla mnie robią, a ja mogłam tylko powiedzieć:

— Dają mi pigułki i pozwalają spać.

— To średniowiecze! — wykrzyknęła Samantha. Piekliła się przez jakiś czas, ponieważ jej zdaniem potrzebowałam pomocy, nie prochów, a ja byłam zbyt walnięta, by wyjaśnić, że w tej chwili jestem prawdopodobnie zbyt walnięta na cokolwiek poza prochami. Choć poznałyśmy się z Samantha niedawno — przez wspólnego przyjaciela, a było to we wrześniu — ustalili się między nami stosunek jak między starszą i młodszą siostrą, co wydaje mi się bardzo dziwne. Samantha właśnie wróciła na uczelnię po roku pracy w dziale obrotu obligacjami w londyńskim banku inwestycyjnym. Teraz pracowała na pół etatu dla tej samej firmy w Bostonie, redagowała dla Dukakisa gazetkę wyborczą, walczyła o sprawę kolumbijskiego dysydenta o nazwisku Brooklyn Rivera, co weekend leciała do Minnesoty na randkę z synem Waltera Mondale'a i studiowała w pełnym wymiarze godzin. Udało jej się nawet pobiegać parę razy w tygodniu.

Samantha opowiadała mi często o tym, w jakiej kiedyś była depresji, jak przeplakiwała noce w londyńskim łóżku swojego chłopaka, ponieważ czuła się samotna, choć on leżał obok. O tym, jak wstawała od stołu i wychodziła w środku przyjęcia, ponieważ chciało jej się ryczeć bez wyraźnego powodu. Opowiadała mi to wszystko, by mnie przekonać, że ja również przezwyciężę kiedyś swoje cierpienie, jakiegokolwiek natury by było. Ale jakoś nie mogłam uwierzyć, że zostanę kiedyś taką Samantha, która wybiera się na pieszą wędrówkę przez Nikaraguę i Salwador w celu zebrania materiału do pracy dyplomowej o powojennych stosunkach między Ameryką Środkową a Wielką Brytanią. Samantha nie zna nawet hiszpańskiego, ale nie wydaje się tym zrażona. Leżę sobie w szpitalnym łóżku i myślę, że wyjazd do obcego kraju bez znajomości miejscowego języka, zwłaszcza do kraju, gdzie trupy poniewierają się w toaletach na dworcach autobusowych, jest przedsięwzięciem wymagającym więcej energii niż jej przeznaczam na resztę życia. Leżę sobie w szpitalnym łóżku i myślę, że wyjazd do Ameryki Środkowej wydaje się niemożliwy nie tylko w tym momencie — wydaje się niemożliwy w nieskończoność. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić wyzdrowienia.

Na tym właśnie polega kłopot z depresją. Podobno istota ludzka przetrwa wszystko pod warunkiem, że widzi kres cierpień. Ale depresja jest taka zdradliwa, nawarstwia się z dnia na dzień, a końca nie widać. Klatka bez drzwi.

Byłam prawie szczęśliwa przez parę dni po wyjściu ze szpitala. Moja druga współlokatorka, Alden, przyniosła mi bukiet frezji, siedziałyśmy i śmiałyśmy się z tego, co mi się przytrafiło. Myślałam, że wariuję, a to było tylko poronienie! Piłyśmy białe wino i wznosiłyśmy toasty za wspaniałą przyszłość, jaka czeka mnie teraz, kiedy wiem już, co mi dolegało.

Jakbym naprawdę coś wiedziała.

Nagle okazało się, że wszystkie moje problemy mają przyczynę fizyczną. Byłam bardziej usatysfakcjonowana wyjaśnieniem somatycznym niż zwykłą interpretacją psychologiczną. Kiedy powiedziałam bliskim znajomym, że poroniłam, że nie wiedziałam nawet o ciąży dopóki moje ciało nie odrzuciło płodu, okazali mi więcej retroaktywnego współczucia, niż kiedy dolegała mi tylko depresja o nieokreślonym podłożu. W rezultacie grałam na nucie poronienia o wiele dłużej niż trwały skurcze, moje straszne skurcze. Na początku utrzymywałam byłą ciążę w tajemnicy, a nielicznych znajomych, którym się zwierzyłam, prosiłam o dyskrecję. Ale pokusa mówienia okazała się zbyt silna. Wystarczyło użyć słowa „ciąża”, by wzbudzić w ludziach taką litość! A kiedy dodawałam, że byłam tak przygnębiona, iż straciłam kontakt z własnym ciałem i nie zauważyłam braku miesiączek aż do dnia, kiedy obudziłam się w kałuży własnej krwi, wprost emanowali współczuciem.

Mówiłam bez zająknięcia: Nie dręcz mnie. Właśnie poroniłam, i prawie zapomniałam, że to prawda. Czułam się potwornie. Byłam fizycznie wycieńczona, emocjonalnie pusta i według wszelkich znaków na niebie i ziemi nie mogłam już dłużej jechać na: „byłam w ciąży i nie wiedziałam o tym, aż do dnia...”

— Nie potrzebujesz wymówek, żeby być w depresji

— powiedziała doktor Sterling podczas sesji. — Jesteś i już! Musisz pozbyć się poczucia winy. Poczucie winy tylko pogłębi twoją depresję.

— Może zabrzmiało to głupio — zaczęłam, aż nazbyt świadoma, że mówię banały — ale ja naprawdę czuję, że nie mam prawa być taka nieszczęśliwa. Wiem, że możemy pogrzebać w przeszłości i powiedzieć, że ojciec mnie zaniedbywał, a matka tłamsiła, że przebywałam bez przerwy w środowisku kompletnie mi obcym, ale...

— Ale co? Jakiej jeszcze wymówki ci potrzeba? Nie byłam na tyle wulgarna, by wspomnieć o Bergen-Belsen, o raku, zwapnieniu rozsianym i innych prawdziwych nieszczęściach. — Ale wiele ludzi ma ciężkie dzieciństwo

— mówię. O wiele cięższe niż ja, a jakoś sobie z tym radzą.

— Wielu sobie nie radzi.

— Ci mnie w ogóle nie obchodzą. Uważam, że powinnam należeć do tych, co sobie radzą. Miałam w sumie dużo szczęścia w życiu, za wiele powinnam być wdzięczna... — Słuchając siebie zrobiło mi się mdło. Do ilu psychiatrów wygłaszałam to przemówienie? Kiedy przestanę się zastanawiać, jakim prawem jestem w depresji? Choroba sobie świetnie radzi bez mojego błogosławieństwa. — Nie wiem. Jedyna dobra strona tego poronienia, to że mam prawo źle się czuć.

— Wolisz konkretne powody?

— Oczywiście. Chyba wszyscy wolą?

— Niekoniecznie.

— Właśnie dlatego pociągało mnie zawsze samobójstwo. Skoro poniosłam tak kosmiczną klęskę, próbując uzależnić się od narkotyków i alkoholu, pozostaje mi tylko przedawkować, albo coś w tym rodzaju. Wtedy ludzie pomyśleliby, że jestem naprawdę chora, a nie zwyczajnie przygnębiona.

— Musisz przestać martwić się tym, co myślą inni i spróbować skoncentrować się na tym, co czujesz.

— Och, Boże! — powiedziałam. — Nic innego nie robię, tylko myślę o tym, co czuję, a czuję się strasznie.

— Cóż — powiedziała doktor Sterling z westchnieniem, po czym oznajmiła, że czas wizyty minął. — Zdaje się, że dlatego tu jesteś.

Jest coś, o czym nie mówię nawet doktor Sterling. Istnieje tyle odczuć, na które wykształcona kobieta z klasy średniej — zwłaszcza dwudziestolatka mająca biologię, czas i przyszłość po swojej stronie — nie powinna sobie pozwolić w odniesieniu do ciąży. Nie powinna myśleć: „Chcę tego dziecka”, albo „Chciałabym móc je zatrzymać”. Ciąża jest tylko przykrym zbiegiem okoliczności, drobną niedogodnością, której pozbywamy się za pomocą prostego zabiegu chirurgicznego, nie wymagającego nawet hospitalizacji. Doświadcza się pewnego bólu, mogą pojawić się skurcze jak przy paskudnej miesiączce, może wystąpić depresja, ale to tylko burza hormonów. Tyle razy odwoziłam przyjaciółki na poranny zabieg do Centrum Zdrowia Kobiety im. St. Acme, czy jak zwą to miejsce! Należało to praktycznie do harwardzkiego dobrego tonu; po pierwsze, mieć aborcję, po drugie, być oddaną przyjaciółką, która siedzi w poczekalni, gdy ktoś inny ma skrobankę.

Nie wiedziałam, że jestem w ciąży, nie musiałam zastanawiać się nad aborcją, ale gdybym wiedziała, też nie musiałabym się zastanawiać. Po prostu bym ją zrobiła, bez dwóch zdań. Okay, może odegrałabym komedię z dokonywaniem wyboru, może usiadłabym z doradcą rodzinnym albo pielęgniarką w przychodni i przedyskutowała inne opcje, donoszenie ciąży, oddanie dziecka do adopcji, wychowanie go na własną rękę. Zabrałabym się za rozważanie takiej możliwości z równym zapałem, z jakim obrońca z urzędu broni gwałciciela albo mordercę, który w jego przekonaniu jest winny, ale ma prawo do uczciwego procesu. Musiałam wziąć udział w tej komedii, żebym maszerując na Waszyngton w 1989 i 1992, i żądając prawa wyboru dla kobiet, mogła wierzyć w ideę tego wyboru. Nie ma wyboru dla dziewczyny takiej jak ja. Jest tylko aborcja.

W dzisiejszych czasach, jeżeli facet jest honorowy, towarzyszy dziewczynie do kliniki aborcyjnej. Pokrywa połowę kosztów. Posuwa się do tego, że mówi: „Cierpię razem z tobą”. Mówi: „To również moje dziecko”. Śluby z konieczności nie są dziś w modzie. Nikt nie wymaga od mężczyzny, by pomaszerował z tego powodu do ołtarza. Oczywiście, tak jest lepiej. Nie ma niechcianych dzieci, nastoletnich panien młodych i panów młodych z brzaskowinowym puszkami na brodzie, uwikłanych w małżeństwa, które nie powinny mieć miejsca. Wiem, że tak jest lepiej.

Wiem.

Rozwód bez orzekania o winie stron też jest lepszy. A jednak nie mogę pozbyć się podejrzania, że żyjemy w wynaturzonym świecie, że istnieje wiele uczuciowych przeżytków, na które nie ma już zapotrzebowania. A jednak one w nas tkwią, głęboko ukryte, usterki, których ewolucja nie zdążyła jeszcze usunąć, jak migdałki i wyrostek robaczkowy.

Tak bardzo pragnę czuć rozpacz z powodu swojej ciąży, czuć coś poza zaskoczeniem i szokiem! Ale nie mogę, nie śmiem. Tak jak nie śmiałam powiedzieć Jackowi, że się w nim zakochałam. Chciałam być kobietą nowoczesną,

kobietą, która z natury radzi sobie z przelotnymi związkami uczuciowymi. Nie wolno mi powiedzieć Jackowi, ani nikomu innemu: „Co nasunęło ci myśl, że jestem taka bogata, że możesz ukraść mi serce, a ja tego nie zauważę?”

Czasem pragnę, bym mogła chodzić z plakietką: „Ostrożnie! Szkło!” przyklepioną do czoła. Czasem pragnę, bym mogła pokazać ludziom, że choć żyję w świecie bez praw, życiem bez zasad, to cierpię z tego powodu każdego ranka. Czasem myślę, że uciekłam w depresję, ponieważ tylko w ten sposób mogłam zaprotestować przeciwko światu, który pozwala ludziom przychodzić i odchodzić jak im się podoba, jakby nie mieli żadnych zobowiązań. Z pewnością oszustwo i zdrada w związkach międzyludzkich nie są niczym nowym, ale kiedyś ranienie drugiego człowieka było czymś złym, podłym. Teraz jest czymś normalnym, częścią procesu rozwoju. Mój ojciec miał dziecko, które porzucił bez większych skrępowań, nic więc dziwnego, że ja, następne ogniwo ewolucji, potrafiłam pozbyć się ciąży z jeszcze większą łatwością. Po pewnym czasie wszystko przestaje mieć jakąkolwiek wartość. Skoro można być ojcem bez żadnych zobowiązań, można być również kochankiem, chłopakiem, przyjacielem bez zobowiązań. Wkrótce okaże się, że możemy wpisać przyjaciół, znajomych, współpracowników na długą listę osób, które są częścią naszego życia, choć nie muszą przestrzegać żadnego kodu postępowania. Wkrótce okaże się, że nie ma potrzeby troszczyć się o nic i o nikogo. I czego się tu spodziewać?! W świecie, gdzie rdzeń społeczeństwa — rodzina — jest czymś tak łatwo zbywalnym, jaką wartość może mieć cała reszta?

Ogarnia mnie chłód na myśl o tym, w jaki sposób wyzbycie się naturalnych człowiekowi uczuć zmieniło mnie w emocjonalną ruinę. Jak powiedział rosyjski pisarz Aleksander Kuprin: „Czy pojmujecie, panowie? Cała potworność tkwi w tym, że nie ma już potworności?”

Naprawdę załamałam się dopiero w piątek, na sztuce teatralnej Sama Sheparda w reżyserii Ruby. Trwała chyba ze cztery godziny. Była to jedna z bardziej ponurych sztuk

Sheparda, jedna z tych, które spece od repertuarów teatralnych wygrzebali z archiwów, kiedy wyczerpał się potencjał „Fool for Love” i „True West”. Niewiele trzeba było, żeby mnie dobić tego wieczoru. Zaledwie przed paroma dniami wyszłam ze szpitala, ciekło ze mnie jak z nieszczelnego kranu, mogłabym zasilać stanowy bank krwi Czerwonego Krzyża. W tych okolicznościach wystarczyła jedna sprzeczka z Ruby, żeby mnie załatwić.

Mniej więcej w tym czasie Ruby zeszła się z Gunnarem, który wyglądał jak Gary Grant z długimi włosami. Chodziłam z gościem na zajęcia z semiotyki. Ruby nie otrząsnęła się jeszcze po tym, jak odbiłam jej chłopaka na pierwszym roku i była przekonana, że próbuję uwieść Gunnara w środku wykładu o powiązaniach lingwistyki Charlesa Peirce'a, antropologii Levi-Straussa, szkoły frankfurckiej, z najnowszą interpretacją baśni braci Grimm. Pośród tego intelektualnego bełkotu nie byłabym w stanie zwrócić uwagi na Gunnara, nawet gdybym chciała. Poza tym, miałam już oko na faceta, dla którego zapisałam się na te idiotyczne zajęcia.

Co więcej, byłam żyjącym trupem, przeszłam przez karzące fizyczne piekło i wywołanie nowej katastrofy poprzez flirt z chłopakiem Ruby nie leżało w moich planach. Ale kiedy staliśmy w trójkę w holu teatru, rozprostowałam krawat Gunnara, krawat, który założył na cześć Ruby, skoro była to jej premiera — i Ruby uznała to za pogwałcenie jej praw. Nie powinnam dotykać jej faceta! Obraziła się i postanowiła nie rozmawiać ze mną przez cały wieczór. Przepraszałam ją w regularnych odstępach czasu, chodziłam za nią po teatrze, kiedy rozstawiała na stołach butelki wina przeznaczone na premierowe przyjęcie, ofiarowałam się z pomocą przy noszeniu tac, ale Ruby powiedziała tylko:

— Nie można ci ufać.

— Ruby, proszę! Przepraszam! — powtarzałam. — Cokolwiek źle zrobiłam, przepraszam! Proszę, nie złość się na mnie. Jestem w nie najlepszej formie. Potrzebuję serdeczności od moich przyjaciół. Potrzebuję ciebie!

Po przedstawieniu współlokator Gunnara, Timothy, uparł się ze mną rozmawiać z powodów zupełnie dla mnie niezrozumiałych. Traciłam ćwierć litra krwi na godzinę, jedna z moich najlepszych przyjaciółek odmówiła mi racji bytu i nie widziałam powodu, dlaczego ktoś miałby być dla mnie miły. Timothy próbował wciągnąć mnie w dyskusję o głównych wątkach sztuki, ale ja chciałam rozmawiać tylko o Ruby i o tym, jak nieładnie mnie potraktowała. Nie wiedziałam, dlaczego z nim rozmawiam. Prawie go nie znałam, i Bóg mi świadkiem, nie był to najlepszy sposób obudzenia zainteresowania faceta. Powinnam być pełna werwy, powinnam być radosna, bez względu na to, co czułam w środku. Przynajmniej tak uczyła mnie mama. „Nie pokazuj po sobie, jaka jesteś szalona”, mówiła. „Żaden chłopak nie będzie chciał się zadawać z kimś tak chorym jak ty”. Timothy był dla mnie tym, czym byli wszyscy w pierwszym stadium znajomości: nową osobą, przed którą mogłam się wyplakać. Kimś, kto jeszcze nie słyszał historii moich nieszczęść, kto nie kwitował mojej depresji, moich problemów rzeczywistych i urojonych okrzykiem: „O rany, ona znowu zaczyna!”

— Życie jest takie straszne — powiedziałam, kiedy usiedliśmy z Timothy w kawiarni na świeżym powietrzu, rozkoszując się ostatnim tchnieniem babiego lata.

— Życie jest straszne, Ruby traktuje mnie okropnie, chcę umrzeć.

— Wcale nie chcesz — powiedział Timothy. Co miał, biedak, powiedzieć? Znaliśmy się od dwudziestu minut.

— Chcę — trwam przy swoim. — Nie widzę powodu, by kłamać. Prawie cię nie znam. Niedawno poroniłam, wszystko wydaje mi się gównem, a teraz Ruby, która powinna być moją najlepszą przyjaciółką, nie chce ze mną rozmawiać. Wydaje mi się, że są to wystarczające powody do samobójstwa.

Kiedy Timothy nie odpowiada, uświadamiam sobie nagle, że go znam. Chodził z Hadley, jedną z moich koleżanek, dziewczyną, która powtarzała pierwszy rok na Harvardzie, ponieważ dwukrotnie próbowała się zabić i wylądowała w zakładzie McLeana. Timothy był facetem, o którym napomykała — jeszcze w stanie duchowego marazmu — jako o największej miłości swego życia.

— Boże, coś mi się przypomniało! — zawołałam.

— Czy nie jesteś czasem tym Timothy, o którym zawsze mówiła Hadley?

— We własnej osobie.

Przez chwilę gładzę o tym, ile o nim słyszałam, a on wyjaśnia, że Hadley wyolbrzymiła wagę ich związku, pewnie dlatego że on, Timothy, był dla niej ogromnie miły, kiedy zaczęła tracić rozum.

— Wiesz, że byłem jedynym człowiekiem, który odwiedzał ją u McLeana? — powiedział.

— Nie mów!

— Wiem, że tak naprawdę nie chcesz się zabić. Chcesz po prostu dostać się do jakiegoś szpitala i zrobić sobie małe wakacje.

— Może...

— Na pewno — powiedział z naciskiem. — Zdecydowanie tak. Wiem, co myślisz. — Był tak nieugięty w swoich sądach, że nie śmiałam z nim dyskutować. — Odwiedzałem Hadley i mogę cię zapewnić, że to było straszne. Nie wyobrażaj sobie, że wyślą cię na farmę w góry, gdzie będziesz mogła chodzić na długie spacerunki i medytować. Terapii poprzez sztukę też to nie przypomina. Leżysz w strasznym łóżku i nie robisz nic. Lekarze oglądają cię od czasu do

czasu, chodzisz na zajęcia grupowe z ludźmi tak chorymi, że nie rozumiesz, co między nimi robisz. Do tego szpitale są sterylne, tak białe, że aż niebieskie. Telewizor zwisa z sufitu. Jedzenie jest parszywe. Nie rozumiem, po co zamykać się w szpitalu, dopóki jakoś sobie radzisz.

— Może sobie nie radzę — powiedziałam, nagle zirytowana, że Timothy próbuje mówić mi, co mam robić. Może lubię parszywe jedzenie i sterylny wystrój wnętrz, i telewizory zwisające z sufitu. Poza tym, może naprawdę chcę umrzeć. Co on o tym wszystkim wie?

— Timothy, słuchaj, wszystko to miłe i pouczające, ale muszę lecieć — powiedziałam. — Muszę napisać pracę z Przestrzeni, Czasu i Ruchu. — Była to prawda. Miałam ogromne zaległości z zajęć z fizyki, na które zaczęłam chodzić z dwutygodniowym opóźnieniem. Uśmiechnęłam się, jakbym chciała powiedzieć: — Czyż nie jestem świrem, jeśli pracuję w piątkowy wieczór?

— Czujesz się na siłach?

— Oczywiście! Praca zawsze poprawia mi samopoczucie. — To też była prawda. — Arbeit macht frei — dodałam, choć Timothy nie był Żydem i najprawdopodobniej nie zrozumiał oświęcimskiej aluzji.

— Nie pozwolę ci iść samej do domu, skoro mówisz o samobójstwie.

— Naprawdę czuję się lepiej, kiedy jestem efektywna. Widzisz, kiedy zawiodą cię przyjaciele i wszystko inne, pozostaje ci zawsze jakieś gówno do odwalenia, więc wrócę teraz do domu i je odwalę.

— Elizabeth! — powiedział Timothy. — Jest po pierwszej. Wróc do domu i połóż się spać.

— Och, nie mogę! Nie mogę robić nic, dopóki nie napiszę mojej pracy. Spać będę jutro.

— Myślę, że potrzebujesz snu teraz. Myślę, że sen dobrze ci zrobi.

Zebrałam swoje rzeczy i ruszyłam przez Harvard Yard w stronę domu. Timothy poszedł za mną.

— Posłuchaj, Timothy, pójdę do domu, zrobię, co muszę zrobić i wszystko będzie w porządku. — Uśmiechnęłam się. — A jeżeli z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu rano będę martwa, możesz powiedzieć Ruby, że jej wybaczam.

— Nie zostawię cię... — zaczął, ale ja już biegłam Kirkland Street.

W domu Alden próbuje wyciągnąć mnie na nocne pogaduszki, opowiada o jakimś musicalu, na którym była, jakby mnie to mogło obchodzić. Najwyraźniej Alden nie wie, że tylko Przestrzeń, Czas i Ruch mają znaczenie, i choć nie mam o nich bladego pojęcia, nadal uważam, że dogłębna analiza tego problemu może uratować mi życie. Napiszę pracę z fizyki i wszystko będzie w porządku.

Idę stanowczym krokiem w stronę mojej sypialni, ale Alden słyszy, że płaczę i idzie za mną. Upadam na podłogę, moja torebka, płaszcz i ciało padają na jeden stos. Kupa śmieci, chlapiąca kupa śmieci! Alden patrzy, niepewna, co robić. Nie przestając płakać, podchodzę do biurka i biorąc do ręki książkę o Przestrzeni, Czasie i Ruchu. Zanoszę ją do łóżka, otwieram, jakbym miała zamiar czytać.

— Posłuchaj, Elizabeth! — mówi Alden, podchodząc bliżej. — Myślę, że powinnaś iść spać. To cię uspokoi. Odłóż tę pracę na jutro.

— Jeżeli przekopię się przez to... — bełkoczę. — jeżeli przekopię się przez Darwina, wszystko będzie w porządku. Jeżeli zrobię to, co muszę zrobić, wszystko będzie O.K.

— Elizabeth, zwariowałaś.

— Jeżeli wkrótce umrę, będziecie mogli przynajmniej powiedzieć, że prowadziłam efektywne życie i oddawałam swoje prace na czas. Mogę być martwa, ale oddam w terminie Przestrzeń, Czas i Ruch.

Opieram się plecami o ścianę, kładę książkę na podciągniętych kolanach i próbuję czytać, choć łzy zalewają mi oczy. Alden podchodzi i wyjmuję mi książkę z rąk.

— Dlaczego nie powiesz, co się stało?

— Ponieważ to już nie ma znaczenia, nic już nie ma znaczenia.

— Jezus, Elizabeth! Samantha śpi, nie wiem, co robić. Co chcesz, żebyś zrobiła? Martwię się o ciebie.

— Nic mi nie będzie! — krzyczę. — Nic mi nie będzie, jeżeli tylko pozwolicie mi napisać pracę o Przestrzeni, Czasie i Ruchu!

Alden odwraca się i idzie prosto do telefonu. Dzwoni na uniwersyteckie pogotowie i rozmawia z dyżurnym psychiatrą. Opowiada jej o moim poronieniu, o tym, jaka jestem nieszczęśliwa, o tym, że grozę samobójstwem. W końcu wyciąga mnie z pokoju i wciska w rękę słuchawkę. Nadal płaczę.

— Co ci dolega? — pyta lekarka.

— Nic! — odpowiadam. — Po prostu mam coś do napisania.

— W porządku, rozumiem, ale jest późna noc i wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdybyś poszła spać.

— Do ciężkiej cholery! — wrzeszczę. — Sfikowaliście wszyscy z tym snem! Napiszę swoją pracę z fizyki albo się zabiję. Dotarło?

— Może powinnaś wrócić do Stillmana, skoro tak źle się czujesz? — proponuje lekarka. — Otoczenie szpitalne dobrze na ciebie podziało.

— Ale ja nie mogę! — To zaczyna być naprawdę denerwujące. — NIE MOGĘ IŚĆ DO STILLMANA, PONIEWAŻ MUSZĘ NAPISAĆ PRACĘ O PRZESTRZENI, CZASIE I RUCHU. NAPISZĘ TO ALBO NAPRAWDĘ SIĘ WYKOLEJĘ. DLACZEGO NIKT NIE CHCE ZROZUMIEĆ, ŻE WSZYSTKO BYŁOBY W PORZĄDKU, GDYBYM MOGŁA POCZYTAĆ DARWINA W SPOKOJU.

Lekarka najwyraźniej nie rozumie. Mówi, że wyśle po mnie dwóch sanitariuszy, którzy odstawią mnie do szpitala. Mówi, że nie chce pozostawić mnie własnemu losowi. Słucham i płaczę, ryczę, a Alden tkwi nade mną, chcąc się upewnić, czy aby na pewno przejmie mnie kto inny. Lekarka mówi, że da mi czas na spakowanie rzeczy, i że samochód będzie czekał przed bramą za dziesięć minut.

— W porządku? — pyta jeszcze. — Zobaczymy się u Stillmana.

— Dobrze, ale przywiozę ze sobą moją pracę — mówię. — Muszę dokończyć pracę o Przestrzeni, Czasie i Ruchu, albo wszystko skończone.

— Świetnie! — mówi lekarka łaskawie. — Weź, co chcesz.

U Stillmana niewiele można robić poza czytaniem i oglądaniem telewizji. Lekarze przychodzą co parę godzin, robią wywiad, pytają, co mi jest i jak chcę z tego wyjść. Mówię: „Nie wiem”, ponieważ nie wiem. Zapisują pigułki, przeważnie dalmane, żebyś zasnęła i przestała mówić o Przestrzeni, Czasie i Ruchu, i wszystkich nie oddanych pracach. I nawet ja muszę przyznać, że w tym odosobnionym pokoju życie wydaje się w porządku. Timothy się myli. Tutaj jest sterylnie, jest bezbarwnie, światło jest sztuczne i zbyt ostre, ale przynajmniej nikt mnie nie może dotknąć.

Nie wiem, czy chorych na depresję ciągnie do miejsc o cmentarnej atmosferze, czy nadają im taki klimat samą swoją obecnością. Wiem tylko, że przez cały trzeci rok studiów spałam pod półtorametrowym plakatem „Miłość nas rozdzieli”. A potem się dziwię, dlaczego w tym łóżku nie przytrafiło mi się nic dobrego!

Reszta mieszkania była równie upiorna. Cienista, posępna. Nie zdziwiłaby mnie wiadomość, że po mojej wyprowadzce dom został przekształcony w wariatkowo albo koszary. Albo jeszcze lepiej, schronisko dla emerytowanych wampirów. Był równie ciemny w południe jak o północy. Doskonała sceneria do załamania nerwowego. Już w słonecznym, wesołym mieszkaniu w Teksasie wyczuwałam nadchodzącą katastrofę, ale trzeba było nawiedzonego domu w Cambridge, żeby dokonać dzieła zniszczenia.

Po poronieniu wychodziłam z łóżka tylko po to, by włączyć się nocą po ulicach Cambridge, żyłam więc w wiecznych ciemnościach. Nasz salon, z oknami na południe, był pełen słońca, ale nikt tam nie wchodził, odkąd zakryłyśmy brzydkie brązowe kanapy białymi pokrowcami. Teraz sprawiał wrażenie jakby odbywało się w nim czuwanie przy zmarłym. Reszta domu i wszystkie sypialnie naszego domu a la wagon kolejowy miały okna od północy. Ponieważ byliśmy albo przygnębiony albo zmęczone, albo przepracowane, chowałyśmy się każda w swoim ciemnym, choć obszernym pokoju, zagubione w troglodyckiej egzystencji. Całe mieszkanie zdawało się zainfekowane obłędem: mieszkała tu przecież Alden z swym buddyzmem Zen, medytująca dziesięć godzin dziennie, i Samantha ze swoim napiętym programem działania, przekonana, że jeżeli zwolni tempo, zmieni się w kogoś takiego, jak ja.

Miałyśmy czwartą współlokatorkę, Pakistankę Sindhi, która chodziła z moim przyjacielem, Paulem. Po tym, jak postanowiła się do niego wprowadzić, przyjęliśmy na jej miejsce wielu lokatorów. Wszyscy odpadali ze szkoły lub z życia po krótkim pobycie u nas. Jean-Baptiste, Francuz, który ukończył MIT, postanowił wrócić do Paryża i uczyć się gry na oboju zaledwie po dwóch miesiącach spędzonych z nami. Inigo, Brytyjczyk studiujący historię amerykańską na Harvardzie, już po miesiącu postanowił wrócić na rodzinną farmę w Shropshire i hodować owce. W.B., absolwent Harvardu, mieszkał z nami przez wiele miesięcy, i choć kochałyśmy go szczerze, jego zdrowie psychiczne mocno podupało podczas kadencji na Kirkland Street. Jednego dnia był redaktorem czasopisma „Żagiel”, drugiego gońcem, trzeciego składał papiery na wydział prawa, czwartego przeprowadzał się do Los Angeles, żeby pisać scenariusze filmowe. I ja, i on podejrzewaliśmy, że jest to diabelskie mieszkanie, że wyziewy depresji i chaosu unoszą się ze ścian.

Kiedy Alden wróciła do szkoły w Barnard w Nowym Jorku, ponieważ miała w Harvardzie jedynie krótkotrwałe stypendium, do jej pokoju wprowadziła się moja przyjaciółka, Veronica, po czym natychmiast zapadła na depresję. Veronica powtarzała ostatni rok, ponieważ nie mogła — po prostu nie mogła — napisać pracy magisterskiej. Za każdym razem, gdy zasiadała do swojego macintosha, dostawała grypy, klaustrofobii i paraliżu. Dlatego wprowadziła się do nas. Oczywiście, po paru tygodniach na Kirkland Street, kiedy zerwała z chłopakiem i nabawiła się ciężkiej choroby polegającej na niemożności wstania z łóżka przed czwartą po południu, praca magisterska była najmniejszym z problemów Veroniki. Nie muszę chyba dodawać, że poza Samantha, która była Kobietą z Misją, czyli miała z góry przechłapano, wszyscy lokatorzy mieszkania przy Kirkland Street byli umyślowo chorzy.

Tylu ludzi mieszkało w czteropokojowym mieszkaniu przez te lata, że unosiły się w nim opary wiecznie wskrzeszonej młodości. Plamy po przeciwtrądzikowych płynach zabarwiły trwale umywalkę w łazience, w apteczce poniewierały się recepty na bactrim, wspomnienie po dawno minionym zapaleniu dróg moczowych. Mieszkanie było duże i tanie, ale nikt nie mieszkał w nim dłużej niż rok, jakby lokatorzy podświadomie wiedzieli, że mają szczęście uchodząc z niego z życiem.

Jestem teraz dziewczyną, która spaceruje samotnie nocą, podczas gdy inni oglądają stare filmy z Mary Tyler Moore, albo piszą prace, które muszą oddać z samego rana. Noszę z sobą mnóstwo rzeczy, zawsze obciążona książkami, kasetami, papierami, na wszelki wypadek, na wypadek, gdybym nagle zapragnęła usiąść gdzieś i... och, nie wiem, poczytać coś, albo napisać arcydzieło. Chcę mieć wszystkie swoje dobra przy sobie. Chcę mieć choć tę namiastkę domu przy sobie. Czuję się taka ociężała, taka obciążona! Wiem teraz przynajmniej, jak to jest być ulicznym włóczęgą, wlec się to tu, to tam, być wszędzie, być nigdzie.

Jest październik, za zimno na takie wędrówki. Ale ja muszę się przemieszczać, muszę uciec od ognia, który trawi moje wnętrze. Na dworze jest zimno, a mnie dławi gorąco.

Budzę się pewnego popołudnia w ciemności, jak zwykle, i nie mogę wstać z łóżka. Jest niedziela, a niedziele są takie jednostajne, można tylko nadrabiać zaległości w nauce, pielęgnować kaca i łykać aspirynę. Kiedy mieszkałam na kampusie, w niedziele jadło się na śniadanie czekoladowe płatki owsiane, rarytas dla kogoś, kto wyrósł na bezcukrowym słodzik i prochach. Ale teraz, mówię sobie, kiedy tak leżę w swoim pokoju, mieszkam poza kampusem i w całym mieszkaniu nie ma absolutnie nic do jedzenia, ponieważ pójdzie do supermarketu przekracza moje siły. Przekracza moje siły, ponieważ nie mam nic do roboty i przekracza siły Samantha, ponieważ ma za dużo do roboty.

Okay, myślę, leżąc w łóżku. Spójrz prawdzie w oczy, żyjesz anormalnie. W ten sposób wkrótce zwariujesz, Elizabeth. Ludzie wariują szybko w mieszkaniach, gdzie nie ma nawet kartonu mleka.

Wypadam z łóżka jak kasetka wyrzucona przez odtwarzacz. Idę do kuchni, żeby zrobić herbatę i postanawiam zadzwonić do matki. Zrobię coś normalnego i od razu poczuje się lepiej. Zrobię coś normalnego, co da mi poczucie łączności ze światem. Ponieważ w tej chwili czuję się jak ścięte drzewo w drodze do tartaku. Moja mama jest kompletnie stuknięta, ale przy tym szalenie normalna. Płaci podatki, zarabia na życie, gotuje wodę nie zwęglając

czajnika. Jest tak odległa od mojego obecnego środowiska, że rozmowa z nią pozwoli mi przenieść się w jakieś bardziej normalne miejsce. Dzwonimy do siebie niemal codziennie, choć nie ostatnio, ponieważ o zbyt wielu rzeczach nie chcę jej powiedzieć, a ona o zbyt wielu rzeczach nie chce się dowiedzieć. Milczymy na ważne tematy za obopólną zgodą, choć co parę dni uczynamy sobie pogawędkę o niczym. Może czas porozmawiać poważnie.

Zaczyna wrzeszczeć ledwo podnosi słuchawkę i ma po temu wiele powodów. Po pierwsze, dzwoniła do mnie przed paroma dniami, a ja oddzwaniałam dopiero teraz, po drugie, otrzymała właśnie rachunek z uniwersyteckiej apteki i chce wiedzieć, na co mi były te wszystkie leki, po trzecie, tylko tak potrafi. Pochodzę z rodziny krzykaczy. Każda próba wyartykułowania emocji czy życzenia, może z wyjątkiem prośby o sól przy obiedzie, kończy się wrzaskiem. Tak więc moja matka jest zaprzeczeniem opanowania i dzwonię do niej w nadziei, że instynkt macierzyński weźmie górę nad skłonnościami do hysterii.

Omal nie mówię: Mamusiu, potrzebuję cię, i będziesz musiała zaspokoić moją potrzebę, albo przynajmniej udawać, że to robisz, ponieważ chcę, żebyś była prawdziwą matką, która wierzy, że nie mogę zrobić nic naprawdę złego. I wiecie co, byłam tak zdesperowana, że wypowiedziałabym te słowa, gdybym uznała, że podziałają.

Ale wiem, że nie podziałają. Wpadała w histerię nieskończoną ilość razy, a ja nieskończoną ilość razy błagałam, by się uspokoiła, ponieważ jest jedyną dorosłą osobą w moim życiu, której mogę ufać i kiedy dostaje szału, mam wrażenie, że grunt usuwa mi się spod nóg. Ale to jej nie powstrzyma. Patrzy na mnie pustym, bezrozumnym wzrokiem, to, co mówię nie wydaje się jej na tyle rozsądne, by warto było przestać wrzeszczeć. Zdaje się nie rozumieć, że jej reakcje są niestosowne i przesadne, lub, co gorsza, zupełnie bezproduktywne. Wrzeszczy. A ja siedzę i kombinuję, co będę musiała zrobić, żeby uciszyć ten zgiełk, jaki stan rozpaczyny będę musiała osiągnąć zanim matka zrozumie, że jej wrzaski mnie zabijają.

Ale jeszcze nie dzisiaj, nie w to straszne niedzielne popołudnie. Odkładam słuchawkę i zastanawiam się, co mi pozostało.

Po rozmowie z matką wykręciłam numer Rafe'a, coś, co chciałam zrobić od czterech lat.

Nie wiedziałam, czego się spodziewam — spotkaliśmy się tylko raz, byłam wtedy w ostatniej klasie liceum, wybierałam sobie uczelnię i odwiedziłam również Brown. Rafe był przyjacielem przyjaciela, zostaliśmy sobie przedstawieni tylko dlatego, że jego rodzice procesowali się z tych samych powodów, co moi, Rafe nie rozmawiał z ojcem i nasz wspólny przyjaciel uznał, że ubawimy się wymianą spostrzeżeń z rozwodowego pola bitwy. To było cztery lata temu.

Nie bardzo wiedziałam, jak mam mu teraz powiedzieć, że musi uratować mi życie.

Kiedy podniósł słuchawkę, niemal rozpoznałam jego głos.

— Halo? Czy to Rafe?

— Tak.

— Cześć, tu Elizabeth, jestem przyjaciółką Jima Witz'a. Spotkaliśmy się parę lat temu, kiedy wybierałam szkołę i przyjechałam do Brown.

— Tak? — Żadnych oznak, że cokolwiek pamięta.

— Jim nas sobie przedstawił, pewnie dlatego że miałam potworne kłopoty z ojcem, a ty miałeś podobne ze swoim... — Sądząc z braku jakiegokolwiek reakcji z jego strony, chrząknięcia, okrzyku, westchnienia, nie miał żadnych

wspomnień z naszego spotkania. — Pewnie nie pamiętasz, to był tylko jeden wieczór, w dodatku tyle lat temu — dodałam, żeby się już całkowicie nie zbłąźnić.

— Powiedz mi jak wyglądasz — zaproponował.

— No wiesz, byłeś wtedy na pierwszym roku, więc pewnie pamiętasz to wszystko jak przez mgłę.

— Po prostu odpowiedz na pytanie, Elizabeth.

— Skoro pytasz. Mam bardzo długie, jasnobrązowe włosy, ciemne oczy i często ubieram się na czarno, co odpowiada pewnie rysopisowi każdej znanej ci dziewczyny.

— Fakt, tutaj prawie wszystkie tak wyglądają.

— Słuchaj, dzwonię do ciebie, ponieważ... — No właśnie, dlaczego do niego dzwonię? — Ponieważ próbuję zlokalizować Jima i pomyślałam, że może wiesz, gdzie się podziewa.

— Nie mam pojęcia. Tyle a propos pretekstu.

— Okay, wobec tego nie będę ci dłużej zwracała głowy.

— Hej, poczekaj chwilę! — zawołał, nareszcie zdradzając pewien entuzjazm. — Nie możesz się tak rozłączyć.

Nie powiedziałaś mi nawet, co się z tobą działo przez te lata.

— Przecież mnie nie pamiętasz.

— Trochę pamiętam.

_ MM!

— No więc, jestem na trzecim roku Harvardu, studiuje literaturę współczesną, dużo piszę, poza tym, można z czystym sumieniem powiedzieć, że przez te ostatnie lata nie przydarzyło mi się nic godnego uwagi. — Poronienie, wstęp do załamania nerwowego, nic godnego uwagi. — I nadal nie mam z ojcem kontaktu, choć nie mogę powiedzieć, że nie próbowałam go nawiązać.

Rozmawialiśmy o zespołach muzycznych, o pisarzach, których lubimy, potem on wyjawiał mi swoje plany powrót po studiach do Minneapolis i zostania aktorem. Zagrał właśnie w unowocześnionej wersji „Świętoszka” Moliera. Powiedział: „Szkoda, że tego nie widziałaś, to była bomba!” A ja zaczęłam się zastanawiać jak to zwykle kobieta: „Czemu to mówi? Czy dlatego, że jest aktorem i chce, żeby go wszyscy oglądali na scenie, czy chodzi mu konkretnie o mnie??

— Jaka szkoda, że nie możesz mi pomóc w sprawie Jima — powiedziałam. — No nic, muszę kończyć. Powodzenia.

— Poczekaj chwilę! — zawołał. — Czekaj, czekaj! Daj mi swój numer telefonu na wypadek, gdybym przyjechał kiedyś do Bostonu.

— Po co ci mój numer telefonu?

— Żeby do ciebie zadzwonić, kiedy tam będę. Moglibyśmy się spotkać albo coś w tym rodzaju.

— Ach, rozumiem! — Jak chłodno to powiedziałaś, Elizabeth! — Świetnie.

— Być może nastąpi to już wkrótce. Mam przyjaciela w Cambridge. A mój współlokator jest z Arlington.

— Jak miło..! — mówię. Jak miło. — Więc czekam na twój telefon.

Dwa dni później, we wtorek wieczorem, miałam go znów na linii.

— Cześć, to ja! — powiedziałam, jakbyśmy znali się od wieków. — Słuchaj, może to zabrzmie dziwnie, ale pomyślałam sobie... — No, pięknie! — Pomyślałam sobie, że odwiedzę cię w weekend. Muszę się stąd koniecznie wyrwać, a nie mam dokąd pojechać, chyba że do domu, co nie jest...

Rafe przerywa mi ze śmiechem.

— To zabawne! — powiedział. — Przez te ostatnie dni próbowałem wymyślić jakiś pretekst, żeby pojechać do Bostonu i się z tobą zobaczyć

Do czwartej nad ranem zdążyliśmy obskoczyć teatr, parę przyjęć i spacer. Od paru godzin przebywaliśmy w mieszkaniu Rafe'a, a on nawet nie próbował mnie pocałować. Nie miałam pojęcia, co robić.

Mieszkanie Rafe'a było z gatunku tych sympatycznych lokali, jakimi Brown nagradza swoich seniorów. Rafe dzielił je z dwoma kolegami i jednym przyjacielem, który został usunięty z uczelni i obecnie mieszkał na strychu. Mimo tak późnej pory w domu nie było nikogo prócz Rafe'a i mnie. Siedzieliśmy na kanapie w salonie i rozmawialiśmy. Zaczęłam się poważnie obawiać, że każe mi na niej spać, ponieważ przejął się opowieścią o moim ginekologicznym koszmarze, a należał do facetów, którzy proponują kobiecie oddzielną sypialnię.

Ogarnęła mnie zgroza na myśl, że będzie to jedynie weekendowe interludium, przegrupowanie sił i powrót do Harvardu. Tak bardzo się bałam, że Rafe nie okaże się moim zbawicielem! Ale nie miał wyjścia, będzie musiał!

I właśnie w chwili, gdy — pełna najgorszych przeczuc — pomyślałam, że jednak powinnam spędzić ten weekend nad... no cóż, uczciwie mówiąc nad Przestrzenią, Czasem i Ruchem, zamiast tracić czas z facetem, który chce być tylko czuły, troskliwy i politycznie poprawny, właśnie w chwili, gdy uświadomiłam sobie, że mogę tu wyłącznie liczyć na zbawienie i że dłużej tego nie zniosę, Rafe mnie pocałował.

Ocalona!

Widujemy się w każdy weekend. Czasem oznacza to od piątku do niedzieli, ale coraz częściej od czwartku do poniedziałku. Gdy jesteśmy razem, to po prostu jesteśmy razem.

Żadnej pracy, żadnych prób w teatrze, żadnego prania, mało gotowania. Podczas trzech dni, jakie spędzam w Cambridge, przebijam się z trudem przez lektury, prace pisemne, pranie, pracę w Lamont Library, zajęcia na uczelni. Ale tak naprawdę nie interesuje mnie nic i nikt w Harvardzie. Żyję w kompletnych ciemnościach, marząc, że Rafe zadzwoni, lub że myśli o tym, by zadzwonić.

Od czasu do czasu dostrzegam własne mieszkanie. Zauważam, że plakaty, które z taką troską wybrałam i nalepiłam na ściany salonu we wrześniu, podpadały, kiedy chłód ściał klej na taśmie samoprzylepnej. Wiem, że trzeba je podlepić, ale pozwalam im leżeć na podłodze, na tapczanach, na fotelach. W kuchni stoi kilka toreb ze śmieciami. Wiem, że jeżeli ktoś czegoś z nimi nie zrobi, dochowamy się szczurów. Wiem o tym, ale jakoś nie pamiętam, żeby chwycić torbę w drodze do drzwi. Nie myślę o niczym, z wyjątkiem: „Gdzie jest teraz Rafe?”

Zalewam się łzami przy każdym rozstaniu. Płaczę w autobusie z Providence do Bostonu. Płaczę w tramwaju z Bostonu do Cambridge. Płaczę idąc z Harvard Square do swojego mieszkania. Szlocham, kiedy wchodzę do domu i stwierdzam, że wszyscy śpią i nie mam się przed kim wyplakać. Ryczę całymi godzinami. Siedzę przy komputerze, wystukuję pracę z Przestrzeni, Czasu i Ruchu (są to jedyne zajęcia, na jakie się jeszcze fatyguję) i pochlipuję w przerwach między rozmyślaniami o Kancie i o wiedzy a priori, o dialektach Indian Hopi i kontinuum czasowo--przestrzennym, geometrii nieeuklidesowej i promieniach świetlnych.

Budzę się rano i nadal płacę, i zastanawiam się, czy to możliwe, żebym płakała przez całą noc. Spać mogę tylko po zażyciu halcionu, który podkradam Alden z szuflady biurka. Obudziwszy się rano, z pohalcionową trzęsączką,

rzucam się do telefonu. Dzwonię do Rafe'a, żeby mu powiedzieć, że nie mogę przestać płakać, choć on z reguły nie wie, co w takiej sytuacji zrobić czy powiedzieć.

Płacę nad ulotną naturą miłości, niemożnością posiadania kogoś tak bezwzględnie, by mógł wypełnić pustkę, w której czai się depresja. Rozumiem, dlaczego ludzie chcą czasem zabić swoich kochanków, chcą pożreć swoich kochanków, chcą wdychać prochy swoich martwych kochanków. Rozumiem, że jest to jedyny sposób, by osiąść drugiego człowieka, zaspokoić rozpaczliwe pragnienie zamknięcia go w sobie.

Po jakimś czasie nie wystarcza mi nawet obecność Rafe'a. Zawsze jest zbyt daleko. Nawet kiedy się kochamy, nawet gdy jest we mnie tak głęboko, jak ludzka istota może być, nawet wtedy jest zbyt daleko, jest nadal na Marsie, Jupiterze, na Wenus.

Spędzam większość czasu z dala od Rafe'a płacząc, i spędzam większość czasu z Rafe'em oddając się tej samej czynności. Kiedy opowiedziałam o tym doktor Sterling, kiedy powiedziałam jej, że Rafe jest najlepszym chłopakiem, jakiego w życiu miałam, o ile mi wiadomo jest mi całkowicie oddany, a mimo to płaczę, płaczę i płaczę, doktor Sterling była mocno zdziwiona.

— Myślę, że bliskość, jakiej doświadczasz będąc z Rafe'em postrzegasz jako coś, czego zostałaś pozbawiona i czego ci brakowało od tak dawna, że wpadasz w ekstremalne nastroje, gdy czujesz, że on ci się wymyka - zasugerowała w końcu. — Myślę, że kontrast między byciem z nim a byciem bez niego jest tak wielki, że tego nie wytrzymujesz.

— Ale ryczę również wtedy, gdy jestem z nim! — odpowiedziałam. — Wygląda na to, że żadne zapewnienia z jego strony nie przekonają mnie, że jest naprawdę mój.

— Musi być jakiś powód, dlaczego tak czujesz — powiedziała doktor Sterling. — Nie jesteś istotą irracjonalną. Rafe musi zrobić coś, co cię niepokoi.

Poczułam wodę wzbierającą w oczach. Gorącą wodę, gorącą krew, gorącą sól. Czulałam łzy opowiadając doktor Sterling o wszystkim, co robię dla Rafe'a, o tym, że on nie podejmuje żadnych wysiłków, by być ze mną, uważa, że to naturalne, że zjawiam się co weekend, niby paczka z prezentem, z kokardką wokół szyi, jakbym istniała na tej ziemi tylko po to, by go kochać i mu służyć. Wiem, że sama stworzyłam tę sytuację, ale nienawidzę Rafe'a za to, że mi na to pozwala. Nienawidzę go za to, że nie robi więcej. Nienawidzę go za to, że nigdy nie przyjechał do mnie do Cambridge wymawiając się nową sztuką, nową pracą pisemną, nowym egzaminem. Nienawidziłam go, ponieważ dla niego rzucałam wszystko, choć nawet mnie o to nie prosił.

— Te słowa, to wszystko, co mówi, jak bardzo mnie kocha, niewiele znaczą, kiedy ja czuję, że gdyby nie moje wysiłki, ten związek umarłby śmiercią naturalną — wołam.

— Co ci to przypomina?

— Mojego ojca, oczywiście! — Czy musi w ogóle pytać? Uważa, że to moja pierwsza terapia? Uważa, że nie potrafię skojarzyć dwóch prostych faktów? — Jasne, że to jest tak, jak z moim ojcem, który nigdy nic nie robił, nigdy nie przyjeżdżał, nigdy nie dzwonił, nigdy nie kupował mi prezentów, nigdy nie zaprosił mnie do siebie, ale nadal przysięgał — przy tych rzadkich okazjach, kiedy się materializował — że naprawdę mnie kocha. Rafe powtarza, że mnie kocha, ale dla mnie to tylko słowa.

— Myślę, że musisz mu o tym powiedzieć — zasugerowała doktor Sterling. — Myślę, że to dla ciebie bardzo ważne, by on przyjechał wkrótce do Cambridge i myślę, że powinnaś mu to uświadomić.

— Myśli pani, że on mnie kocha?

— Nie wiem — odparła z lekkim zniecierpliwieniem, ponieważ nie znosi, kiedy proszę, by wyrokowała o uczuciach ludzi, których nie widziała na oczy. Westchnęła.

_Wiem tylko, że tak mówi, a nie ma powodu, by kłamać.

— Zostawisz mnie, prawda? — zapytałam oskarżycielskim tonem, kiedy Rafe przyjechał w końcu do Cambridge na weekend, który ja w całości przeplakałam.

_Masz mnie dosyć, powiedz mi to otwarcie. Znudziły

ci się już pewnie te ciągłe łzy, te nastroje. Coś ci powiem, mnie też! Mnie też. Czasem jest tak, jakbym miała dwa umysły, z których jeden nie podlega mojej kontroli. I nie wiem, co robić, i żal mi ciebie, ponieważ ty też nie wiesz. I jestem pewna, że mnie zostawisz. — Nowa fala łez.

— Może pozwolisz, bym ja o tym decydował — powiedział Rafe wręczając mi talerz. Uparł się, że ugotuje dla mnie obiad — spaghetti z sosem bolognese, nic wystawnego, zapewnił mnie — ponieważ doszedł do wniosku, że przyda mi się domowy posiłek. — Przede wszystkim, myślę, że naprawdę poczujesz się lepiej kiedy coś zjesz, nie miałaś nic w ustach od mojego przyjazdu. Po drugie, uważam, że potrafię sobie z tobą poradzić. Jestem niezwykle odporny. Martwię się tylko o ciebie. Boję się, że nie radzisz sobie ze sobą, Elizabeth. Kocham cię, naprawdę. Kocham cię nawet wtedy, gdy jesteś taka, jak teraz. Ale to mnie przeraża. Jestem pewien, że krzywda, jaką wyrządzasz ludziom, którzy cię kochają, nie jest nawet w połowie, nawet w drobnej części tak straszna, jak to, co robisz sobie. Doprowadzasz się do szaleństwa.

— Wiem.

— Co mówi lekarz?

— Och, wiesz! — Mówi wszystko to, co zazwyczaj mówi psychiatra do swojego pacjenta-wariata, gadka-szmatka o matkach, ojcach i przejściach we wczesnym dzieciństwie. Nie chcę o tym teraz rozmawiać. Po prostu nie mam na to sił. — Westchnęłam. Byłam wykończona. Usiadłam, sięgnęłam po talerz, który mi przyniósł i zaczęłam nawijać nitki makaronu na widelec. — Muszę mieć Pewność, że jeszcze ci nie obrzydłam.

— Elizabeth, na miłość boską, już mówiłem, nie. — Wciągnął teatralnie powietrze i potrząsnął głową — Kocham cię. Nie wiem, jak cię o tym przekonać. I wiesz, tak sobie myślę, że aż do dzisiaj nasz związek mógł się utrzymać i mógł się rozpaść. Ale dzisiaj zrozumiałem, że jestem cały dla ciebie. Tkwimy w tym razem. Cokolwiek cię dręczy, możesz nie zamartwiać się o mnie. Zrozumiałem, że to jest naprawdę poważne i ważne, i nigdy cię nie zostawię, choć nie wiem co.

— Naprawdę?

— Tak.

— Naprawdę?

— Tak.

Ciągle szukamy słów na określenie naszej miłości, jej rozmiarów, jej składu, pewni, że czegoś takiego ni doświadczył nikt od czasów stworzenia. Może Catherin i Heathcliff, może Romeo i Julia, może Tristan i Izold może Hero i Leander, ale to są przecież tylko postacie książkowe, wytwory wyobraźni. My znamy się od zawsze, znamy się z czasów przed naszym poczęciem. Pamiętamy, jak bawiliśmy się razem w kojcu, pamiętamy, jak spotkaliśmy się przed świątynią Salomona w czasach przed Chrystusem, jak witaliśmy się w Forum, w Panteonie, i statkach, którymi Krzysztof Kolumb odpłynął do Ameryki. Przeżyliśmy razem pogromy, zostaliśmy zamordowani w Dachau i zlincowani przez Ku-Klux-Klan. Przeżyliśmy raka, zapalenie mózgu, dżumę, gruźlicę, uzależnienie od morfiny. Spłodziliśmy nasze dzieci i razem byliśmy dziećmi. Nasza historia jest długa i rozległa, znamy się od miliona lat. I nie wiemy, jak wyrazić taką miłość, takie uczucie.

Czasem to mnie obezwładnia. Pewnego dnia staliśmy razem pod prysznicem i chciałam mu powiedzieć: „Mógł bym być teraz dwadzieścia metrów pod wodą i nie utoną nawet nie bać się utonięcia, wiedząc, że zawsze będę tu bezpieczna, że mogę nawet umrzeć dopóki ty tu jesteś. Chcę mu to powiedzieć, ale milczę.

Rafe oznajmia, że nie zobaczymy się przez cztery tygodnie zimowych wakacji. Mówi, że musi zająć się swoją pomyloną matką i jedenastoletnią siostrą, która przechodzi coś strasznego, jakąś inną wersję choroby psychicznej i może potrzebować pomocy lekarskiej.

A ja myślę: „Dlaczego tylu ludzi bliskich Rafe'owi dostaje pomieszania zmysłów?”

I myślę: „Nie obchodzi mnie jego matka i jego siostra, nikt w Minneapolis ani w ogóle nigdzie na świecie. Wiem tylko, że jestem ja, i że ja nie przetrwam miesiąca bez Rafe'a”.

Strasznie płaczę po tym, jak to powiedział, płaczę przez cały weekend. I krzyczę:

— Wyjedziesz i nie wrócisz! Wyjedziesz i nie wrócisz! On tylko potrząsa głową i trzyma mnie w ramionach.

Mówi:

— Cztery tygodnie to nie tak długo.

Na to wybucham jeszcze większym płaczem, ponieważ rozumiem już, że on nie ma pojęcia, jaki czas jest gęsty, lepki, namacalny, że w stanie, w jakim się znajduję, nawet cztery minuty to zbyt długo, nie mówiąc o czterech tygodniach.

Przyjechałam do domu na wakacje, zjadłam obiad z mamą, opowiedziałam jej o szkole, o Nim, o codziennych sprawach, ale zanim zapadła noc zrozumiałam bez cienia wątpliwości, że nie przetrwam bez niego miesiąca. Uczucie zatracenia dopadło mnie po obiedzie i nie wiedziałam, co robić. To straszne uczucie było wszędzie, byłam jak zachwaszczona ziemia, jak coraz bardziej wypalony ugór. Późnym wieczorem poszłam na kawę z moją przyjaciółką Dinah. Usiadłyśmy w małej knajpce na Amsterdam Avenue, żeby porozmawiać, a ja mogłam mówić wyłącznie o Rafe i o tym, jak cierpię z dala od niego.

Przyjaźnimy się z Dinah od czasu, gdy miałyśmy cztery lata i spotkałyśmy się w przedszkolnej piaskownicy. Ona wyznała mi, że jej ojciec jest czarodziejem, a ja poinformowałam ją, że mój jest złotnikiem-astronautą. Ona napełniała wodą butelki po 7Up i mówiła, że to magiczny napój, ja obiecywałam, że przyniosę jej szmaragdowy naszyjnik albo kawałek księżycy. Przyjaźniłyśmy się w przedszkolu, szkole podstawowej i szkole średniej. Nawet teraz utrzymywałyśmy stały kontakt, choć studiowałyśmy na różnych uczelniach. Dinah знаła mnie lepiej niż ktokolwiek,

widziała początki mojej depresji i знаła wszystkie objawy. Słuchając moich opowieści o Rafe wyglądał na zaniepokojoną.

— Ależ, Elizabeth! — powiedziała, odwołując się do logiki, która zawsze była dla mnie czymś okrutnie obcym — Elizabeth, zobaczysz Rafe'a za parę tygodni. Ludzi często się rozstają, a potem znowu schodzą.

— Wiem. Tylko że ja nie mogę tego znieść. Mówiłam o nieznośnym bólu, choć nawet ja rozumiałam, że powinnam być szczęśliwa, że po raz pierwszy o czasów szkoły średniej tak bardzo kogoś pokochałam. Al nie mogłam być szczęśliwa. Wyobrażałam sobie konie-rozpaczkę, jaką będę czuła, kiedy koniec nastąpi, i te wyobrażenia sprawiały, że obecne szczęście wydawało się nie tylko złudne, ale skazane na zagładę. Im bardziej będę teraz szczęśliwa, tym bardziej nieszczęśliwa będę później.

Byłam jak narkoman pozbawiony ulubionych prochów. Kiedy tak trwałam w zawieszaniu, marząc o najmniejszej dawce Rafe'a, wiedziałam, że odstawienie o heroiny nie może być gorsze, ponieważ tęskniłam za nim płakałam za nim, trzęsłam się o niego, padałam na kolana i wymiotowałam z tęsknoty za nim, jakbym była odtruwana.

Wmawiałam sobie, że zgubił się na Ziemi, w układzie słonecznym, że nigdy go nie odnajdę. Nie będę mogła do niego zadzwonić, będzie nieosiągalny, stracę go. Będę musiała zawiadomić FBI, ale nawet agenci federalni go nie znajdą. Będę jak Horacio Oliveira z powieści Julio Cortaza „Gra w klasy”. Myślałam z litością o człowieku, który musi spędzić resztę dni szukając zagubionej La Magi, kochanki, która zniknęła w Montevideo albo w jakimś innym zakątku Urugwaju, kraju, gdzie liczba zaginionych przekracza prawdopodobnie liczbę odnalezionych, w kraju, gdzie można zgubić kogoś na dobre, w kraju, który jest znakomitą pożywką literackich dziwactw i paranoi.

Wyjaśniam przyjaciółce powód moich łez, mówię o moim przekonaniu, że Rafe zniknie lub wpadnie w czarną dziurę- A ona powtarza tylko: „To obłąd, to obłąd”, przyznawałam jej rację, ale nie mogłam przestać. Nie mogłam.

Chodziłam całymi dniami po ulicach Upper West Side i myślałam o Rafe. Próbowałam robić coś poza tym. Chciałam pójść do kina na „Fatalne Zauroczenie”, ale zrezygnowałam na myśl, że będę musiała stać w kolejce do kasy. Dinah zabrała mnie na wystawę prac Paula Klee'ego w Muzeum Sztuki Współczesnej, ale nie mogłam skoncentrować się na tej całej abstrakcji. Powinnam się uczyć, ale nie mogłam. Musiałam napisać pracę z semiotyki o kulturze motocyklowej i zjazdach rowerzystów, ale kiedy brałam do ręki czasopismo „Easy Rider”, przewrócenie strony stawało się herkulesowym wysiłkiem. Zasypiałam w wannie i leżałam z otwartymi oczami w łóżku przez całą noc. Rano nie mogłam nawet obmyć twarzy, taka się czułam zmęczona.

Słuchałam nowej płyty Mariannę Faithfull „Strange Weather” i doszłam do wniosku, że powinna mieć podtytuł „Muzyka, przy której dobrze podcina się żyły”. Płakałam, słuchając. Płakałam, kiedy nie słuchałam. Chciałam zadzwonić do Rafe'a, ale nawet ja rozumiałam, że nie można dzwonić do niego dwadzieścia siedem razy na dzień. Miał obowiązki. Siostra dostarczała mu pełne ręce roboty, matka też sobie nie żalowała. Przyznał nawet, że traci do mnie cierpliwość. Ale ja wydzwaniałam nadal. Któregoś razu, kiedy nie było go w domu, dzwoniłam, dopóki jego matka nie wyłączyła telefonu. Przestraszyłam się, że nigdy go już nie podłączą, nigdy już nie dodzwonię się do Rafe'a. Siedziałam przy aparacie przez całą noc, przerażona, roztrzęsiona, słuchając przerywanego sygnału w słuchawce. Ale zazwyczaj był w domu, tyle że zajęty, zły, albo zaprzątnięty czymś innym. Kiedy pytałam, czy mnie jeszcze kocha, krzyczał: „Tak! Tylko daj mi spokój!” Wściekał się, kiedy wpadałam w histerię tylko dlatego, że on musiał zająć się czymś, co nie było związane ze mną.

Zrozumiałam, że muszę coś zrobić, wziąć się w garść. Ponieważ nikt mnie w tym nie wyręczy. Oznajmiłam matce, że chyba powinnam pojechać do Dallas na ślub koleżanki. Powiedziałam, że musi zapłacić za mój bilet, ale że zwrócę jej pieniądze, ponieważ mam zamiar wykorzystać tę podróż dla celów zarobkowych i popracować w „Morning News”. Mama uważała, że mam zły zwyczaj przenoszenia się z miejsca na miejsce, że jest to symptom mojej choroby. Powiedziała, że zapłaci za bilet, jeżeli doktor Sterling zgodzi się na tę podróż. Doktor Sterling wyjechała na święta, ale to nie stanowiło dla mnie przeszkody. Wydzwaniałam o czwartej nad ranem do jej górskiej chałupy w Vermoncie, nie widziałam więc powodu, dlaczego mama nie mogłaby robić tego za dnia. Dzięki Bogu, doktor Sterling była za tym, żebym podróżowała, żebym robiła cokolwiek, co pozwoli mi dotrzeć do powrotu do Cambridge i do jej gabinetu. Powiedziała, że rozmawia ze mną od paru dni i nigdy nie wydałam się jej tak zdesperowana.

Żadna z nich nie wiedziała, że w drodze powrotnej z Dallas mam zamiar zahaczyć o Minneapolis i upewnić się, że Rafe nadal mnie kocha.

Tak więc pojechałam do Teksasu udawać, że piszę artykuły. Zjawiłam się w „Morning News” i zajęłam swoje stare biurko, ponieważ wszyscy pojechali na wakacje i redakcja nie miała czym zapłacić gazety. Przeprowadzałam wywiady, zbierałam materiały do artykułu o parze teksańskich pisarzy, których książki właśnie się ukazały, ale kiedy skończyłam robić notatki, stwierdziłam, że nie mogę pisać.

Matce mówiłam, że wszystko jest w porządku, że dużo pracuję, płacą mi wierszówkę i mnóstwo zarabiam, że nigdy jeszcze tak mi się nie powodziło.

Resztę pobytu w Dallas spędziłam w łóżku. Wyłoniłam się tylko w sylwestra, by zobaczyć „Wiadomości”. Wydało mi się absurdalne, że jedna z bohaterek Holly Hunter rezerwowała sobie codziennie rano piętnaście minut na płacz. Ja mogłabym zarezerwować sobie piętnaście minut na to, żeby nie płakać.

Rafe spóźnił się na lotnisko. Kiedy się w końcu pokazał, siedziałam w sali przylotów i chlifałam w najlepsze. Powiedział, że zepsuł mu się budzik.

Chciałam go zabić, ponieważ leciałam od szóstej rano z przesiadką w Houston, żeby go zobaczyć, a on opowiada o tym, jak zawodne są japońskie artykuły domowego użytku. Nie mogę uwierzyć, że nie czekał na mnie na lotnisku przez całą noc, tak, jak ja czekałabym na niego, ale nie mówię tego głośno, zrozumiałwszy w jedynym z ostatnich przeblysków świadomości, że jestem szalona, on zaś prawdopodobnie zdrowy na umyśle.

Płakałam całą drogę do Minneapolis i Rafe powiedział, że porozmawiamy, kiedy się uspokoję.

W restauracji oznajmił, że nie może tego ciągnąć, że za bardzo go potrzebuję, potrzebują go również inni ludzie, a on chce być normalnym studentem, który korzysta z ostatniego roku przed dyplomem, ćpa ile wlezie, pieprzy całe mnóstwo dziewczyn z pierwszego roku i nie musi martwić się o kogoś takiego jak ja.

Nie odpowiedziałam, ponieważ wydawało mi się, że umarłam.

Miałam zostać w Minneapolis tylko przez jedno popołudnie, za parę godzin miałam samolot do Nowego Jorku, ale oświadczyłam, że nigdzie nie polecę, dopóki Rafe nie zmieni zdania.

Pojechaliśmy więc do jego domu, poznałam jego matkę o chropawym niemieckim akcencie i pruskim sposobie bycia, wypiliśmy białe wino i pozowaliśmy do zdjęć pamiątkowych, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Przeczornie przegapiłam godzinę wyjazdu na lotnisko. Byłam taka cichutka i taka spokojna, że Rafe uznał, że jednak nie musimy ze sobą zrywać. Potem zabraliśmy jego siostrę na „Imperium słońca”, ale mała dostała szału i wydziobała

dziurę w ścianie teatru parasolką z napisem „New York Times”. Odwieźli ją na pogotowie w środku nocy, ponieważ nie dawała się uspokoić i nie przestawała demolować wspaniałego, starego domu swej matki z widokiem na jezioro Minnetonka. Wyglądało na to, że będą ją musieli zatrzymać na oddziale psychiatrycznym.

Zostawili mnie samą w domu, samą w pokoju gościnnym, w minneapoliszczych ciemnościach, a ja tak się bałam, że zadzwoniłam do doktor Sterling.

— Jutro lecę do Nowego Jorku — powiedziałam, kiedy już zrozumiała, gdzie jestem. — Rafe i ja załatwiłmy nasz związek, ale sama nie wiem. Boję się, że nie przetrwa długo.

— Mówisz o tym dość spokojnie — zauważyła.

— Mówię o tym spokojnie, ponieważ jeszcze jestem tutaj. — Milczałam przez chwilę, próbując zrozumieć, dlaczego mówię o tym tak spokojnie. — Spójrzmy prawdzie w oczy, jest piąta rano, a ja do pani dzwonię. Chyba nie wszystko jest w porządku.

— Myślę, że powinnaś natychmiast wracać do Cambridge. Musimy pomyśleć o bardziej intensywnej formie leczenia. Niepokoją mnie wydarzenia ostatnich tygodni. Zawsze powtarzasz: „Co muszę zrobić, żeby ludzie potraktowali poważnie moją chorobę?”. Posłuchaj, nie musisz próbować się zabić. Ja już teraz traktuję cię poważnie. Słyszysz? Myślę, że uda mi się załatwić ci miejsce u Stillmana albo w innym szpitalu harwardzkim. Prowadziłabym cię za pośrednictwem któregoś ze znajomych lekarzy.

Milczę. Jestem wstrząśnięta.

— Ale najpierw musisz wrócić, muszę cię zobaczyć. Nie mogę ci pomóc przez telefon.

— Doktor Sterling? — wyszlochałam.

— Tak?

— Dziękuję...

X

Dziewczyna otępiała

Jest sobota wieczór w styczniu, leżę w szpitalnym łóżku u Stillmana i oglądam telewizję. Czytam również książkę Margaret Atwood „Surfacing”, chociaż jest beznadziejnie polemiczna i przestarzała. Czytam ją w nadziei, że pobudzi moją kobiecą świadomość, zainspiruje mnie do tego, by wstać z łóżka i pójść w dzicz, zbadać swoje związki z ziemią, korzeniami drzew i moją nagą, nie umytą i nie uczesaną duszą, co właśnie czyni narratorka książki. Pod koniec, cała

umazana błotem, prawdziwa kobieta natury, grzebie dwoje odchody w piachu, jakby to rozwiązywało sprawę. Muszę powiedzieć moim znajomym, które uważają, że powinny przeczytać „Surfacing”, ponieważ podobno jest to klasyka literatury kobiecej, żeby sobie odpuściły.

Może potrzeba mi Thoreau'a i jego esejów kontemplacyjnych? Wszyscy twierdzą, że po przeczytaniu „Waldena” poczuję się szczęśliwa, że żyję. Nie, żeby jeszcze aspirowała do szczęścia. Chcę tylko, by zdarzyło się coś, co mnie przekona o istnieniu życia tak satysfakcjonującego, że nie będę już nawet potrzebowała Rafe'a. Chciałabym być jedną z tych niezależnych kobiet, Barbarą Stanwyck w „Baby Face”, albo Jean Harlow w „Red Headed Woman”, albo jakąkolwiek inną gwiazdą filmową, która kocha i porzuca bezkarnie. Niestety, w bawelnianej, pasiastej piżamie Stillmana jestem tylko sobą.

Telewizja nadaje relacje z krajowych mistrzostw w jeździe figurowej na lodzie, oglądam więc zawodniczki w ich Programach obowiązkowych, słucham wynurzeń sprawozdawcy o toe-loopach, axlach i skokach potrójnych. Same kobiety. Jedyną, o jakiej słyszałam, jest Tiffany Chin, drobna Azjatka, która najprawdopodobniej zajmie drugie miejsce, po Debi Thomas, studentce Standfordu, która z kolei najprawdopodobniej da plamę na olimpiadzie i zdobędzie tylko brązowy medal.

Debi jest trochę klockowata, w niczym nie przypomina łyżwiarek, które podziwiałam i które kochałam jako dziecko. Były wiotkie, smukłe, piękne jak Peggy Fleming, lub wdzięczne i pełne uroku jak chochlikowata Dorothy Hamill. Wiem, że w jeździe figurowej chodzi o kręcenie piruetów na lodzie, wykonywanie podwójnych toeloopów i potrójnych aksli, a nie prezentowanie kobiecej urody, ale, jak wszyscy, jestem pod urokiem zewnętrznych aspektów tego sportu. Pamiętam, że jako dziecko ślizgałam się w Ice Capades w Madison Square Garden, marząc o tym, by stać się kimś takim, jak Peggy Fleming. Tylko ona miała takie niebieskie oczy, takie czarne włosy i chudość tancerki, której nie posiadała już żadna łyżwiarka figurowa, aż do czasu Katariny Witt.

Dopiero później, o wiele później, dzięki spowiedziom łyżwiarek w „People”, dowiedziałam się, jakie są samotne, ile muszą wycierpieć, by utrzymać kondycję. Mniej więcej w tym samym czasie odkryłam, że śliczne baletnice w „Jeziorko Łabędzim”, piękne, choć mało oryginalne modelki na rozkładówkach „Glamour”, mistrzyni tenisa i piosenkarki w chórkach rockowych — że wszystkie te kobiety, którym nic tylko zazdrościć, w rzeczywistości są strasznie nieszczęśliwe.

Nawet Debi Thomas ma swoje problemy. Koniec końców przeniesie się na Uniwersytet Colorado, uczelnię trochę niższych lotów, wyjdzie za mąż i porzuci łyżwiarstwo figurowe. Ale tego wieczoru daje niezwykle pokaz, wykonuje wszystkie te potrójne flipy, wykręca wszystkie piruety, robi wszystkie te wysokie skoki, a komentatorzy dziwią się jej formie, mówią, że długo na to pracowała — proszę tylko spojrzeć na te serie skoków! Dzisiaj Debi jest gwiazdą. Nie ma wdzięku, ale jest silna i sprawna, cechy, które wydają mi się szczególnie godne podziwu, kiedy tak leżę w łóżku słaba i rozchwiana psychicznie.

Mnie również udziela się radość triumfu łyżwiarki. Debi uśmiecha się tańcząc, tak pewna siebie, a ja myślę: „Do diabła z „Surfacing” i prymitywizmem egzystencjalnym, oto jazda figurowa na lodzie, mistrzostwo metalowych ostrzy na cienkim lodzie, w tym zamyka się sens życia! Wiem z własnych lekcji tańca, jak ciężko dobrnąć do punktu, kiedy taniec zaczyna sprawiać przyjemność, do punktu, kiedy umysł nie musi się już koncentrować na „releve” i kiedy zrobić „pas de dexu”. Trzeba lat ćwiczeń, by kończyny wykształciły własną wewnętrzną pamięć. Ale kiedy już to zrobią, kiedy ciało działa niezależnie od umysłu, zaczyna się wolność, zaczyna się... taniec. Patrzę więc, jak Debi

mknie po lodzie, wiedząc, ile pracy i ile lat treningu kryje się za perfekcją tego pokazu (i innych, ale w tej chwili liczy się tylko ten) i zaczynam płakać.

Myszę, że są to łzy radości, ponieważ oglądam młodą kobietę, mniej więcej w moim wieku, dającą tak zachwycający występ. Płacę, patrząc na jej uśmiech. Ponieważ uśmiecha się tańcząc, wie, że robi wszystko dobrze i że to właśnie powinna robić. Płacę, kiedy Debi wstępuje na podium zwycięzcy, tak wysoko ponad podestami srebrnego i brązowego medalisty. Płacę i Debi płacze również. Ten triumf dowodzi, powiedział komentator z przesadną powagą, że klapa na Olimpiadzie wcale jej nie złamała i że jej przegrana z Tiffany Chin w zeszłorocznych mistrzostwach kraju to był zwykły pech.

Płacę długo po zakończeniu transmisji i w końcu dociera do mnie, że wcale nie są to łzy radości. Tak samo płakałam, kiedy zobaczyłam Gorbaczowa w wiadomościach wieczornych i zrozumiałam, że ten facet zmienił świat, i że pojedynczy człowiek może stanowić o wszystkim. Tak samo płacę, kiedy słyszę pieśń gospel — zwłaszcza przy słowach: „To moje światelko w mroku, pozwolę mu płonąć” — i myślę o tym, jak zwyczajny człowiek potrafi zatriumfować, w sprawach wielkich i małych, nad przeciwnościami losu.

Jako nastolatka płakałam godzinami po obejrzeniu filmu „Samorodny talent” z Robertem Redfordem. Płakałam dlatego, że determinacja i przekonanie potrafiło Pchnąć zwyczajnego baseballistę do czynów nadludzkich. Roniłam te łzy długo po wyjściu z kina, kiedy jadłyśmy z mamą kolację w Sbarro na Times Square. Mama zapytała, co mnie tak wzburzyło, a ja wykrztusiłam tylko: To samorodny talent. To taki dar, taka odpowiedzialność, tak trudno być samorodnym talentem. Matka zdaje się rozumieć, bo mówi:

— Myślisz o sobie, prawda Ellie? Kiwam potakująco głową.

— Ponieważ sama jesteś samorodnym talentem? Chcę powiedzieć „tak”, i może nawet powiedziałam „tak”, ale płacę dlatego, że mój talent, zdolność odkrywania tego, co złe, wynaturzone, chore, jest mniej konkretny niż umiejętność trafienia kijem w piłkę czy wykonanie potrójnego pirueta w powietrzu. Mój nieszczęsny talent jest nieokreślony. Jestem niedoszłą artystką, kimś, kto ma wariackie pomysły i wielkie potrzeby, i odrobinę szczęścia, ale nie ma sposobu ich wyartykułowania. Jestem jak postać tytułowa z filmu „Betty Blue”, kobieta, która jest pełna... pełna... pełna tego czegoś — właściwie, nie wiadomo czego, w każdym razie jest to energia bez ujścia — która wydłubuje sobie szczyrykiem oczy, a na końcu zostaje zamordowana w domu wariatów przez kochanka. Ta kobieta była tym, czym ja się powoli staję, zmarnowanym człowiekiem. Więc płacę oglądając „Samorodny talent”.

I płacę teraz, wiele lat później, kiedy powinno być jasne, że jestem pisarką, że właśnie słowa staną się moją ucieczką przed brakiem artystycznej formy. Jest sobotni wieczór i zamiast balować w Adams House, oglądać filmy Prestona Sturgesa w Brattle Theatre, albo zwyczajnie palić trawkę z przyjaciółmi, leżę w szpitalnym łóżku i oglądam telewizję.

W tej chwili na to mnie stać. Jestem tak przygnębiona, że naprawdę mogę tylko leżeć w tym białym pokoju, w białej pościeli, pod białym kocem, patrzeć w telewizor wiszący u sufitu i ścisnąć w rękę pilota, jakby to była cytryna. Wiem, że stać mnie na więcej, że mogłabym być życiową siłą, mogłabym kochać sercem i duszą, mogłabym czuć w sobie moc, która wysyła ludzi na Księżyc. Wiem, że gdybym tylko pozbyła się depresji, mogłabym zrobić coś więcej niż płakać przed telewizorem w sobotni wieczór.

Doktor Sterling powiedziała, że mogę leżeć w łóżku, jak długo chcę, ale muszę przygotowywać się na zajęcia.

Zawsze, zawsze, obojętnie, jak ciężkie jest życie, muszę oddawać prace pisemne na czas, zdawać egzaminy w ter-

minie. Tak więc mój komputer i wszystkie moje książki wędrują za mną do Stillmana, a ja starannie pielęgnuję złudzenia, że znajdę ulgę w studiach.

Ale na to jest już za późno. Pół życia starałam się przekonać ludzi, że jestem w depresji, że sobie nie radzę, a teraz, kiedy w końcu mi się udało, nie chcę przyjąć tego do wiadomości. Jestem przerażona tym, co się ze mną dzieje, boję się jak będzie wyglądało dno studni, kiedy już na nie opadnę. Jak do tego doszło? Przecież jeszcze tak niedawno, może dziesięć lat temu, byłam dziewczynką wypróbującą nową osobowość, używającą depresji jako czegoś w rodzaju hasła punk rockowego, a teraz jestem naprawdę chora.

Dzwonię do doktor Sterling co pięć minut, żeby usłyszeć po raz setny, że na pewno z tego wyjdę. Uspokaja mnie, zawsze mówi dokładnie to, co chcę usłyszeć. Ale wystarczy, że odłożę słuchawkę, a strach wraca. Więc dzwonię ponownie.

— Elizabeth, już to omówiliśmy — odpowiada ona.

— Co mam zrobić, żebyś mi uwierzyła?

— Nic pani nie może zrobić — mówię przez łzy.

— Nie rozumie pani? W nic nie wierzę. W tym cały kłopot. Rafe wychodzi z pokoju na pięć minut, a ja jestem pewna, że nigdy nie wróci. Tak jest ze wszystkim. Nic nie jest realne, dopóki nie mam tego przed nosem.

— Tak się nie da żyć.

— To właśnie próbuję pani powiedzieć! Zastanawiam się, czy ona rozumie, że ja już dłużej nie mogę.

A jednak powtarzam sobie, że rekonwalescencja jest aktem woli, że jeżeli postanowię wstać z tego łóżka i być szczęśliwa, znajdę w sobie siły, by tego dokonać. Dlaczego w to wierzę?

Chyba dlatego, że alternatywa jest zbyt straszna. Alternatywa prowadzi do nieuniknionego samobójstwa. Aż do tej chwili, uważałam moje samodestrukcyjne zachowania za czerwoną flagę, którą powiewam światu, za sposób na uzyskanie pomocy. Ale uczciwie mówiąc, dopiero u Stillmana zaczęłam myśleć poważnie o samobójstwie, ponieważ za dużo mi było tego cierpienia. Zastanawiam się, czy pielęgniarki, które wchodzą tu, żeby dać mi posiłek zmienić pościel, przypomnieć o potrzebie codziennej kąpieli, wiedzą, że jestem jedynie sumą bólu, otwartą raną, która może okazać się śmiertelna. Ze prędkości światła ku miejscu, skąd nie ma odwrotu. A jeżeli utknęła-tu na dobre?

Dzwonię do doktor Sterling, żeby zapytać czy z tego wyjdę, a ona w końcu stwierdza, że trzeba mi coś dać. Jakieś lekarstwo. W końcu nie jestem jej jedynym pacjentem, nie jestem jej jedynym problemem. Za każdym razem, kiedy napomyka, że musi pobyć trochę ze swoimi dziećmi, zaczynam płakać i mówię, że jeżeli umrę, będzie miała krew na rękach. Czy dlatego, że chce odzyskać życie prywatne, czy z jakiegoś innego powodu decyduje się na zastosowanie środków chemicznych. Uważa, że przy użyciu właściwego leku będę mogła nawet odrabiać lekcje. I ona, i mój doradca akademicki, i moi przyjaciele sugerują, że powinnam wypisać się chwilowo z zajęć i nadrobić zaległości później, ale z jakiegoś powodu nie mogę tego zrobić. Byłoby to zbyt demoralizujące. Powtarzam sobie, że dopóki mogę pisać prace, dopóty mogę mieć nadzieję. Wiem, że kiedy przestanę się uczyć, naprawdę będę gotowa się zabić, ponieważ zniknie ostatni skrawek twardego gruntu pod moimi nogami. Inni studenci z problemami emocjonalnymi robią sobie przerwę w nauce, ale mają rodzinę, mają jakieś miejsce na tej ziemi, z którego czerpią siłę. Ja mam tylko namiastkę życia, którą stworzyłam sobie w Hairardzie, i nie mogę z niej zrezygnować. Muszę się uczyć.

Głównymi objawami mojej depresji, według doktor Sterling, jest niepokój i pobudzenie. W przekonaniu pani doktor, mój lęk, że nie uda mi się przezwyciężyć depresji, wyrządza mi większą szkodę niż sama depresja. Jak zwykle, mój problem polega na tym, że obserwuję się z boku, jestem bardziej widownią filmu grozy, niż samym filmem.

— Więc uważa pani, że cierpię na meta-depresję? — pytam w przypiływie dobrego humoru.

— Można to i tak określić — odpowiada doktor Sterling.

Doktor Sterling uważa, że najlepszym lekiem dla mnie, przynajmniej do czasu, gdy przebada mnie psychofarmakolog z zakładu McLeana, jest xanax, głównie dlatego, że przynosi natychmiastowy efekt.

Lek antydepresyjny byłby na dłuższą metę lepszym antidotum na moje cierpienia ale doktor Sterling nie sądzi, abym dożyła efektów jego działania. Trzeba paru tygodni, żeby zaczął działać, a my musimy znaleźć rozwiązanie natychmiastowe.

Wkrótce po tym, jak wyszłam ze szpitala i wzięłam pierwszą tabletkę xanaxu, leżę znowu u Stillmana, zwinięta w kłębek. Ściskam poduszkę, pewna, że utknęłam na dobre w tym bagnie. Życie było straszne, jest straszne, i zawsze będzie straszne. Z każdym dniem staję się gorsze. Doktor Sterling dzwoni, żeby sprawdzić, co i jak. Mówię jej, że byłam na placu, stałam w nie kończącej się kolejce do Au Bon Pain i wpadłam w panikę, omal nie dostałam konwulsji na środku baru samoobsługowego, ponieważ zaczęłam się dusić. Wołam:

— Przecież powiedziała pani, że xanax jest dobry na stany lękowe, a ja w życiu się tak nie bałam.

Mówię jej, że trzymam się poduszki, ponieważ jestem pewna, że lada chwila przyjdą po mnie sanitariusze w białych kitlach. Jeżeli będę trzymała tę poduszkę dostatecznie mocno, może nie zapakują mnie w kaftan bezpieczeństwa.

Elizabeth! — mówi ona ze śmiechem. — Jesteś dokładnie tam, gdzie sanitariusze w białym mogliby cię zabrać. Tego już nie musisz się obawiać. Wygląda na to, że źle reagujesz na xanax. — Jest tak rzeczowa jakbym nie znajdowała się w samym środku kryzysu psychosomatycznego.

— Tak mnie rozluźnił, że mogłam pomyśleć o swoich problemach bez uruchamiania mechanizmów obronnych — ciągnę. — Co uświadomiło mi, do jakiego stopnia się oszukuję, co uświadomiło mi, że moje życie jest gorsze nawet niż przypuszczałam.

— Posłuchaj — mówi doktor Sterling. — Naprawdę wydaje mi się, że nie powinnaś brać xanaxu. Musimy znaleźć coś innego.

Nie zdążyła jeszcze odłożyć słuchawki, kiedy sięgam po tabletkę xanaxu w nadziei, że prześpię ten wstrętny zamęt w mej głowie. Ale nie bardzo mi się to udaje. Wprawdzie zasypiam na parę godzin, ale śni mi się, że ściany zamykają się wokół mnie, że jestem dzikim zwierzęciem złapanym w pułapkę przez myśliwych i tak rozpaczliwie chcę uciec, że odgryzam własną nogę i zamiast uciec wykrwawiam się na śmierć. Śnieg jest czerwony, ziemia jest biała, niebo jest niebieskie i kiedy się budzę ten paskudny zamęt jest ciągle we mnie.

Popularną postacią w filmach i powieściach jest oddany psychiatra, który pływa w morzu ze swoją pacjentką--wariatką, by udowodnić jej, że nie utonie tylko dlatego, że zrobiła to jej młodsza siostra, albo leci na drugi koniec kraju, by poznać rodzinę pacjenta i stwierdzić, dlaczego jego podopieczny jest takim żalonym dupkiem. Innym rodzajem bohatera jest zły psychiatra-manipulator, jak Hannibal Lecter, który zabija swojego irytującego pacjenta z depresją maniacką, po czym zjada go na surowo z fasolką i Chianti. Większość moich psychoterapeutów należała do tej drugiej kategorii, choć ich kanibalizm był ściśle metaforyczny. Doktor Sterling jest jedynym lekarzem,

o którym mogę z czystym sumieniem powiedzieć: „Ona uratowała mi życie”. Myślę, że zdawała sobie sprawę z tego, że najprawdopodobniej nie otrzyma pełnego wynagrodzenia za swoje wysiłki, ale podejmowała je mimo wszystko.

Za moją wyraźną zgodą skomunikowała się nawet z moim ojcem, choć uprzedziłam ją, że w żadnym razie nie zechcę z nim rozmawiać. Myślę, że trochę była go ciekawa. Tyle się o nim nasłuchiwała przez te ostatnie miesiące! Ale głównie chodziło jej o to, by wycisnąć z niego pokrycie kosztów mojego leczenia. Zadzwoiła do ojca podczas mojego pobytu u Stillmana, powiedziała mu, że rozumie, iż z rozmaitych powodów uważa opłacanie terapii za obowiązek mojej matki i być może — dodała, przypodchlebiając się — w mniej napiętej sytuacji byłyby to powody uzasadnione, ale ona naprawdę musi widywać mnie codziennie i chce wiedzieć, czy on zapłaci za to, za co moja matka zapłacić nie może. Nie wiem dokładnie, co jeszcze powiedziała, w każdym razie musiała naświetlić dramatyzm sytuacji, ponieważ ojciec zmiękł. W przeciągu tygodnia przysłał jej formularze ubezpieczeniowe.

Doktor Sterling udało się stworzyć dla mnie coś w rodzaju sanatorium w ramach harwardzkiego systemu opieki medycznej, co oszczędziło mi pobytu w zakładzie dla obłąkanych. Wiedziała, jeszcze z czasów, gdy wydawałam się normalna, że tkwi we mnie trzpiotowata dziewczyna, która chce się po prostu dobrze bawić, uznaje więc, że powinnam rozwinąć ten aspekt mojej osobowości. Zdawała się sądzić, że pewnego pięknego dnia odnajdę swoje radosne ja, tymczasem u McLeana musiałabym się zadowolić wyłożonymi gąbką ścianami, okratowanymi oknami i towarzystwem schizofrenika z sąsiedniej celi. Doktor chciała zapewnić mi taką opiekę i leczenie jak w szpitalu psychiatrycznym poza jego bramami. Tylko dzięki jej poświęceniu i determinacji przeżyłam ten rok na wolności. Tylko dzięki jej staraniom żyję dzisiaj.

Powiedziałam sobie, że Rafe nie jest moim problemem. Moim problemem, co wyłuszczyła mi doktor Sterling, jestem ja sama. Rafe był jedynie rozwiązaniem zastępczym, pigułką, którą zastosowałam, by odegnać złe uczucia. Teraz, kiedy odmówił współpracy, kiedy nie chciał, by używać go w ten sposób, teraz kiedy upierał się, że chce być moim chłopakiem, a nie moim panaceum, przestał być rozwiązaniem.

Historia mojego życia: Jestem do tego stopnia samodestrukcyjna, że zmieniam rozwiązania w problemy. Wszystko, czego dotknę, obraca się w ruinę.

Zanim w ogóle przystąpiłam do rozważania zagadnienia dnia — myć włosy, nie myć włosów — weszła Alden z naręczem ubrań, o które prosiłam, i kubkiem gorącej czekolady z Au Bon Pain, za którą jej podziękowałam. Nie chciałam pytać, czy był do mnie telefon, ponieważ nie chciałam się rozczarować. Alden powiedziała mi, gdyby Rafe zadzwonił. Przecież to Alden zostawiała krowiaste, pisane flamastrem informacje: „Dzwonił Rafe”, albo po prostu „Dzwonił”. W innych wypadkach jej umiejętność przekazywania wiadomości była dość wątpliwa, wiedziała jednak, kiedy telefon jest ważny.

Więc nie zapytałam, a ona nic nie powiedziała. Godziny mijały, ludzie przychodzili w odwiedziny. Susannah przyniosła mi w prezencie „The Hissing of Summer Lawns” Joni Mitchell, ponieważ ją o to prosiłam, a ona powiedziała, że powinnam poczytać P.G. Wodehouse'a albo J.P. Don-leayy^go, w każdym razie coś humorystycznego. Przyszedł Paul i przyniósł chińskie jedzenie i świecę o zapachu wanilii, poszliśmy spacerkiem do jego mieszkania na Mt. Auburn Street, żeby posłuchać „Clouds” na jego przenośnym magnetofonie. Jonathan, redaktor „Crimsona” przyniósł antologię erotycznej literatury kobiecej, „Village Voice” i ostatni numer „New Republic”. Samantha przy. niosła książkę Paula Johnsona „Modern Times”, mówiąc, że harmonizuje z moim samopoczuciem. Miałam nadzieję, że ktoś przyniesie ostatni numer „Cosmopolitan”, żebym mogła zobaczyć swój horoskop i sprawdzić, czy naprostuję kiedykolwiek swoje życie, ale nikt nie wpadł na ten pomysł.

Dzień toczył się z wolna, aż nadszedł wieczór i moje odwieczne marzenie, by leżeć w szpitalnym łóżku i przyjmować odwiedzających, zmieniło się w rzeczywistość, wszystko było wspaniale, z tym drobnym wyjątkiem, że nic się nie liczyło, ponieważ Rafe nie zadzwonił. Eben i Alec przyszli z czekoladowym koktailem od Steve'a i kanapką z indykiem od Fromaggio, i miło mi się z nimi rozmawiało, ale już w chwili, gdy weszli zaczynałam tracić rozeznanie. I choć byłam bezpieczna i lubiana, czułam jak szaleństwo mnie obłazi, pełźnie po mnie w stronę głowy. Zaczęłam się dusić, przekonana, że zagrzebali mnie nagą w gorącym, białym piasku i smażą.

W końcu nie ma już nikogo, kto mógłby mnie odwiedzić: nie ma Alden, Paula, Susanny, Samantha, nie ma Jonathana, Ebena i Aleca, nikogo, kto posłużyłby jako zaporę dla bólu, strasznego bólu, pieprzonego bólu. Zaczynam płakać. Myślę: „Dlaczego Rafe nie zadzwonił, znika, zostawia mnie jak wszyscy, obiecał, że nie odejdzie odchodzi, wiem to o Boże, chcę umrzeć teraz, zaraz w tym szpitalnym łóżku chcę, żeby moje ciało było białe jak te prześcieradła, bielsze niż te prześcieradła, chcę by krew wysączyła się ze mnie razem z moim człowieczeństwem nie chcę żyć nigdy więcej.

Te łzy i ten ból, który przynoszą, to więcej niż mogę znieść. Zazwyczaj łzy dają efekt oczyszczający. Zazwyczaj sól i woda spływa z oczu i zabiera ze sobą rozpacz. Al teraz płacz tylko potęguje uczucia, które ma wyrażać, i rozpaczliwiej płaczę, tym bardziej czuję się zrozpaczona I myślę o tych wszystkich razach, kiedy płakałam prze Rafe'a, kiedy płakałam, ponieważ uważałam, że nie dość mnie kocha, a on zapewniał mnie, że jestem niemądra, al wcale nie byłam niemądra, bo gdzie on jest teraz, gdzie jest, kiedy ja tu leżę i umieram, i dlaczego nigdy nie ma przy mnie osoby, której potrzebuję?

Płaczę, ponieważ tatuś mnie opuścił, ponieważ była samotna w kołysce, samotna w brzuchu matki, samotna w tym życiu, i wiem, że miewałam ataki hysterii wiele razy przedtem, ale nie sądzę, żeby ten się skończył. Ktoś musi go przerwać! Zastanawiam się, czy xanax mi pomoże, zastanawiam się, czy zostały mi jeszcze jakieś resztki schowane w plecaku, zastanawiam się, co będzie, jeżeli xanax nie zadziała, jeżeli nie istnieje na tym całym cholernym świecie nic, żadna tabletkę, zastrzyk, czopek, nic, co mogłoby przerwać ból. No, coś musi być, jakaś bardzo silna dłoń, która wyłączy obłąd!

Dzwonię więc do doktor Sterling i krzyczę w słuchawkę o swoim lęku. Potem mówię, że chyba zadzwonię rano do Rafe'a i że chciałabym dostać coś, co mnie znokautuje do tego czasu. Chciałabym dostać coś, mówię dalej, co mnie znokautuje dopóki ten ból nie minie, ponieważ tego nie da się już załatwić gadaniem. Możemy analizować mnie całymi dniami, ale nie zmniejszy to mojego cierpienia. Coś silniejszego ode mnie zawładnęło moim ciałem i umysłem. Jestem opętana.

Doktor Sterling prosi, żebym wyrażała się jaśniej: co mi jest i co należy zrobić, żebym poczuła się lepiej? Powtarzam w kółko, że chcę, by zneutralizowano mi mózg, że on nie chce przestać wirować, pędzić i płonąć, i nawet tu, w szpitalu, potrzeba mi wypoczynku. W końcu mówię:

— Chcę, żebyście wyłączyli mi głowę, chcę heroiny.

Oczywiście doktor Sterling nie przepisze mi narkotyków. Ale postanawia wziąć mnie na mellaril, lek anty-psychotyczny, który znany jest z tego, że przynosi ulgę schizofrenikom podczas halucynacji. Jest to silny lek uspokajający z tej samej rodziny co thyrozyna. Doktor Sterling zapewnia mnie, że jest to dren mózgowy, znokautuje mnie z całą pewnością.

Odwieszam słuchawkę, nadal rycząc wniebogłosy. Wchodzi pielęgniarka, podaje mi małą brązową tabletkę

i sok z żurawin, ulubiony napój Stillmana. Mówi mi, żebym piła ostrożnie, bo się zakrztuszę. Dostałam czkawki z tego płaczu.

Wygląda to na cud, ale parę minut po połknięciu mellarilu łzy znikają wraz z wszelkimi doznaniem. Tak po Prostu. Cud! Jestem spokojna, beztroska, zadowolona. Siedzę sobie na łóżku i gapię się w ścianę, czuję się szczęśliwa, podziwiam wygląd tej ściany, to, że jest taka różowa i biała. Jeżeli o mnie chodzi, róż i biel nigdy jeszcze nie wyglądały tak białą i różowo.

Następnego dnia doktor Sterling oznajmia, że jest tak zadowolona z działania mellarilu, że będę go zażywała systematycznie. Trzy razy dziennie pielęgniarka poda mi małą brązową tabletkę.

Nie wiem, czego doktor się spodziewała, ale bezpośrednim rezultatem mellarilu jest moja całkowita obojętność na wszystko. Po euforii, jakiej doświadczyłam przy pierwszej dawce, nie zostało ani śladu. Kolejne przynoszą tylko ośpienie. Z Dziewczyny Przygnębionej staję się Dziewczyną Ośpiąłą. Osiągam tak wysoki stopień obojętności, że doktor Sterling, wraz z innymi lekarzami, omal nie bierze tego za poprawę. I może to jest poprawa: jestem tak spokojna, że mogę napisać pracę z semiotyki, dość spokojna, by napisać esej z teorii feminizmu, dość spokojna, by myśleć o wyjeździe do domu na parę dni.

Dzwonię do Rafe'a, który oznajmia, że nasze planowane spotkanie w Nowym Jorku przed jego wyjazdem do Brown nie dojdzie do skutku. Musi napisać jakąś pracę, zdobyć jakieś zaliczenie, zanim uzyska absolutorium. Słyszę go, ale nie rejestruję jego słów. Zupełnie jakby mellaril zablokował receptory w moim mózgu, które wiążą fakty z uczuciami.

„Ktoś mógłby tu wejść i powiedzieć, że twoje życie się pali”, słyszę jak Paul Simon śpiewa w jakiejś piosence, w jakimś życiu bardzo odległym.

XI

Ból serca

Kiedy minął tydzień od powrotu Rafe'a do Brown, a on nie dał znaku życia, pojawiłam się zniemacka na jego progu. W chwilę później zerwał ze mną i nie był nawet na tyle przyzwoity, by odprowadzić mnie na dworzec autobusowy. Powiedział, że ma próbę i nie może się wyrwać. Przekazał mnie swojemu współlokatorowi. Czułam się jak chora krewna, nad którą rodzina czuwa na zmianę, ponieważ nie wypada zostawić jej na pastwę losu. Wyobrażałam sobie, jak Rafe mówi do swojego kolegi: Nie chcę mieć z nią do czynienia. Ty ją odwieź.

Wsiadliśmy do hondy współlokatora, było poniżej zera i powtarzałam sobie w duchu, że powinnam być wdzięczna. Gdyby Rafe postanowił mnie odprowadzić, musielibyśmy zasuwać pieszo, ale jakoś nie czułam się pocieszona. Współlokator, cały spięty, ponieważ nie wiedział, jak się zachować wobec kogoś, kogo nie znał przedtem i nie będzie znał później, odstawił mnie na dworzec autobusowy. Musiałam zebrać wszystkie siły, by kupić bilet, wsiąść do autobusu, znaleźć wolne miejsce, kupić czasopisma na drogę, choć nie byłam w stanie skoncentrować się na niczym. Nie mogłam skoncentrować się na reportażu w „Premierę” o Cher. Na artykule w „New York” o Johnie Cassablancasie i jego agencji modelek. Nie mogłam się skoncentrować na spisie treści w „Cosmopolitan”. Nie mogłam się skoncentrować na Rafie. Jak można się skupić na czymś tak pochłaniającym, że jest wszędzie, jak powietrze?

Mogłam się tylko wyłączyć. Pamiętam, że pomyślałam To jest to! Ból, na jaki czekałaś przez całe życie. Ból serca w czystej postaci. Pomyślałam też, że gorzej być nie może.

W studenckim świątku często się zdarza, że związki trwają przez kilka miesięcy, po czym się rozpadają. Czasem to boli, czasem można się z tym pogodzić, czasem odczuwa się ulgę, w każdym razie nie jest to nic takiego, czego nie uleczy parodniowa nasiadówka u przyjaciółki, pudełko chusteczek higienicznych i butelka dżinu.

Postronny obserwator uznałby mój związek z Rafem za przelotny flirt, który okazał się kompletnym niewypałem. Ktoś nie zorientowany w temacie mógłby przypuszczać, iż młody wiek, rozłąka i brak czasu sprawiły, że nasz związek umarł śmiercią naturalną po dziewięćdziesięciu dniach. Nie pasowaliśmy do siebie, byliśmy rozdzieleni w sensie geograficznym, nie przygotowani do podjęcia zobowiązań w sensie emocjonalnym — wyliczałam litanię usprawiedliwień naszej klęski, kiedy pytano mnie: „A co się stało z tym twoim facetem, Rafem?” I nikt nie miał powodu, by podawać w wątpliwość moje słowa. Nikt nie podejrzewał nawet, ile niedorzeczności popełniliśmy podczas naszego krótkiego związku. Dla Rafe'a byłam czymś w rodzaju wyzwania. Spodobałam mu się po części dlatego, że byłam w depresji. Należał do tych ludzi, których ciągnie do alkoholików i narkomanów, tyle że ja byłam nałogowcem bez nałogu. Na początku rozkoszował się myślą, że jest moim osobistym Jezusem Chrystusem, że stworzy mi bezpieczny azyl w swoim małym domku w Providence, Rhode Island. Będę leżała całymi dniami w jego łóżku, a on będzie mi przynosił herbatę i grzanki, mówił mi, że mnie kocha i prosił, by opowiedzieć mu o swoim cierpieniu. Podobała mu się ta idea zbawienia. Jego matka cierpiała na chroniczną histerię, młodsza siostra na jakąś formę dziecięcej schizofrenii i naturalną rolą Rafe'a w życiu była rola opiekuna.

Nie ma w tym nic dziwnego. Od wieków ludzie z problemami emocjonalnymi i silnie rozwiniętym instynktem samozachowawczym lgną do ludzi pławiących się w swoim cierpieniu. Wiedzą, że u nich najłatwiej znajdą miłość i opiekę. Któż inny, jak nie miłośnik cierpienia.

chciałby związać się ze mną podczas największego nasilenia mojej depresji? Miałam szczęście, że Rafe mnie znalazł. W swojej krótkiej karierze miłosnej chodziłam z trzema facetami, z których każdy miał być dziewczyną w szpitalu psychiatrycznym. To chyba nie jest normalne, chyba nie każda dziewczyna może się poszczycić takim osiągnięciem. Ja nie wiedziałam, że oni mają skłonność do wariatek, oni nie wiedzieli, że ja jestem kwintesencją obłądu, a mimo to potrafiliśmy się odnaleźć, wyczuć woń duchowej mutacji, dojrzeć się poprzez tłum ludzi, ponieważ niektóre rzeczy są człowiekowi przeznaczone: Sid zawsze odnajdzie Nancy, Tom zawsze zejdzie się z Roseanne, Ted (zupełnie beznadziejny przypadek) zwiąże się z Sylwią i jeszcze jedną kobietą, która umarła z głową w piecyku. F. Scott zawsze rozpozna swoją Zeldę; Samson zawsze zakocha się w swojej Dalili; Jazon zawsze poślubi Medeę, nawet jeżeli będzie w pełni świadomy makabrycznego zakończenia swego małżeństwa.

Aż do pojawienia się Rafe'a nie byłam -niczyją szczęśliwą wybranką. Byłam zawsze sama, nie licząc przelotnych związków z innymi pomyłkami natury. Słyszałam o dziewczynach, które straciły rozum i trafiły do zakładów, i o ich poważnych, oddanych chłopcach, którzy ocierali im nosy, obwiązywali chustkami krwawiące przeguby i biegali do apteki po środek uspokajający nowej generacji, podczas gdy one wiły się w ataku histerii na kuchennej podłodze. Słyszałam o tych dziewczynach i zastanawiałam się, dlaczego cierpią, skoro są tak bardzo kochane. Izolacja i poczucie, że wszystkie ludzkie relacje są dla mnie złudą, są naprawdę dostępne innym ludziom, szczęśliwym ludziom z drugiej strony lustra, były najgorszą stroną mojej depresji. Myślałam: chcę tego, co mają inne sfiksowane dziewczyny, obojętnie, na jakich warunkach.

Potem pojawił się Rafe i próbował mnie kochać, naprawdę wierzę, że próbował, ale żadna miłość nie była w stanie zasklepić ran w mojej psychice. W porównaniu z innymi siłami operującymi w naturze, miłość okazuje się czymś żałośnie słabym. Mój ojciec powiedział mi pewnie ² milion razy, jak bardzo mnie kocha, ale to uczucie — zakładając, że w ogóle istniało — nie równoważyło nawet zła, jakie mi wyrządził. Wbrew literaturze romans i powszechnemu pogładowi, że „miłość zwycięży wszystko”, w co zdają się wierzyć nawet ci spośród nas, którzy wyrosli w erze rozwoju, miłość jest zawsze produktem i ofiarą okoliczności. Jest krucha i słaba. Jak napisał kiedyś Leonard Cohen: „Miłość nie jest defiladą zwycięstwa, jest chłodnym, żalonym alleluja”. Dzięki Rafe'owi zrozumiałam, że miłość jest lekiem przereklamowanym, że kog tak chorego jak ja z pewnością nie uleczy potęga czyjegoś uczucia. Choroba jest o tyle silniejsza! Przypuśćmy, odnajdujesz wszystkie kawałki rozbitego lustra, wszystkie odłamki i mikroskopijne odpryski, masz niespotykaną umiejętność i cierpliwość, składasz lustro do kupy i wtedy okazuje się, że jest ono nadal zlepkiem okruchów, bezużyteczną wersją swego dawnego „ja”. Odbija tylko fragmenty postaci. Niektórych rzeczy nie da się naprawi. Na przykład mnie. Odniosłam takie obrażenia, że trzeba czegoś więcej niż jednego człowieka, jednego psychoterapeuty, jednego leku, jednej kuracji elektrowstrząsowe więcej wszystkiego, zanim zlepi się okruchy mojego życia w jakąś całość. Żeby mnie uratować, trzeba znacznie więc niż Rafe.

W gruncie rzeczy jego pobłażanie bardziej mi szkodziło niż pomogło. Psycholog wyjaśnił mi kiedyś że najgorszą krzywdę, jaką psychoterapeuta może rzucić melancholikowi, jest być dla niego miłym. Ta łagodność tworzy zastój, sprawia, że pacjent czuje się dobrze w swojej depresji. Żeby terapia odniosła skutek pacjent musi być nękanym, prowokowany, zmuszany konfrontacji. Musi mieć bodziec, by wyrwać się stanu rozpacz. Rafe był dla mnie zbyt miły. Pozwał mi czuć się źle, a to sprawiało, że czułam się jeszcze gorzej. Będąc z Rafe'em pławiłam się w swoim nieszczęściu.

Nathan, mój chłopak po Rafe — po tym, jak przyszedł do siebie po Rafe — nie przepadał za moimi atakami depresji. Prawdę mówiąc, nienawidził ich, były czymś, najmniej we mnie lubił. W czasach, gdy zaczęliśmy się spotykać, w roku 1988, nadal wybiegałam z budynków, płakać na frontowym trawniku, nadal byłam (i prawdopodobnie nadal będę) osobą, która urządza sceny, Nathan radził sobie w tych sytuacjach zupełnie inaczej niż Rafe. Mówił: „Daj spokój, to śmieszne”. Mówił: „No, dość tego!” Mówił: „Opanuj się”. I wiecie co? To działało. Zmuszana do opanowywania się, byłam opanowana, zmuszana do tego, by sobie radzić, radziłam sobie. Oczywiście miałam już wtedy do dyspozycji środki, które pozwalały mi lepiej okiełznać moje nastroje, ale mimo to, uważam, że metoda Nathana była lepsza. Rozkwitłam w latach spędzonych z Nathanem, przy Rafe podgniwałam. Nie chcę przez to powiedzieć, że któryś z tych mężczyzn był w stanie mnie kontrolować. Prawdopodobnie wybrałam obu dla ich odmiennych cech i odmiennego sposobu, w jaki radzili sobie z moim stanem, w dwóch różnych okresach mojego życia. Ale nie mam

żadnych wątpliwości, że skwapliwość Rafe'a, który chciał być przy mnie, kiedy cierpię, zachęcała mnie tylko do dalszych cierpień. Więc cierpiałam: tak bardzo pragnęłam go zadowolić!

W pewnym momencie doszedł do wniosku, że już sobie ze mną nie radzi. Rozumiem jego decyzję, naprawdę! Rozumiałam ją nawet w owym czasie kataklizmu. Ale to nie umniejszyło mojego bólu.

— Jak możesz mi to robić?! — pytałam raz po raz, kiedy siedzieliśmy na podłodze w jego sypialni i rozmawialiśmy, rozmawialiśmy godzinami, w to sobotnie popołudnie w dniu zerwania. Pozwoliłeś mi być sobą, zachęcałeś mnie do tego, bym ukazywała ci, jak strasznie się czuję, pozwoliłeś mi pogрузić się w smutku i hysterii, a teraz, kiedy jestem w najgorszym dołku, w jakim zdarzyło mi się być, ty mnie opuszczasz.

— To prawda — powiedział. Nie umiał kłamać. Myślał, że potrafi sobie z tym poradzić, a nie potrafi. Pomylił się. Myślał mnóstwo rzeczy. Nigdy nie chciał mnie zranić.

Nie powiedziałam mu, że uwielbiał patrzeć, jak wpadam w histerię, rozkoszować się moim emocjonalnym okaleczeniem. Nie powiedziałam mu tego, ponieważ nie musiałam. To było tak oczywiste! Zawsze powtarzał, że najbardziej kocha we mnie moją naturalność, moją całkowitą niezdolność do ukrycia grozy. Jakby nie rozumiał, że te cechy, Przynajmniej u mnie, wynikają ze zmian patologicznych. Owszem, można się było doszukać pewnej uczciwości^w moich zachowaniach — czasem mi jej teraz brakuje.

Brakuje mi poczucia, że mam tak mało do stracenia, mogę wyjść z płaczem z pokoju w momentach, które inni ludzie uznaliby za bardzo niestosowne. Lubiłam to w sobie. Lubiłam swoją pogardę dla konwenansów. A Rafe... cóż, on to uwielbiał.

Ale to było chore, bardziej wynaturzone niż m się z początku wydawało. Naturalność reakcji zmieni się w perwersję. Świadomość ciemności przeszła w śmiertelną obsesję ciemnością. Kiedy Rafe to zrozumiał, zwinął żagle. Zostawił mnie samą z moją depresją w chwili, gdy wyrzuciłam za burtę wszystkie koła ratunkowe.

Zanim opuściłam Providence, zadzwoniłam do Archera. Powiedziałam mu, że przyjeżdżam do Nowe Jorku, że jestem zdesperowana, jestem szalona, jad prosto do jego mieszkania, a on musi dać mi przyzwoity obiad, ponieważ nie potrafię zatroszczyć się o siebie A on odpowiedział, jak na kulturalnego, dobrze wychowanego Amerykanina z tradycjami przystało: Jasne, wpadnij!

Archer jest tak zwanym prawdziwym dżentelmenem, bostońskim braminem z wrodzoną kurtuazją. Bardzo chce, żeby wszystko był łatwe i przyjemne. Brzydota i plugastwo życia, które intryguje i fascynuje większość z nas, Archera w ogóle nie pociąga. Po projekcji film „Straty wojenne”, w którym amerykański oddział gwałci i katuje na śmierć wietnamską dziewczynę, Archer z~ pytał mnie, jaki sens widzę w oglądaniu takiej krwaw potworności. Powiedzmy po prostu, że broadwayowski musicale „Annie” i „Oklahoma” powstały właśnie z myślą o ludziach takich jak Archer. Jest szalenie wytworny. Po ukończeniu Harvardu w 1987 dostał pracę w American Express, gdzie robi Bóg wie co (wydaje mu się że ma coś wspólnego z bazą danych działu turystyki) tylko dlatego, że jest modelowo przystojny zdoła zebrać wokół siebie grupkę zbzikowanych kobiet. Jest typowym jankeskim dżentelmenem, który kolekcjonuje rozhisteryzowane Żydówki, ponieważ są dla niego równi egzotyczne jak tahitańscy tubylcy dla Gauguina. Choćby, nie wiem jak dobrze poznał którąś z nas, i tak nie przestanie się nami dziwić. Wszystko, co złe prześlizguj się mimo Archera. Jestem przekonana, że omijają nawet krople deszczu. Gdyby nie był tak przystojny, wątpię[^] czyby istniał, brakuje mu bowiem cech niezbędnych do życia. Ale jego uroda jest

częścią problemu: Archer jest tak nieskazitelnie doskonały, że wydaje się sterylny, ma tak niepokalaną, symetryczną urodę, tak pozbawioną zmysłowości, że każdy inny mężczyzna, mniej obdarzony przez naturę, wydawałby się kompletnie nijaki. Archer jest idealnym rozwiązaniem, kiedy szuka się towarzystwa po zerwaniu z mężczyzną. Można się z nim spokojnie pokazać, nie wytwarzając żadnych napięć erotycznych.

Tego wieczora Archer zabiera mnie na uroczą kolację w uroczej restauracji o nazwie „Brandywine” i przez cały czas jest absolutnie nieświadomy tego, że mówię do niego zza mglistej, opalizującej szklanej ściany, w jakie wyposaża się brodziki łazienkowe. Konwersuje ze mną o swoich planach przeniesienia się do Zurychu, o przyczynach, dla których jest zdeklarowanym republikaninem, o tym, gdzie oddaje koszule do prania, a mnie przepełnia ból tak głęboki, że czuję go niemal w gardle. Stwierdzam ze zdumieniem, że rozpadam się w środku, że za chwilę ulegnę katastrofie i wyląduję w kawałkach u nóg Archiego, a jemu udaje się wciągnąć mnie w dyskusję o wyborach prezydenckich. Od czasu do czasu pojawia się na jego orbicie i mówię: Przepraszam, zamyśliłam się, co mówiłeś? Parę razy jestem bliska powiedzenia: Nie widzisz, że się rozpadam? Czemu nie zapytasz, dlaczego?

Ale milczę. Cechą charakterystyczną Archera jest to, że nie pyta, jest manekinem z paroma funkcjami ludzkiego organizmu. Tej nocy śpię z nim w jednym łóżku. Przyciąga mnie do siebie, ale ja migruję w drugi koniec i lgnę do krawędzi, jak ktoś zwisający ze skraju wysokiego budynku.

Czasem depresja mnie zżera i trudno mi uwierzyć, że cały świat nie zatrzymuje się, by cierpieć razem ze mną. Nie mogłam się poruszyć, po tym, jak Rafe mnie zostawił. Dosłownie. Była przylepiona jak guma do zucia do podeszwy czyjegoś buta, uczepona kogoś, kto mnie nie chciał, kto deptał po mnie, a mimo to nie mogłam się odsunąć. Nie mogłam się odlepić! Leżałam połykając mellaril w regularnych odstępach czasu, zastanawiając się, dlaczego nawet ten cudowny lek nie jest mi w stanie pomóc.

Początkowo byłam u matki w Nowym Jorku, ale w końcu wróciłam do Cambridge, ponieważ doktor Sterling uważała, że powinnam trzymać się blisko ośrodka leczenia (czytaj: blisko niej). Było mi wszystko jedno. Różnica między Nowym Jorkiem a Cambridge polegała na tym, że w Nowym Jorku było pełno jedzenia w kuchni, zaś w Cambridge nie było nic. W rezultacie w domu jadłam rzadko i niechętnie, a w szkole głodowałam. I tu, i tam nikłam w oczach.

Będąc jeszcze w domu odkryłam, że najtrudniejszym momentem dnia, prawdopodobnie dla wszystkich melancholików, jest poranne wstanie z łóżka. Jeżeli zdołałam tego dokonać, miałam pewną szansę przetrwania do wieczora. Postanowiłam spróbować pisać, w nadziei, że pisanie da mi to samo poczucie wyzwolenia, co kiedyś przed laty. Ale ledwo usiadłam przy biurku, zamarłam nad klawiaturą. Nie miałam, cholera, nic do powiedzenia. Żadnego wiersza, żadnej prozy, żadnych słów.

Jezu, pomyślałam, co zrobić z bólem tak wielkim, że nie można go nawet przerobić na nic innego? Nie mogę go nawet przerobić na sztukę, na słowa, na coś, co można podciągnąć pod interesujące doświadczenie, ponieważ samo cierpienie, jego natężenie, jest tak wielkie, wplotło się w mój organizm tak ściśle, że nie ma sposobu wyodrębnienia go, odnalezienia w nim jakiegoś piękna. Moje cierpienie jest wielkie, bezużyteczne. Jediną nauką, jaką zaczerpnę z mojego cierpienia, jest wiedza o cierpieniu.

Pewnego dnia, po wielu namowach i z wielkim ociąganiem, postanowiłam pójść z Dinah do kina na film „Ironweed”. Byłam już w drzwiach, kiedy usłyszałam telefon. Dzwoniła matka, z pracy, żeby mi oznajmić, że wszystko przemyślała. Powinnam poświęcić się całkowicie leczeniu, opuścić jeden semestr w szkole, wrócić do Cambridge i chodzić codziennie na zajęcia terapeutyczne.

Nie byłby to taki zły pomysł, gdyby nie fakt, że rozważyłam już możliwość poddania się leczeniu na pełen gwizdek i odrzuciłam pomysł po skonsultowaniu się z doktor Sterling i innymi lekarzami. Uznali, że nie będzie to konieczne. Szpital Stillmana wystarczy w zupełności w razie nagłego kryzysu, a doktor Sterling wierzyła święcie w połączony efekt pracy, zajęć na uczelni, prochów i sesji terapeutycznych. Wierzyła, że mam większe szanse nauczyć się, jak radzić sobie ze światem, będąc nadal jego częścią. Rzucenie szkoły, zerwanie powiązań z Harvardem pozbawiłoby mnie wielu zasobów — Stillmana, na przykład — które mogą okazać się przydatne.

Powrót na uczelnię był działaniem po linii najmniejszego oporu i doktor Sterling przekonała mnie, że jest to dobre wyjście. Po kilkunastu owocnych rozmowach z nią wbiłam sobie nawet do głowy, że kiedyś, jakimś cudem, przy pomocy doktor Sterling, wyjdę z tego. Przetrwam zerwanie z Rafem i przetrwam depresję. Nie do końca w to wierzyłam, ale powiedziałam sobie, że powrót na uczelnię będzie pierwszym krokiem ku jakiejś nadziei. W moim stanie, kiedy nie potrafiłam podjąć żadnej decyzji, nie mówiąc o wytrwaniu w niej, było to ogromne osiągnięcie. A teraz dzwoni moja matka i mówi mi, że jej zdaniem jestem tak nieuleczalnie chora, że powinnam przerwać naukę — a najlepiej w ogóle rzucić szkołę i zarabiać na życie. Może to by mi pomogło.

— W życiu nie widziałam kogoś takiego, jak ty — powtarzała raz po raz.

— Mamo, posłuchaj, ostatnią rzeczą, jakiej mogę od ciebie żądać, jest obiektywizm, skoro sama go nie posiadam, ale, na Boga, właśnie zerwałam z chłopakiem, jestem w stanie ciągłej hysterii, ale na pewno wyzdrowieję. Nie sądzę, żeby to, co mówisz, że jestem w gorszej formie niż ci się to wydawało w ogóle możliwe, bardzo mi pomagało. Nie mogę być w gorszym stanie niż jestem teraz.

— Ja tylko... — zawahała się. — To jakieś wariactwo. Uciekasz do Dallas, do Minneapolis, żeby się podleczyć, a wracasz jeszcze bardziej chora. Ellie, wiesz, ja już nie mogę. To przekracza moje siły. Nie rozumiem, dlaczego taka jesteś, nie wiem, co się z tobą dzieje, ale chcę, żebyś doprowadziła się do porządku. Za każdym razem, gdy pojawiasz się w domu, przewracasz moje życie do góry nogami. Nie jestem w stanie poradzić sobie z tym, przez co przechodzisz, więc chcę, żebyś wróciła do Cambridge, znalazła jakąś pracę, wzięła terapię i wyleczyła się raz na zawsze.

W jej głosie histeryczny lęk miesza się ze śmiertelnym przerażeniem. Po raz setny poczułam się tak, jakby moja depresja była zepsutym samochodem, jakby mój umysł mógł zostać wyremontowany niby wadliwa przekładnia albo zły układ hamulcowy. Matka pragnęła tego samego, co ja, prędkich efektów, ale wyglądało na to, że obie musimy uzbroić się w cierpliwość. Zaczęłam płakać, ponieważ nie mogłam zrozumieć, co matka chciała osiągnąć, mówiąc mi to wszystko. To ja byłam w depresji, a ona sprawiała, że zaczynałam jej współczuć. Nie znoszę, kiedy nasze nastroje stają się takie symbiotyczne, wzajemnie od siebie uzależnione. Parominutowa rozmowa z nią sprawiała, że przechodziłam od ostrożnej nadziei, że wyzdrowieję, do absolutnego przekonania, że jestem przeklęta, naznaczona jak Kain, tyle że depresją. Rozpaczliwie pragnęłam odłożyć słuchawkę, pójść do łazienki i umyć ręce, twarz, całe ciało, zmyć z siebie tę substancję, która zdawała się mnie oblepiać, kiedy słuchałam mojej matki.

— Mamo — powiedziałam. — Mamo, właśnie byłam bliska postanowienia, że wyzdrowieję, a teraz ty sprawiasz, że czuję się bardziej chora niż faktycznie jestem. Posłuchaj mamo, muszę już iść, bo umówiłam się z Dinah do kina, ale zanim się rozłączymy, chcę, żebyś mi powiedziała, że wierzysz we mnie, wierzysz w moje wyzdrowienie. Nie mogę znieść myśli, że wiesz lepiej ode mnie, że masz rację, że jestem beznadziejnym przypadkiem. Nie mogę tego znieść! — Prawie krzyczę. — Mamusiu, proszę powiedz, że jesteś przy mnie!

— Ellie, naprawdę nie wiem.

Zacząłam się zastanawiać czy nie rzucić szkoły. W głowie utkwilo mi jak drzazga jedno słowo: wykolejona. Całkowicie wykolejona. Wyrzucona z toru życia. Tego samego uczucia doświadczałam pod koniec lata w Dallas, na myśl o pozostaniu w Teksasie. Miałam wrażenie, że znajdę się gdzieś w przestrzeni nad Ziemią, bez Harvardu w charakterze kotwicy zacznę dryfować w warstwie ozonowej i przez całe lata nikt się nie zorientuje, że odfrunęłam. Depresja w Harvardzie była wystarczająco paskudna, depresja bez Harvardu byłaby nie do zniesienia. Wbrew wszelkim doświadczeniom i wbrew rozumowi nadal uważałam Harvard za swoje zbawienie.

Po czterdziestu pięciu minutach mówienia w słuchawkę doktor Sterling przekonała mnie, że matka jest impulsywna, że to, co powiedziała, nie jest wyrokiem boskim.

— Jeżeli mam być zupełnie szczerą, Elizabeth — powiedziała — to oboje twoi rodzice wydają się stuknięci. Nie brałabym tego, co mówi matka zbyt poważnie. Wygląda na to, że wygłosiła jedną ze swoich tyrad.

Przyszłam na „Ironweed” z godzinnym opóźnieniem i wyszłam po pięciu minutach, ponieważ film wydał mi się zbyt przygnębiający. Był to film, który nigdy nie powinien zostać nakręcony. Nie chciałam wracać do domu, ponieważ bałam się być sama, nie chciałam zostać w kinie, ponieważ bałam się ciemności, nie chciałam być z matką, ponieważ jej też się bałam. Poszłam więc do domu starego znajomego, ale w progu uświadomiłam sobie, że nie zniosę towarzystwa ludzi, że naprawdę chcę być sama. Na ulicy zrozumiałam, że jednak nie chcę być sama, zrozumiałam, że nie chcę być nikim, nigdzie.

Cytuje się często powiedzenie Tolstoja, że wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, natomiast nieszczęśliwe rodziny są nieszczęśliwe każda na swój sposób. Oczywiście, wszystko się staruszkowi pochraniło, jest akurat odwrotnie. Szczęście posiada nieskończoną ilość wariantów, ludzie szczęśliwi, szczęśliwe rodziny mogą odnaleźć radość na tyle różnych sposobów. To prawda, że szczęście nie jest interesujące jako materiał twórczy — nie ze szczęścia powstały długachne powieści rosyjskie — ale szczęśliwa rodzina może tyle rzeczy zrobić, spróbować, podczas gdy rodzina nieszczęśliwa jest zbyt pochłonięta smutkiem, by cokolwiek odkrywać, jest sparaliżowana.

Wszystkie nieszczęśliwe rodziny są do siebie podobne. Wszystkie rodzaje nieszczęścia mają jeden rdzeń i dlatego całymi latami ludzie namawiali mnie, żebym poszła na odwyk albo na spotkanie Anonimowych Alkoholików. Twierdzili, że wszystkie uzależnienia są do siebie podobne, moje uzależnienie od depresji i stresu uruchamia te same mechanizmy psychiczne, co u kogoś innego alkoholizm. W każdej pochrзанionej rodzinie, obojętnie czy problemem jest matka-alkoholiczka, czy ojciec maltretujący dzieci, a rodzice, którzy chcą się nawzajem pozabijać, kości opowieści pozostaje ten sam. Przyczyny patologii są t same. Brak miłości w dzieciństwie, zaniedbywanie, od rzućenie. Wystarczy wysłuchać jednej opowieści o ni szczęściu, by znać je wszystkie.

Z grubsza biorąc istnieją dwa rodzaje popapranych rodzin: te, w których się mówi za mało i te, w których się mówi za dużo. Te pierwsze zawsze wydają się bardziej tragiczne, w typie bohaterów O'Neilla. Członkowie tych rodzin bardzo się boją wyartykułować swoje potrzeb i emocje albo piją, albo ćpają, albo dostają pierdoli w swojej sferze ciszy. Aż pewnego dnia któreś z dzieci zostaje przyłapane w szkole ze skrętem, córka zapada n anoreksję, a rodzice uświadamiają sobie, że świat zawalił się, podczas gdy oni sączyli swoje martini i łykali zielone oliwki. Cała rodzina łąduje więc w poradni psychiatrycznej. Wkrótce okazuje się, że mają ogromne kłopoty z komunikowaniem się i uczą się mówić. Uznanie tego za rozwiązanie jakiegokolwiek problemu wprawia w osłupienie tych spośród nas, którzy od dzieciństwa mówią, choler za dużo.

Jedną z kuriozalnych pomyłek współczesnej psychoterapii jest założenie, że gdyby ludzie mówili, co czują, mieliby o połowę mniej problemów. Rzecz w tym, że pochodzę z rodziny, w której nikt nigdy nie zawahał się

powiedzieć, co myśli, jeżeli tylko miał po temu okazję. Świat staje się wtedy strefą wojny. Zdziwiał mnie czasem, co matka potrafi mi powiedzieć, nie odczuwając żadnych skrępowań. Nie chodzi tylko o to, że w sposób raczej impulsywny wypowiada nieprzemyślane opinie na temat mojego zdrowia psychicznego. Potrafi dogadać mi również w błahostkach. Wchodzę, na przykład, do jej mieszkania, a ona wyrzuca z siebie: „Jakie te buty są brzydkie!” Przecież nie pytałam jej o zdanie. I lubię swoje buty. Jej uwaga odnosi tylko ten skutek, że zaczynam czuć się paskudnie. Ale w naszej rodzinie tak już jest i zawsze było. Matka nie jest wyjątkiem, to samo robi jej matka, jej kuzynki, ciotki, wszyscy. Zasada ukrywania opinii negatywnych, kiedy nie pytają cię o zdanie, nie przyjęła się w naszej rodzinie, ponieważ nie istnieje w niej koncepcja człowieka jako jednostki. Jesteśmy z jednej gliny, jesteśmy odbiciem jedno drugiego. Istny gulasz, gdzie każdy składnik wpływa na ogólny smak.

Myślę o mojej matce i o mnie, i o tym, że zabrakło w moim życiu bezwarunkowej miłości. Nie w tym problem, że matka nie kocha mnie w głębi duszy. Ale kiedy nie jestem jej idealną córeczką, kiedy nie jestem studentką Harvardu i nie zdobywam nagród dziennikarskich, kiedy jestem, dajmy na to, bezrobotna, złamana, przygnębiona i zrozpaczona, ona nie kocha mnie tak, jak kochała przedtem. Nie chce wtedy nic o mnie wiedzieć. Nie chce wiedzieć czy kazałam sobie zrobić skrobankę, czy tatuaż. Chce mieć taką córkę, jaką sobie wymarzyła i już!

Moi przyjaciele tego nie rozumieją. Nie rozumieją, jak rozpaczliwie potrzebuję kogoś, kto powie: „Kocham cię taką, jaka jesteś, ponieważ jesteś wspaniałą taką, jaka jesteś”. Nie przypominam sobie, by ktoś mi to kiedyś powiedział. Jestem tak wymagająca wobec swoich chłopaków, ponieważ chcę się rozpadać na ich oczach, chcę, żeby mnie kochali, choć nie jestem zabawna, choć leżę w łóżku, płacząc bez przerwy, nie ruszam się. Melancholicy są bardzo wymagający. Melancholicy mówią: „Gdybyś mnie kochał, zrobiłbyś to, czy tamto”. Gdybyś mnie kochał, przestałbyś przyjmować główne role w przedstawieniach teatralnych, przestałbyś robić wszystko, by siedzieć przy mnie, podawać mi chusteczki do nosa i aspirynę, podczas gdy ja leżę, szlocham, chlipię i pogrążam siebie i ciebie w swojej rozpaczności”.

Czasem wydaje mi się, że część moich problemów wynika z przynależności etnicznej. My, Żydzi, nie znamy koncepcji bezwarunkowej miłości. Bóg ze Starego Testamentu jest karzący, zazdrosny i mściwy. Wścieka się i wyrównuje rachunki. Pomysł, by nadstawić drugi policzek, przekonanie, że wiara jest ważniejsza niż uczynki, są to pojęcia wybitnie katolickie. Niektórzy twierdzą, że różnica między grzechem katolickim a grzechem żydowskim polega na tym, że pierwszy jawi się na tle wiary, iż rodzimy się już grzeszni i choćby nie wiem co, nie przezwyciężymy grzechu pierworodnego, drugi zaś na tle przekonania, że człowiek został stworzony na podobieństwo Boga i może osiągnąć doskonałość.

Myślę o swojej szansie na doskonałość. Myślę o tym, jak tę szansę zmarnowałam. O tym, że zawsze będę się marnowała, ponieważ zawsze będę czekała na kogoś, kto pokocha mnie taką, jaka jestem.

Nie wiem, ale po powrocie na uczelnię naprawdę nie chciałam pójść do Stillmana. Myślę, że znudził mi się sok z żurawin. Nie mogłam również siedzieć w mieszkaniu, sama ze swoim smutkiem. Autorzy wszystkie opracowań na temat leczenia depresji twierdzą zgodnie, że jedyną metodą rozwiązania problemu jest przebyć go jak ospę wietrzną, usiąść i czuć, zwalczyć instynkt ucieczki i pozwolić bólowi się wypalić. No cóż, chrzani to!

Ból był nie do zniesienia. Jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnęłam pozbyć się siebie. Ciągłe myśli samobójcze. Ciągły lęk. Nie chciałam wrócić do Stillmana, al ponieważ zaczęłam opisywać szczegółowo metody, jakie zastosuję, by pozbawić się życia — zamówiłam w celu odpowiednią literaturę i próbowałam znaleźć kombinację prochów, która

okazałyby się absolutnie niezawodna — doktor Sterling postanowiła wysłać mnie do zakładu Macleana. A tego naprawdę nie chciałam. Nie pytajcie, dlaczego. W moim stanie bardzo dobrze by to zrobiło.

Zamiast do zakładu psychiatrycznego pojechałam Kalifornii.

Dotarłam do kuzynki w Los Angeles i natychmiast wyciągnęłam się na słońcu. Czytałam Sartre'a nad brzegiem Pacyfiku. Kiedy uświadomiłam sobie, że „Obcy” Camusa zaczyna się na plaży, przeczytałam również „Obcego” Jadłłam zamrożony jogurt w lokalu będącym połączenie księgarni z uliczną kawiarnią. Ryzykowałam zdrowie i ż/ przekraczając sześciopasmową autostradę, żeby dostać się do restauracji o nazwie „Fabryka Sernika”, ponieważ w mówiłam sobie, że mają tam ostrygi na połówkach muszli (nie mają, a na stolik czeka się trzydzieści pięć minut). Moje myśli krążyły wokół Rafe'a. Mówiłam o Rafe. Rozmawiałam z Rafem, kiedy udało mi się go dopaść przez telefon, ponieważ bałam się zostawić wiadomość.

Martwiłam się, że nie dostanę pracy, ponieważ „Chicago Tribune” odrzuciła moją kandydaturę. Zrobiłam wywiad z Joni Mitchell dla „Dallas Morning News”. Przemysliwałam, czy nie wziąć urlopu dziekańskiego i nie napisać całej książki o Joni Mitchell. Spędzałam więcej czasu na rozmowach telefonicznych z potencjalnymi pracodawcami w Nowym Orleanie, Atlancie, a nawet Nowym Jorku, niż na kalifornijskim słońcu. Kuzynka powtarzała mi, że jestem zbyt spięta, powinnam się zrelaksować. Mówiła: „Myślałam, że jesteś tu na wakacjach”. Mówiła: „Zachowujesz się jak ci producenci filmowi, którzy przychodzą z telefonami komórkowymi do St. Bartsa i nie mogą sobie pozwolić na jeden wolny dzień.” Mówiła: „Jesteś za młoda na taką obsesję, taką ambicję i zachłanność .

Nie wiedziała, zdaje się, czego ja się boję. Boję się, że jeżeli pozwolę życiu przejąć ster, jeżeli pozwolę ponieść się okolicznościom, wpadnę w depresję o wiele gorszą niż ta, o jaką się dopraszam goniąc po Kalifornii, biegając za tym, za tym, przedzierając się, przeczołgując przez te wszystkie ślepe kanały.

A ona mówi: „Odpręż się, Elizabeth!”

A ja odpowiadam: „Chciałabym.” I myślę o Rafe.

I myślę: O ile łatwiej jest w słońcu. Wszystko wydaje się lepsze, kiedy człowiek budzi się w powodzi światła. Tym trudniej wyobrazić sobie czarno-biały film, w jaki spowite jest Cambridge i Nowy Jork. Mrok i chłód. Przypominam sobie, że jestem spod znaku Lwa, władcy słońca, i zastanawiam się, jak uczynić moje życie bardziej słonecznym. Ponieważ w chwili, gdy opuszczam Kalifornię, nic nie wydaje mi się ważne, jakby słońce spaliło mi mózg na skwarki. Myślę: Komu potrzebny jest Rafe?

Potem wróciłam do Cambridge i potrzebowałam go znowu i myślałam, że nie przetrzymam następnej minuty, godziny, jeszcze jednego dnia cierpienia. Kiedyś nie mogłam znieść czterotygodniowego rozstania podczas wakacji zimowych. Teraz rozstanie było bezterminowe. Już zawsze będę bez Rafe'a, ponieważ go utraciłam.

Nowa porcja mellarilu i nowa porcja tęsknoty.

Z powrotem do płyt Boba Dylana, do tego chrapliwego, Przepelnionego bólem głosu, z powrotem do najbardziej Przejmujących słów, jakie kiedykolwiek słyszałam. „If You See Her, Say Hello”, „Mama, You Been on My Mind”, „t Threw It Ali Away”, „Ballad in Plain D”. Ciekawe, dlaczego K-Tel nie wypuścił albumu pod tytułem: „Przygnębiające piosenki Dylana dla osób ze złamanym sercem”? Słuchałam ciągle od nowa trzech dostępnych wersji „You're a Big Girl Now” — z płyty „Blood on the Tracks”, ze zbioru największych przebojów „Biography” i z koncertowego albumu „Hard Rain” — jakby ciągle odsłuchiwanie mogło umniejszyć znaczenie, złagodzić katastrofalną siłę słów. Ale pewne wytwory ludzkiego geniuszu —

„Guernica” Picassa, piosenka Billie Holiday „Good Morning Heartache” śpiewana na festiwalu jazzowym w Monterey w 1957, wiersz Sylvii Plath „Tulips”, „La Strada” Felliniego — nie tracą nic ze swej grozy przy kolejnych ekspozycjach. Wręcz przeciwnie, siła ich wyrazu zdaje się wzrastać przy każdym czytaniu, odtwarzaniu, oglądaniu. Za każdym razem znajduję w nich nowe elementy tragedii, nowe ogniska bólu. Dotyczy to zwłaszcza piosenek Boba Dylana. Są ludzie, którzy nienawidzą jego głosu, uważają, że ktoś, kto mówi przez nos nie powinien śpiewać, woleliby słyszeć jego utwory w wykonaniu Byrds, Ricky’ego Nelsona albo O’Jays. Nie rozumieją, że dla prawdziwych fanów Dylana dźwięk jego chropawego, umęczonego głosu jest zapowiedzią odkupienia. Chciałam nagrać całą kasetę złożoną wyłącznie z trzech wersji „You’re a Big Girl Now”. Ta duża dziewczyna jest przecież taka mała i bezbronna. Często nie miałam nawet tyle sił, by pójść na sesję i doktor Sterling rozmawiała ze mną przez telefon. Nie miałam energii, by jeść i choć zabrzmiałoby to dziwnie, nie miałam energii, by spać. Mogłam tylko leżeć. Czasem, kiedy nie byłam w stanie pójść po szklankę wody, łykałam mellaril na sucho i liczyłam, że zmetabolizuje się na pusty żołądek. W niedzielne poranki, Samantha wyciągała mnie z łóżka, twierdząc, że w salonie jest pełno słońca i na pewno poczuję się lepiej na kanapie niż w moim ciemnym pokoju. Rozmowa, jaką toczyłyśmy, była bezsensowna. Samantha dziwiła się, dlaczego nie biorę swojej sytuacji bardziej filozoficznie, dlaczego nie cieszę się, że doświadczyłam miłości z Rafem i nie traktuję tego jako zapowiedzi nowej miłości, gdzieś, kiedyś, z kimś innym. Trajkotała jak Pollyanna, aż w końcu zaczęłam wrzeszczeć: „Samantha,

do cholery, nie widzisz, że jestem zrozpaczona?! Co mnie to, do kurwy nędzy, obchodzi, jak to będzie wyglądało za dziesięć lat, za dziesięć miesięcy?! Odchodzę od zmysłów teraz, tutaj, i nie wytrzymam tego ani minuty dłużej!”

Zaczynałam płakać, a Samantha robiła się nerwowa, wydłubywała z torebki filofax i szukała numerów i nazwisk ludzi, którzy mogliby mi pomóc. Może rabin z Nowego Jorku, albo pracownica socjalna w Cambridge? A może życząc sobie, by zadzwoniła do swojego ojca, psychoanalityka w Waszyngtonie?

Patrzyłam na nią i czekałam aż przestanie.

— Potrzebuję lekarstwa — mówiłam. — Wiem, powiedziałam sobie, że rozstanie z Rafem wyszło mi na dobre, pomogło mi stanąć twarzą w twarz ze sprawami, przed którymi chroniła mnie jego obecność. Ale wydaje mi się, że przez niego mój stan się zaostrzył.

Samantha potakuje głową.

— Wiem, przysięgałam, że będę chodziła na terapię i żyła z dnia na dzień, ponieważ jest to najlepsza metoda zdrowienia i za parę miesięcy będę silniejsza, dotrę do źródła problemu i w ogóle.

Samantha potakuje.

— Ale — zalewam się łzami — chyba mi się nie uda! Potrzebuję jakiejś ochrony. W tej chwili nie widzę światła w tym tunelu i nie potrafię wyobrazić sobie spokoju wewnętrznego i całego tego gówna, i wycofuję się. Nie chcę dłużej cierpieć. Gdybym była alkoholikiem, powiedziałabym, że chcę drinka, ale ponieważ nie wiem, kim jestem, nie wiem czego chcę. Ale chcę tego natychmiast!

Samantha mówi, że mnie rozumie, ale prawie jej nie słucham, ponieważ chcę tylko, żeby mnie wystrzelić z tej planety, chcę przeczekać gdzieś w kosmosie aż ból minie. Chcę jechać znów do Kalifornii. Albo jeszcze lepiej na Marsa.

I wtedy przypominam sobie, że były argentyński chłopak Samanthy, Manuel, mieszka w Londynie i pracuje w biurze maklerskim w jednym z głównych banków inwestycyjnych. Udało mi się przeżyć burzliwy romans z jego młodszym bratem, kiedy on był seniorem, a ja żółtodziobem zadziwionym wielkością jego pokoju w Adams House.

Samantha mieszkała u Manuela podczas swego pobytu w Londynie i twierdziła, że był bardzo troskliwy i znakomicie się nią opiekował, chociaż ryczała po nocach, wybiegała z przyjęć i płakała na balkonach. Uznałam więc, że najlepiej będzie, jeśli zamieszkam u Manuela. Na parę miesięcy, dopóki nie poczuję się lepiej.

Samantha uśmiecha się na tę myśl.

— Oddam ci go z przyjemnością — mówi. — Kogoś takiego ci właśnie potrzeba.

Samantha wie, że Manuel jest miłym facetem, który postawi mi obiad i będzie ze mną rozmawiał. Uważa również, że mam tu małe załamanie nerwowe, a takie coś najlepiej przeżyć w miłym towarzystwie, rozkoszując się kulturalną rozmową i wykwintnym posiłkiem w eleganckiej restauracji.

Manuel nie może być przecież gorszy od mellarilu.

Po paru dniach i kilku rozmowach telefonicznych wszystko zostaje ustalone. Manuel nie wydaje się zachwycony perspektywą moich odwiedzin — brat naopowiadał mu o mnie dziwnych rzeczy — ale Samantha jest przekonana, że jeżeli będę dla niego miła, wszystko świetnie się ułoży.

Zaliczyłam wystarczającą ilość kilometrów jako stały klient linii lotniczych, żeby otrzymać darmowy bilet do Londynu. Mam zamiar polubić to miasto tak bardzo, by zostać w nim na zawsze. Londyn jawi mi się jako wspaniałe wyjście z mojego rozdartego życia. Nigdy nie byłam w Europie, ale jestem podekscytowana perspektywą ucieczki i z góry zakładam, że życie ulegnie przeistoczeniu w chwili, gdy wyląduję na Heathrow. Powtarzam sobie, że Londyn jest miastem Blake'a i Dickensa i tych wszystkich wspaniałych pisarzy. Tak rozpaczliwie chcę wierzyć w swoją, cudowną przyszłość, że całkowicie ignoruję fakt, iż nie znoszę Blake'a, Dickensa i tych wszystkich wspaniałych pisarzy. Przerzuciłam się przecież z literatury angielskiej na współczesną amerykańską, ponieważ nie cierpię brytyjskiego kanonu. Byron, Shelley, Wordsworth, wszyscy oni mogą iść do diabła, jeżeli o mnie chodzi. Mimo to przystępuję do realizacji swojego planu i to trzyma mnie w tej chwili na powierzchni. Przypominam sobie, że przecież zawsze lubiłam obrazy Gainsborougha i Turnera, że mnóstwo ich wisi w Tate Gallery. Angielscy artyści podtrzymują mnie na duchu. Robię to, co uważam za słuszne.

Doktor Sterling nie potrafi ustosunkować się do Londynu. Widzi, że z dnia na dzień jestem bardziej rozbita, bardziej przerażona, że nadal odmawiam powrotu do szpitala, a nie jestem dość szalona, by można zamknąć mnie tam siłą. Dochodzi więc do wniosku, że warto spróbować. Nie, żeby machnęła na mnie ręką — wiem, że nie, ale wydaje mi się, że ona czeka aż sięgnę dna. Nie wierzy w to, by można mi pomóc, dopóki nie znajdę się w tym odludnym miejscu, gdzie jest już tylko nicość. Zerwanie z Rafem pchnęło mnie na skraj wytrzymałości, ale nadal czepiałam się krawędzi, szukając ratunku, ucieczki przed brutalnym cierpieniem, któremu będę musiała stawić czoło, zanim wyzdrowieję. Doktor Sterling mówi mi, że istnieje medyczne określenie mojego stanu: „w locie”. W tej chwili nie może zrobić nic, by zapewnić mi bezpieczne lądowanie. Będę musiała rozbić się na własną rękę.

Na szczęście jest początek semestru i mogę dopasować rozkład zajęć do planów podróźniczych. Mój opiekun uniwersytecki uważa, że podróż świetnie mi robi, jest skłonny pozwolić, bym przeczytała zadane lektury za Adantykiem i złożyła pracę semestralną pod koniec roku. Wykładowca filozofii zgadza się, bym rozpracowała Marksa, i innych filozofów dziewiętnastego wieku i Freuda w trybie indywidualnym. Nie kryje współczucia, kiedy opowiadam mu historię swoich nieszczęść, jest przekonany, że byłoby świetnie, gdybym mogła wyjechać z kraju pozostając jednocześnie na uczelni. Kierownik seminarium dziennikarskiego mówi, że mogę odbyć jego kurs nie pokazując się na nim, o ile od czasu do czasu doślę mu jakąś pracę. W poprzednim semestrze zaliczyłam więcej przedmiotów niż przewidywał regulamin i teraz mogę sobie pozwolić na trzy. System harwardzki jest tak pomyślany,

by student mógł zaliczyć kurs nie chodząc na zajęcia i nie wykonując żadnej pracy. Wyszło na to, że biorę urlop nie biorąc urlopu, co z jakichś względów koi moje sumienie i sprawia, że czuję się mniej chora niż jestem w rzeczywistości.

Tylko jedna osoba zwraca mi uwagę na szaleństwo londyńskiego planu. Opiekun drugiego roku, który jest również dziekanem mojego wydziału, twierdzi, że popełniam ogromny błąd. Otrzymałszy moje pismo z prośbą o pozwolenie na indywidualny tok studiów, wzywa mnie do swojego gabinetu na pogawędkę.

— Wiem, przez co przeszedłeś w zeszłym semestrze

— mówi Chris, łykając kawę i dym z papierosa. — Wiem o poronieniu. Byłem u ciebie u Stillmana. Wiem o twoich problemach emocjonalnych. Ale uważam, że powinnaś dokonać klarownego wyboru. Albo całkowicie rzucić szkołę albo zacząć poważnie studiować. To pośrednie rozwiązanie' które starasz się przyjąć, nie doprowadzi do niczego dobrego. Elizabeth, moja rada dla kogoś z twoją naturą

— a myślę, że znam cię dość dobrze — brzmi: zapisz się na dobre zajęcia, które stanowiłyby wyzwanie, naprawdę poświęć się nauce. Kochasz Biblię, miałaś takie dobre wyniki na zeszłorocznych seminariach ze średniowiecznego mistycyzmu hebrajskiego! Idź dalej tym torem! Wykorzystaj potencjał swojego umysłu! — Uśmiecha się, kiedy to mówi, a jego optymizm mnie dobija. O jakim umyśle on mówi? Jestem nafaszerowana mellarilem. Mój umysł jest chwilowo nieczynny. — Zaczynaj naprawdę studiować albo stąd wyjedź. Zapakuj plecak i zrób rundę po Kontynencie. Odwiedź Pragę, Rzym, Berlin, Budapeszt. Są to wspaniałe miejsca, warte poznania. Ale nie trać całego semestru na zajęcia, które cię w ogóle nie interesują i na które nie będziesz chodziła.

Zaczęłam płakać na długo, nim skończył mówić. Oczywiście ma rację, ale ja jestem zdecydowana uciec z Harvardu, nie zrywając z nim wszystkich więzów. Wiem doskonale, że właśnie niezdecydowane, nijakie podejście do życia doprowadziło do tej marginalnej egzystencji w samym sercu depresji, ale nie kontroluję swojego zachowania i swoich postępów. W głębi duszy wiem, że wyjazd do Londynu jest następnym krokiem ku samodestrukcji, kolejnym etapem ucieczki przed nieuniknionym, doskonaleniem taktyki uników, ale trwam przy swoim.

— Może naprawdę będę się uczyła za granicą — mówię, nie przestając płakać, ponieważ wiem, że tak nie będzie. — Może naprawdę odniosę z tego jakąś korzyść.

— Och, Elizabeth! — wzdycha Chris. — Widziałem cię w szpitalu w zeszłym semestrze. Wiem, w jakim stanie się znajdujesz. Nie będziesz podróżowała po Anglii czytając Marksa...

— Właśnie, że tak! — przerywam mu. — Będę czytała w Muzeum Brytyjskim, w tej samej sali, w której napisał „Kapitał”.

— Och, Elizabeth! — Chris robi głęboki wdech. Jest uosobieniem typowego zaniedbanego wykładowcy, zawsze w dżinsach i tweedowej marynarce z zamszowymi łatami na łokciach, zawsze palący camele bez filtra, przyjmujący rolę przyjaciela i doradcy studentów. Troszczy się o moje dobro bardziej niż jakikolwiek profesor, choć nie podoba mi się jego dyscyplina naukowa — narracja, którą uważam za kolejną poronioną próbę przekształcenia literatury w naukę. Jednak Chris zawsze stał po mojej stronie, a i teraz czuję, że toczy walkę wewnętrzną, czy pozwolić mi na tę korespondencyjną edukację.

— Nie stanę ci na drodze, Elizabeth, skoro uważasz, że postępujesz słusznie i wyrażę zgodę na indywidualny tok studiów. Nie chcę, byś myślała, że nie pozwoliłem ci zrobić czegoś, co mogłoby wpłynąć pozytywnie na twoje

zdrowie duchowe i fizyczne — mówi Chris po paru minutach namysłu. Kiedy on myślał i palił, ja szlochałam i zawodziłam. — Ale pozwól sobie powiedzieć, że popełniasz błąd. Ogromny błąd.

XII

Przypadkowe bzykanie

Na parę tygodni przed wyjazdem do Londynu dzwonię do Rafe'a i mówię, że mam coś bardzo ważnego do zakomunikowania. Złowieszczym tonem oznajmiam, że wyjeżdżam do Anglii bez zamiaru powrotu, jakby wiadomość, że utraci mnie na zawsze mogła wywołać coś poza falą ulgi. Rafe bąka w słuchawkę, mówi to, co można powiedzieć, kiedy się rozmawia z wieloosobowego pokoju w akademiku. Napomyka o zaletach zmiany otoczenia, o zyskaniu perspektywy. W końcu mówi, że byłaby to niewypowiedziana strata, gdybym będąc w Europie nie zahaczyła o Kontynent. Nie mam pojęcia, co przez to rozumie, a on mówi, że Kontynent to Europa bez Wysp Brytyjskich. Nie ma sensu wyjaśniać mu, że nie starczy mi energii na Paryż, Amsterdam i Wenecję, że najprawdopodobniej spędzę ten czas w Londynie w stanie katatonii. Jeżeli nie zna mnie na tyle, by to wiedzieć, to znaczy, że nie zna mnie w ogóle i nasza miłość była jeszcze bardziej złudna niż mi się zdawało.

W sobotni marcowy wieczór, przy wejściu do samolotu Continental Airlines w Newark, matka, która musi mi naprawdę współczuć, wręcza mi pięćset dolarów „na dobry początek”. Jakby to była Rosja roku pańskiego 1902, jakbym wyruszała rozpocząć nowe życie w Nowym Świecie, gdzie ulice wybrukowane są złotem. Zastanawiam się, jak długo będziemy ciągnęły tę komedię, jak długo potrafimy utrzymywać fikcję, że jadę do Londynu na stałe? Przecież to jasne, że jeżeli mam w ogóle jakiś cel, to tylko taki, by w tym Londynie umrzeć.

Jestem uzbrojona w studencką wizę zezwalającą na pracę i listę najrozmaitszych telefonów, ale za poczuciem nieograniczonych możliwości kryje się pewność, że Londyn w niczym nie będzie lepszy od innych miejsc na ziemi. Jedna z wykładowczyń doradziła mi, bym pojechała na Karaiby albo na Florydę. Powtarzała, że w moim stanie potrzebuję wysp Barbados, a nie Wielkiej Brytanii, ale było już za późno. Zresztą musiałam wybrać miejsce, gdzie choćby teoretycznie mogłam robić coś więcej niż smażyć się na plaży. Szykując się na Londyn zapakowałam całą torbę książek — „Totem i Tabu” Freuda, Heideggera „Sein und Zeit”, Milana Kundery „Księgę śmiechu i zapomnienia”, Derridy „Pobocza filozofii”, antologię Marksa i Engelsa i inne pozycje tego typu, ponieważ uparłam

się, że będę twórcza. W głębi duszy musiałam wiedzieć, że to farsa. Jak inaczej wytłumaczyć to, że w ostatniej chwili zapakowałam również „Pocztówki znad krawędzi” Carrie Fisher?

Mniej więcej na tydzień przed wyjazdem do Londynu poszłam na czyjś ślub i spotkałam Barnaby'ego Springa, absolwenta Harvardu, który mieszkał na Sloane Square i przepuszczał ojcowiznę w ryzykownych przedsięwzięciach filmowych. Ostatni rok spędził na zdjęciach w Kenii, Mozambiku czy innym Borneo. Barnaby był rodowitym londyńczykiem, prawdziwym Brytem, wychowanym przez szkołę w Eton. Obiecał, że odbierze mnie z lotniska i w ogóle będzie do mojej dyspozycji. Na tym ślubie, podekscytowana myślą o bliskim wyjeździe, byłam w niezłym nastroju i Barnaby nie miał pojęcia, w co się pakuje. Zaczął się orientować dopiero w noc przed moim wylotem, kiedy zadzwoniłam do niego sześć albo siedem razy — po raz pierwszy wykonywałam telefon międzykontynentalny, podekscytowana tym wyczynem, postanowiłam, zdaje się, powtarzać go aż do znudzenia — aby się upewnić, że przyjdzie na lotnisko, punktualnie, a nawet przed czasem. Próbowalam wyjaśnić, że przykro mi z powodu mojego natręctwa, ale jest to w końcu moja pierwsza wyprawa do Europy. Poza tym mam coś w rodzaju fobii — jeszcze z czasów obozów letnich — na tle ludzi wychodzących po mnie na lotniska albo dworce autobusowe. Usiłowałam obrócić wszystko w żart — ha, ha, ha, ależ jestem niemądra! — Barnaby był skłonny bawić się razem ze mną. Ale kiedy zadzwoniłam po raz siódmy, o piątej rano według czasu europejskiego, Barnaby przestał dostrzegać urok mojej przedwyjazdowej sraczki i stałam się dla niego jedynie kimś, kto nie daje mu spać.

Odczuwałam podobne sensacje w samolocie do Londynu. Łykałam jeden mellaril po drugim, ale niepokój nie pozwalał mi zasnąć. Takie już moje szczęście, że ledwo znalazłam się w Gatwick na odprawie celnej, lekarstwo zaczęło działać. Przebijałam się przez lotnisko niby przez grotę wypełnioną eterem. Powietrze, wszystko, cała atmosfera tego miejsca wydawała mi się gęsta, ciągliwa jak guma. Prawie zasnęłam w samochodzie Barnaby'ego (jaguarze, rzecz prosta), ale ponieważ uznałam, że byłoby to niegrzeczne z mojej strony, robiłam co w ludzkiej mocy, by zachować przytomność i bystrość umysłu. Już wtedy zrozumiałam, jakim strasznym błędem jest przyjazd do Londynu. Nie mam tu żadnego przyjaciela, będę na łasce nieznajomych z dziwnym akcentem, będę musiała włożyć mnóstwo wysiłku w to, by być czarująca i miła w sytuacji, gdy stać mnie tylko na to, by odpłynąć. Ale ze mnie idiotka! Otworzyłam już usta, by poprosić Barnaby'ego, żeby odwiózł mnie zaraz do Gatwick i wsadził do samolotu do domu. Zrobiłam największy błąd w życiu.

I wtedy przypomniałam sobie, że nie mam do czego wracać. Nie mam zajęć na uniwerku, nie mam chłopaka, pozostało mi tylko paru przyjaciół, najwyraźniej kompletnie wyczerpanych kontaktami ze mną. Miałam do wyboru Anglię albo śmierć.

Ponieważ Manuel wracał do domu dopiero wieczorem, Barnaby zabrał mnie do swojego mieszkania pełnego skórzanych, czarnych mebli i czarnych systemów stereo z czarnymi kolumnami na czarnych półkach otaczających czarny telewizor. Nie wiem, czego się spodziewałam — czegoś stereotypowo angielskiego, pluszowych kanap, złocień, wiktoriańskich, elżbietańskich i georgiańskich akcentów. Wyobrażałam sobie scenerię z „Brideshead Revisited”, mieszkanie zaś przypominało apartament Mickeya Rourke w „9 i 1/2 tygodnia”. Mam dziwne uczucie, patrząc na cały ten sprzęt audiowizualny, na meble czarne i chłodne, że facet jest nie tyle angielskim dżentelmenem, co amatorem pornografii. A może jednym i drugim. W końcu angielska arystokracja zawsze była lekko zboczona, wystarczy wspomnieć wszystkich tych facetów u Alistaira Crowleya palących opium, łykających relanium i rżnących swoje poddanki. Barnaby należał prawdopodobnie do mężczyzn, którzy noszą bikini zamiast spodenek bokserskich i

mają wizytówki w tygrysie prążki. Było coś naprawdę niepokojącego w jego chudości. I do tego, Jezu!, ta czarna skóra.

Kiedy uświadomiłam sobie w końcu, że jestem zbyt wyczerpana, by robić cokolwiek, zapytałam Barnaby'ego, czy mogę się zdrzemnąć. W sypialni okazało się, że ma łóżko obleczone czarną skórą. Dobry Boże, pomyślałam, co ja tu robię?

Kiedy się obudziłam, Barnaby poczęstował mnie sokiem pomarańczowym i podczas gdy siedziałam na jego kanapie próbując się dobudzić po potrójnej dawce mellarilu — i wiercie mi, przemyślałam nad wzięciem czwartej — on usiadł przy mnie, obrócił ku sobie moją twarz i uraczył czymś w rodzaju pocałunku. Ściśle rzecz biorąc, wepchnął mi język w usta.

— Barnaby! — powiedziałam nerwowo. — Chyba nie wiesz, że jestem zupełnie rozbita, w proszku. To znaczy, rozumiesz, przyjechałam do Londynu, żeby przyjść do siebie po... po mnóstwie rzeczy. I po prostu, nie mogę... Nie mogę robić tych rzeczy. Naprawdę nie mogę.

— Ale ja odebrałam cię z lotniska! — odparł. — Obiecałem, że pokażę ci Londyn. Myślałem, że zrozumiałaś.

— Co miałam zrozumieć? Nie wiedziałam, że mamy tu transakcję wiążaną.

Na tym rozmowa utknęła, ponieważ nieźle się wystraszyłam. Byłam sama w obcym kraju i potrzebowałam przyjaciela. Barnaby był głupkowskim facetem, jakby stworzonym do platonicznego związku. Nie mogłam uwierzyć, że ten gość ma zupełnie inne plany. „Spójrz na mnie

-chciałam zawołać - jestem wrakiem człowieka, kompletnie do niczego! Kto chciałby się ze mną zadawać?" Oczywiście są faceci, którzy naprawdę wypieprzą wszystko. Nawet mnie. Barnaby powiedział, że zabierze mnie do Stratford-on-Avon i zobaczymy Shakespeare'a, wybierzemy się również do Lake District i obejrzymy dom Wordswortha, odwiedzimy Oxford i Cambridge. Mówił o wszystkich rzeczach, które zrobimy wspólnie, kiedy wiozł mnie, w stanie półsypki, z lotniska do miasta. A teraz okazuje się, że muszę za to zapłacić.

Najgorsze jednak było to, że nie czułam moralnego oburzenia. Wydało mi się to po prostu wulgarne. Znalazłabym się z nim w łóżku w mgnieniu oka, gdybym mogła zrobić to z kłamrą od bielizny na nosie. Byłam tak przerażona i samotna, że zrobiłabym wszystko dla każdego, kto zechciałby być dla mnie miły. Ale Barnaby był taki wężowaty, za chudy, nie chciałam, żeby mnie dotknął.

— Czy możesz zawieźć mnie teraz do Manuela? — zaproponowałam.

— Jak sobie życzysz — odparł.

Manuel mieszka w domu w Knightsbridge, w tej samej części miasta, gdzie mieści się Harrods. Poza Manuelem mieszkają tu wyłącznie bankierzy i doradcy do spraw zarządzania, którzy bywają w swoich domach zbyt rzadko, by zauważyć, jakie są małe. Manuel i jego współlokator mają dla siebie cały dom, ale jest to dom spłaszczony, mały i chudy. Wygląda jak normalny dom po rozjechaniu przez samochód. Manuel przydziela mi — „przydziela” jest właściwym określeniem, ponieważ Manuel jest zimny jak deszcz za oknem — mały pokoik w piwnicy, gdzie mieści się deska do prasowania i małe, bezkształtne łóżko. Jedynym źródłem światła jest lampka do czytania, nie ma okna ani wentylacji. Mam wrażenie, że siennik wypełniony jest okruchami porcelany.

Tym się nie martwię, nie potrzebuję luksusowych wnętrz, zresztą mieszkanie w norze harmonizuje z moim stanem ducha. Martwi mnie Manuel, który jest naprawdę niemiły. Widać wyraźnie, że nie chce mnie tutaj. Zanim zdążyłam napełnić szklankę wodą i łyknąć kolejny mellaril,

Samanthę, wobec której nie ma, nawiasem mówiąc, żadnych zobowiązań, opuściła go bowiem w sposób haniebny (uciekła do Lake District z innym mężczyzną, kiedy on był z wizytą u chorego krewnego we Włoszech). Mogę tu zostać i robić co chcę, ale on jest zajęty, prowadzi bogate życie, w którym nie ma dla mnie miejsca.

Gdzie podziały się kulturalne rozmowy i wykwintne posiłki w eleganckich restauracjach?!

No dobra, myślę sobie, będę mieszkać w tym ciemnym pokoju bez okna tak długo, jak to się okaże konieczne. Pogodzę się z tym, że scenerię tej nory tworzy rura na suficie, antyczna deska do prasowania i stos spodni, czekających na prачkę. Pogodzę się z tym. Pogodzę się z moim losem. Przyjechałam do Londynu, żeby sięgnąć absolutnego dna, z pewnością mi się to uda.

Śpię niespokojnie, nie mogę wstać z łóżka ani rano, ani popołudniu i myślę sobie: to przerażające. Muszę wrócić do domu. Nawet jeżeli takie miejsce nie istnieje.

Zwlekam się z łóżka tego pierwszego wieczoru tylko po to, by zasiąść na parę godzin przy telefonie. Z absolutnego ignoranta w dziedzinie połączeń międzykontynentalnych staję się w krótkim czasie ekspertem. Zostawiam wiadomości gdzie popadnie, ponieważ nikogo nie ma w domu, jest środek dnia w Ameryce, gdzie moje miejsce. W końcu oddzwania Samantha. Mówię jej, że Manuel prawie ze mną nie rozmawia, przypominam mu, zdaje się, o ich zerwaniu. Nie zostanę w Londynie ani minuty dłużej. Samantha mówi:

— Moje biedactwo! — Mówi: — Może pójdziesz na spacer, wchłoniesz trochę piękna tego miasta? Co z twoimi planami, by czytać w Muzeum Brytyjskim? Może zobaczysz chociaż klejnoty królewskie?

Kiedy nie odpowiadam, obiecuje porozmawiać z Manuelem.

Dzwonię do matki, mówię jej, że tu jest okropnie, że pada od chwili, gdy wylądowałam, prawdopodobnie pada zawsze. Cały ten deszcz spływa po mnie, choć znajduję się pod dachem. Nie wiem, gdzie dostać coś do jedzenia, nie jadłam od przyjazdu. Boję się, że tracę rozum.

— Wracaj do domu, mówi. — Ograniczmy straty. Próbujesz to tego, to owego, nic nie pomaga, tracę cierpliwość, jestem zmęczona telefonami od ciebie z każdego miejsca, do którego pojedziesz, zawsze w kłopotach, po prostu wróć do domu.

Ponieważ jest taka nieugięta, wycofuję się, obieram przeciwne stanowisko.

— Nie sądzisz, że byłoby to pochoopne posunięcie? — pytam.

— Och, Ellie! — mówi — Och, Ellie, nie wiem, co powinnaś zrobić, ale myślę... nie wiem, co myślę. To mnie doprowadza do szału. Może powinnaś zostać parę dni, ale nie wiem. Jeżeli naprawdę jesteś nieszczęśliwa, to wyjedź. Matka zaczyna płakać po drugiej stronie Atlantyku, mówi, że nie wie, co mi poradzić, dlaczego nie porozmawiałam z doktor Sterling? Próbuję dodzwonić się do doktor Sterling, ale jest chwilowo nieosiągalna. Zostawiam jej przeciętnie dwadzieścia wiadomości na godzinę, każda wpycha mnie głębiej w depresję, ale doktor Sterling nie daje znaku życia.

Kiedy Manuel wraca z pracy, jestem ciągle we flanelowej koszuli, zapuchnięta od płaczu. Z ciapkami clerasilu na twarzy muszę wyglądać jak nastolatka, jak mała dziewczynka, i to wzbudza chwilowe współczucie.

— Elizabeth, rozmawiałem z Samantha — mówi z akcentem wyższych sfer argentyńskich. — Powiedz, proszę, czym mógłbym ci służyć. Naprawdę nie mogę ocalić twojej duszy, ale na pewno istnieje coś jeszcze, co można dla ciebie zrobić.

Odnoszę wrażenie, że najwyższa pora zacząć płakać i wzbudzić trochę litości, ale mellaril najwyraźniej zatkał moje kanaliki łzowe. Kulę się na kanapie, wykrzywiam twarz, popiskuję jak ktoś, kto lada chwila ryknie płaczem, ale łzy nie płyną. Chyba naprawdę wyschłam.

— Może... — kwilę — powinnam wrócić do domu.

— Samantha wspominała, że o tym myślisz — mówi Manuel. — Słuchaj, to wariacki pomysł. Dopiero przyjechałaś. Samantha mówi, że nigdy nie byłaś za granicą, więc skoro już tu utknęłaś, mogłabyś coś zobaczyć. Mamy tu wspaniałe muzea, piękny teatr, mnóstwo do roboty. I oczywiście, mogłabyś wskoczyć na statek do Amsterdamu, albo w pociąg do Paryża. — Po namyśle dodaje: — Nie wyjedziesz chyba z Londynu nie zobaczywszy klejnotów koronnych?

Dobry Boże! — myślę. Co jest takiego wspaniałego w tych pieprzonych klejnotach koronnych?

— Och, Manuel, wiem, że wydaje ci się to wariactwem, ale... — Ale co? — Ale, widzisz, zupełnie tracę rozum. Przykro mi, że oglądasz mnie w tym stanie, normalnie wcale taka nie jestem.

Manuel mówi, że rozumie, obiecuje, że pod koniec tygodnia zabierze mnie na kolację, a tymczasem dobrze będzie, jeśli poznam jego znajomego, który oprowadzi mnie po Londynie. Ta drobna uprzejmość wzrusza mnie tak bardzo, tak dysproporcjonalnie bardzo, że prawie przychodzę do siebie. Postanawiam, że się wykąpię, ubiorę i pójdę do pubu coś zjeść. Wyciągam z walizki ręczniki, szampon i odżywkę do włosów. Myślę z rozkoszą o wiosennym zapachu, prawie się ślinię na myśl o gorącej wodzie i bąbelkach, więc pokonuję parę piętter, by dostać się do głównej łazienki. Ale kiedy otwieram drzwi okazuje się, że okno jest uchylone, a łazienka wyziębiona i straszna. Niewiele jest kabin z natryskiem w Londynie, mają tu głównie wanny i rozmaite balie, co by mi wcale nie przeszkadzało, gdyby nie fakt, że moje włosy są zbyt długie, by je płukać pod kranem. Trzymanie prysznicą i jednocześnie manipulowanie butelką z szamponem wydaje mi się tak skomplikowane, takie trudne, że zaczynam płakać. Płaczę i płaczę, a wszystko dlatego, że mam trudności ze spłukaniem włosów.

Z pianą we włosach upadam na ręcznik na podłodze i leżę, nie ruszając się, jeżeli nie liczyć konwulsyjnych drgań, które wstrząsają moim ciałem. Łzy są silniejsze nawet od mellarilu. Płyną godzinami. Manuel wychodzi na jakieś spotkanie, wraca po paru godzinach, a ja ciągle leżę na łazienkowej podłodze, goła, szmaciana lalka. Manuel dźwiga mnie, zanoszą do swojego pokoju, próbuje ze mną rozmawiać, ale jestem zbyt przerażona, by mówić. Siedzimy oboje na jego łóżku, on mnie przytula, z początku ostrożnie, bo jestem przecież gołą dziewczyną owiniętą w ręcznik. Ale to ciągle ja, chora, rozmiękła nicość

I wtedy, niby w wypaczonej wersji starej piosenki Christals, on mnie pocałował.

— Pozwól, że uporządkuję fakty — mówi doktor Sterling, kiedy w końcu udaje mi się ją dopaść, późną nocą, która w Cambridge jest wczesnym rankiem. — Twierdzisz, że jesteś narkoleptyczką, że z powodu zmiany czasu i mellarilu byłaś na wpół przytomna, ale naprawdę nie sądzę, żeby istniało coś takiego jak przypadkowe bzykanie.

— Niech pani powiadomi Masters and Johnson, ponieważ właśnie je odbyłam — mówię w przypiływie smętnego humoru. — Mogę być przypadkiem inauguracyjnym.

— Nie wiem, co powiedzieć — ciągnie doktor Sterling, próbując sprowadzić rozmowę na poważniejszy tor. — A więc przylatujesz do Londynu, znajdujesz się w innej strefie czasowej, pierwszy facet, którego spotykasz, mówi, że będzie dla ciebie miły, jeżeli spełnisz jego zachcianki seksualne. Potem sprowadzasz się do innego faceta, który postanawia wyładować na tobie nienawistne uczucia do byłej dziewczyny, która z kolei, nie wiedząc o jego nastawieniu, wysłała cię do niego w odwiedziny. Do tego mieszkasz w pokoju, który jest mały, ciemny i niewygodny, w „norze”. Potem facet okazuje ci odrobinę ludzkich uczuć, a ty jesteś mu wdzięczna, ponieważ należysz do osób, które wolą szukać wody na pustyni niż w najbliższym kranie. Z nadmiaru tej wdzięczności odbywasz z nim stosunek płciowy, którego nie miałaś zamiaru odbyć. — Wzdycha. — Nic nie jadłaś, a do tego pada deszcz. I ty dziwisz się, że jesteś nieszczęśliwa?! Elizabeth, nie trzeba być w twoim stanie emocjonalnym, by w tych okolicznościach źle się poczuć.

— Więc uważa pani, że powinnam wracać?

— Uważam, że powinnaś zrobić to, na co masz ochotę.

— Nie wiem, na co mam ochotę.

Następnego dnia zmusiłam się, by pójść na śniadanie z przyjacielem Manuela, choć dla mnie był to ciągle środek nocy. Smakowały mi jęczmienne placki, dewońska śmietanka i herbata, którą podano nam w małym lokalu naprzeciwko Harrodsa. Pochłonęłam te placki razem z mellarilem, jakbym nie jadła od trzech dni. Bo nie jadłam od trzech dni. Przyjaciel Manuela mówił o wszystkich zabawnych rzeczach, które można robić w Londynie, o muzeach, teatrach, muzeach, teatrach. Jest to, zdaje się, narodowa mantra Brytyjczyków, którą muszą nucić przy każdej okazji.

Potem poszłam do biura, które powinno pomagać amerykańskim studentom w znalezieniu pracy. Planowałam przedrzeć się przez labirynt kolejki podziemnej, zostać prawdziwym mieszkańcem, który korzysta z transportu publicznego, ale padało, byłam zmęczona, więc zatrzymałam taksówkę. Już w chwili, gdy stanęłam pod budynkiem mieszczącym biuro i zrozumiałam, że będę musiała pokonać parę kondygnacji schodów, wiedziałam, że to był błąd. Kogo starałam się oszukać? Musiałam wrócić do mieszkania Manuela, wrócić do łóżka, uciec od tego wszystkiego.

Było oczywiste, że powinnam złapać najbliższy samolot do Ameryki i zamknąć się w zakładzie psychiatrycznym. Z niewiadomych powodów nie mogłam tego zrobić. Wątpiłam, czy znajdę dość energii, by wynieść się z Anglii. Może wrócę do domu w plastikowym worku.

Przez całe tygodnie, przez wszystkie topione w deszczu londyńskie dni tłumaczyłam sobie, że mogłabym znajdować się teraz w Stanach Zjednoczonych, leżeć wygodnie w szpitalnym łóżku i popijać sok z żurawin. Ale zawsze odsuwałam tę myśl od siebie. Byłam przekonana, że lepiej brnąć naprzód. Lepiej snuć się po Londynie zmarznięta, zmęczona i przerażona, lepiej chować się pod kołdrą w norze Manuela, nie jeść, nie spać, niemalże „nie być”. Lepiej udawać, że zrobię weekendowy wypad do Paryża, na wieżę Eiffla i do Luwru, choć wiedziałam, że miasto światła dla mnie byłoby skąpane w ciemności, choć wiedziałam, że nie mam energii, by stanąć w kolejce po wizę, przesiąść się ze statku na pociąg. Wolałam ciągnąć to martwe życie jak długo się da. Wolałam to niż monotonne cierpienie w szpitalu. Wolałam doświadczać tego bólu pośrednio, zrywami, tutaj w Anglii.

Dochodzę do takiego wniosku i łykam kolejny mellaril. Ile mellarilu biorę? Kto wie? Przed wyjazdem do Anglii zrealizowałam kilka recept, mam więc spory zapas. Doktor Sterling wyjaśniła mi, że mellaril staje się toksyczny dopiero przy bardzo dużych dawkach. Oddziałuje na umysł, nie na serce jak valium, więc trudno go przedawkować

(uszkodzenie mózgu wymaga prawdopodobnie większych starań niż zatrzymanie akcji serca). Dlatego daje się go melancholikom o skłonnościach samobójczych. Wątpię, czy powinnam łykać te małe, pomarańczowe tabletki co parę minut, nawet jeżeli nie są śmiertelne. Przytrafia się to podobno wszystkim, którzy próbują leczyć stany lękowe: kiedy nadchodzi kryzys, łykają jedną tabletkę za drugą w poszukiwaniu ulgi. Pchają je w siebie jak czekoladowe cukierki M&M. Na etykiecie jest napisane: „Stosować trzy razy dziennie po jednej tabletki, lub w miarę potrzeby”. W miarę potrzeby? Myślą, że dla kogo są te piguły? W moim przypadku „w miarę potrzeby” oznacza stały dopływ substancji poprzez przenośną kroplówkę lub — w najgorszym wypadku — pośrednią drogą przez żołądek.

Czego trzeba, żebym wróciła do domu? Czy zatrucie pokarmowe wystarczy? Okazało się, że nie. Zatrulałam się parówkami w kafeterii Tate Gallery (to a propos wspaniałych londyńskich muzeów). Przez trzy dni wychodziłam z łóżka tylko po to, by zwymiotować. Manuel współczuł mi do tego stopnia, że odstąpił mi swoje ogromne łóżko. Byłam w tak odrażającym stanie, że wolał spać w piwnicznej komórce niż położyć się gdzieś w pobliżu. Teraz, kiedy jestem chora i leżę jak kłoda, mogę się zrelaksować i pomyśleć po raz pierwszy od czasu przyjazdu do Anglii. Spływa na mnie dziwny spokój. Podoba mi się uczucie, że nie kręcę się w kółko jak bąk, że uciekłam przed życiem w wielkie łóżko Manuela. Możliwość rozłożenia nóg pod chłodną powłoką białych prześcieradeł staje się dla mnie wymarzoną formą spędzania wolnego czasu. Nawet Manuel, widząc, że nie jestem fizycznie ani psychicznie zdolna do turystyki, nie mogę się zdecydować, ^ ^ .

tinental kilka razy dziennie, by zmienić datę rezerwacji. Komputer zapisuje wszystkie te zmiany i w końcu jedna z operatorek proponuje, w bardzo subtelny, brytyjski sposób, żebym zadzwoniła raz, kiedy już ustalę swoje plany podróże.

Tyle wysiłku kosztuje mnie zamówienie biletu powrotnego, że zaczynam się zastanawiać, jakim cudem zorganizowałam podróż do Londynu. Zdołałam przekonać matkę, rozmaitych profesorów i doradców w Harvardzie, Samanthę, doktor Sterling i jeszcze parę osób, że to świetny pomysł. Załatwiłam paszport, pozwolenie na pracę, darmowy bilet stałego klienta — co wymagało tylko odrobinę mniej zachodu i papierkowej roboty niż wypełnienie formularza podatkowego. Byłam w stanie temu podołać, ponieważ miałam przed sobą jasno wytyczony cel i desperacko chciałam go osiągnąć. Musiałam uciec na jakiś czas od swojego życia. Zdziwiająco, czego potrafię dokonać, kiedy chcę uciec, kiedy muszę uciec, jakie niesamowite zasoby energii jestem w stanie uruchomić. Przypuszczam, że te zasoby, odpowiednio pielęgnowane, wykorzystane w pożytecznym celu, mogłyby odmienić moje życie. Mój Boże, energia, jaką zużywam na bycie w depresji wystarczyłaby mi na wychowanie pięciorga dzieci i zrobienie kariery zawodowej! Ale teraz, kiedy leżę w łóżku Manuela i wiem, jak łatwo byłoby spakować bagaże, wrócić do domu, pójść po linii najmniejszego oporu — to znaczy, stawić czoło depresji — nie stać mnie na żaden wysiłek. Myśl o tym, jak paskudnie mi będzie w szpitalu, ze sobą i moimi uczuciami — a nawet z doktor Sterling i moimi uczuciami — jest tak nieznośna, że Londyn wydaje się przy niej azylem. Czuję się jak alkoholik, który robi wszystko, by uniknąć pójścia na odwyk, wszystko, by odwlec decyzję o rzuceniu picia. Ale czego ja nie chcę rzucić? Bycia w depresji?

Przeczytałam ostatnio, że koszt leczenia depresji w Stanach Zjednoczonych wynosi około czterdziestu trzech milionów dolarów rocznie. Innymi słowy, depresja jest ogromną stratą czasu i pieniędzy. Niszczy wszystko. Obraca w

klęskę nawet to, co powinno być przyjemnością, wycieczkę do Londynu, na przykład. Poczucie winy, że tak zmarnowałam Londyn i wszystko, za co się wzięłam w życiu — moje harwardzkie wykształcenie też miało być poświęcone ratowaniu zdrowia psychicznego — było samo w sobie wystarczające, by wywołać depresję.

Zaraz po przyjeździe do Londynu spotkałam Rhodę Koenig, recenzentkę literacką „New Yorka”, która przeniosła się do miasta nad Tamizą, ponieważ wolała je od Nowego Jorku. Przyjaźniłyśmy się trochę, kiedy byłam na stażu w Nowym Jorku, podczas jednego z moich cudownie efektywnych napadów geniuszu, ale teraz w Londynie, Rhoda nie miała do mnie cierpliwości.

— Nie mogę cię słuchać — powiedziała, kiedy jadłyśmy kolację w restauracji. — Kiedy byłam w twoim wieku, oszczędzałam pieniądze, całymi miesiącami pracowałam w knajpie, żeby zafundować sobie wycieczkę do Europy. Nie miałam forsy, więc mieszkałam w schroniskach młodzieżowych, co nie było wygodne, ale mnie wystarczała świadomość, że jestem w Europie. Chodziłam po muzeach, po galeriach, na przedstawienia teatralne, to było takie cudowne. A ty potrafisz tylko narzekać, że tęsknisz za byłym chłopakiem i nic cię nie interesuje. To śmieszne! Nie mogłam nie przyznać jej racji. Wiem, że nawet taka drobnostka, jak zjedzenie jednego posiłku z melancholikiem, wymaga od normalnego człowieka dużego poświęcenia. Jesteśmy irytujący, widzimy wszystko pogrążone w czerni, a nasz ciągły malkontentyzm psuje wszystkim zabawę. To trochę tak, jakby się poszło do kina w towarzystwie reżysera albo krytyka filmowego. Twoim zdaniem film jest świetny, pobudzający intelektualnie, zabawny mimo drobnych potknięć, a tu krytyk analizuje każde ujęcie dopóki nie zepsuje ci całej przyjemności, nie zgnębi swoim mędrkowaniem i dzieleniem włosa na czworo. Tak samo jest z melancholikami. Tyle, że oni nie psują jednego wieczoru. Psują wszystko.

Chciałam uświadomić Rhodzie, że wiem, iż niełatwo ze mną wytrzymać. Próbowałam dotrzeć do niej, zmusić ją, by zrozumiała, że wołam do niej z miejsca, gdzie istnieje już tylko rozpacz. Próbowałam, ale czułam się już tak pomniejszona, że nie wiedziałam, jak wzbudzić w ludziach współczucie, coś, co kiedyś robiłam z takim znanstwem. Rhoda zakończyła nasze spotkanie ogólną uwagą na temat niewdzięczności i wysokich wymagań dzisiejszej młodzieży. Nie wydałam jej się nawet smutna. Tylko nieznośna.

To Noah Biddle, mój chłopak z pierwszego roku — swego czasu nauczył mnie robić ścieżkę — namówił mnie na pozostanie w Londynie. Powiedział, że przyjedzie do Anglii na wakacje zimowe, wynajmiemy samochód — najlepiej jaguara — i będziemy nim przemierzać piękną angielską ziemię. Od razu poczuję się lepiej. Będziemy podróżowali przez wymanikiurowane angielskie krajobrazy, mijali książęce zamki i pałace, palili trawkę i puszczały na cały regulator taką muzykę, jaką zechcą. Zatrzymamy się w Stonehenge i w katedrze w Salisbury, w Oksfordzie i Cambridge, słowem uciekniemy od samych siebie, tyle że nie w pojedynkę, a razem.

Noah pojawił się znowu w moim życiu, ponieważ zerwał z dziewczyną mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ja rozstałam się z Rafem, a wiadomo, że najlepiej być nieszczęśliwym we dwoje. Moja umęczona, pokręcona osoba zaczęła nagle Noaha strasznie interesować, co wydawało się idiotyczne, zważywszy że znajdowałam się w stanie całkowitego rozpadu. Wiedziałam, że wszystko, co mi może zaofiarować, to dla mnie i tak za mało, ale hołubiłam żalną nadzieję. Może mimo wszystko on okaże się moim zbawcą. Zgodziłam się więc na wspólną Anglię. Naturalnie pobyt Noaha w Anglii był wielką katastrofą. Popęłnił pierwszy błąd próbując mnie dotknąć — i nie mówię tu o pieprzeniu, co byłoby również niemile widziane, ale o zwykłym dotknięciu. Kiedy się zjawił miałam już fobię dotknięcia przez innych ludzi. Czułam się zdana na łaskę całego Londynu i ciało wydawało mi się jedyną częścią mej osoby, która nie uległa profanacji. W rzeczywistości było akurat na odwrót: Manuel korzystał z mojego ciała, kiedy i jak chciał to właśnie moje ciało było naruszalne, a umysł znajdował się poza zasięgiem wszystkiego, co ludzkie. Czułam się jak stwór radioaktywny, nie chciałam, żeby ludzie się do mnie zbliżali. Byłam równie rakotwórcza jak uran i odnosiłam się bardzo podejrzliwie do każdego, kto był na tyle głupi, by zbliżyć się do mnie na wyciągnięcie ręki. Kiedy więc Noah natychmiast po wejściu do mieszkania Manuela otoczył mnie w pasie ramieniem, gestem, który wydał mi się władczy (Noah uważał pewnie, że jest przyjacielski), zaczęłam wrzeszczeć. Krzyczałam, że nie

jestem jego własnością, jak śmie zachowywać się tak, jakby mnie posiadał, jak śmie dotykać mnie bez mojego pozwolenia. Byłam tak osamotniona w katakumbie Manuela, że każdy kontakt z drugim człowiekiem budził moje przerażenie. Każdy drobiazg stawał się podstawą do wybuchu hysterii.

Na dodatek, od samego początku Noah był tak podekscytowany Londynem, nie odczuwał najmniejszych dolegliwości z racji zmiany czasu, nie chciał się nawet zdrzemnąć przed wyruszeniem w miasto. Tryskał entuzjazmem na samą myśl o takich drobnych atrakcjach jak Big Ben i Buckingham Pałace. Zamiast zarazić mnie swoim zapałem, na co zapewne liczył, z miejsca mnie do siebie zraził. Nienawidziłam go za to, że nie jest przygnębiony. Wydał mi się głupcem — każdy, kto nie czuł tak, jak ja wydawał się głupcem. Tylko ja znałam prawdę o życiu, wiedziałam, że wszyscy su- / niemy w dół po strasznej pochylni, że możemy zaakceptować ten fakt lub go zignorować, ale prędzej czy później i tak umrzemy.

Mieszkamy w Savou, ponieważ Noah chce zostać przez parę dni w Londynie, zanim wyruszymy w podróż po Anglii. Kończą mi się pieniądze — w zasadzie już ich nie mam — co nie stanowi problemu, ponieważ Noah ma ich mnóstwo i chce mnie zabrać ze sobą, chce tego, choć jestem taka nieprzyjemna. Chce, żebym z nim została i udawała, że jesteśmy parą — nie wiem, po co, nikt nie patrzy — nawet za cenę tego, że będę wrzeszczała, płakała i mówiła mu, jak strasznie mnie irytuje. Pyta mnie bardzo często, kiedy ostatnim razem brałam mellaril. Uważa, że jeżeli będę brała mellaril, nie będzie ze mną kłopotu. Nie rozumie, zdaje się, że po mellarilu jestem zbyt otępiąła na atrakcje turystyczne, na bieganie ze specjalnym, czterogwiazdkowym przewodnikiem „Wielka Brytania za \$ 2000 dziennie” w poszukiwaniu miejsc, gdzie jada i baluje elegancki Londyn. Noah wskoczył w skórę prymitywnego Amerykanina z taką łatwością, że jest to niepokojące. Za potworne pieniądze kupuje od koników bilety na najnowsze sztuki teatralne, choć zapewniam go, że zasną w środku każdej, nawet jeżeli będzie to „Lettice i Lovage” z Maggie Smith. Przedstawia się obcym ludziom w restauracji jako „Noah Biddle, Harvard College, Klub Porcellian”, choć powtarzam mu, że nikt w Anglii nie słyszał i nie chce słyszeć o Harvardzie i Klubie Porcellian. Pokazywanie się publicznie z Noahem jest równie żenujące jak kolacja z czkającym, bekającym wujem Alem w restauracji typu „Lutece”.

— Noah, wiesz co w tobie jest zabawnego? — zaczynam pewnego wieczoru, próbując nie zasnąć nad solą. Noah wzrusza ramionami, licząc prawdopodobnie na smakowite pochlebstwo zamiast zwykłych szyderstw. — To zabawne, że zachowujesz się jak nowobogacki, że starasz się wywrzeć wrażenie na wszystkich tych ludziach, choć pochodzisz z takiej nieprzystępnej, starej rodziny amerykańskiej, która powinna być ponad takimi sprawami. Jakbyś ciągle wspinał się po drabinie społecznej, choć jesteś już na szczycie.

Noah uśmiecha się, przypuszczając, że usłyszał komplement. Sprawia wrażenie, jakby przyzwyczyił się do tego, że jestem z nim, że jestem nieszczęśliwa, że robię wszystko, by on też był nieszczęśliwy. Nie wiem, jak przetrwam jego całkowity brak ironii i nadmiar mojej własnej jeszcze przez dwa tygodnie.

Na dzień przed odbiorem wozu z firmy wynajmu samochodów — nie posiadali jaguara, ale udostępnił nam BMW — idziemy z Noahem do księgarni, żeby kupić przewodnik po Lake District. Nie mam pojęcia, po co tam jedziemy, Noahowi nie spodoba się to miejsce, najprawdopodobniej tak prowincjonalne, że nie będzie miał gdzie paradować w garniturze od Armaniego i wydawać pieniądze, które czerpał z karty kredytowej Merrill Lynch i które mógłby czerpać jeszcze przez sto lat nie naruszając kapitału.

Przeglądamy broszury w dziale turystyki. Noah wyciąga swoją mapę Londynu i proponuje mi przyjemny spacer z powrotem do hotelu — może koło Big Bena i przez Hyde Park i Bond Street? Na dworze pada jak zwykle i nie jest to najlepsza pora na piesze wędrówki. Jestem taka zmęczona, biorę coraz więcej mellarilu, ponieważ życie z każdym dniem staje się cięższe, więc padam na podłogę księgarni i wrzeszczę:

— Jestem na granicy załamania nerwowego, a ty mi każesz spacerować po Hyde Parku?!

Wrzeszczę, waląc pięściami w podłogę, jestem zbyt wyczerpana, by się podnieść, a Noah odchodzi, udając, że mnie nie zna. Żeby się zemścić, pokazuję na niego palcem, macham w jego kierunku, krzycząc:

— Ten facet jest ze mną, niech nie udaje, że jest inaczej! To mój mąż! Nie pozwólcie, żeby wyszedł beze mnie!

Więc Noah wyjaśnia ekspedientowi, że mam jeden ze swoich ataków, podnosi mnie z podłogi i wyprowadza za drzwi, czerwony ze wstydu.

Wieczorem mamy iść do teatru i Noah mówi:

— Mogłabyś się jakoś wyszykować, założyć coś ładnego... Czy proszę o zbyt wiele?

Można pomyśleć, że idziemy na oficjalne przyjęcie w ambasadzie. Mam ochotę powiedzieć mu, że nikogo tu nie znamy i nikt się nami nie interesuje. Czując jednak wyrzuty sumienia za scenę w księgarni zakładam czarną jedwabną spódnicę z białym żakietem i perłowy naszyjnik, co zachwyca Noaha tak bardzo, że mam ochotę się przebrać, założyć obszarpane džinsy i czarny sweter. Tak bardzo nienawidzę go za to, że trzyma mnie w Londynie, że to on ma pieniądze! Wychodzę ze skóry, aby go irytować, ale nie stać mnie na to, by wsiąść w samolot i wrócić do domu. Zachowuję się jakby Noah mnie tu więził, choć już dawno powinnam zrozumieć, że jestem swoim własnym oprawcą.

Słońce już zachodziło, kiedy następnego dnia dotarliśmy do Stonehenge i Noah uznał, że byłoby naprawdę super naćpać się pod tym pomarańczoworóżowym niebem. Ponieważ pozwolił mi słuchać Springsteena przez całą drogę z Londynu, pomyślałam, że lepiej się zgodzić. Ale kiedy wysiedliśmy, okazało się, że jest wietrznie i zimno i pomyślałam: „To takie sztubackie, takie rzeczy robi się z chłopakiem, który ma wóz z przyczepą i jeździ po kraju trasą koncertową Grateful Dead. Ale mogłam się mylić. W końcu nigdy nie robiłam takich rzeczy. I nie miałam zamiaru zacząć teraz.

W Oksfordzie spotkaliśmy żydowską parę, która planowała podróż do Izraela na Paschę. Poprosiłam ich, żeby zostawili karteczkę ode mnie w Kotel, w szparze między ceglami Ściany Płaczu, ponieważ zawsze uczono mnie, że Bóg wysłuchuje prośb pozostawionych w tym świętym miejscu. Na kawałku kartki napisałam kulfonami, jak dziecko: „Drogi Panie Boże, proszę, żebyś sprawił cud i wyciągnął mnie z tej depresji, bo już nie mogę.”

Noah, w przypiływie uczuć religijnych, również coś nabazgrał. Poprosił pewnie o mercedesa z okazji zrobienia dyplomu, ale może się myłę.

Kiedy przejeżdżamy przez miasteczko o nazwie Ipswich, ożywiam się nieco, ponieważ przypominam sobie o sławnych ipswiczańskich mięczakach, świeżutkich, prosto z wody, lepszych podobno od tych, jakie serwują w Oyster Bar w Grand Central. Zajeżdżamy więc do jednej knajpki, do drugiej, pytając, gdzie tu można zjeść małże, ale ludzie zdają się w ogóle nie rozumieć, o czym mówimy, nikt nigdy tu nie jadł mięczaków. W końcu uświadamiamy sobie, że sławne małże są w Ipswich, w stanie Massachusetts. Jak zwykle, Anglia nie ma mi nic do zaoferowania.

W drodze powrotnej do Londynu — po tym, jak objechaliśmy całą Anglię, po tym, jak histeryzowałam, ryczałam, przechodziłam załamanie w Bath, Avon, Cotswolds i w Brighton — Noah mówi:

— Jak możesz być zmęczona Londynem?! Samue Johnson powiedział, że ktoś, kto jest zmęczony Londynem jest zmęczony życiem.

— Noah — odpowiadam. — Zaczynasz załapywać.

Wjeżdżamy do Londynu i gubimy się na Picadilly Circus, wśród tych wszystkich rond i uliczek jednokierunkowych, które tworzą centrum miasta. Przez jakiś czas, co najmniej przez pół godziny krążymy w kółko, aż w końcu błagam Noaha, by zapytał kogoś o drogę do Savoyu. Wiem, że mężczyźni niechętnie stosują to proste rozwiązanie irytującego problemu, ale nie tracę nadziei, że Noah zatrzyma się kiedyś i poprosi londyńczyka o pomoc.

Ale nie! Noah peroruje, mówi, że odnalezienie hotelu bez niczyjej pomocy będzie przygodą, doświadczeniem i jeździ dalej. Jakie to do niego podobne! Nie potrafię sobie nawet wyobrazić tak beztroskiego, łatwego życia, w którym sprawy uciążliwe — jak choćby zgubienie drogi do domu — stają się swojego rodzaju zabawą. Tylko Noah ze swą łatwością życia może odnaleźć radość w tym, co irytujące. Sam Noah jest irytujący. Pomijając nawet jego tiki nerwowe i zmanierowanie, które działa mi na nerwy, można go z czystym sumieniem posądzić o niezrozumienie niuansów ludzkiej natury. Na pewno nie jest przesadnie wrażliwy i pojętny. Ale bez wątpienia wie, jak podróżować z klasą. Wie nawet, jak się zgubić z wdziękiem. A czym jest podróżowanie, jak nie świadomym zagubieniem się w przestrzeni?! Czy ta moja podróż do Londynu nie miała na celu pozbycia się siebie i znalezienia znośniejszej osobowości? Jeżeli nie potrafię stopnieć i spłynąć wraz z deszczem do studzienki kanalizacyjnej na Picadilly Circus nawet teraz, kiedy nic mnie już nie kusi i nie wiąże z życiem, to co mi pozostaje?

Wiem z absolutną pewnością, że to jest dno, najgorsze uczucie znane człowiekowi. Nie jest to wielkie, spektakularne załamanie nerwowe, lecz coś bardzo pospolitego. Dnem jest niemożliwość pogodzenia się z faktem, że zgubiłeś się na Picadilly Circus. Dnem jest niemożność radzenia sobie z codziennością, która sprawia, że nawet najwspanialsze, najpiękniejsze rzeczy stają się nie do zniesienia. O Noahu można przecież powiedzieć dużo więcej niż to, że nie chce pytać obcych ludzi o drogę do Savoyu. Facet jest epikurejczykiem, rozkoszuje się życiem, chce tylko dzielić się ze mną swoją radością i majątkiem. Nie mieści mu się w głowie, że wszystkich moich smutków nie uleczy jedno BMW. To, że nie potrafił pojąć grozy mojego stanu — zrozumieć ani mnie, ani mojej depresji — jest wadą, która przysłoniła mi jego zalety. Nie potrafię dostrzec, że to, co Noah dla mnie robi, nie rozumiejąc mnie, ma niemal większą wartość niż gdyby robił to z pełnym zrozumieniem. Noah obdarza mnie swoją troskliwością bezwarunkowo, nie dlatego, by moje kłopoty miały dla niego jakiś sens, ale ponieważ lubi mnie mimo wszystko. Żywi dla mnie uczucia zdecydowanie ojcowskie. Jest dla mnie miły, ponieważ wierzy, że jest we mnie coś dobrego, choć dowody świadczą inaczej. Wszystko opłacił, wszystko załatwił, nawet oddzielne łóżka w większości czarujących pensjonatów na trasie. Noah próbuje ofiarować mi cenny dar, swoją wersję szczęścia, stara się, jak może. A dla mnie jego szczodrość nie ma nawet połowy tego znaczenia, co fakt, że nie chce zatrzymać się przy krawężniku i zapytać o drogę.

Dnem jest uczucie, że na życie składają się wyłącznie złe chwile. Dnem jest mój krzyk na Noaha:

— Do cholery, może tobie się to wydaje zabawne, ale ja jestem wykończona, jestem przybita, wyjeżdżam z tego kraju żywa tylko dlatego, że samobójstwo w Londynie wydaje się takie niepotrzebne i jeżeli natychmiast nie zapytasz o drogę, uduszę cię gołymi rękami!

Dnem jest utrata ostrości widzenia, kiedy nie można ujrzeć świata takim, jakim jest naprawdę, dostrzec dobra i piękna. Można się tylko dziwić, dlaczego, u licha, rzeczy wydają się takie, a nie inne. Jakby cokolwiek mogło wydawać się dobre w tej melancholijnej mgle! Próbowałam przecież ułożyć sobie życie z mężczyzną w niczym nie przypominającym Noaha. Rafe był zawsze gotowy cierpieć ze mną, był chłopakiem-psychoanalitykiem. Mimo to czułam się z nim równie źle jak z Noahem i to smutne odkrycie ukazuje mi nowe piekło, w jakim się znalazłam. Żaden mężczyzna nie rozwiąże moich problemów, nikt mnie nie uratuje, bo jestem na to zbyt chora. Przed laty, przed wielu, wielu laty, w szkole średniej, albo jeszcze wcześniej, prawdziwa miłość mogłaby zapewne rozrzedzić opary w moim mózgu i naprostować moje myśli. Kiedy dotarłam do Anglii było już za późno.

XIII

Obudziłam się dziś rano z lękiem, że trzeba żyć

Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach powrót do domu nocą nie bywa przyjemny. Kiedy stoję w drzwiach mojego mieszkania w Cambridge mam wrażenie, że sofa, nadal okryta białym pokrowcem, zaraz mnie pożre. Również krzesła wydają się drapieżne. Wybitnie surrealistyczne plakaty, którymi udekorowałam ściany w salonie, wyglądają jak uśpione demony. Zupełnie nieświadomie przerobiłam to miejsce na plan filmu Salvadora Dali albo Luisa Bunuela. Czekam aż zegary zaczną się stapiać, meble przeinaczać. Rzecz jasna, moja sypialnia jest najbardziej upiorna ze wszystkich pomieszczeń w tym domu. Czarna zasłona, która kiedyś wydawała mi się tak piękna, teraz jest po prostu żałobna.

Powinnam zapakować rzeczy, które chcę zabrać do Stillmana — ubranie, kosmetyki — ale po co? Niczego nie chcę, niczego nie potrzebuję. Jeżeli o mnie chodzi, nigdy już nie pozbędę się drelichowych spodni i bluzy, które mam na sobie od powrotu z Anglii. Muszę pamiętać, żeby zostawić kartkę: „W tym chcę być pochowana, to jest mój podziemny strój galowy”. Ponieważ od tej chwili nie będę już miała okazji się przebrać. Kąpiel wydaje się bezsensownym aktem, podobnie jak sianie łóżka, mycie zębów i czesanie włosów. Czyszczenie i brudzenie, brudzenie i czyszczenie. Nieunikniony schemat rozwoju i regresu, z którego składa się życie, jest dla mnie zbyt absurdalny, by mu się dalej poddawać. Jestem jak Esther Greenwood w „The Bell Jar”, która po trzydziestu dniach w tym samym czarnym swetrze uświadamia sobie, że nigdy już nie chce myć włosów, że konieczność powtarzania tej czynności zbyt ją męczy, że chce raz umyć włosy i mieć to z głowy. W chwili, gdy zagadnienie mycia włosów urasta do problemu filozoficznego, człowiek wie, że pochłonął go obłąd. Jeżeli chodzi o mnie, ostatni prysznic, jaki wzięłam, był ostatnim, jaki kiedykolwiek wezmę.

Resztki woli, by wyzdrowieć umknęły mi gdzieś, uciekły ze mnie do Atlantyku, kiedy nad nim przelatywałam. Przez bardzo długi czas moja depresja wydawała się czymś złym, wydawała się zewnętrznym dodatkiem, zapasową, zbytęczą odnogą życia, które powinno być szczęśliwe. Już w to nie wierzę. Teraz wierzę, że jestem przybita,

ponieważ tak być powinno. Wierzę, że istota życia — nawet tego normalnego, zdrowego na umyśle życia — znużyła mnie i będzie nużyła nadal. Nawet jeżeli dorosnę, wyjdę za mąż, urodzę dzieci i będę robiła wszystkie te radosne rzeczy, doświadczę po drodze tylu nieszczęść i cierpień, że mogę oczekiwać tego tylko z lękiem. Będzie jeszcze tylu Rafe'ów, tyle rozstań, tyle miłosnych cykli, od uniesień pierwszego pocałunku do rozpaczyny rozstania! Rozumiem, że jest to najlepszy model dobierania się w pary — po prostu nie potrafię się do niego dostosować. Już teraz jestem ruiną, niepełnym tworem. Nigdy nie zostałam wyposażona w cechy, które pozwalają ludziom radzić sobie z tak zwanym dniem powszednim. Nie zostałam wyposażona w żadną duchową sprężystość, nie potrafię płynąć z prądem, nie potrafię stać na rozchwianym pokładzie. Kiedyś, dawno temu, posiadałam tę umiejętność, teraz jest już za późno. Lata depresji ograbiły mnie z tego... daru, tej elastyczności spojrzenia, zwanej perspektywą.

Już jej nawet nie pragnę. Uważam, że jest pewna prawość w mojej nietolerancji. Dlaczego reszta świata godzi się na hipokryzję, skrywanie cierpienia za uśmiechem, godzi się na to, by trwać dla samego trwania? Dlaczego ludzie godzą się na wszystkie upokorzenia, które są nieodłączną częścią ich życia? Nie znam odpowiedzi na te pytania. Wiem tylko, że ja już tego nie potrafię. Mam dość niestałości życia, dość ciągłego próbowania od nowa. Wypadam z gry. Mam dość. Jestem taka zmęczona. Mam dwadzieścia lat i jestem wykończona.

Idę do Stillmana tylko dlatego — jeżeli pominąć fakt, że przyjadą po mnie panowie w białych kitlach — że jestem zbyt zmęczona, by zrobić cokolwiek innego. popełnienie samobójstwa wymaga energii i woli, ja nie mam ani jednego, ani drugiego. Doktor Sterling obiecuje mi nowy, ale nie wie, że ja poddałam się już pragnieniu śmierci. Nie chcę wyzdrowieć. Mam tylko nadzieję, że ten nowy lek pozwoli mi zaplanować własny koniec, zebrać prochy, albo opracować inną metodę destrukcji, tak, by to samobójstwo było udane, żeby nie stało się żalosną manifestacją rozhisteryzowanej dziewczyny, która woła o pomoc. Bo ja już nie chcę ich pieprzonej pomocy.

Staralam się unikać słowa „obłąd” w odniesieniu do mojego stanu. Wymyka mi się od czasu do czasu, choć go nienawidzę. Obłąd nie jest właściwym określeniem na to, co dzieje się w umysłach ludzi, którzy tracą rozum. Jest zbyt ekscytujące, zbyt literackie, zbyt interesujące w swoich konotacjach, by oddać nudę, powolność, posępność, przygnębienie, te wszystkie atrybuty depresji.

Obłąd kojarzy się z Zeldą Fitzgerald, z jej bogatym, cudownym, wzniosłym szalem duchowym. Kojarzy się z kazirodczym końcem rodziny Aureliana Buendii w „Stu latach samotności”. Obłąd jest atrybutem gorących temperamentów Południowej Ameryki, głębokiego Południa, Borge'ow, Cortazarów, Williama Faulknera i Tennessee Williamsa. Obłąd jest rozkoszą, przerażającą na swój sposób, ale mimo to bardzo widowiskową, jest prawdziwą gratką dla gapiów, którzy patrzą, nie mogą oderwać oczu od potworności. Obłąd to Jim Morrison balansujący sugestywnie na parapecie apartamentu na piętnastym piętrze w Château Marmont; to Elizabeth Taylor i Richard Burton w „Kto się boi Virginii Woolf?”, wypruwający sobie bebechy w szybkich najazdach kamery; to Eddie Sedgwick z całą swą anemiczną, anoreksyjną urodą, faszeryjąca się amfetaminą, tańcząca na stole w Ondine; to Kurt Cobain z Nirwany, wyglądający jak człowiek chory, bardzo chory, jak człowiek potrzebujący pomocy, afiszujący się swoją depresją; to Robert Mitchum z wytatuowanymi kłykciami w „Night of the Hunter”; to Pete Townsend rozbijający na drobne kawałeczki swoją piękną gitarę; to każda wspaniała chwila rock and rolla i prawdopodobnie każda wielka chwila kultury masowej.

Ale depresja jest nudą w czystej postaci. Terminu „depresja” używa się i nadużywa ostatnio, ale nigdy w związku z czymś dzikim, szalonym, nigdy w odniesieniu do kogoś, kto przetańczył całą noc z abazurem na głowie, a potem poszedł do domu i się zabił. Elegancja i piękno Cio-Cio-San, która wykrwawia się na śmierć w „Madame Butterfly”, podwójne samobójstwo w „Romeo i Julii”, oto domena obłąd. Słowo „obłąd” pozwala jego użytkownikom celebrować cudze cierpienie, pozwala im zapomnieć, że za całym tym aktorstwem i wspaniałą poezją i piękną prozą kryje się ktoś, kto tkwi w brzydkiej, przewlekłej agonii.

Dlaczego każde opracowanie na temat Roberta Lowella, Johna Berrymana, Anne Sexton, Jean Stafford i innych pisarzy i artystów, podtrzymuje tezę, że ich geniusz był wynikiem obłąd? Bez wątplenia łagodny smutek był natchnieniem wielu artystów, ale nie jest chyba tajemnicą, że większość z nich pławiła się w paraliżującej rozpacz. Jeszcze żaden artysta nie stworzył nic podczas ataku depresji. Jeżeli był maniako-depresyjny, pracował podczas hipomanii, twórczego okresu poprzedzającego fazę maniako-depresyjną. Jeżeli był jednobiegunowy, tworzył w okresach wytchnienia. Nie chcę przez to powiedzieć, że należy odebrać smutkowi należne mu miejsce pośród muz poezji i prozy, ale nie nazywajmy tego obłądem, nie udawajmy, że stan duchowy twórców jest interesujący sam w sobie. Nazwijmy to depresją i przyznajmy, że jest nudna. Jasne, obłąd przyciąga tłumy, sprzedaje bilety, sprawia, że „National Enquirer” utrzymuje się w biznesie. A jednak tylu depresyjnych cierpi w milczeniu, w samotności, jakoś tak niepozornie, aż do chwili, gdy zawładnie nimi obłąd, którego już się nie da zignorować. Depresja to taka niecharyzmatyczna choroba, tak różna od rozedrganej żywotności, z jaką kojarzy się obłąd.

Zapomnijmy o nielicznych godzinach w krótkim życiu Sylvii Plath, kiedy mogła pisać wiersze. Wyliminujmy te okruchy czasu i weźmy pod uwagę dni, miesiące, lata, kiedy nie mogła się poruszać, nie mogła myśleć, mogła tylko leżeć w szpitalnym łóżku i wyglądać z utęsknieniem efektów leczenia prądem. Nie twórzmy sobie mentalnego obrazu ładnej młodej kobiety w chwili, gdy wiozą ją na terapię elektrowstrząsową. Nie twórzmy sobie psychodelicznego obrazu tej samej kobiety w chwili, gdy zostaje podłączona do prądu. Myślmy o niej samej, o tym, co musiała wtedy czuć. Żadna poezja, żadna sława i fascynacja nie mogła stanowić zadośćuczynienia za jej cierpienie. Kiedy decydujemy się popełnić coś tak drastycznego, jak wsadzenie głowy do piecyka gazowego, pamiętajmy o tym, że życie, które poprzedziło ten akt, było jeszcze gorsze. Pomyślmy o życiu w depresji z dnia na dzień, z sekundy na sekundę. Takie życie nie jest warte żadnego dzieła sztuki, które powstaje jako efekt uboczny cierpienia.

Doktor Sterling przyjmuje mnie do Stillmana i stara się przede wszystkim znaleźć właściwy dla mnie lek. Widać jasno, że cały eksperyment z mellarilem zakończył się klęską, może nie była to klęska druzgocąca, ale zważywszy na mój obecny stan i postępy, jakie poczyniła choroba, można śmiało powiedzieć, że mellaril mi nie służy.

Zanim wyjechałam do Anglii, odbyłam konsultację w Klinice Chorób Psychiczych z Kręgu Cyklofrenni, gdzie lekarze piali z zachwytem nad fluoksetyną, zwaną prozakiem. Uznali, że jestem idealnym kandydatem do tego leku i aż się palili, by poddać mnie eksperymentowi w zamian za darmowe leczenie i opiekę lekarską. Ale ja wyjeżdżałam do Londynu, a poza tym doktor Sterling jest konserwatystką, jej zdaniem fakt, że coś jest nowe i że wszyscy radykalni psychofarmaceuci u McLeana dostali pierdolca na tym tle, nie oznacza jeszcze, że należy to łykać. Fluoksetyną nie była wtedy stosowana nigdzie poza McLeanem i innymi ośrodkami badań farmakologicznych.

Doktor Sterling uważa, że powinnam poznać pełen przekrój dostępnych leków. Nawet jeżeli koniec końców opowie się za fluoksetyną, powinnam wiedzieć, co wpłynęło na jej decyzję. Po pierwsze, mamy typowe leki antydepresyjne,

wynalezione i zastosowane w latach pięćdziesiątych: tofranil, elavil i norpramin, dostępne jako imiramina, amitriptylina i desipramina. Leki te pobudzają wydzielanie noradrenaliny i serotoniny, dwóch związków chemicznych — znanych jako przekaźniki nerwowe — które organizm chorego nie wytwarza lub nie używa właściwie. Zasadniczo leki te uniemożliwiają komórkom wchłanianie tych przekaźników i w ten sposób pozwalają im krążyć i pobudzać komórkę nerwu. Psychiatrzy stosują te leki z dużym powodzeniem, choć mają one irytujące skutki uboczne — senność, przyrost wagi, suchość w ustach, zaparcia, zaburzenia wzroku.

Następne w kolejności są inhibitory iksydazy monoaminowej (MAOI), nardil i parnate, leki antydepresyjne, które zapobiegają rozpadowi nadwyżki neurotransmitorów i w ten sposób tworzą zapasy w systemie złączy nerwowych. MAOI oddziałują na poziom noradrenaliny, serotoniny i dopaminy, ale wymagają zachowania ścisłej diety, co dla osoby dotkniętej melancholią może okazać się zbyt trudne. Podczas kuracji nie można jeść pewnych serów, ogórków, octu, pić czerwonego wina, o czym lekarze dowiedzieli się dopiero po śmierci pacjenta biorącego MAOI (córka prawnika i pisarza Sidneya Zioną, Libby, zmarła w szpitalu na skutek pomyłki lekarza, który zaaplikował jej niebezpieczną mieszankę leków; przypuszcza się, że nardil był jedną z substancji, które wywołały śmierć). Istnieje poza tym obawa, że pacjent o skłonnościach samobójczych wykorzysta lek do zadania sobie stosunkowo przyjemnej śmierci, poprzez zjedzenie kawałka sera stilton albo wysączenia kieliszka chianti.

No i mamy prozac. W owym czasie był tak nowy, że doktor Sterling nadal używała nazwy fluoksetyna. Prozac, podobnie jak zoloft, paxil i inne leki tego typu, działa tylko na poziom serotoniny, ale za to z dużą skutecznością. Ponieważ zakres działania fluoksetyny jest bardzo zawężony, ma ona mniej skutków ubocznych.

Ludzie od McLeana mocno zalecają fluoksetynę, ponieważ po wielu dyskusjach zdiagnozowali moją przypadłość jako „depresję nietypową”. Myliło ich występowanie okresów maniakałnych (na przykład okres ożywionej działalności w Dallas) wskazujących raczej na chorobę o podłożu maniakałno-depresyjnym lub cyklotymię, łagodniejszą formę depresji. Ale w końcu diagnostycy doszli do wniosku, że moje stany przygnębienia są zbyt uporczywe, bym mogła być dwubiegunowa. Depresja nietypowa jest długotrwała i chroniczna, choć nastrój chorego może ulec chwilowej poprawie na skutek bodźców zewnętrznych. Ta diagnoza zdawała się lepiej wyjaśniać, dlaczego bywam szczęśliwa i pełna energii, choć prędkiej czy później wracam do zwykłego stanu przygnębienia. Okazuje się — co było dla mnie zaskoczeniem, ponieważ zakładałam, że wszystkie depresje ciągną się latami — że pacjent z depresją typową wpada w przygnębienie na skutek takich czy innych przypadków losowych, uczęszcza na terapię, rozpracowuje problem, zażywa jakiś lek i po pewnym czasie przychodzi do siebie. W przypadku gwałtownego przebiegu depresji typowej pacjent dostaje kompletnego świra, łąduje w szpitalu psychiatrycznym, albo podejmuje próbę samobójczą i przychodzi do siebie w wyniku intensywnego leczenia. W obu scenariuszach symptomy osiągają punkt szczytowy, po czym słabną.

Nietypowy depresyjny przypomina trochę chodzącą śmierć. Pozornie funkcjonuje, prowadzi w miarę normalne życie, choć jest bez przerwy przygnębiony, niemal zawsze uwikłany w myśli samobójcze. Nietypowa depresja nie jest drobną niedyspozycją, lecz poważnym schorzeniem, które pozwala jednak choremu na prowadzenie pozornie normalnego życia, ponieważ z czasem staje się jego częścią. Kłopot w tym, że nie leczona przybiera na sile i chory popełnia samobójstwo z czystej frustracji, jaką jest życie, zarazem efektywne i pełne rozpaczy.

Depresja nietypowa nie ma punktu kulminacyjnego, nie ma logicznego uwarunkowania, za to nawarstwia się latami i może doprowadzić swoją ofiarę do stanu takiej desperacji, że chory nie zawraca sobie nawet głowy terapią, tylko od razu popełnia samobójstwo.

Doktor Sterling, lekarze w McLeanie i wszyscy psychiatry, z którymi się zetknęłam, przyznają zgodnie, że nie mają pojęcia, dlaczego akurat serotonergiczne działanie fluoksetyny jest skuteczne w leczeniu depresji nietypowej. Doktor Sterling przepisałaby mi imipraminę wiele miesięcy temu, ale wszystkie znane jej przypadki chorobowe dowodziły jasno, że nie byłoby to z pożytkiem dla mnie. Ponieważ MAOI są wysoce toksyczne w zestawieniu z pewnymi artykułami spożywczymi, doktor Sterling nie mogła zastosować ich u mnie. Zresztą, za najlepszą metodę leczenia depresji nietypowej uważano wówczas terapię. Teraz, kiedy na rynku pojawiła się fluoksetyna pod postacią prozacu, wszystko wskazuje na to, że znaleziono w końcu chemiczne antidotum na tę chorobę.

Dziwne rzeczy dzieją się ze mną, kiedy tak leżę w łóżku u Stillmana, a doktor Sterling wyjaśnia mi, na co jestem chora i jak można temu zaradzić. Sprowadzenie mojej sytuacji do paru naukowych terminów, do choroby, o której mogę poczytać w podręczniku Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychiatrycznego, budzi nową nadzieję. Nie jestem chora na typową depresję — jestem chora na nietypową depresję! Kto by pomyślał, że istnieje nazwa na określenie tego, co się ze mną dzieje! W książce „Zrozumieć depresję” doktorzy Donald F. Klein i Paul H. Wender charakteryzują nietypowych depresyjnych jako ludzi, którzy „reagują pozytywnie na szczęśliwe przypadki losowe, są w stanie cieszyć się drobnymi przyjemnościami jak jedzenie, czy seks, mają skłonność do nadmiernego spania i objadania się. Ich depresja, która jest chroniczna raczej niż periodyczna, i której korzenie tkwią zwykle w okresie młodzieńczym, przejawia się głównie brakiem energii i zainteresowania życiem, brakiem inicjatywy i ogromną wrażliwością na odtrącenie — zwłaszcza o podłożu romantycznym.” Jest to szczegółowa lista moich przypadłości. Nagle czuję się o wiele mniej samotna. Przez tyle lat zastanawiałam się, co jest ze mną nie w porządku, dlaczego czuję się tak fatalnie, a nie mogę rozpaść się całkowicie. Przez całe lata myślałam, że nie otrzymam pomocy, o ile mój stan nie pogorszy się drastycznie. Byłam jak ktoś, kto chce pójść do pracy, ale wie, że nie zarobi tyle, ile wynosi zasiłek dla bezrobotnych, więc pogrąża się w nędzy, żeby otrzymać pomoc społeczną.

Doktor Sterling mówi, że od początku podejrzewała mnie o depresję nietypową, ale nie wspomniała mi o tym, ponieważ jest przeciwniczką klasyfikowania symptomów depresji, dopóki nie trzeba przepisać leku antydepresyjnego. Pojawia się prozac i nagle mamy diagnozę. Wydawało mi się to dziwnie nielogiczne: według mnie, to zdefiniowanie choroby powinno zaprowadzić nas do fluoksetyny, a nie wynalezienie leku do mojej diagnozy. O wiele później dowiedziałam się, że jest to zwykle zjawisko w psychiatrii. Wynalezienie leku na schizofrenię sprawi, że znacznie więcej pacjentów zostanie uznanych za schizofreników. Jest to ściśle marksistowska psychofarmakologia, gdzie środki materialne — w tym przypadku farmakologiczne — determinują sposób interpretowania historii choroby. Ale moje obecne położenie nie sprzyja krytykanctwu. Uświadamiam sobie po prostu po raz kolejny, że moja depresja rozwijała się stopniowo, a potem nagle — pozorny paradoks, ale właśnie dlatego jest to depresja nietypowa.

Działanie antydepresantów nie jest, niestety, natychmiastowe. Na efekty trzeba czekać od dziesięciu dni do trzech tygodni, a czasem nie wystarczy nawet sześć tygodni. Nic więc dziwnego, że bez mellarilu, bez mojej małej, jasnobrazowej petardy, pozbawiona podpory chemicznej, czuję się parszywie w pierwszych dniach proza-ca. Koleżanki przyniosły mi mojego panasonika — tego samego, przy którym cięłam nogi żyłkami w szatnianych czasach — leżę więc na łóżku w pozycji embrionalnej i słucham Lou Reeda. Wykoślawiona poezja Boba Dylana i miłosne bluzy Joni Mitchell nie wydają mi się już takie prawdziwe. „Boję się odebrać telefon, boję się zapalić światło”. Słucham ciągle tej samej piosenki, tych samych słów, tego samego burkliwego głosu, ciągle od nowa.

Zastanawiam się, jak długo mogę tu leżeć czekając aż fluoksyna zacznie działać. Ale taki właśnie jest plan. Mam tu leżeć tak długo, jak to będzie konieczne. Myślę o wierszu Johna Berrymana, w którym mówi o tym, że leży pod zielonym drzewem, a może nagim drzewem, bezlistnym, pod wierzbą płaczącą, i czeka na swą szczęśliwą godzinę. „I w skupieniu czekam na radość”, to ostatnie zdanie. Ja chyba robię to samo. Czekam, czekam, czekam. Czekam na Godota. Czekam na Roberta E. Lee.

Będzie już trzy tygodnie, jak się kąpałam, jestem taka brudna i złamana, że nie czuję się już człowiekiem. Czuję się jak drób, kurczak przechodzący czterdzieści cztery inspekcje, zanim powędruje do sklepu. Sanitariusz przychodzi każdego ranka i wsuwa mi igłę w żyłę i termometr w usta, jakbym była chora w sensie fizycznym, jakbym była tutaj z zapaleniem płuc, mononukleozą albo inną normalną chorobą.

Doktor Saltenstahl przychodzi do mnie parę razy dziennie. Przy każdych odwiedzinach mówię jej mniej więcej to samo:

— Nigdy nie czułam się tak przygnębiona. Nie widzę żadnego powodu, żeby żyć.

A ona zapewnia mnie, że pewnego dnia, kiedy wypracuję sobie filozofię życiową i odnajdę cel, będę szczęśliwa. Będę zdrowa. Oznajmia, że lek, który biorę jest znakomity, działał cuda w leczeniu maniakalno-depresyjnych, którym nic innego nie pomagało.

— Daj mu czas.

Doktor Sterling przychodzi do mnie parę razy dziennie. Mówię jej to samo, co mówiłam doktor Saltenstahl, że fluoksetyna nie działa dość szybko. A ona mówi:

— Daj jej czas.

Boże, ależ bym chciała, żeby psychiatrzy, z którymi mam do czynienia, wiedzieli, co znaczy rozpacz! Żeby wiedzieli, jak to jest budzić się każdego ranka z przerażeniem, że trzeba żyć. Doktor Sterling powtarza, że lek zacznie działać za tydzień, dwa. Nie rozumie, że ja nie mam tygodnia, dwóch. Nie rozumie, że ból jest tak straszny, że ja już nie chcę żyć. Gdyby powiedziała mi, gdyby mi obiecała, gdyby zagwarantowała, że za dziesięć dni fluoksetyna postawi mnie na nogi, nie miałyby to dla mnie już żadnego znaczenia. Wyzdrowienie nie byłoby warte tych dni, tych godzin.

Próbuję wyjaśnić to doktor Sterling i choć naprawdę mi współczuje, stać ją tylko na to, by powiedzieć:

— Jak mam cię przekonać, że pomoc jest w drodze? Jak mam cię przekonać, że wkrótce poczujesz się lepiej?

— Nie może pani. Nie odpowiada.

— Chcę elektrowstrząsów — mówię. — Czytałam ostatnio, że przyniosły niezłe efekty w leczeniu beznadziejnych przypadków. Albo dajcie mi morfinę. Chcę czegoś, co zadziała natychmiast!

Podczas tej rozmowy leżę zupełnie nieruchomo na boku, z włosami przyklejonymi do głowy niby gruba warstwa brązowej farby olejnej, poduszka tłumi mój głos. Mówię jednostajnym tonem, słowa dobiegają do mnie z wielkiej odległości. Wiem, że osoba leżąca w moim łóżku jest tak przybita, że prosi o terapię elektro-wstrząsową, chociaż wie, że w dotychczasowej historii medycyny wstrząsy aplikowano niemal wyłącznie pacjentom, którzy błagali, by im tego oszczędzić, ale jestem w takim stanie, że moja prośba nie wydaje mi się dziwna. Zrobiłabym wszystko, by poczuć się lepiej. Nawet leukotomię czołową.

— Posłuchaj! — mówi doktor Sterling, odpychając się od parapetu, o który się opiera. — Wiem, że naprawdę cierpisz, ale muszę to przemyśleć. — Zabiera kask, rower i idzie w stronę drzwi. — Jestem pewna, że fluoksetyna zacznie wkrótce działać. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby przepchnąć cię jeszcze przez parę dni. Minął już tydzień i

uważam, że ci się polepszyło. Może tego nie widzisz, ale ja o tym wiem. Twoje samopoczucie jeszcze nie uległo poprawie, natomiast wyglądasz dużo lepiej.

Spoglądam na nią, ze swojego odległego punktu obserwacyjnego, jakby była niespełna rozumu.

— Proszę na mnie spojrzeć — bełkoczę. — Naprawdę uważa pani, że wyglądam lepiej?

Może nie dla postronnego obserwatora, ale ja ci się przyglądam bardzo uważnie i widzę postępy, choć za każdym razem, gdy tu wchodzę leżysz w tej samej pozycji. — Drapie się w zamyśleniu w głowę. — Zwiększę ci dawkę fluoksetyny z jednej do dwóch tabletek dziennie. Jestem pewna, że to zadziała. Uważam również, że powinnaś wyjść ze szpitala. Nie jest to typowe postępowanie, ponieważ w twoim stanie powinnaś być chroniona, ale uważam, że takie leżenie w oderwaniu od wszystkiego nie może ci wyjść na dobre. Mamy tu do czynienia z pewnym schematem: to, co jest rozwiązaniem, po pewnym czasie staje się częścią problemu i trzeba szukać nowych rozwiązań. Na dworze świeci słońce. Idź do domu. Może to pomoże.

Następnego ranka jestem z powrotem w swojej strasznej sypialni, w swoim upiornym mieszkaniu i nadal czekam, aż fluoksetyna zacznie działać. Samantha budzi mnie waleniem w drzwi o dziewiątej rano.

— Dzwoni Elaine z biura twojej matki — mówi, zaglądając do pokoju. — Twierdzi, że to ważne.

Chcę prosić Samanthę, żeby przeciągnęła przewód telefoniczny do mojego pokoju, czego oczywiście nie może zrobić, ponieważ jest to fizyczna niemożliwość. Ilekroć chciałam kupić przedłużacz, byłam zbyt przygnębiona, by pójść do sklepu elektrycznego. Chcę prosić Samanthę, by wymyśliła dla mnie jakieś usprawiedliwienie, ale jednocześnie doznaję uczucia, że będzie lepiej, jeżeli wstanę i zajmę się sprawą osobiście.

— Cześć, Elaine, jak się masz? — pytam, siląc się na uprzejmość.

— Świetnie, dziękuję, Elizabeth! Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale dzisiaj rano twoją matkę napadnięto.

— Mój Boże! — A ja myślałam, że gorzej już być nie może. — Coś poważnego? Jest ranna?

— Facet mocno ją poturbował. Jest cała posiniaczona. I złamał jej rękę. — Odnoszę wrażenie, że pomija jakiś ohydny szczegół, ale po chwili uświadamiam sobie, że to tylko moja paranoja.

— Czy jest ktoś przy niej? Jak to się stało?

— Szła Sześćdziesiątą Piątą Ulicą o szóstej i ten facet ją napadł. Zadzwoiła do mnie ze szpitala i do niej pojechałam. Popłakałyśmy się obie, ale teraz już chyba wszystko w porządku.

— Jezu, chyba powinnam przyjechać.

— Kazała ci powiedzieć, że dobrze się czuje i nie ma potrzeby, żebyś opuszczała zajęcia.

— Ale teraz jest tam sama, tak?

— Przyszła policja ze zdjęciami podejrzanych.

— No i?

— Facet był zamaskowany. Nie widziała go.

— Ach tak...

Wiem, że muszę pojechać, nie wiem tylko, kiedy. Jest piątek. Może w sobotę rano.

— Elaine, powiedz mi, czy z nią wszystko dobrze?

— Jest mocno poturbowana.

Elaine nie wie, o co ją pytam. Pytam: Czy ona traci rozum? Czy ktoś ją odwiedza? Znam matkę. Jest odludkiem. Nigdy nie wyszła ponownie za męża, nie pape godzinami z psiapsiółką przez telefon, nie bardzo układa jej się z siostrą, rodzice zdziecinnili na starość, a dziadek zastanawia się, jakie mleko ma wypić na śniadanie: zielone czy różowe. Jestem wszystkim, co jej zostało i rozpadam się.

Kiedy do niej dzwonię, mówi, żebym nie przyjeżdżała. Ale zaczyna płakać, mówi, że ten facet nie musiał jej pobić, że oddałaby mu torebkę i bez tego. Pyta, dlaczego grzmocił ją pięściami i kopał w twarz, kiedy leżała na ziemi. Chce wiedzieć, dlaczego skrzywdził ją, choć oddała mu torebkę. Potem mówi, że nigdy nie aresztują tego faceta, ponieważ ona nie potrafi go zidentyfikować, i że przez resztę życia w każdym młodym czarnym mężczyźnie będzie dopatrywała się napastnika. A ja nie wiem, co powiedzieć, nie przychodzi mi do głowy żadne gówniane pocieszenie. Ale obiecuję, że wsiądę w pierwszy poranny samolot.

Wracam do łóżka i modlę się o dawkę adrenaliny, błagam Boga, żeby zmusił fluoksetynę do działania, by obdarzył mnie całą wielkością ludzkiego ducha, bym mogła stanąć na wysokości zadania i zaopiekować się matką.

Sala w szpitalu Roosevelta jest wielka i wykafelkowana. Wygląda jak chłodnia. Chłodnia mięsna albo kostnica. Roosevelt wcale nie jest przytulny, nie jest taki jak Stillman. Podchodzę do jej łóżka i oto jest, ta drobna osóbką z ręką w gipsie, śliwką pod każdym oknem, posiniaczoną twarzą. Jest paletą fioletów, żółci i błękitów, i wydaje się zupełnie nie na miejscu w tym łóżku, jakby trafiła w nie przypadkiem spadając z nieba. Zaprzęta mnie jedna myśl: sala jest taka duża, a ona taka mała, nikt jej tutaj nie znajdzie. Zniknęła w kosmosie, przytrafiło jej się to, czego ja się zawsze bałam.

Wygląda na to, że jestem jedyną osobą, która może ją odszukać.

Upiera się, że nie chce widzieć nikogo, prócz mnie. Zastanawiam się, czy zdołam przestać myśleć o samobójstwie przynajmniej na tak długo, by się nią zaopiekować. Ludzie okupujący tę wielką salę tkwią we własnych mikro-kosmosach bólu, wydają jęki i steki w regularnych odstępach czasu, jakby chcieli zaznaczyć, że jeszcze żyją. Mają sine nogi, szyje podtrzymywane na tułowiu przez przyrządy, które przypominają klatki dla ptaków, twarze pocięte i pozszywane, z plamami krwi na bandażach. Cała ta dantejska scena, parada przeklętych, wkomponowuje się idealnie w mój nastrój.

— Och, mamusiu! — wołam, kiedy w końcu pochylam się, żeby ją pocałować. — Co się stało?! — Słyszę, że szlocham, jak przy wielkim płaczu, ale nie czuję łez. Instynktownie ocieram oczy, ale są suche. Możliwe, że fluoksetyna wywiera ten sam efekt na kanaliki łzowe co mellaril. To straszne, że odebrano mi moje łzy w takiej chwili.

Ściskam matkę, a ona oddaje mi słaby uścisk, jedno ramię zwisa bezwładnie na moich plecach, jak drzwi z wyrwanym zawiasem. Matka mówi:

— Cześć, kochanie.

Nie chcę słuchać jej opowieści, nie chcę kolejnego powodu, by czuć się podle wobec kogoś, kto ma rzeczywisty powód do rozpaczy, ale wiem, że muszę zapytać

— Mamusiu, bardzo cię boli? Dali ci środki przeciwbólowe?

Widzę już swoją błyskawiczną transformację w bohaterkę, w Shirley MacLaine w „Słodkich słówkach”, która biegnie do zubożonych pielęgniarek i wrzeszczy, że muszą dać Debrze Winger coś przeciwbólowego i to natychmiast! Zastanawiam się, czy sprostim temu zadaniu.

Na szczęście nie będzie to konieczne.

— Tak, nic mi nie jest, naprawdę — mówi matka. Zawsze miała wstręt do pigulek. Należy do tych osób, które lękają się łyknąć aspirynę, kiedy boli je głowa. Należy do tych osób — niech je Bóg zachowa — które nie chomikują recept na perkocan czy kodeinę. Czy to możliwe, żebyśmy były spokrewnione?!

Wygląda na senną, co mnie cieszy, ponieważ muszę wyjść z tej sali. Czuję się bezradna, czuję, że się duszę. Matka jest w gorszym stanie niż była kiedykolwiek w życiu, a ja się zastanawiam, czy temu podołam. Nie podołam, mowy nie ma, nie dam rady! Żałuję, że nie mam rodzeństwa, że matka nie ma faceta, czy choćby najlepszej przyjaciółki, która by mi pomogła. Ale ona chce widzieć tylko mnie.

Mama wychodzi ze szpitala w niedzielę rano. Ciotka i dziadkowie planują powitać ją w domu. Będzie to jedna z tych groteskowych uroczystości rodzinnych, które pokazują w filmach. Oto rodzice odbierają z lotniska swojego syna-żołnierza i starają się nie okazywać przerażenia na widok weterana wojny wietnamskiej przykutego do inwalidzkiego wózka. Trzeba wnieść chłopca do samochodu, wynieść z samochodu, bo sam nie może się ruszyć, trzeba wyprowadzić go do toalety, niby małe dziecko, na miłosierdzie boskie! I trzeba się uśmiechać, okazywać serdeczność i udawać radość z widoku kaleki, który kiedyś był takim krzepkim, przystojnym chłopem. Więc się uśmiechają, ale wyraz ich twarzy zdradza prawdę — są zdruzgotani.

Matka wygląda jak nieboskie stworzenie, kiedy wywożę ją na wózku ze szpitala Roosevelta. Twarz ma nadal w cętki, obrzmiała, w odcieniach burgunda, khaki, szarości. Ponieważ tamtego fatalnego ranka niosła torebkę na nowojorską modłę — pasek przez pierś, żeby zabezpieczyć się przed złodziejami — bandyta musiał się nieźle natrudzić, żeby ją zdjąć. W rezultacie złamał matce rękę i teraz będzie musiała poddać się operacji. Niektóre nerwy zostały porażone, a prawe ramię nigdy już nie będzie w pełni sprawne. Na szczęście jest leworęczna, ale przez parę dni będzie zupełnie bezradna. A mnie zalewa czarna fala.

Kiedy pakuję matkę do taksówki, upycham torbę na zakupy i zakrwawione ubranie, próbuję okazać troskliwość. I chyba mi się to udaje, choć tak naprawdę jest mi wszystko jedno. Czuję się zobowiązana jej pomóc, ale jestem pochłonięta własnym nieszczęściem i prawie jej nienawidzę za to, że zwała mi się na głowę. Ogólnie rzecz biorąc, nie ma jak nagły kryzys, by wyrwać melancholika z paskudnego nastroju i zmusić do działania. Ale ja jestem już poza sferą oddziaływania adrenaliny, po prostu poddaję się zdarzeniom, zmuszam się do tego, by okazać zainteresowanie. Nienawidzę się za to, że jestem taka przybita i nienawidzę matki, która bardzo pragnie, żebym była inna. To oburzające, że myślę o tym w takiej chwili.

Myślę o życiu, jakie matka prowadziła przed moim urodzeniem. Niewiele łączyło ją z rodzicami i siostrą, niewiele miała wspólnego z moim ojcem, więc kiedy urodziła dziecko, pomyślała pewnie: „Nareszcie mam kogoś tylko dla siebie”. Przypuszczam, że macierzyństwo jest dla większości kobiet jedynym sposobem, by zaspokoić instynkt posiadania i dominacji. Matka jest w tej chwili bezradna jak niemowlę, ale mimo cierpienia fizycznego doznaje jednak pewnej radości. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu, dzięki zbiegowi okoliczności, odzyskała to, co było wyłącznie jej. A ja się boję, że nie sprostim jej oczekiwaniom.

Przeżyłam wizytę krewnych w półśnie, w półtransie. Babcia dzielnie podtrzymywała rozmowę w ponurym kółku rodzinnym, kiedy zasiedliśmy do zaimprovizowanego lunchu. Na wszystkie jej pytania odpowiadałam:

„Przepraszam, babciu, co mówiłaś?” Łapałam talerze i wynosiłam do kuchni w chwili, gdy się opróżniły. Gotowa byłam na wszystko, byle urwać się na minutę lub dwie. Nigdy jeszcze nie sprzątałam ze stołu i nie ładowałam zmywarki do naczyń z taką skwapliwością.

Babcia pytała raz po raz, co mi jest, dlaczego jestem taka zmęczona i posępna. Usłyszałam odpowiedź matki:

— Miała ciężki dzień.

W którymś momencie weszłam po coś do mojej sypialni i omal się nie załamalam. Kiedy jestem taka przygnębiona, najmniejszy wysiłek zwala mnie z nóg. Czuję się jak somnambuliczna.

Doktor Sterling zawsze powtarza, że bycie w depresji wymaga wiele energii, powrót do zdrowia wymaga jej jeszcze więcej, i że depresyjni dlatego tak chętnie idą do szpitala, ponieważ jest to jedyne miejsce, gdzie nie muszą wydatkować energii na coś poza depresją. Postanowiłam, że zgłoszę się do szpitala z chwilą powrotu do Cambridge. Wykończy mnie wysiłek, jakiego trzeba, żeby nie zasnąć.

Kiedy krewni w końcu wychodzą, odczuwam ulgę, ponieważ nie radzę sobie z nimi, i przerażenie, ponieważ z Elizabeth Wurtzel nie radzę sobie również. Wracam do pokoju matki, by siąść przed telewizorem i obejrzeć z nią razem „60 minut”.

— Jak się czujesz, mamó? — pytam siadając obok niej.

— Dobrze. Byłaś naprawdę wspaniała. Byłaś naprawdę wspaniała i to bardzo ładnie z twojej strony, że przyjechałaś.

— Mamó, prawdę powiedziawszy, nie wyobrażam sobie, jak poradziłabyś sobie beze mnie albo kogoś bliskiego.

— Chyba się nad tym nie zastanawiałam.

— Tak mi przykro. — Nie wiem, co właściwie chcę powiedzieć, chyba, jak bardzo żałuję, że nie mogę zrobić dla niej więcej. — Jestem taka nieszczęśliwa, czuję się bardziej ciężarem niż pomocą. Mamó, wiesz, że prawie odpłynęłam dzisiaj przy stole?

— Och, Ellie, byłaś wspaniała, naprawdę! Przestań się obwiniać. Tyle dla mnie zrobiłaś!

— Mamó, widzisz, to jest takie... takie straszne, że tyle chcę zrobić, a nie mogę. Ostatnio nie jestem nawet w stanie przeczytać książki do końca. Nie chodzę na zajęcia, nie pracuję, a jestem zupełnie wykończona, jakbym pracowała dziesięć godzin dziennie, siedem dni w tygodniu. Nie mogę nawet obwinie za to Rafe'a, ponieważ czułam się tak na długo przed naszym poznanie. Czuję się parszywie, a nic mi nie dolega i nie mam prawa tak się czuć.

— Ależ, Elizabeth! — mówi ona, najbardziej wyważonym tonem, jaki słyszałam u niej od lat. — Oczywiście, że coś ci dolega. Jesteś w depresji. To rzeczywisty problem, nie urojonego. Oczywiście, że z niczym sobie nie radzisz. Jesteś w depresji.

Nie sądziłam, że ona rozumie. Nigdy dotąd nie uznała głośno mojej choroby. Co się stało? Rozmawiała z kimś? Czy był to efekt środków przeciwbólowych? Dotąd nie potrafiła nawet napomknąć o moich problemach, żeby nie dorzucić paru uwag o tym, co złego uczynił mi ojciec, jak mnie zniszczył, i że to wszystko jego wina. Nie potrafiła przyznać, że mam problem, którym należy się zająć, niekoniecznie wskazując palcem winnego. To był zdecydowanie pierwszy raz.

Dziwne, ale kiedy wypowiedziała te słowa: „Jesteś w depresji”, moja choroba stała się dla mnie czymś realnym. Wprawdzie nadal czułam się jak zewłok — od tego nie było ucieczki — ale przestałam uznawać to za stan chorobowy, stan depresji nietypowej. Cokolwiek sądziła na ten temat doktor Sterling, nigdy nie czułam, bym miała prawo do swojego przygnębienia. Uważałam, że mogłabym się z niego otrząsnąć, gdybym zechciała. Cała profesorska kadra harwardzkiej szkoły medycznej nie byłaby w stanie wmówić mi, że jestem chronicznie chora, przekonało mnie o tym

dopiero jedno zdanie wypowiedziane przez matkę, że depresja jest samoistnym problemem, którym należy się zająć w odpowiedni sposób.

Uścisnęłam ją i pomyślałam: „Ona rozumie. Ona rozumie, więc wszystko będzie dobrze”.

XIV

Myśl o miłych rzeczach

W samolocie do Cambridge pomyślałam, że do tej pory powinnam już doznać jakiego objawienia. Powinnam poznać prawdę o sensie życia, stawianiu czoła przeciwnościom losu, o walce, trwaniu i zwycięstwie. Tak, myślę, że lada chwila, zanim samolot dotknie kołami pasa na lotnisku Logan, doznam objawienia.

Oczywiście, nic z tego! Lata terapii i nic. Leki psychotropowe i nic. Matka zostaje pobita pod własnym domem i nic. Na tym polega problem z rzeczywistością, oto ułuda, jaką tworzy terapia. Zakładasz, że dzięki terapii doznasz serii objawień i prawda odmieni całkowicie twoje życie. Zakładasz, że samo objawienie jest siłą przeobrażeniową. Nic bardziej mylnego! W rzeczywistym życiu możesz lepiej zrozumieć siebie i przyczyny swoich zachowań, możesz powiedzieć sobie, że ta wiedza cię zmieni. Ale najprawdopodobniej nie zmieni. Nadal będziesz tą samą osobą. Będziesz trzymać się swoich destrukcyjnych, wyczerpujących nawyków, ponieważ jesteś do nich bardzo przywiązana — o wiele bardziej niż do jakiegokolwiek objawienia — ponieważ głupstwa, które popełniasz, wiążą cię ze światem zewnętrznym. Są tym, co stanowi, że jesteś sobą. Na przykład, świadomość, że masz skłonność do mężczyzn--nicponi, nie oznacza, że przestaniesz się wiązać z takimi mężczyznami. Oznacza jedynie, że weszłaś na wyższy poziom rozumowania. Wiesz już, że: „to kompleks ojca, w ten sposób odtwarzam związek z przyjacielem matki, który zgwałcił mnie, kiedy miałam dwanaście lat” albo:

„jestem jak narkoman, potrzebuję się sztachnąć. To silniejsze ode mnie”.

Gdyby w życiu mogło być tak, jak w kinie, gdzie bohaterowie wpadają w matnię i wydostają się z niej szczęśliwie pod koniec filmu! W rzeczywistym życiu jest inaczej. W „Kramer kontra Kramer” Meryl Streep pozwala, by syn został z Dustinem Hoffmanem, mimo że wygrała brzydką batalię o opiekę nad dzieckiem. W prawdziwym życiu dorośli walczą o dziecko w sądzie, w telewizji, gdzie się da, i nikt już nie myśli, co jest dobre dla tego dziecka, ale jak wygrać sprawę. W „Breakfast Club” oszust, bogata dziwka, dziewczyna w czerni i uliczny chuligan dochodzą do

porozumienia i w ciągu paru godzin stają się najlepszymi przyjaciółmi. W prawdziwym życiu taka chwilowa sobotnia intymność zaowocowałaby jedynie poniedziałkowym kacem moralnym. Wszyscy wróciliby do dawnych koterii i klanów, do starych szminek i starych okularów słonecznych.

Może lata terapii sprawią, że zmienisz się chociaż trochę. Ale ja nie dysponuję latami. Czy może raczej: lata już minęły. Chcę, żeby było jak w kinie! Chcę, żeby przyszedł do mnie anioł, ten sam, który przyszedł do Jimmy'ego Stewarta w „It's a wonderful life”, i wyperswadował mi samobójstwo. Tylko w ten sposób mogę go uniknąć.

Próba samobójstwa zaskoczyła nawet mnie. Zdawała się zupełnie wyrwana z kontekstu, jak coś, co powinno się zdarzyć przed wieloma miesiącami, kiedy nadzieja umarła, kiedy zerwałam z Rafem, kiedy Anglia okazała się deszczowym koszmarem. W żadnym razie nie teraz, parę dni po powrocie do Cambridge, kiedy nawet ja musiałam przyznać, że fluoksetyna zaczyna działać. Mogłam wstać rano z łóżka, niby nic wielkiego, ale dla mnie był to cud równy rozdzieleniu morza przez Mojżesza. Doszedłszy nagle do wniosku, że powinnam zwrócić matce pieniądze, które wydała na Londyn, udałam się na Brattle Street, do restauracji o nazwie Harvest, gdzie przekonałam menedżera, że podołam pracy kasjerki i nalewacza cappuccino. Były to bez wątpienia oznaki powrotu do równowagi duchowej. Ale odrobina energii u kogoś, komu chodzi po głowie samobójstwo, może okazać się bardzo niebezpieczną rzeczą.

Lepsze samopoczucie w żadnym razie nie obaliło mojej filozofii opartej na założeniu, że życie, razem ze swoimi wzlotami i upadkami, jest, ogólnie rzecz biorąc, do kitu. Napad na matkę wstrząsnął mną, i to porządnie. To była krzyżująca niesprawiedliwość, żeby takie nieszczęście przytrafiło się komuś, kto i tak ma spaprane życie. Och, wiem, dramat mojej matki jest niczym w porównaniu z niedolą bezdomnych kobiet, maltretowanych żon, pechowych alkoholików, którzy stracili pracę, rodziny, domy. Ale jej tragedia wydaje mi się najbardziej uderzająca, po części dlatego że jest taka banalna. Ona tak niewiele chciała od życia: dom na przedmieściu, sympatyczną pracę związaną ze sztuką lub architekturą, miłego męża, który byłby właścicielem firmy na Seventh Avenue albo kierownikiem działu w wielkiej korporacji, na przykład Procter & Gamble. Pragnęła zwyczajnego, dobrego życia. W przeciwieństwie do mnie i wszystkich, których znam, nie marzyła o gwiazdce z nieba. A dostała jej się córka, która jest taką ruiną, że boi się odebrać telefon.

Mój plan był prosty. Zarobię tyle pieniędzy, by oddać matce dług i wtedy się zabiję. Nie obchodzi mnie, jaki lek mi dadzą, jaką sztuczną chęć do życia obudzą we mnie chemikaliami. Nawet jeżeli wyjdę z depresji, nadal będę miała przed sobą lata poronionych romansów, ojca, który nie rozumie, dlaczego z nim nie rozmawiam, cały pokręcony świat, w którym rodziny się rozpadają, a związki są bez znaczenia.

Ciężko mi się do tego przyznać, że religijne wykształcenie nie dało mi wiary w istnienie życia pozagrobowego. Nadal uważam, że istota ludzka, nawet nasze piękne, umęczone dusze, są czymś biologicznym, są wynikiem chemicznych reakcji, które ustają pewnego dnia, a wraz z nimi ustajemy i my. Ale cieszę się na tę pustkę, tę nicność, ten niebyt. Czekam na nie z utęsknieniem. A przynajmniej tak sobie powtarzam. Powtarzam sobie, że się nie boję, że naprawdę chcę umrzeć i dopiero w ostatnim momencie uświadamiam sobie, że jednak chcę zostać ocalona.

Stało się to w biurze doktor Sterling. Przychodzę do niej w niedzielę (prawdę mówiąc, przychodzę każdego dnia, ponieważ próbuje utrzymać mnie przy życiu). Mówię jej, że gdybym miała się zabić, weszłabym do bardzo gorącej wody po ciemku, ponieważ po ciemku człowiek nie widzi, a więc nie boi się i nie wrzeszczy, i przecięłabym sobie żyły nowiutką, błyszczącą żyłką. Potem położyłabym się w wannie i pozwoliła życiu wyciec ze mnie wraz z litrami krwi. Z tego, co czytałam, jest to wyjątkowo skuteczna metoda, jeżeli czasem zawodzi, to tylko na skutek

nieprzygotowania delikwenta. Ludzie nie wiedzą, że żyły należy przeciąż wzdłuż, nie w poprzek, a poza tym robią to przy zapalonym świetle, doznają wstrząsu na widok takiej ilości krwi i panikują. Nie wpadnie im również do głowy przeciąć tętnicę szyjną, co znacznie przyspiesza sprawę. Zapewniam doktor Sterling, że ja tego błędu nie popełnię.

Wybieram nawet podkład muzyczny, przy którym to zrobię. Nic oczywistego, jak Janis Joplin czy Billie Holiday. Byłoby to zbyt banalne, umrzeć przy nagraniach kobiet, które chciały się zabić i które się zabiły. Och, nie! Stać mnie na oryginalność. Nie wykorzystam również nagrań moich ulubionych cierpiętników: Velvet Underground i Joni Mitchell. Nie pójdę śladem obłąkanej młodzieży i nie puszczę heavy metalu, jak te dzieciaki w Reno, w Nevadzie, które odstrzeliły sobie głowę przy dźwiękach „Stained Glass” Judas Priest (chłopak, który przeżył — z silikonową galaretą w miejscu, gdzie kiedyś miał twarz — zaskarżył zespół, twierdząc, że do samobójstwa popchnęły go słowa piosenki). Nigdy czegoś takiego nie zrobię, nigdy nie obciążę moich ulubieńców, Boba Dylana i Bruce'a Springsteena, za swoją śmierć, choć z pewnością wysłucham „Blood on the Tracks” i „Darkness on the Edge of Town”, zanim przystąpię do przecinania żył. Lepiej pozostać przy Rolling Stonesach albo Beatlesach, których nigdy nie lubiłam, może z wyjątkiem pierwszych taktów „Strawberry Fields”, kiedy John Lennon śpiewa: „Let me take you down...” Przy tych słowach chcę opuścić ten świat. „Let me take you down...” To jest to! Tak zrobię, umrę w towarzystwie Johna Lennona.

Omawiając swój plan, ślinię się niby narkoman na myśl o ścieżce koki i doktor Sterling patrzy na mnie, jakbym przyprawiała ją o gęsią skórę.

— Słuchaj, Elizabeth, wobec tego, co tu usłyszałam, nie pozwolę ci wrócić do domu — mówi. — Nie pozwolę, żebyś się zabiła. Zawiozę cię do szpitala.

— Nie powiedziałam, że na pewno to zrobię.

— Wiem. Ale zawsze narzekałaś, że nikt nie bierze twojego wołania o pomoc poważnie. Powtarzasz, że dopiero próba samobójcza z twojej strony przekona ludzi, że potrzebujesz pomocy. — Wzdycha. — Ja ci wierzę. Nie musisz robić nic drastycznego. Możemy od razu pojechać do szpitala. Nie ma wprawdzie wolnych miejsc w Westwood Lodge, wczoraj próbowałam ulokować tam swojego pacjenta, ale możemy spróbować w Mt. Auburn, żabi skok stąd. Wsiądziemy w taksówkę i za dwie minuty będziemy na miejscu.

Doktor Sterling przedstawia mi moje opcje, a wszystkie wydają się nie do przyjęcia. Nie wspomina już nawet o Stillmanie, mówi o prawdziwym wariackowie. Tego nie zniosę. Panicznie boję się zamknięcia, choć doskonale wiem, że nigdy nie jestem wolna, obojętnie czy znajduję się w szpitalu czy chodzę po ulicach. Jestem więźniem kaprysów własnego umysłu. Mimo to nie chcę, żeby mnie zamknęli u czubków. Nie mogę pozwolić się zamknąć, muszę uciec. Imperatyw samobójstwa nie opiera się na logice, jest to coś, co muszę zrobić, w dodatku zaraz. Przypominam sobie wiersz „Wanting to Die”, gdzie Anne Sexton mówi, że pragnienie, by się zabić nigdy jej nie opuszcza, nawet wtedy, gdy nie ma nic przeciwko życiu, ponieważ powód nie jest samobójcy potrzebny. „Samobójcy mają własny język” — pisze Anne Sexton. — „Podobnie jak stolarze, chcą wiedzieć, jakich narzędzi użyć”. Więc jakie narzędzia mam do swojej dyspozycji? Nic specjalnego, nic śmiercionośnego. Jedyne fiolkę mellarilu, którą noszę w torebce zawsze, na wypadek gdyby... Gdyby co? Och, nie wiem, gdyby nadeszła taka właśnie chwila.

Pytam doktor Sterling, czy mogę pójść do łazienki, jakbym była w przedszkolu. Kiwa głową i sięga po kluczyki od wozu. Chwytam torbę i wybiegam z pokoju, pokonuję schody na piętro i czuję się wyzwolona. Powtarzam sobie, że wszystko będzie dobrze, i rzeczywiście wszystko jest dobrze, ponieważ to już koniec. Otwieram drzwi łazienki, przekręcam klucz, wyciągam fiolkę mellarilu, wysypuję tabletki na rękę.

Mam już niezłą wprawę w połykaniu proszków na sucho, bez płynów, ale odkręcam kran, nabieram w dłoń trochę wody i piję, wiedząc, że w ten sposób mellaril szybciej się zmetabolizuje. Sporo było tych tabletek, cała garść, parę upadło nawet na podłogę, ale podejrzewam, że nie jest to dawka śmiertelna, że robię coś, co zawsze było poniżej mojej godności — podejmuję żalosną próbę, z góry skazaną na niepowodzenie. Nie wiem, jaką krzywdę sobie wyrządę, może prześpię parę dni, jak niegdyś na obozie letnim, może mellaril zneutralizuje mózg na jakiś czas. Myśli błądzą bez celu, zwijam się w kłębek pod łazienkowym zlewem. Postanawiam nie opuszczać tego miejsca, dopóki będzie to zależało ode mnie.

Ale słyszę głosy, doktor Sterling wali w drzwi, woła.

— Otwórz, Elizabeth. Otwórz!

W końcu podnoszę rękę i przekręcam klucz. Doktor Sterling widzi mnie pod zlewem i mówi:

— Wstawaj, jedziemy na pogotowie.

W samochodzie zaczynam drzemać, robi mi się niedobrze. Nie chcę zwymiotować, ale coś mi się zdaje, że będę musiała.

— Nigdy nie straciłam pacjenta — mówi doktor Sterling. — Nie pozwolę, żebyś była pierwsza.

— Mam nadzieję, że nie robi tego pani ze względu na statystykę. — Bardzo nieładnie jej powiedziałam. Odwiedzała mnie w szpitalu, odbierała moje telefony o trzeciej nad ranem, a teraz wiezie mnie na pogotowie, wszystko dlatego, że jej na mnie zależy. Mellaril dopada mnie już, ale nie chcę okazać się niewdzięczna, nie chcę, by te niedobre słowa były ostatnią rzeczą, jaką doktor Sterling ode mnie usłyszy, zanim zapadnę w śpiączkę.

— Przepraszam. Nie chciałam tego powiedzieć — po czym głowa opada mi na szybę.

Zaczynam się dławić w chwili, gdy przechodzę przez automatyczne drzwi pogotowia, uwieszona ramienia doktor Sterling. Próżność bierze górę i biegnę do łazienki, wpadam do kabiny i wymiotuję, patrzę, jak z moich ust wylewa się pomarańczowa masa. Mnóstwo tabletek, niektóre zachowały jeszcze swój pierwotny kształt, ale większość już się rozpadła, roztopiła, rozmiękła, surrealistyczna wizja opalenizny i łososia spływająca do kanalizacji.

— Chyba nie będziecie musieli pompować mi żołądka — mówię po wyjściu z łazienki. Doktor Sterling rozmawia z lekarzem dyżurnym. — To doświadczenie nie będzie pełne.

Zaczynam się śmiać. Śmieję się, jakbym powiedziała coś szalenie zabawnego. Jestem w euforii, wycieńczona do cna, ale w euforii. Przeżyłam próbę samobójczą! Cóż za dziwne, zabawne słowa. Więc śmieję się, kiedy lekarz prowadzi mnie do gabinetu, a na policzku zasycha mi pomarańczowa ślina.

Doktor Sterling dzwoni do ordynatora Westwood Lodge i objaśnia mój stan, mówi, że wie, iż nie ma łóżek, ponieważ wczoraj chciała ulokować swojego pacjenta. Nie mam pojęcia, co usłyszała w odpowiedzi, w każdym razie zaczyna się śmiać.

— No wie pan, ja i moi samobójcy!

Jestem wstrząśnięta. Doktor Sterling mówi jak właściciel sklepu spożywczego omawiający dostawę robaczywych jabłek. Jezu! Ha, ha, ha, ja i moi samobójcy balujemy dzisiaj w Westwood Lodge! Zdaje się, że nawet psychiatrzy mają prawo do wisielczego humoru.

Zapada decyzja: zostanę na noc u Stillmana, ale jutro trzeba mnie przewieźć do prawdziwego szpitala. Klinika nie jest przystosowana do leczenia pacjentów o skłonnościach samobójczych. Na tę jedną noc można zorganizować policjanta, który będzie strzegł moich drzwi i dopilnuje, żebym się nie zabiła. Samobójstwo jest przecież aktem niezgodnym z prawem.

— Policjant?! — wołam, kiedy doktor Sterling wyjaśnia mi sytuację. Leżę już na stole w małej sali, która wydaje się dziwnie znajoma. Czy nie tutaj mnie przywieźli, kiedy poroniłam? — Za kogo oni mnie biorą? Za kryminalistę? Nie jestem uzbrojona ani niebezpieczna. Jestem po prostu nieszczęśliwa.

— Wiem o tym — mówi ona. — I wiem, że nie wyrządzisz sobie krzywdy, jeżeli mi to obiecasz. Wierzę w pakt o nieagresji. Ale jeżeli chcesz tu zostać, musisz się dostosować.

— Rozumiem. — Przez chwilę dziwię się, że przy obecnym poziomie przestępczości w Cambridge policja postanowiła zmarnować cennego funkcjonariusza na moją samobójczą osobę, ale próbuję o tym nie myśleć. Czuję się wyśmienicie, zupełnie jak na haju. Wyśmienicie, a jednocześnie wyjątkowo paskudnie, zagubiona w nowej, nieznannej emocjonalnej diasporze. Owszem, popełniałam już czyny samodestrukcyjne, ale zawsze w kontekście życia, po to, by uczynić je bardziej znośnym, by przepchnąć się przez wyjątkowo zły okres. Ale celowe przedawkowanie to już zupełnie inna para kaloszy. To jest samodestrukcja dla samej samodestrukcji, a więc akt nienawiści w czystej postaci. Cóż z tego, że nie miałam zamiaru umrzeć?! Czuję, że przekroczyłam granicę ciemności, a uczyniwszy to, mogę wrócić na jasną stronę. Ogarnia mnie nagle, prawie maniakalne pożądanie życia. Leżę i czuję dziwne pragnienie, by pójść do domu, skakać na łóżku i krzyzczeć: ha, ha, ha, ja żyję!

Leżę u Stillmana i oglądam „60 minut”. Dzwoni doktor Sterling. Mówię jej, że to moja ostatnia noc u Stillmana, że nienawidzę tego miejsca, przypomina mi osobę, którą nie chcę sobie być. Jestem taka zmęczona tą szpitalną dziewczyną, zmęczona dziewczyną wiecznie wzywającą pomocy, nawet jeżeli wszystkie alarmy wynikały z prawdziwego zagrożenia. Próbuję wyjaśnić to doktor Sterling. Przez tyle lat nękał mnie demon depresji, już czas, żeby sobie poszedł. Czas wyzdrowieć.

— A więc wierzysz, że to możliwe? — pyta ona.

— No, tak... Chyba. Nie! Chyba jednak tak. Zrozumiałam dzisiaj, że nie chcę umrzeć. Żyć też nie chcę, ale... — Niestety nie istnieje stadium pośrednie między życiem a śmiercią. Depresja jest najbardziej zbliżona do stanu niebytu, ale nie radzę próbować. — Ale ponieważ, zgodnie z prawem inercji, łatwiej będzie mi żyć niż umrzeć, chyba będę musiała spróbować.

— Zgadza się z tobą.

— Nie mam wielkiego przekonania do tego interesu

— zastrzegam się szybko. — Ale zdaje się, że utknęłam po stronie życia.

— Posłuchaj, Elizabeth — mówi doktor Sterling.

— Rozmawiałam właśnie z twoją matką.

— Nie!

— Nie powiedziałam, co się stało, ale zasygnalizowałam, że jesteś bardzo przygnębiona i przechodzisz ciężki okres. Zapytała, co ma w tej sytuacji zrobić. — Brzemienna pauza. — Jest zdezorientowana. Bardzo chciałaby ci pomóc, ale nie wie jak. Nie bardzo rozumie, co się dzieje, ale wiem, że próbuje.

— O!

— Może byś do niej zadzwoniła? Mówiła, że skontaktuje się z tobą, ale chyba powinnaś zrobić to pierwsza. Doprawdy nie wiem, co mam o niej sądzić. — Bardzo brzemienna pauza. — Wiem, że ona naprawdę cię kocha i chce, żebyś wyzdrowiała. Ale to dla niej trudne. Trudne dla wszystkich.

— Aha! — mówię. — Wiem. Chyba nie jest pani zobowiązana mówić jej o tym, co się stało?

— Nie.

— To dobrze. Proszę nie mówić. — Wyobrażam sobie, co matka zrobiłaby na wieść, że przedawkowałam. Sama przedawkowałaby również. Zabiłaby mnie. — Pani doktor?

— Tak?

— Nie zamknie mnie pani u czubków, prawda? Bardzo tego nie chcę.

— Ja też nie, Elizabeth. — Wzdycha. — Zawsze wierzyłam, że możesz wyzdrowieć w jakiś inny sposób. Nadal uważam, że fluoksetyna zacznie wkrótce działać.

— Już zaczęła.

— Więc dlaczego to zrobiłaś?

To takie trudne pytanie. Czy mam jej powiedzieć, że popełniłam ten głupi, frywolny akt po to tylko, by tu leżeć i oglądać „60 minut”?

— Myślę, że chciałam się dowiedzieć, jak to będzie, kiedy posunę się tak daleko — mówię. — Chciałam otrzeć się o śmierć, żeby sprawdzić, czy wolę ją od życia. I wie pani co, była taka chwila w samochodzie, kiedy pomyślałam, że może jednak mi się udało, może naprawdę umrę i wcale nie byłam zachwycona tą perspektywą. Zaczęłam myśleć o wszystkim, co powinnam zrobić. Pomyślałam, że latem powinnam wrócić do Dallas, powinnam napisać pracę na seminarium dziennikarskie, powinnam mieć przed sobą tę przyszłość, która jest taka... — O mały włos nie powiedziałam „rokująca nadzieje”. Nienawistne słowa, kłamliwe, oszukańcze słowa, którym nikt nigdy nie sprostą.

— I choć to głupie, pomyślałam, że nie mogą zamknąć mnie teraz, ponieważ wkrótce nadejdzie lato, a u McLeana z całą pewnością nie ma lodów Steve'a. Pomyślałam: „cholera, nie mogę jeszcze umrzeć”. Nie były to jakieś wzniosłe myśli, chodziło mi raczej o drobne przyjemności, których się pozbawię umierając. To chyba bardzo głupie.

Doktor Sterling stwierdza, że każdy powód do życia jest dobry, a ja nadal czuję się zażenowana wzmianką o lodach.

— Żałuję, że nie mogę podać ważkiej przyczyny. Naprawdę nie sądzę, żeby przyszłość chowała dla mnie w zanadrzu coś wspaniałego — mówię dalej. — Ale wiem z całą pewnością, że cokolwiek złego mnie spotka, zawsze będzie coś, co jeszcze chciałabym zrobić, nie wiem... Posłuchać Springsteena, zobaczyć «Nashville», albo film z Greta Garbo, puścić płytę „Goldberg Variations” z 1955, kupić nową szminkę. Wszystko to są drobnostki, ale mają ogromne znaczenie. Najgorsze w depresji jest to, że drobne przyjemności nie przynoszą pociechy. W najlepszym razie nie dręczą. Gdybym, na przykład, znalazła wtedy w Ipswich te ostrygi, wcale by mnie nie uszczęśliwiły. Zjadłabym je i tyle. Ale teraz mam ochotę trochę się porozpieszczać. Mam ochotę wybrać się na lody.

— Nie jest to niespotykana reakcja posamobójcza — mówi doktor Sterling. — Ludzie reagują rozmaicie. Wydaje mi się, że w twoim wypadku była to ostatnia próba pozostania osobą, którą byłeś przez tyle lat, człowiekiem zdesperowanym. Zawsze powtarzałeś, że bez depresji nie miałabyś żadnej osobowości. Uważam, że fluoksetyna zadziała, a wtedy ta część ciebie zniknie na zawsze. I myślę, że się tego boisz. Próbujesz mi powiedzieć, że nawet, jeżeli ci się polepszy, nadal będziesz mnie potrzebowała, będziesz potrzebowała pomocy i opieki. Zupełnie naturalne, zważywszy że w twojej rodzinie przystępowano do rozwiązywania problemów dopiero gdy sytuacja stawała się krytyczna. Elizabeth, zaufaj mi, nie musisz być desperatką, żeby uzyskać moją pomoc. Zawsze będę do twojej dyspozycji, nawet jeżeli przestaniesz zdradzać tendencje samobójcze.

Zaczynam płakać, po raz ósmy tego dnia.

W pewien sposób zakochałam się w swojej depresji. Doktor Sterling miała rację. Kochałam depresję, ponieważ wydawało mi się, że mam tylko ją. Myślałam, że depresja jest tą częścią mojej osobowości, która sprawia, że jestem interesująca. Miałam tak niskie mniemanie o sobie, czułam, że tak niewiele mogę ofiarować światu, że jedynie agonia usprawiedliwia moje istnienie. Nadwrażliwość wydawała mi się bardziej uczciwym podejściem do świata niż tumiwizizm. Niestety, nie rozumiałam, że ktoś, kto odczuwa zawsze z tym samym natężeniem, przestaje odczuwać w ogóle i wtedy śmierć, dajmy na to, karpia staje się taką samą tragedią, jak śmierć własnego ojca. Ludzie z zewnątrz — i jest to właściwe określenie, ponieważ dla depresyjnych wszystko jest spoza — którzy wydają energię emocjonalną bardziej selektywnie, są w rezultacie bardziej wrażliwi od desperata, który odczuwa stałą, uporczywą, jednostajną rozpacz.

Ale depresja dała mi coś więcej poza ponurą introspekcją. Dała mi poczucie humoru, dała mi zdolność szydzenia z samej siebie, kiedy najgorsze minęło. Nie łudziłam się, że ktokolwiek znajduje przyjemność w moich łzach i hysterii, ale efekty uboczne depresji pomogły mi ją przetrwać. Stałam się osobą, która potrafiła być bardzo melodramatyczna i bardzo zabawna. Podniosłam do rangi sztuki umiejętność sprzedawania własnego obłędu. Zmieniłam każdy jego aspekt w doskonałą anegdotę, historyjkę, jaką opowiada się przy lampce wina. Większość ludzi uważała, że w chwilach, kiedy nie wiozą mnie na pogotowie, jestem bardzo zabawna. Nawet w najgorszym okresie, kiedy leżałam u Stillmana, potrafiłam rozbawić towarzystwo, pytając: „Opowiadałam wam już o przypadkowym bzykaniu?” Myślę, że przyjaciele lubili moją zdolność mówienia o osobistym życiu, jakby przytrafiło się ono komuś innemu, lubili moje napady radosnego gadulstwa w chwilach zupełnie po temu niestosownych. Po latach wyznali, wszyscy, co do jednego, że choć nie przepadali za moim zwyczajem mówienia rzeczy bezmyślnych i przykrych, byli skłonni wiele mi wybaczyć. Wyjąwszy chwile, kiedy biegałam w kółko piekląc się o nic, dobrze im się ze mną rozmawiało, byłam dobrym przyjacielem. Dlatego mnie lubili. Pożegnali by moją afektację z przyjemnością.

A ja tak się bałam utracić depresję, bałam się, że ta najgorsza część mnie jest częścią jedyną. Przerazała mnie perspektywa pozbycia się choroby, stworzenia całej osobowości, sposobu życia, którego motywem przewodnim nie byłoby cierpienie. Przez tyle lat depresja była wygodnym — i prawdziwym — wytłumaczeniem wszystkich moich wad i zalet. Teraz, za pomocą substancji biochemicznej, miała odejść. Jedna rzecz mnie niepokoi: dzikie zwierzęta wychowane w niewoli giną w naturalnym środowisku, ponieważ nie znają praw dżungli, choć do niej właśnie należą. Czy przetrwam jako normalna „ja”? Po tylu latach szaleństwa, kim właściwie jestem?

Następnego dnia po próbie samobójstwa doktor Sterling pozwala mi opuścić szpital i pójść do pracy w restauracji Harvest. Menedżer pokazuje mi, jak działa ekspres, ale jest to jedna z tych manualnych czynności, których z całą pewnością nie pojmem. Mimo to czuję się niemal szczęśliwa stojąc za ladą, robiąc coś normalnego, co wymaga jedynie rutyny.

Podczas lunchu ruch osłabł, dzwonię więc do doktor Sterling. Mówię, że jest mi trochę dziwnie, ponieważ moi przyjaciele są na mnie wściekli za to, co zrobiłam. Eben powiedział, że czasem czuje się równie parszywie, a jednak nie próbuje się zabić. Alec stwierdził, że sama się wpakowałam w takie bagno, co go, nawiasem mówiąc, nie dziwi, zważywszy że zmarnowałam sobie życie, spędzając pierwszą część semestru w Rhode Island, drugą w Kalifornii i Anglii. Ludzie, którym powiedziałam o przedawkowaniu, okazali więcej irytacji niż współczucia. Oczekiwałam pocieszenia, a słyszałam, że sama sobie jestem winna. Słuchając ich można by pomyśleć, że próbowałam zabić kogoś innego, nie siebie. Nawet Samantha, moja podpora, pokrewna dusza, wydawała się zagniewana. Powiedziała, zdaje się: „Aleś się wygłupiła!”

Doktor Sterling wyjaśnia, że to normalne. Mówi, że ludzie potrafią wybaczyć prawie wszystko, z wyjątkiem samobójstwa.

— Ci ludzie starali się pomóc, a ty zrobiłaś coś, co dowodzi, że odrzucasz ich pomoc i jesteś niezadowolona z ich dotychczasowych wysiłków. To może doprowadzić człowieka do szału.

Odkładam słuchawkę, ponieważ mam przed sobą dwóch kelnerów. Jeden żąda podwójnej z ekspresu, cappuccino bez cukru i cafe au lait, drugi chce małej czarnej, podwójnej bez cukru i herbatę, obaj domagają się natychmiastowej realizacji zamówienia, obaj krzyczą na mnie jednocześnie, nie rozumiem już, czego ode mnie chcą i myślę: „Gdyby tylko wiedzieli!” Tak jak w dniu utraty dziewictwa zastanawiałam się, czy mój wygląd mnie zdradza, tak i teraz zastanawiam się, czy ludzie wiedzą, że jestem niedoszłą samobójczynią.

Zmieniłam się nagle. Po paru dniach poczułam się zdrowa, poczułam się dobrze we własnej skórze. Tak po prostu. Pewnego ranka obudziłam się i naprawdę chciałam żyć, cieszyłam się na wstanie z łóżka, na codzienne zajęcia, na telefony do znajomych. Wyszłam z domu i wcale nie czułam się tak, jakby pierwsza osoba, która wpadnie na mnie na chodniku, mogła popchnąć mnie do samobójstwa. Opary depresji rozwiały się jak mgła nad San Francisco. Prozac? Bez wątplenia. Oczyszczający efekt próby samobójczej? Całkiem możliwe. Spadałam w otchłań stopniowo, a potem nagle i wznosiłam się w ten sam sposób. Terapia, podróże, sen, narkotyki, łyzy, opuszczone zajęcia, stracony czas — wszystko to było częścią powolnego procesu zdrowienia.

Długo trwało, zanim przyzwyczałam się do stanu zadowolenia z życia. Ciężko mi było wypracować taki sposób myślenia, którego punktem wyjścia nie byłaby depresja. Doktor Sterling przyznała, że to trudne, ponieważ depresja jest równie uzależniająca jak alkohol i narkotyki. Będąc na prozacu jestem tak świadoma swojego dobrego samopoczucia, że lękam się utraty cennej równowagi. Tak bardzo się martwię, że zmarnuję swoje szczęście, że jestem naprawdę bliska jego zmarnowania. Za każdym razem, gdy coś mnie niepokoi, czy jest to kolejka na pocztę, czy nieodwzajemniona miłość, muszę sobie powtarzać, że oba uczucia (irytacja i ból serca) są przemijające. Nie muszą uaktywnić mojej zaleczonej depresji. Nawet jeżeli płaczę, nie oznacza to, że łyzy nigdy nie przestaną płynąć. Tak trudno jest zróżnicować smutek, zrozumieć, że posiada różne stopnie natężenia, może być płomieniem świecy, spokojnym i nieszkodliwym, może być pożarem chłonącym lasy, niszczącym wszystko, co napotka na swej drodze. Może być również czymś pośrednim między jednym a drugim.

Między jednym a drugim! Niewiele osób docenia istnienie tego stanu. Jakież to był piękny dzień, chwila prawdziwego triumfu, kiedy odkryłam, że istnieje życie między jednym a drugim. Większość ludzi nie wie, że właśnie ono daje wolność. Stan pośredni jest w naszej kulturze czymś przeklętym, implikuje mierność, średni gatunek, nijakość. Tyle osób odczuwa potrzebę wykonania jakiegoś karkołomnego skoku albo wyjazdu na wakacje do krajów Trzeciego Świata, pełnych węży i uzbrojonych dyktatorów. Tylu ludzi szuka przygód, które mają ich wyrwać z nudy codzienności, ze stanu emocjonalnego zastoju! Ja natomiast niczego nie pragnę tak, jak tego zastoju. Pragnę życia bez ekstremalnych uczuć, życia pod kontrolą.

Chcę życia między smutkiem a radością.

Nigdy nie przestanę wystrzegać się depresji, ale nie doświadczam już druzgocącego uczucia, że życie jest czymś, co przytrafia się innym ludziom.

Nie ma również czarnej fali.

Bywają dni, kiedy nawet o niej nie myślę.

Kiedy byłam mała, mama, kładąc mnie spać, kazała mi myśleć o miłych rzeczach. Zamykałam oczy, a ona przesuwała palcem po moich brwiach i wymieniałyśmy wszystkie te miłe rzeczy. Myślę, że był to sposób na odgonienie koszmarów — kotki, szczeniaczki i balony w zoo. Czasem matka dołączała do naszej listy żółte łodzie podwodne, gwiazdy na niebie, kosy, drzewa w Central Park, a nawet — wierście, jeśli chcecie — sobotnie spotkanie z ojcem. Nic szczególnego, ale kiedy się ma cztery lata, kotki i szczeniaczki sprawiają, że warto żyć. I nie wydaje mi się, by teraz było inaczej.

Epilog:

Kraina prozaca

Nie tak dawno temu moja przyjaciółka Olivia zaprowadziła swoją kotkę do weterynarza, ponieważ Izabella wygryzała sobie kępki futra i bez przerwy wymiotowała. Lekarz spojrzawszy na Izabellę i w mgnieniu oka stwierdził, że zwierzę zapadło na manię nadmiernego porządkowania, co w normalnym języku oznacza, że wpadło w melancholię. Może dlatego, że chłopak Olivii wyprowadził się od niej, może dlatego, że Olivia zbyt dużo ostatnio podróżowała. Weterynarz wyjaśnił, że jest to choroba natury obsesyjnej. Izabella nie mogła przestać czyścić futerka, tak jak niektórzy ludzie nie mogą oderwać się od odkurzacza albo nie mogą przestać myć rąk, jak Lady Macbeth. Weterynarz

kazał dawać kocicy prozac, który okazał się niezwykle skuteczny w leczeniu tego schorzenia u ludzi, wypisał tasiemcową receptę.

Rzecz w tym, że Olivia była na prozacu lub jego chemicznych odmianach, od ładnych paru lat, walcząc z nawrotami depresji. Ostatnio suszyła głowę swojemu chłopakowi, żeby i on zaczął brać prozac, albo pojechał na ryby, ponieważ jego ospałość i posępne nastroje niszczą ich związek. A ja, jej przyjaciółka, jestem na prozacu od przeszło sześciu lat. Kiedy więc zadzwoniła z wiadomością, że przyłączyła się do nas Izabella, zdrowo się uśmiealiśmy.

— Może i mojemu kotu by się przydało — zażartowałam. — Ostatnio jest jakiś osowiały.

Zachichotałyśmy nerwowo.

— Z tym prozakiem to chyba przesada — powiedziała Olivia.

— Też mi się tak wydaje.

Nigdy nie myślałam, że depresja może wydawać się zabawna. Nigdy nie sądziłam, że nadejdzie chwila, kiedy ubawi mnie myśl, że część z tych 1,3 miliona dolarów, jakie Amerykanie wydają rocznie na zakup prozaca, jest przeznaczona na leczenie domowych zwierzątek, najwyraźniej równie podatnych na zaburzenia emocjonalne jak każdy z nas. Nigdy nie przypuszczałam, że uśmieję się czytając artykuł o miasteczku Wenatchee w stanie Waszyngton, gdzie sześciuset spośród dwudziestu jeden tysięcy obywateli zażywa prozac. Nigdy nie sądziłam, że „New York Times”, donosząc o istnieniu jedenastu milionów osób stosujących prozac (sześć milionów w samych Stanach Zjednoczonych) obwieści na pierwszej stronie narodziny „legalnej kultury narkotyków”. Nigdy nie przypuszczałam, że w „New Yorkerze” pojawi się tyle dowcipów rysunkowych na temat prozaca i że na jednym z nich szczęśliwy dzięki temu lekowi Karol Marks oznajmi: „Jasne, że kapitalizm może przewyciężyć swoje sprzeczności!”. Nigdy nie myślałam, że w jednym tygodniu ujrzę okładkę „Newsweeka” z wielką, raketopodobną ampulką prozaca i okładkę „New Republic”, na której rozradowani ludzie cieszą się bezproblemowym życiem pod nagłówkiem: „Cudowne chwile prozaca!”.

Nigdy nie sądziłam, że antidotum na chorobę tak poważną jak depresja, chorobę, która omal nie pozbawiła mnie życia, stanie się przedmiotem powszechnych żartów.

Od czasu, gdy po raz pierwszy otrzymałam prozac, stał się on najczęściej, po zantaku, przepisywanym lekiem w Stanach Zjednoczonych. Co miesiąc wypisuje się na niego milion recept. W 1990 roku cudowny lek dostał się na pierwsze strony periodyków amerykańskich. „Rolling Stone” ochrzcił go „najmodniejszym afrodyzjakiem yuppie”, a najważniejsze telewizyjne programy publicystyczne włączyły do swego repertuaru audycje pod roboczym tytułem „Jak prozac uratował mi życie”. W 1993 roku, kiedy książka Petera Kramera „Listening to Prozac”, zestaw przypadków chorobowych i refleksji o prozacu jako pigułce, która może zmienić osobowość, trafiła na listę przebojów „New York Timesa”, środki masowego przekazu zalała kolejna fala prozakomanii. Cheryl Wheeler, piosenkarka country z Nowej Anglii, napisała nawet piosenkę pod tytułem „Czy to spokój, czy prozac?”

Ale nie chciałam tu pisać wyłącznie o nim. Prozac jest tylko pretekstem, by ukazać nasilenie chorób psychicznych w ogóle, a depresji w szczególności. Chcę pokazać, w jaki sposób stan umysłu, kiedyś postrzegany jako coś tragicznego, stał się zupełnie powszechny i niemal humorystycznie traktowany. Nagle, gdzieś koło roku 1990, przestałam być osobą nieźrównoważoną psychicznie, która przez kilkanaście lat zatruwała swoimi skokami nastrojów i atakami płaczu życie wszystkich znanych jej ludzi, i stałam się supermodna. Maleńki świat domu wariatów, który był moim udziałem i moim azylem, nagle stał się publicznym trotuarem. W artykule w „Good Housekeeping” (dobry Boże, czytają to przecież nasze babki!) psycholog Elle McGraht opisała depresję jako „emocjonalne zakażenie kataralne”,

podkreślając, że ta forma chronicznej rozpaczki dotyka trzy procent Amerykanów (mniej więcej tyle samo bierze prozac). Powiedzieć, że żyjemy w Stanach Zjednoczonych Depresji byłoby przesadą — w końcu dwanaście milionów cierpiących na tę chorobę jest nadal mniejszością — ale w ostatnich latach stała się ona tematem modnym, ba niemal kwestią polityczną. Kiedy Hillary Rodham Clinton opowiadała się w kampanii prezydenckiej męża za „politykę cnoty”, nie sposób było przeoczyć napomnień o „ospałość ducha”, „alienacji, rozpaczki i beznadziejności”, „kryzysie sensu życia” i „duchowej pustce”, zdających się sugerować, że źródłem problemów kraju jest nie tyle bezrobocie czy podatki, ile prosty fakt, że jesteśmy jako naród gremialnie w złym humorze. Można się było niemal spodziewać, że następnym razem pomaszerujemy demonstrować przed Białym Domem, nie dlatego, by walczyć o prawa kobiet czy równouprawnienie homoseksualistów, lecz by pokazać jacy jesteśmy zniechęceni do życia.

Jedną z najbardziej uderzających cech epidemii depresji jest ogromna liczba młodych ludzi, którzy na nią zapadli. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ludzie uzależnieni od valium, sfrustrowane panie domu sięgające po środki stosowane jeszcze przez ich matki, ćpuny z Bowery i Harlemu uznawani byli powszechnie za przegranych czterdziestolatków albo zwichrowaną młodzież. Ale obywatelami krainy prozaca są obecnie ludzie młodzi, którzy mają po co żyć, mają przed sobą przyszłość i wszelkie możliwości, którzy wchodzą w świat, rokują wielkie nadzieje. O nich nie można powiedzieć, że dla nich wszystko się skończyło, że jest już za późno. Są to ludzie, dla których wszystko się właśnie zaczyna.

Ósmego grudnia 1992 roku w „New York Timesie” ukazał się artykuł pod tytułem „Rosnące koszty nowoczesności — depresja”. Mówi on o sprawozdaniu Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycznego, podsumowującego wyniki długotrwałych międzynarodowych badań nad depresją. Ogólny wniosek: osoby urodzone po roku 1955 są trzykrotnie bardziej podatne na depresję niż ich dziadkowie. Spośród Amerykanów urodzonych przed 1905, tylko jeden procent doświadczył tej choroby, między piętnastym a siedemdziesiątym piątym rokiem życia. Spośród osób urodzonych po 1955 sześć procent jest nią dotkniętych już w wieku dwudziestu czterech lat. Jest to tendencja globalna; badania przeprowadzono we Włoszech, Niemczech, Tajwanie, Libanie, Kanadzie, Francji, Nowej Zelandii, Puerto Rico i w innych krajach, a wyniki są wszędzie podobne. Choć kobiety zapadają na depresję trzy razy częściej niż mężczyźni, autorzy artykułu podkreślają, że: „rozdział między kobietami a mężczyznami w zakresie podatności na depresję zawęża się systematycznie. Istnieje ryzyko, że wkrótce mężczyźni staną się grupą równie podatną na tę chorobę jak kobiety”. Na koniec autorzy stwierdzają, że połowicznym wyjaśnieniem rozszerzenia się „epidemii” może być to, że w ostatnich latach zaczęto otwarcie o tym mówić, choć statystyki są tak alarmujące, iż nie może to być czynnik decydujący.

Tymczasem coraz więcej ludzi wpada w prawdziwą depresję, lub wydaje im się, że w nią wpadli. Wielu uważa, że prozac jest rozwiązaniem problemu. Wszyscy słyszeliśmy historię o włamywaczu, który pozostawił komputer, sprzęt stereo i video, a zabrał fiolkę z prozakiem. A może zdarzyło się wam — jak mnie któregoś dnia — siedzieć na tylnym siedzeniu taksówki i słuchać jak kierowca mówi, że miesiąc temu próbował się zabić łykając sto tabletek valium i popijając butelką whisky, ale teraz dostaje prozac i życie stało się piękne. Może okazać się, że facet, który naprawia ci syfon w łazience, jest na prozacu, twój ginekolog jest na prozacu, twój szef jest na prozacu, twoja matka, a może i babka. Nawet jeżeli lek nie wślizgnął się w twoje osobiste życie pod jakąś postacią, to przecież słyszysz, jak wielu sławnych tego świata przyznaje, że go stosuje. Zażywał go przez jakiś czas Gary Hart, próbował go Jim Baker. Roseanne Arnold łyka regularnie. Jeffrey Dahmer właśnie przestał. Czy to możliwe, żeby na świecie było aż tylu nieszczęśliwych ludzi?

Wiem, że dla niektórych nieszczęście jest nieodłącznym elementem życia. Wstępują do takich czy siakich stowarzyszeń, by poznać innych dręczonych przez tego samego demona: alkoholizm, uzależnienie od narkotyków, zaburzenia związane z jedzeniem, choroby urojone, takie jak: przesadne kupowanie, kochanie i pieprzenie. Ale mnie się wydaje, że musi być coś nie tak ze światem, po którym pigułki rozłazą się jak wirus, błędna informacja albo złośliwa plotka. Nie mogę tego udowodnić, ale jestem przekonana, że większość ludzi zażywających prozac nie doszła do niego tak określną drogą jak ja. Lekarze przepisują dzisiaj prozac jak witaminę C. Badania z 1993 roku wykazały, że przeszło połowa ankietowanych psychiatrów wyciąga bloczki recept po mniej niż trzyminutowej rozmowie z pacjentem. Czasami ogarnia mnie gniew na myśl o łatwości, z jaką lekarze uprawiają to farmakologiczne kuglarstwo. Zanim mnie przepisano prozac, spróbowano wszystkiego, udręczono mój umysł tyloma medykamentami, skazując na dziesięć lat rozpacz. Teraz prozac jest panaceum powszechnie dostępnym. Wystarczy poprosić.

Nie da się jednak zignorować nieodpartych dowodów przedstawionych w artykule w „New York Times”. Wyraźnie dowodzą, że to nagminne wypisywanie recept nie jest manierą lekarzy, lecz ich odpowiedzią na rzeczywiste zapotrzebowanie gromady ludzi, dla których egzystencja jest wysiłkiem ponad wszelką miarę. Z badań Journal of Clinical Psychiatry wynika, że 1990 roku depresja kosztowała kraj 290 milionów dni roboczych oraz 43,7 miliardów dolarów. Suma ta obejmuje koszt opieki psychiatrycznej oraz straty wynikające z obniżonej wydajności i absencji w pracy. Jeżeli dodamy do tego pieniądze wydane na nikomu niepotrzebne testy laboratoryjne i pomyłki diagnostyczne, uwzględnimy koszty poboczne — na przykład odwyku narkotykowego — liczby te będą dużo wyższe. W Dniu Walki z Depresją, kiedy w całym kraju otwiera się punkty bezpłatnego diagnozowania, pięćdziesiąt procent badanych (co prawda, ochotników) uznano za przypadki kliniczne. Biorąc pod uwagę te statystyki, kto ośmieli się powiedzieć, że łykamy za dużo prozaca? Może łykamy go za mało? Może kontakty z tym światem są tak wyczerpujące, że wymagają chemicznego bufora?

I choć depresja dotyka ludzi wszelkich grup wiekowych, poczucie, iż jest to normalny stan umysłu, normalny bieg życia, które jest do kitu, a w dodatku kończy się śmiercią, jest typowe dla ludzi w wieku dwudziestu, trzydziestu lat. Jest w tym jakiś fatalizm, rezygnacja, która sprawia, że cała sprawa wydaje się nagle niebezpiecznie banalna. Nie dziwi mnie fakt, że substancja tak nijaka jak prozac, lek, który cię nie uszczęśliwia, ale i nie pozwala być smutnym, stał się panaceum. Żadna inna substancja nie wydaje się równie bezpieczna.

Czytając pewnego razu „Leara” na plaży w Miami, natknęłam się na artykuł zatytułowany „Chora fabuła”. Autorka, Fanny Howe, specjalistka od kształcenia kandydatów na pisarzy, twierdziła w nim, że nigdy w ciągu dwudziestu lat kariery uniwersyteckiej nie spotkała się z taką beznadziejnością, jaka wyziera z literackich próbek jej obecnych studentów. „Czytając ich utwory, można by pomyśleć, że byli głodzeni, bici, gwałceni, aresztowani, maltretowani i wysyłani na wojnę — napisała Howe.

— Bohaterowie ich opowiadań padają ofiarą przemocy na skutek zbiegu okoliczności, popełniają przestępstwa przez przypadek, nienawidzą, nie rozumiejąc, dlaczego są kochani, maltretowani lub przygnębieni, ale nie wiedzą, dlaczego... Ich życiem rządzi przypadek”.

Howe jest zdziwiona tym, co czyta. Dla mnie i dla wszystkich moich znajomych podobne nastawienie do życia jest czymś zupełnie normalnym. Naszym światem naprawdę rządzi przypadek. I ten brak porządku jest czymś podcinającym siły, destabilizującym. Czasem wydaje mi się, że mianem depresji objęto wszelkie zupełnie naturalne reakcje

— ostrożność, nerwowość, niechęć do intymności — na świat, który nie daje podstawowych gwarancji: stabilnej rodziny, stałego zatrudnienia, bezpiecznego seksu. Może nie powinnam nawiązywać w tym momencie do ekonomicznych i społecznych zagrożeń, jakie kształtują świat dwudziestolatków, ale nie da się ukryć, że nieszczęście panoszy się w tej grupie wiekowej jak grypa i nie winię dziennikarzy, socjologów i innych obserwatorów, że próbują coś z tego zrozumieć, dokopać się przyczyn.

Kłopot w tym, że kiedy zaczynamy mówić o rozwiązaniach, szybko dochodzimy do prozaca. Albo do zolofa, albo do paxilu. Głęboka depresja nie tylko powinna, ale nawet musi być leczona prochami, w przeciwieństwie do chwilowej dolegliwości polegającej na poczuciu alienacji, niechęci do świata, który wydaje się potwornie zły. Niestety, wielkie problemy na skalę ogólnoludzką są w zasadzie nierozwiązywalne; dopóki rozwód będzie dozwolony, ludzie będą się rozwodzili, upadku gospodarki amerykańskiej nie da się odwrócić, nie ma lekarstwa na AIDS. Czy wobec takiego stanu rzeczy, znieczulenie się nie jest rozsądnym posunięciem? Bardzo bym chciała móc powiedzieć, że prozac jest skutecznym antidotum na to, co Hillary Clinton nazwała ospałością duszy. Obawiam się jednak, że tak, jak nasi rodzice uciszali nas w dzieciństwie sadzając przed telewizorem, tak teraz my uciszamy samych siebie sięgając po prozac.

Za każdym razem, gdy siedzę w samochodzie pełnym ludzi i jedyną osobą, która „nie zażywa” jest kierowca, doznaję nieprzyjemnego wrażenia, że po latach walki o uznanie depresji za chorobę wymagającą leczenia, przestała ona być uznawana za poważny problem i stała się czymś zupełnie trywialnym.

Od czasu do czasu łapię się na tym, że mam ochotę przypomnieć znajomym, że jestem nie tylko na prozacu, ale również na licie, że jestem prawdziwym świrem, chorym' wyższego rzędu niż zwykli zjadacze pigułek leczący swoje smuteczki. Albo czuję się zmuszona zaznaczyć, że jestem na prozacu od chwili, gdy został zaaprobowany przez władze, czyli dłużej niż jakakolwiek żyjąca istota, może z wyjątkiem paru laboratoryjnych szczurów. I nie wiem, czy powinnam być bardziej przerażona tym, że domagam się uznania mojego prozakowego weteraństwa, czy faktem, że to żądanie nie jest całkowicie bezpodstawne. W końcu, prasowo-telewizyjna kariera prozaca zmieniła poważny problem w żart w chwili, gdy to się nie powinno zdarzyć: według wszelkich danych, dwie trzecie osób cierpiących na ostrą depresję nie są w ogóle leczone. I to oni właśnie zaginą w szumie retoryki.

Ponieważ coraz częściej prozac postrzegany jest jako „głupi jasio” dla niegrzecznych dzieci lub instrument „kosmetycznej farmakologii”, ludzie, którym może on naprawę pomóc, przestają w niego wierzyć. W debacie na temat gwałtu, jaka rozpętała się ostatnio, feministki twierdzą, że zbyt luźna definicja gwałtu sprawia, iż „prawdziwego” gwałtu nie traktuje się poważnie, podczas gdy inni dowodzą, że zgwałcony jest każdy, kto czuje się zgwałcony. W zgiełku debaty traci się z oczu człowieka, który naprawę został zgwałcony i cierpi. Wydaje mi się to zupełnie możliwe, zważywszy na ton wypowiedzi na temat prozaca, że wkrótce ludzie zapomną, jaką groźną, straszną chorobą jest depresja.

Czasem wydaje mi się, że tylko ja znam ten sekret: otóż, prozac wcale nie jest tak wspaniały. Oczywiście, nadal uważam, że to właśnie on uratował mi życie i wyrwał ze szponów depresji, co dla większości ludzi byłoby pewnie wystarczającym powodem, by uznać go za mannę z nieba. Ale po sześciu latach zażywania wiem, że nie jest to koniec, lecz początek. Zdrowie psychiczne jest bardziej złożone niż skład jakiegokolwiek pigułki. Narkotyk, czy jest to prozac, thiorazyna, staromodne relanium, czy uliczna heroina, może zadziałać tylko w takim stopniu, w jakim pozwoli

mu ludzki umysł. Po pewnym czasie silna, bezwzględna, zakorzeniona depresja weźmie górę nad każdym związkiem chemicznym. Prozac pozwolił mi odzyskać coś zbliżonego do równowagi psychicznej, ale tylko na parę miesięcy. W święta Bożego Narodzenia pokłóciłam się strasznie ze swoim chłopakiem w Dallas. Przedawkowałam desyrel, lek antydepresyjny, który brałam jako dodatek do prozaca, i wylądowałam w tak dobrze mi znanym szpitalu. Nie było to poważne zatrucie (łyknęłam tylko dziesięć tabletek) i wypisano mnie po paru dniach, oddając pod kuratelę rodziców chłopaka. Kiedy wróciłam do Cambridge, doktor Sterling zaaplikowała mi lit, aby zneutralizować efekty uboczne prozaca i opanować huśtawkę nastrojów. Zaczęła podejrzewać, że niezależnie od depresji nietypowej cierpię na depresję maniakalno-depresyjną. Wskazują na to przejścia od euforii do gestów samobójczych.

Odstawiłam desyrel w chwili, gdy zaczęłam brać lit, ale wszelkie próby zmniejszenia dawki prozaca kończyły się nawrotem choroby. Parę razy próbowałam odstawić lit z uwagi na jego męczące skutki uboczne, ale nieuchronnie prowadziło to do scen takich jak ta w łazience, kiedy leżałam z szyfonową czarną suknią na głowie, podczas, gdy za ścianą odbywało się huczne przyjęcie. Zdarza się, że miewam ataki depresji będąc na prozacu i licie. Moi przyjaciele czuwają wtedy przy mnie przerażeni, podczas gdy ja odmawiam wstania z kuchennej podłogi, odłożenia noża, który trzymam wycelowany w przeguby. Po tych okropnych scenach, kiedy w końcu odzyskuję rozsądek na tyle, by pozwolić się zawieźć do lekarza, psychofarmakolog zapisuje mi dodatkowy lek, na przykład desypraminę, albo pyta, czy nie spróbowałabym desyrelu, czy zażycie paru mellarilów nie postawiłoby mnie na nogi.

Podobnie jak wiele zarazków, które przechytrzyły antybiotyki i wyłoniły się w nowej, udoskonalonej formie, depresja przekształciła samą siebie tak, że stała się czymś więcej niż niedoborem serotoniny. Jak napisała Susanna Kaysen w „Girl, Interrupted”, wspomnieniach z pobytu w zakładzie McLeana: „Istnieje długa droga od niedoboru serotoniny do przekonania, że świat jest stęchły, płaski i nie opłaca się żyć”. Nie ma oczywiście naukowych podstaw na potwierdzenie takiej tezy, ale własne doświadczenia każą mi wierzyć, że szara komórka zawsze przechytrzy medykamenty. Jeżeli jesteś w chronicznym dołku, będziesz musiał walczyć przez całe życie, żeby nie utonąć. W przypadku mojej depresji, przeszłam od absolutnego przekonania, że wzięła się ona z awarii w biologii mojego mózgu, do bardziej elastycznego poglądu, że wypadki losowe zrobiły z mojej głowy coś tak obrzydliwego, że szare komórki nie wytrzymały i dostosowały się do tego paskudztwa. Nigdy nie dowiemy się, jak było naprawdę. Nie istnieje badanie krwi, które wykryłoby zachwianie równowagi psychicznej, jak wykrywa mononukleozę czy HIV. Fakt, że prozac w połączeniu z innymi lekami okazał się dla mnie ratunkiem, każe mi wierzyć, że niezależnie od tego, co pchnęło mnie na drogę depresji, kiedy w końcu poddałam się leczeniu, problem miał już podłoże organiczne. Związek przyczynowo-skutkowy w chorobach psychicznych działa w obie strony: nie tylko aprioryczne zachwianie równowagi może wpędzić cię w depresję. Lata choroby mogą spieprzyć twoją równowagę chemiczną do tego stopnia, że potrzebujesz leku, który doprowadzi cię z powrotem do normy. Gdybym na początku swojej choroby trafiła w ręce dobrego psychiatry, być może po dziesięciu latach nie potrzebowałabym prochów, żeby w ogóle wstać rano z łóżka.

Przez parę lat po wyjeździe z Cambridge i powrocie do Nowego Jorku trzymałam się z daleka od psychoterapeutów. Odwiedzałam jedynie psychofarmakologa, który faszerował mnie prochami, jakby sprawiało mu to osobistą przyjemność. Realizowałam recepty w złudnym mniemaniu, że to wystarczy. Nie wierzyłam, że znajdę kiedyś lekarza, który zastąpi mi doktor Sterling. Poza tym, wyglądało na to, że prochy skutkują. Po pewnym czasie stwierdziłam jednak, że rujnę swoje związki uczuciowe, zrażam do siebie pracodawców i współpracowników, miewam zbyt często napady depresji, zalewa mnie czarna fala, przed którą uciekałam w preprozacowych czasach. Potrzebowałam terapii. Lata złych nawyków, związków z niewłaściwymi mężczyznami, reagowania na każdy kryzys

impulsywnym zachowaniem zmieniły mnie w kogoś, kto nie miał pojęcia, jak funkcjonować w normalnym świecie. Potrzebowałam dobrego terapeuty, który pomógłby mi dorosnąć, nauczył mnie, jak żyć w świecie, gdzie firma telekomunikacyjna odłącza telefon, nie dbając o to, że jestem zbyt przygnębiona, by zapłacić rachunek. Potrzebowałam psychiatry, który nauczyłby mnie, jak żyć w świecie, gdzie sporo osób bierze prozac, ale zdecydowana większość tego nie robi i ta większość ma swoje problemy i interesy, które, może się tak zdarzyć, będą kolidowały z moimi.

Bardzo długo trwało, zanim nauczyłam się życia, w którym depresja nie jest niewyczerpanym źródłem pociechy, stanem, w który ucieka się jak w alkohol czy narkotyki. Dzisiaj, w wieku dwudziestu sześciu lat, czuję się tak, jakbym w końcu zaczęła dorastać.

